

OLGA BICOS

BEZ NAMYSŁU

Mojemu słońcu, księżycowi i gwiazdom: Andrew, Leili i Jonathanowi.

A także paniom, które zawsze odbierały telefon: Barbarze Benedict, Jilian Hunter i Stelli Cameron.

Dziękuję, kochani. Nie poradziłabym sobie bez was.

Katastrofa

Rozdział 1

Alec Porter wierzył, że każdy dostaje drugą szansę. Że człowiek może się poprawić. Że może popełniać błędy, nawet poważne i mimo to chodzić z podniesioną głową. Do diabła, dajcie godzinę specem z Hollywood, a przerobią Sknerusa na Świętego Mikołaja.

Przypięty pasami w sportowym marchetti - samolot mknął jak pocisk, wycelowany w Matkę Ziemię - Alec pomyślał, że właśnie teraz świetnie byłoby dostać drugą szansę.

Zamknął przepustnicę, drążek sterowniczy trząśł się wściekle w jego rękach.

- Nie schrzań tego, Porter. Nie dzisiaj. - Wieki minęły, od kiedy ostatnio patrzył śmierci w oczy. Sądząc po łomotaniu serca, wyszedł już z wprawy.

Wcisnął drążek w brzuch, próbując zatrzymać wirującą ziemię. Marchetti walczył z nim zawzięcie, schwytyany w korkociąg. Wyprostuj skrzydła, chłopie. Wyjdź z tego. Przymocowany do podłogi samolotu komputer, imitujący skomplikowany system kontroli w odrzutowcu, tkwił na swoim miejscu. Nie ma mowy, żebym dosięgnął wyłącznika.

Alec testował nowy system, który zaprojektował. Chciał pokazać, co potrafi jego program. A teraz, jak w koszmarnym śnie każdego pilota, czerwone lampki migotały na tablicy rozdzielczej niczym fajerwerki na Czwartego Lipca, ostrzegając go, że niedługo pożegna się z życiem. Muszę dosięgnąć wyłącznika.

Zawyła syrena. Za późno... za późno! Alec pstryknął przełącznikiem, nie zwracając uwagi na pulsujące światła. Jak przyjdzie co do czego... będę czarował. Robił to już nieraz; musiał się tylko skoncentrować.

O tak. Druga szansa naprawdę by się przydała. Wiedział doskonale, jak ją wykorzystać. Gdyby miał szczęście - gdyby zdołał wylądować - odnalazłby Sydney... i powiedział jej prawdę.

Twarz Sydney zjawiała mu się przed oczami jak w błysku flesza. Alec potrząsnął głową, by odpędzić wizję, cały czas próbując ustawić skrzydła poziomo. Skup się. Przy takich manewrach przyspieszenie mogło odciąć dopływ tlenu, a wtedy byłoby nieciekawie. Ściągnij to maleństwo na dół, a potem martw się o Syd.

Ale zjawiała się i tak, przesłaniając mu niebo i ziemię. Cichy głosik w jego głowie, krzyczący: Uważaj!, ucichł zupełnie. Została

tylko Sydney, słodka uwodzicielka, wytykająca mu po kolei wszystkie grzechy młodości, jak przed sądem.

Zawsze myślał, że Sydney jest inna. Że nie zdoła jej zranić.

Już nie jestem tym samym draniem, Syd. Uwierz mi.

Uśmiechnął się, przypominając sobie tamten fatalny dzień, kiedy zwabił ją do gorącego pokoju hotelowego w Buenos Aires i ułożył w pościeli. Tylko posmakuję. Zrobili to i kiedy obudził się następnego dnia, Sydney, jak w operze mydlanej, posłała go do diabła. Była tak wkurzona, że wyszła, nawet się nie oglądając. Kilka miesięcy później Alec przywłókł się tutaj przez pół świata, żeby ją odszukać. Przekonać. Zacząć od nowa. Już nie jestem tym samym draniem. Żeby znaleźć tę swoją drugą szansę.

Czując, że krew odpływa mu z mózgu, skoncentrował się i zobaczył niebo przemieszane z niebezpiecznie bliską ziemią. Teraz albo nigdy... Wyłączyć zapłon - ster od siebie. Ale widok za szybą kabiny pilota ciągle przypominał wnętrze kalejdoskopu. Zaczął wątpić, czy w ogóle będzie miał szansę cokolwiek naprawić. Bo kiedy tak wspominał Buenos Aires, zdał sobie sprawę, że to jest właśnie to, o czym opowiadają: całe życie przelatuje ci przed oczami... i nagle zrozumiał.

Był ugotowany. Usmażony.

W ostatniej chwili, zanim stracił przytomność, z powrotem wtłoczył manetkę w brzuch.

- Auć! - powiedział - będzie siniak.

Petroula Reck zawsze uważała, że jej matka jest idiotką. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat miała za sobą cztery operacje plastyczne, po jednej dla każdego męża. Inwestowała ciężkie pieniądze w parapsychologiczną gorącą linię... wierzyła w kosmitów. A swoje córki nazwała Afrodyta, Carmela i Petroula.

Carla Reck wybrała te imiona, bo każde z nich coś znaczyło: Afrodyta miała zapewniać urodę, Carmela słodycz, a Petroula, czyli „skała”, siłę. Tata nie miał nic przeciwko temu. Bo i czemu? Nie było żadnego Russella Recka Juniora, który poszedłby w jego czcigodne ślady. Nie było potrzeby interweniować, wyobrazić sobie, jak będzie się czuła jego córka, jękając „Petroula” przed chichoczącą klasą.

Petroula zmarszczyła czoło i ścisnęła mocniej dokumenty z działu prawnego, podążając szacownymi korytarzami Dziecięcego Centrum

Sztuki. Tamto było kiedyś - teraz jest inaczej. Tatuś jest innym człowiekiem. Było, minęło...

Carla chciała, żeby jej córki czuły się wyjątkowe. Wierzyła, że imiona kształtują charakter - i miała rację. Przynajmniej w wypadku Petrouli.

Rocky (rock (ang.) - skała (przyp. red.)), jak zaczęto ją w końcu nazywać, lubiła obcisłe zakłady i krótkie spódniczki. Miała jasne włosy sięgające do pasa i nogi długie aż do nieba. Kiedy przechodziła, ludzie często gapili się na nią... mężczyźni i kobiety. I o to właśnie chodziło. To był jej atut.

Wiele osób gapilo się i teraz, kiedy szła szybko korytarzem w szpilkach Prady, zastanawiając się, jakie bzdurne zadanie wymyśli dla niej Potwora tym razem. Aport. Hau - hau. Ale Rocky nie miała zbyt wielkiego wyboru. Zgodnie z poleceniem Tatusia przyszła tutaj, żeby przymilać się do Sydney, swojej macochy z piekła rodem. I zupełnie nie wiedziała, po co.

Problem polegał na tym, że ojciec siedział w więzieniu właśnie dzięki swojej młodej eks, która zabawiła się w Matę Hari. Pewnej nocy, jakby żywcem wyjętej z powieści Grishama, Sydney pogwałciła święte obowiązki żony, zebrała tajne dokumenty Tatusia i zadzwoniła do FBI. Jej kłamstwa na krześle dla świadków zamieniły ich życie w nierealny wir przesłuchań i rewizji. To dlatego Rocky widywała teraz ojca wyłącznie za szybą z pleksi i rozmawiała z nim przez słuchawkę.

- Żartujesz, prawda? To jakiś żart? Tato, ja nie mogę pracować w dziale prawnym Sydney. Ona cię tu wsadziła. Osobiście zatrzaskała drzwi i wyrzuciła klucz.

- Jeśli coś mi się stanie... jeśli stąd nie wyjdę, kochanie, kto się tobą zaopiekuje, hmm?

- Mam dwadzieścia trzy lata, sama się sobą zaopiekuje

- Rocky, kotku, właśnie zaczęłaś studia prawnicze. Jeśli nie zdołam obalić zarzutów, wszystko przepadnie. Wszystko. Co do centa.

- Przez nią.

- I właśnie dlatego ci pomoże. Jakikolwiek błędy popełniła Sydney, nie jest złą kobietą. Zawsze was kochała, dziewczynki. W przeciwieństwie do matki. Rocky, oboje wiemy...

Afrodyta, Carmela, Petroula. Idiotka.

Żeby sprawić ojcu przyjemność, Rocky zaczęła pracować w Centrum Sztuki, założonym przez macochę i jej kochasia Jacksona Bossego, młodego geniusza, znanego z solidności i ogromnego konta w banku. Jack na bieżąco ulepszał swoją wyszukiwarkę internetową, której nazwa „Yahoo!” kojarzyła się raczej z jakimś czekoladowym napojem. Tylko dla Tatusia Rocky zgodziła się pomagać Sydney w zdobywaniu zezwoleń i koncesji dla jej ukochanej, dziecięcej galerii.

Zawsze was kochała, dziewczynki, choć w to nie wierzycie.

Pewnie. To dlatego Rocky utknęła tutaj, bawiąc się w chłopca na posyłki. A nieufna, bystrooka Sydney obserwowała ją, czekając, aż zrobi jakiś fałszywy krok.

Rocky minęła grupkę dzieci, zasłuchanych w słowa przewodniczki. Uśmiechnęła się, kiwając palcami na powitanie. Pierwszoklasiści, domyśliła się. Jak Madison, najmłodsza córeczka Afrodyty.

Dzieci otaczały obraz, utrzymany w ziemistych barwach, przedstawiający poczęcie bliźniaczych bogów z Popul Vuh, księgi stworzenia Majów. Autorem był jeden z ulubionych artystów Rocky, Carlos Terres, znany meksykański malarz i rzeźbiarz. Operując plamami przytłumionych odcieni, Terres opowiedział historię bogini - matki, która decyduje się sprzeciwić ojcu i w rezultacie zostaje wygnana.

Czasami Rocky czuła się trochę jak kobieta z tego obrazu, rozdarta między życzeniami ojca i głosem własnego serca.

Przechodząc przez galerię w stronę głównego biura, skręciła, by ominąć okropnego strażnika przy głównym wejściu, mimo że odwrócił się i jej pomachał. Rocky spojrzała w drugą stronę. Dziwadło. Postanowiła skoncentrować się na czekającym ją spotkaniu. Pracowała dla Potwory całe lato, ale ciągle nie potrafiła wczuć się w rolę zdolnej pupilki. Sydney tylko pogarszała sprawę, sprawiając wrażenie, że naprawdę zależy jej na Rocky. Tak jakby po tym, co się stało, mogły jeszcze być przyjaciółkami.

Rocky miała w nosie to, jak traktowała ją Sydney. Potwora ukradła Tatusia rodzinie, po czym zniszczyła go bez zmrżenia oka. Rozwód jej nie wystarczył. Chciała zetrzeć z powierzchni ziemi wszelkie ślady po Russellu Recku. I teraz Rocky miała stłumić swój gniew i zaprzyjaźnić się z Potworą? Grać rolę posłusznej córki przed kobietą niewiele starszą od niej? Nie ma mowy...

Choć to nieprawdopodobne, aresztowanie ojca miało też dobrą stronę. Po raz pierwszy zauważył wreszcie Rocky. Do tej pory było trochę tak, jakby po rozwodzie z jej matką, swoją pierwszą żoną, postanowił zapomnieć o przeszłości. Siostry Rocky powychodziły za mąż za bogatych, samolubnych mężczyzn, podążając śladami wielkich stóp matki. Ale nie Rocky. Jej nie skusiła rola kobiety z towarzystwa. W zeszłym roku dostała się na studia prawnicze... z początku sądząc naiwnie, że zdoła pomóc Tacie. Teraz, na jesieni, miała zacząć drugi rok studiów. Poza tym naprawdę zbliżyli się do siebie z Tatusiem. Rocky uważała, że przynajmniej za to powinna być wdzięczna Sydney.

I dlatego nie może tak się wściekać pod drzwiami macochy, budząc niezdrową ciekawość recepcjonisty. Zobaczyła, że chłopak bezczelnie szczyrzy do niej zęby, odpowiedziała więc krzywym uśmiechem. Nie dla psa kielbasa, pomyślała. Był jednym z początkujących artystów, protegowanym macochy. Sydney wydawało się, że zbawi świat przez sztukę. Rocky oceniła, że chłopak ledwie w zeszłym roku zaczął się golić.

Słyszając „proszę”, wśliznęła się do środka, tłumiąc niechęć na widok promiennego uśmiechu Sydney. Wyglądała jak zwykle kwitnąco. Ona nie cierpiała na bezsenność. Od kiedy Tatus był za kratkami, Potworze wiodło się całkiem nieźle. Naturalnie ruda, wyglądała super w niebieskim kombinezonie, w najmodniejszym, akwarelowym odcieniu. Elegancko, ale skromnie. Sydney, wzorcowa Dziewczyna z Okładki.

Naradzała się właśnie ze swoim wspólnikiem, Jacksonem Bossem, z którym związała się po rozwodzie. Stał u boku Sydney, jak zawsze troskliwy, w garniturze od Hugo Bossa i młodzieżowych szpanerskich okularach z żółtymi szklami. Jasne włosy przylizane do tyłu. Błysnął w uśmiechu zębami, które musiały być sztucznie wybielane.

Może jest gejem, pomyślała Rocky, z odrobiną złośliwej satysfakcji. Wyobrażała ich sobie w łóżku. Chcesz być na górze, kochanie? Mam ścisnąć twoje piersi? Prawą czy lewą, skarbie? Na pewno zawsze pytał o pozwolenie, tak samo, jak w biurze.

A może w ogóle ze sobą nie sypiają? Czekają na ten wielki dzień. Rocky uśmiechnęła się, rozbawiona tą myślą. Zupełnie jak Królowna Śnieżka i jej Książę. Zachowują stuprocentową czystość, jak w bajce.

Oboje zupełnie ignorowali Rocky, wpatrzeni w plik światłokopii porozkładanych na biurku. Typowe. I denerwujące.

Rocky rzuciła przyniesione papiery, przykrywając odbitki.

- W dziale prawnym chcą to zaraz mieć z powrotem - powiedziała.

Sydney nawet nie podniosła głowy. Uporządkowała strony i pochyliła się nad nimi, mówiąc tylko:

- Dzięki.

I co najgorsze, zabrzmiało to szczerze.

Rocky skrzyżowała ręce na piersi, wykrzywiła usta i przybrała postawę, która mówiła, że właśnie traci czas na błahostki. Oczywiście Potwora niczego nie zauważyła. Przekładała kartki, czytając z szybkością światła.

- Prawnicy zawsze się śpieszą. - Sydney podpisywała się u dołu każdej strony, zanim przeszła do następnej.

- Tak. Ostatnio wszyscy się śpieszą. Może powinniśmy zainwestować w badania nad leczeniem wrzodów żołądka.

Rocky była zła na siebie, że zachciało jej się pogawędek z macochą. Przecież nie musiała się do niej przymilać. Tym bardziej wściekała się za swój kiepski dowcip. Zupełnie, jakby na studiach nie nauczyli jej uważać na to, co mówi. Zerknęła na Jacka, dwumetrowy cud natury, taki śliczny, że byłby ozdobą każdego gejowskiego pisma.

Uśmiechnął się szeroko, chwytając jej spojrzenie.

Rocky odwróciła wzrok. Ta praca jest do bani. Proszę: ona, studentka drugiego roku elitarniej Szkoły Prawniczej Berkley, spędza lato, usługując Królowej Sydney i jej narzeczonemu.

Dzwonek telefonu zabrzmiał zaskakująco w cichym biurze. Rocky i Jack spojrzeli na Sydney, czekając, aż podniesie słuchawkę.

Ale Potwora nie ruszyła się. Siedziała wpatrzone w aparat. Milczenie przedłużało się w nieskończoność. Na widok skamieniałej twarzy Sydney Jack zmarszczył czoło.

Wygląda na przerażoną, pomyślała Rocky. To po prostu niesamowite...

Działając odruchowo, Rocky złapała słuchawkę. Ponieważ Potwora nie była tak naprawdę jej szefową, powiedziała do słuchawki:

- Psycho Pizza u Sydney. Dziś polecamy przepyszna kombinację anchois i kwiatów malwy. Dwie w cenie jednej.

Uśmiechnęła się na dźwięk głosu w słuchawce, mimo karcącego spojrzenia błękitnych oczu Jacksona.

- Sydney Reck? Ależ oczywiście. Siedzi tuż koło mnie. - Patrzyła wprost na macochę, chcąc uniknąć wzroku święcie oburzonego Jacka. Wyciągając rękę ze słuchawką, powiedziała: - To do pani, pani Reck.

Macocha otrząsnęła się z osłupienia i wzięła słuchawkę. Rocky uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Ostatnio nikt już nie zwracał się do Sydney „pani Reck”. Wróciła do nazwiska Shanks w dniu, w którym wystąpiła o rozwód.

Sydney zdjęła z ucha klips i powiedziała:

- Tu Sydney.

Rocky nie słyszała słów padających ze słuchawki, ale widziała, jaki wywołały efekt. Sydney wyprostowała się w fotelu, jakby nagle poraził ją prąd.

- Oczywiście - odpowiedziała, otwierając dolną szufladę biurka. Wyciągnęła swoją torebkę bez paska w stylu Kate Spade. Ze słuchawką przyciśniętą brodą do ramienia, pogrzebała w jej zabałaganionym wnętrzu i wyjęła kluczyki do samochodu. Rocky patrzyła, jak wysliznęły jej się z dłoni, spadając z brzękiem na dywan. Kiedy Sydney podnosiła kluczyki z podłogi, trzęsły jej się ręce.

- Rozumiem. Będę za piętnaście minut. Odłożyła słuchawkę wstała z fotela.

- To Alec - powiedziała, nie patrząc na żadne z nich. - Miał wypadek. Jest w szpitalu Hoag.

W ciągu sekundy była za drzwiami. Jack, zaskoczony, został przy jej biurku.

Facet nawet się nie ruszył. Stał jak skamieniały, gapiąc się na drzwi przez swoje żółte okulary. Wyraz jego twarzy... o rety. Rocky nie mogła patrzeć, jak cierpi. Ugryzła się w język, bo złośliwa uwaga sama cisnęła jej się na usta: Otwórz oczy, stary. Ona nie ciebie chce.

- Ojej, to było dziwne - rzuciła niewinnym tonem. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

Jack odwrócił się. Widocznie zdał sobie sprawę, że musi wyglądać jak idiota, stojąc tak, kiedy jego narzeczona pobiegła do innego mężczyzny. Zaczął grzebać w papierach na biurku, udając, że jest zajęty.

- Ja to zaniosę z powrotem do prawników - powiedział zdławionym głosem. - Może pójdziesz coś zjeść?

- Pewnie - odparła, mijając go z niewinną minką.

Ale wychodząc na korytarz, niby niechcący otarła się o niego. Odskokzył, jakby go oparzyła. O tak. Gej. To oczywiste.

- Na razie. - Odchodząc, pokiwała palcami.

Tato kazał jej być przy Sydney. Chciał wszystko naprawić. Żałował tego, co zaszło między nimi - że nie zajmował się Sydney, aż w końcu uwierzyła w te wszystkie straszne rzeczy o nim... że był mordercą i oszustem.

Ale Rocky знаła prawdę o tej kobiecie. Ta prawda właśnie uderzyła Jacka Bossego między oczy.

Sydney nigdy nie okazywała emocji, chyba że w grę wchodziły jej ukochane dzieciaki z muzeum. I Alec. Alec Porter, który złamał jej serce.

- Rozumiem twój ból - powiedziała do Jacka, zanim schował się w pokoju.

Nucąc pod nosem, Rocky Reck ruszyła korytarzem. Pomyślała, że to prawda, co mówią ludzie. Nieszczęścia rzeczywiście chodzą parami.

Rozdział 2

Sydney Shanks nauczyła się dawno temu, że zawsze trzeba mieć się na baczności. Lekcja życiowa numer jeden: Kiedy już myślisz, że wszystko idzie po twojej myśli, że wszystkie części układanki wskoczyły na swoje miejsce - małżeństwo, stabilizacja, wymarzona rodzina - Alec Porter wpada jak bomba w twoje życie. Łubudu. Klocki się rozsypują. Układanka traci sens. A ona pędzi na łeb, na szyję do szpitala z nadzieją, że z Aleca zostało tyle, by mu powiedzieć, co o nim sądzi.

Głos w słuchawce zapytał o Sydney Reck i już samo to dało jej do myślenia. Był tylko jeden człowiek, który nie pozwalał jej zapomnieć o przeszłości. Jeden mężczyzna, który sprawiał, że jej serce zaczynało bić szybciej... który zjawiał się zawsze wtedy, gdy szło o sprawy życia i śmierci.

Powiedziała pielęgniarce, że dojedzie do szpitala w piętnaście minut. Dojechała w dziesięć.

Jego twarz na tle poduszki była przeraźliwie blada. Schudł, co jakimś cudem dodawało wyrazistości jego i tak ostrym rysom. Był tak przystojny, że mógłby być aktorem... może zresztą był. Alec zawsze mętnie mówił o przeszłości.

Domyśliła się, że ostatnio zbyt ciężko pracował. Zabawne, że wcześniej nie zauważyła tego wyrazu znużenia. Była zajęta muzeum... i Jackiem. Robiąc wszystko, by jak najmniej myśleć o Alecu. Nie wolno jej było stracić z oczu klocków układanki - utrzymania muzeum ze skąpego budżetu, planów na przyszłość z mężczyzną, który ją kochał i chciał założyć z nią rodzinę. Wolała nie spoglądać zbyt głęboko w oczy Aleca, by w nich nie zatonać, zapominając o lekcji numer jeden.

Teraz, kiedy na niego patrzyła, odrobinę ją przerażał. Zupełnie nie wyglądał jak Alec. Wydawał się taki kruchy. Szwy na czole, zapadnięte policzki. Będzie miał nową bliznę.

- Och, Alec - wyszeptała.

Jak żaden inny mężczyzna, Alec Porter potrafił sprawić, że czuła się jak nastolatka. Burza hormonów. Był draniem, który zwodził młode dziewczęta, wierzące w bajki o rycerzu na białym koniu. Ale Sydney wiedziała, że bestii nie można przemienić w człowieka. Już kiedyś przez to przechodziła. Z Russellem.

Co oczywiście nie przeszkadzało jej umierać z niepokoju, kiedy siedziała przy łóżku z kubkiem kawy w dłoniach, zdenerwowana i roztrzęsiona od kofeiny. Kilka razy myślała, że Alec się budzi. Otwierał oczy i znów zapadał w sen. Pięć godzin po operacji jęknął, odwracając głowę w jej stronę.

- Hej. - Schyliła się nad nim i wyciągnęła rękę, by go dotknąć, uważając na kroplówkę wkłutą w jego nadgarstek. - Jak się czujesz?

Zamknął oczy. Był niesamowicie blady, jak marmurowy posąg Dawida.

- Jakby ktoś przepuścił mnie przez maszynkę do mięsa, a potem próbował ze mnie skleić hamburgera. - Pokazał zęby w swoim leniwym, seksownym uśmiechu, tylko odrobinę zniekształconym przez opuchliznę na wardze. Z zamglonym błyskiem w oku spytał:

- Zrobiliśmy to, Syd?

- Co najmniej pięć razy.

- Cholera - opuścił bezwładnie głowę i spojrzał w sufit. - Wiedziałem, że to sen, bo ja naliczyłem siedem.

- Może straciłam rachubę.

- Teraz wiem, że kłamiesz. Tego się nie da zapomnieć. - Uniósł rękę i zaczął masować skronie palcem wskazującym i kciukiem. - Jakie są szkody?

- Kilka złamanych żeber. Złamany obojczyk. Roger mówi, że dokonałeś niebywałej sztuki, kontrolując upadek. A, i wyjęli ci z ramienia kawałek deski rozdzielczej. Podobno to był drobny zabieg. Będziesz miał zgrabną bliznę.

- Miałem na myśli samolot. Co z moim marchetti?

Przez ostatnie sześć miesięcy Alec, pilot oblatywacz i geniusz komputerowy, ulepszał nowe oprogramowanie dla lotnictwa cywilnego. Coś, co miało zrewolucjonizować podróże powietrzne i sprawić, że Alec wreszcie „wyjdzie na prostą”. To jego własne słowa. Wydał wszystkie pieniądze na ten samolot. A teraz marchetti zmienił się w kupę złomu.

Roger, który pomagał mu w testach, wyciągnął nieprzytomnego Aleca z dymiącego wraku. Zdołał go odwlec w bezpieczne miejsce, zanim wybuchł bak, zamieniając samolot w kulę ognia, jak na filmie ze Schwarzeneggerem. Roger wyjaśnił Sydney sytuację, kiedy spotkał ją przy wejściu. Alec stracił wszystko.

- Ty wyszedłeś z tego cało, Alec. To ci musi wystarczyć. Alec zaklął pod nosem.

- Prawdziwy farciarz ze mnie.

Alec nigdy nie miał w życiu za wiele szczęścia.

- Spójrz na to z jaśniejszej strony - powiedziała, chcąc rozproszyć jego zły humor. - Przynajmniej nie skończyłeś jak Gloria Estefan.

- Daj mi spokój, Syd. Pozwól mi porozpaczać.

- Ma tyle tytanu w kręgosłupie, że pewnie włącza wykrywacze metalu na lotniskach, a przecież to był tylko wypadek samochodowy.

- Trafiony, zatopiony. Wykończysz mnie, Syd. Naprawdę, śmiałym się, cholera, do rozpuku, gdyby mnie tak nie bolało.

- Ciekawe miejsce na przerywnik w zdaniu. Zawsze lubiłeś takie wstawki, o ile pamiętam... Jednak w końcu się uśmiechnąłeś - powiedziała. - Hej, wszystko będzie dobrze.

- O, i to pod każdym względem. Kiedy już moi wierzyciele mnie oskubią, poproszę może Rogera o pracę na nocnej zmianie, przy sprzątaniu hangarów. On jest naprawdę kochany. Cholera. Ten milion dolarów, który dostałem na samolot i wyposażenie, uzbieram już, powiedzmy... nigdy?

Ale uśmiechał się, kiedy to mówił. Cały Alec. Potrafił zartować nawet z największych kłopotów.

- Co? - spytała, zaciekawiona jego zmienionym wyrazem twarzy.

- Martwiłaś się przeze mnie - powiedział kokieteryjnie. - Pędziłaś tu jak szalona. - Jego palec krążył intrygująco po jej nadgarstku, nie czuła czegoś takiego, od kiedy zostawiła Aleca rok temu. - I chyba nie spałaś za wiele. O tak. Dopadłem cię wreszcie.

- I wystarczyła drobna operacja.

- Gdybym tylko wiedział wcześniej...

Nie zauważyła nawet, jak mocno ścisną jego rękę, starannie podpartą poduszkami, by zabezpieczyć uszkodzone ramię i obojczyk. Może sprawiła to ulga, że widzi go żywego... a może to jego czar działał jak zwykle z pełną mocą. Spojrzała nieufnie i odsunęła się trochę.

Alec westchnął, zrezygnowany.

- Czy Drętwus wie, że tu jesteś?

- Jeśli mówisz o Jacku, tak, oczywiście.

- Racja. Twoja przyszła kula u nogi wie wszystko. - Uśmiechnął się znowu. - Założę się, że się piekielnie martwi.

- O co? Że wskoczę do szpitalnego łóżka, odsunę basen i zabawię się z tobą? Nie pochlebiaj sobie, Alec. Wyglądasz jak kupka nieszczęścia.

- Mogłabyś choć skłamać z litości. - A kiedy rzuciła mu wściekle spojrzenie, dodał - Hej! Czyżbyś straciła poczucie humoru razem z dobrym gustem, kiedy się zadałaś z Durną Gębą?

- I pomyśleć, że kiedyś wydawałeś mi się zabawny. On ma na imię Jack. Pamiętasz? Wychodzę za niego za męża.

- Jeszcze ci nie przeszło? - Nastrój w pokoju poweselał od jego uśmiechu. - Myślę, że to może być duży błąd, wiesz? - Tym razem to Alec sięgnął po jej rękę. Zacisnął palce wokół jej dłoni. - Może masz kilka możliwości, których nie wzięłaś pod uwagę.

Twarz Aleca potrafiła wyrazić wiele, jeśli tylko na to pozwolił. W tej chwili, mimo lekkiego tonu jego głosu, mówiła wyraźnie: Nie zostawiaj mnie, Syd. Nie teraz. Nie kiedy jestem w dołku.

Ale to był Alec. Przez chwilę myślisz, że jesteś bezpieczna. I łubudu. Tracisz czujność.

Wyrwała rękę i skoczyła na równe nogi.

- Nie, nie, nie, nie. - Cofała się powoli, jakby chciała uniknąć pułapki, którą zastawił. Kiedy oparła się plecami o szafkę, uniosła ręce w obronnym geście.

- Nie pozwolę ci tego spieprzyć. Pamiętasz? Raz już wyszłam za megalomana, który czeka teraz na proces o morderstwo. To była twarda lekcja, Alec, i pracowałam ciężko, żeby móc żyć normalnie. Zasłużyłam na normalne życie.

- Ja proszę tylko o trochę czasu. To znaczy, jeśli naprawdę kochasz tego faceta, jeśli to ten właściwy, to po co się śpieszyć?

Pokręciła głową.

- Już to przerabialiśmy. I to nie ja powiedziałam „nie”.

- Syd, kiedy byłem tam, w górze, na chwilę przedtem, zanim wbiłem się w krajobraz, miałem tę... wizję. Całe moje pieprzone życie przemknęło mi przed oczami. Uczepiłem się myśli o Buenos Aires. Jak dobrze mi było z tobą.

Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Że też ciągle jej to robi.

- Ja to wspominam wręcz przeciwnie - powiedziała. Pamiętała, że wypijała zbyt dużo tequili. Alec, który nigdy nie pił, był absolutnie

trzeźwy. Mgliście przypominała sobie, że wyznała mu wieczną miłość i rzuciła się w jego ramiona, by przeżyć noc niesamowitego seksu. Kiedy się obudziła z okropnym kacem, zobaczyła Aleca, ubranego, gotowego do wyjścia, dziwnie spokojnego. Uczepiła się kruchej nadziei, że to prawdziwa miłość, i narobiła sobie wstydu, proponując mu małżeństwo. Pięć minut później rezerwowała już przez telefon pojedyncze miejsce w samolocie.

- Daj temu szansę - nalegał. - Daj szansę mnie.

- Zgoda - powiedziała, siadając ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Weź głęboki oddech, dziewczyno. Opanuj się.

- Spróbujmy poudawać. Lubisz się w to bawić, prawda? Udawajmy, że mnie kochasz. Szczerze. Do szaleństwa. Spojrzałeś w oczy śmierci, zobaczyłeś światło i alleluja, chcesz tylko mnie. Więc może ustalimy datę? Bo ja się piszę tylko na to, Alec. Pełny pakiet. Małżeństwo, dzieci. Mój zegar biologiczny mówi: teraz albo nigdy. I jestem prawdziwą szczęściarą, znalazłam mężczyznę moich marzeń. Co ty na to, hmm? Może w grudniu? Dużo zieleni, druhnny w czerwonych sukienkach... i kiedy tak sobie gadam, nie bledniesz ze strachu tylko dlatego, że po operacji i tak brakuje ci z pół litra krwi.

- Chcesz dzwonów weselnych, Syd? Dlatego że wcześniej tak świetnie trafiłaś?

Uśmiechnęła się. Wiedziała przecież, że tak się to skończy.

- I wreszcie mam swoją odpowiedź.

- Jezu, mam nadzieję, że nie. - Westchnął, opuszczając bezwładnie głowę na poduszkę. - Dlaczego z nami zawsze tak jest? Zawsze na noże.

- Bo mamy za sobą historię, Alec. Taką, której się nie da zapomnieć. Nic nie mogło wymazać tych kilku ostatnich lat, to było jak jazda kolejką górską. Alec wkroczył w jej życie, tajemniczy i nieodgadniony. I pod wieloma względami wciąż pozostał tajemnicą. Czasami wydawał jej się mieszaniną supermana i łajdaka. Uratował ją przed potworem, którego poślubiła, udowadniając jednocześnie, że i on świetnie potrafi grać rolę czarnego charakteru.

Tylko jedną kwestię stawiał zawsze zadziwiająco jasno. Że nie szuka związku na dłuższą metę.

- Pewnie nie umiem tak dobrze udawać, jak ty - powiedziała.

- Ach tak. Udawać. - Wykrzywił usta, poprawiając stertę poduszek za plecami. - Poprosiłem cię, żebyś zostawiła dla mnie

Króla Durniów, bo nie mam nic lepszego do roboty, niż robić z siebie głupka. Dobra. Zapomnij o tym. Do niczego się nie nadaję i nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Rozumiem. Znam angielski. - Potarł dłońmi twarz i wciągnął ze świstem powietrze. - Szybka zmiana tematu. Prezenty. Mam coś dla ciebie. Kazałem Rogerowi włożyć tam, do górnej szufladki.

Miała ochotę zaprzeczyć temu, co o sobie powiedział - „do niczego się nie nadaję” - naprawdę chciała... ale pamiętając, jak świetnie potrafił nią manipulować, wstała bez słowa i zajrzała do szuflady.

Osiemnaście miesięcy wcześniej wybrała się do Ameryki Południowej w poszukiwaniu eksponatów do muzeum. Chciała w ten sposób jednym skokiem nadrobić stracony czas, kiedy to przez wiele lat zaniedbywała swoją karierę, zrezygnowała przez Russella. Poprosiła Aleca, by z nią pojechał jako jej ochroniarz, uważając, że jest odporna na jego urok. Kiedy proponowała mu pracę, powiedziała wręcz: „Przebywanie z kobietą, której się zupełnie nie podobasz, może być dla ciebie dobre. To kształtuje charakter”.

Tym sposobem Alec zaczął szperać razem z nią po całej Ameryce Południowej, jak jakiś piękny Indiana Jones. Zawsze pełen życia. Jak klejnot błyszczący w dłoniach... i nagle pobudka. Czas się skończył. Koniec gry.

„Zupełnie mi się nie podobasz, Alec”. Wierzyła w to nawet, kiedy to mówiła.

W szufladzie znalazła prezent, owinięty w czerwony jedwab. Rozwinęła materiał i mały kawałek nefrytu, nie większy niż srebrna dolarówka, wśliznął się w jej dłoń. Przyglądała mu się, trochę zaskoczona.

- Alec - wyszeptała. - To jest piękne.

Uniosła kamień do światła wprawnym ruchem znawcy klejnotów. Z całą pewnością dzieło Majów, oceniła. Może nawet z okresu klasycznego.

Świetlista zieleń nefrytu zawsze była kolorem cenionym przez Majów - kolorem liści kukurydzy, rośliny dającej życie. Na tym kawałku starannie wyrzeźbiono postacie bliźniaczych bohaterów z Popul Vuh, świętej księgi Majów. Rzeźba przedstawiała ich wstąpienie do Xibalby, gdzie przemienili się w Słońce i Księżyc, a

Czterystu Młodzieńców, zastęp pokonanych bogów, lśniło pomiędzy nimi jako gwiazdy.

Oczarowana, obracała kamień w dłoni. Zawsze tak było, kiedy odkrywała coś nowego. Pojawiały się pytania. Czy to część jakiejś większej całości? Może naszyjnika? A z pytaniami przychodziło pragnienie, by szukać dalej, dowiedzieć się więcej.

Stała przy łóżku, trzymając klejnot w przyćmionym świetle sufitowej lampy.

- To niesamowite, Alec. Myślę, że to twoje najlepsze znalezisko.

- Mmm - mruknął wymijająco.

- Skąd to masz?

- Daj spokój, Syd. Znasz zasady.

To była ich gra. On znosił jej takie kamyki, a ona miała ustalić ich pochodzenie. Dowiedzieć się, w jaki sposób Alec dostał w swoje ręce każdy ze skarbów... i czy miał do nich prawo. Stosowanie się do przepisów nigdy nie było jego mocną stroną.

- To prezent, nie bomba - powiedział, widząc wyraz jej twarzy. Sydney owinęła niewielki kamyk w materiał i schowała do torebki.

- Wróć do ciebie, jak zawsze.

Złapał ją za ramię, nie pozwalając przejść.

- O co chodzi? Co tu się właściwie stało?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jej uczucia były zbyt skomplikowane. Byłoby tak łatwo uwierzyć, że Alec naprawdę mógł się zmienić - ale sam nie pozwalał jej zapomnieć, że zbyt łatwo może wejść w jej życie i z niego zniknąć.

Usłyszała, że za jej plecami otworzyły się drzwi. Odwróciła się, wdzięczna, że ktoś przerwał tę scenę. Ale widok mężczyzny w drzwiach sprawił, że poczuła się jak na planie filmowym. Wiedziała, że jest zmęczona. Nie spała całą noc. Ale to nie tłumaczyło tego, co widziała. Mruganie nie pomagało. Nie znikał.

Włosy miał trochę za długie, do ramion. Czarne, odrobinę przyprószone siwizną na skroniach. I te same wyraziste, brązowe oczy, tę samą, przystojną twarz. Oceniała go na jakieś czterdzieści lat.

Wyglądał jak starsza wersja mężczyzny leżącego w szpitalnym łóżku. Był może trochę szczuplejszy. Nie miał szerokich barów kogoś, kto spędził piętnaście lat w wojsku. I jego twarz miała łagodniejszy wyraz. Widocznie nie musiał całe życie oglądać się przez ramię.

- Przepraszam, ja... może przyjdę później. - Wskazał kciukiem za siebie, pełen wahania. - Nie sprawdziłem w dyżurce. - Roześmiał się, i zabrzmiało to dokładnie jak śmiech Aleca. - Bałem się, że mnie wyrzucą.

Odzyskując pewność siebie, wszedł uśmiechnięty do pokoju. Alec, wręcz przeciwnie, przyglądał mu się nieufnie.

Kiedy nieznajomy ją mijał, Sydney odsunęła się. Stał przy łóżku Aleca i wyciągnął rękę. Alec zignorował gest, jak zwykle lekceważąc dobre maniery.

- Kim pan, do diabła, jest? - zapytał.

- Nazywam się Travis Bentley. - Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, znalazł krzesło. Wyglądał, jakby naprawdę musiał usiąść. Sydney widziała, że trzęsą mu się ręce.

- Nie znasz mnie, ale myślałem, że może to się zmieni. Widzisz, to miało wyglądać inaczej. Ale kiedy się dowiedziałem o wypadku, przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Nie zastanawiałem się. No i... jestem tutaj... zdaje się, że gadam od rzeczy... - Dostrzegając jej spojrzenie, przecesał włosy palcami... setki razy widziała ten gest w wykonaniu Aleca. - Po prostu musiałem przyjść.

To podobieństwo. Jego twarz, śmiech... oczy, które nie miały prawa spoglądać z niczyjej innej twarzy.

Sydney wiedziała, że Alec był adoptowany. Jego życie przypominało powieść Dickensa. Dorastał w rodzinach zastępczych, w końcu lądując w sierocińcu stanowym, przeznaczonym dla tych, których nikt nie chciał. Doszła w końcu do wniosku, że uraz z wczesnego dzieciństwa powodował u Aleca tę nieopanowaną chęć ucieczki za każdym razem, kiedy była mowa o domu i rodzinie. Wiedziała, że ojciec go maltretował. Poczucie jakiegokolwiek więzi rodzinnej przyszło później, dzięki przybranemu rodzeństwu. A teraz nawet oni oddalili się od niego.

Patrzyła osłupiała przed siebie. O mój Boże. Scena rozgrywająca się przed nią była zupełnie nierealna.

- Myślę, że mamy kilka wspólnych cech - powiedział sobowtór Aleca. Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, zupełnie jak Alec. - Wiem, że wyglądam znajomo, bo - roześmiał się znowu - ty mi też kogoś przypominasz. Zupełnie, jakbym patrzył w lustro. - Ściszył głos. - Bentley. Nie mów, że to nazwisko nie budzi wspomnień?

Alec nie odpowiedział. Obserwował go z tym samym kamiennym wyrazem twarzy, nie poddając się ani na chwilę.

- Daisey Bentley? - zapytał Travis. - Alec, myślę, nie, wiem, że się wszystkiego domyśliłeś. Daisey Bentley była twoją matką. Nie powinienem tutaj przybiegać jak idiota, powinienem był zadzwonić. Ale bałem się... bałem się, że będzie za późno.

Mężczyzna odwrócił wzrok. Wyglądał, jakby słowa uwięzły mu w gardle. Kiedy był w stanie się odezwać, powiedział po prostu:

- Alec, jestem twoim bratem.

Rozdział 3

Jeśli czegoś w swoim życiu Alec Porter był pewien, to tego, że nie ma brata.

Był adoptowany, owszem. Ale nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Adoptowano go, kiedy miał już czternaście lat. Był to jedyny szczęśliwy przypadek w jego życiu; wziął go pod skrzydła prawdziwy bohater i przyjął do rodziny. To było wspaniałe. Dobry, stary Conor. Tyle tylko, że przez następne dwadzieścia lat Alec robił wszystko, by Conor tego pożałował. Tak, jakby nie potrafił zaakceptować niczego dobrego w swoim życiu. Musiał spieprzyć i to (Patrz: Perfect Timing, Zebra Books, Sierpień 1998)

Ale pierwsze lata życia, jeszcze przed rodzinami zastępczymi i państwowymi domami dziecka - lata przed Conorem - Alec spędził z rozrywkową parką: Edem i Daisey. Byli to jego rodzeni, pokręceni starzy.

W końcu pozabijali się nawzajem z pomocą narkotyków... ale przedtem wycięli Alecowi niezły numer.

- Do cholery, nie mam żadnego brata - powiedział. Ale patrząc na tego człowieka, widział własną twarz.

- Taaak, wiem. - Facet przysunął sobie krzesło bliżej łóżka. - To rzeczywiście szokująca nowina. - Wyciągnął portfel, jeden z tych młodzieżowych, z nylonu i plastiku. Świetnie się komponował ze sportową marynarką, której Alec nie założyłby nawet do trumny.

Facet podał mu wizytówkę ze wszystkimi niezbędnymi informacjami. Travis Bentley. Dziennikarz.

Alec gapił się na wizytówkę, słuchając, jak mężczyzna opowiada o sobie. Że miał babkę, istną dewotkę, która go wychowywała po tym, jak Daisey uciekła z domu, znudzona jej kazaniem. Babcia nigdy więcej nie usłyszała o swojej zaginionej córce.

Przez szacunek dla babki Travis poczekał, aż kopnęła w kalendarz w zeszłym roku, po czym wynajął prywatnego detektywa, by ten wytropił jego prawdziwych rodziców, niejakich Eda i Daisey Porterów. Niestety, spóźnił się trochę; Ed i Daisey dawno temu odnaleźli nirwanę na końcu igły. Edowi poszło łatwo - złoty strzał. Daisey wybrała trochę trudniejszą drogę. AIDS.

Facet wstał.

- Wiem, że trudno tego słuchać. Naprawdę nie chciałem się przy tobie rozklejać. Ostatnio niewiele spałem, to pewnie przez to. - Jego

uśmiech... to było niesamowite. Jak oglądanie na filmie samego siebie w brzydkich ciuchach. - Może zadzwoń do mnie, kiedy będziesz się czuł na siłach. - A stojąc przy drzwiach, dodał jeszcze, jakby koniecznie musiał mieć ostatnie słowo: - To ważne. Myślę, że dla nas obu.

Alec usłyszał, że drzwi się zamknęły. Zmarszczył brwi, wpatrując się w wizytówkę.

Zaledwie chwilę wcześniej wyznawał Sydney dozgonną miłość, czepiając się obiema rękami swojej drugiej szansy. Teraz Sydney patrzyła na niego, jakby mu współczuła.

Zmiał wizytówkę i wrzucił do kosza na śmieci. Posłużył się zdrową ręką, ale i tak ból przeszył jego ciało; aż się spocił. Wizytówka odbiła się od krawędzi kosza i wpadła do środka. Trzy punkty, tłum szaleje.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytała.

- Najlepszy, jaki miałem od rana.

- Czy to cię nie męczy? Ta wieczna ucieczka?

- Ty mi powiedz. Ostatnio, o ile pamiętam, to ty zeszłaś ze sceny.

- Poczuł, że wzbiera w nim gniew. Wiedział, na co się zanosi. - Wynoś się stąd, Syd. Sama przecież mówiłaś, że nie lubisz udawać.

Nie miała ochoty się kłócić. Podeszła do kosza i wyjęła niewielką kulkę papieru. Podchodząc z powrotem do łóżka, schowała wizytówkę do kieszeni.

- Na wszelki wypadek - powiedziała.

Pocałowała go w czoło. Sporo czasu minęło, od kiedy ostatnio dotykała go w ten sposób. Prawie rok. To wtedy odeszła i zaczęła wspaniałe, nowe życie. Bez niego. Znalazła je w ramionach innego mężczyzny.

Ten pocałunek... to było bardzo przyjemne, a jednak Alec poczuł się fatalnie.

- Przyjdę jeszcze, przyniosę ci trochę rzeczy - powiedziała od drzwi. Miała klucz do jego mieszkania. Wręczył go jej, jakby to był klucz do jego serca, kiedy tylko zjawił się w mieście. Wróc do mnie... Przez kilka nocy nawet nie spał, wierząc, że usłyszy w zamku dźwięk przekręcanego klucza. Ale nigdy go nie użyła.

Musiał się pogodzić z faktem, że postanowiła mu matkować. Dawno temu zwierzył się jej z kilku smutnych sekretów i teraz starała

się postępować właściwie. Cała Sydney. Ta zakuta pała Jack Bosse nie miał powodów do niepokoju. Już nie.

Zrobił miazgę ze swojego marchetti. Jakiś dupek właśnie oznajmił, że jest jego bratem... No cóż, facet raczej nie chciał mu zrobić na złość. Dla niego pewnie wszystko było proste. Był porządnym obywatelem, miał pracę, może nawet żonkę i dzieci. A Alec był totalnym nieudacznikiem, człowiekiem, który nie potrafił utrzymać przy sobie ukochanej kobiety - i to nie tylko z tych powodów, które były najważniejsze dla Sydney. Jak trwały związek, rodzina.

Alec miał swoje tajemnice. Wielkie i straszne. I modlił się, żeby Sydney nigdy ich nie odkryła.

Nacisnął guzik przywołujący pielęgniarkę. Wieki minęły, zanim raczyła odpowiedzieć.

- Dajcie mi jakieś prochy - warknął do interkomu. Pielęgniarka w końcu zjawiała się osobiście. Wyjaśniła mu, że zgodnie z zapisem w jego karcie, nie przyszedł jeszcze pora na kolejny zastrzyk.

- Zdycham z bólu - powiedział. - Zadzwoń po lekarza i poproś o zgodę. Przynies mi coś, do diabła.

Godzinę później poczuł, że jego pościel przesiąkła potem. Nigdy w życiu nie chciało mu się tak rzygać. Kiedy zdołał wreszcie z trudem połknąć pigułkę, którą przyniosła pielęgniarka, opadł z powrotem na łóżko i zasnął.

Ale zanim to się stało, pomyślał jeszcze o drugiej szansie. Ktoś mu ją ukradł... przyszedł do jego szpitalnego pokoju i powiedział, że dostał ją zamiast niego. Przykro mi, stary. Takie jest życie.

Bo Alecowi Porterowi nikt nigdy nie dał drugiej szansy.

Postanowiła, że nie będzie się nad nim użalać. Nie wolno jej być taką naiwniaczką.

Nie bądź idiotką, powiedziała sobie, kładąc klucz Aleca w zamek. Na miłość boską, przecież ten facet był jak króliczek z reklamy baterii. Ciągłe na chodzie. Gdyby zajrzeć do encyklopedii, pod hasłem „ostatni ocalały” na pewno znalazłoby się jego uśmiechnięte zdjęcie.

Rok temu Alec wbił sobie do tej swojej głupiej głowy, że musi ją w sobie rozkochać, i nie popuścił, dopóki nie dopiął swego. Urabiał ją jak воск, taka była prawda. A jeśli mało jej było dowodów, wystarczyło przypomnieć sobie ostatnich pięć miesięcy. Kiedy

ocknęła się wreszcie z tego transu i próbowała ułożyć sobie życie bez Aleca - kto zjawia się nagle w progu, by zacząć wszystko od nowa?

O nie. Nie będzie cierpieć przez Aleca Portera.

Spacerując po jego niewiarygodnie czystym mieszkaniu, starała się nie zauważać przygnębiających, pustawych półek, pozbawionych zwykłego, domowego bałaganu. Starła się nie rozmyślać nad faktem, że nigdy nie mieszkał na tyle długo w jednym miejscu, by zagrabić mieszkanie. Oprócz kilku zabawek z McDonalda, ustawionych na parapecie kuchennego okna nad zlewem, Alec miał do towarzystwa tylko książki - mnóstwo książek - głównie literatura faktu... i, oczywiście, ogromny zbiór komputerowych programów i gadżetów.

Rzuciła torebkę na kanapę i odgarnęła grzywkę z oczu, usiłując ustalić, od czego powinna zacząć. Sypialnia. Może znajdzie mu coś przyzwoitego do ubrania. W pokoju było tak zimno, że mógł służyć jako chłodnia na mięso.

Upłynęło dziesięć minut, a ona wciąż szperała w jego szafie. Powtarzała sobie, że powinna się skupić wyłącznie na swoim zadaniu. Znaleźć szlafrok, zawieźć go Alecowi...

Zatrzymała się.

- Szlafrok?

Wybuchnęła głośnym, serdecznym śmiechem. Szlafrok. Spróbowała sobie wyobrazić jakiś równoległy świat, w którym Alec Porter nosiłby szlafrok.

Usiłując się opanować, przejrzała imponującą kolekcję podkoszulków. Na wielu z nich widniały interesujące napisy, takie jak: „Zachowaj wysokość” czy „Piloci kochają swoje drażki”. Lotnicze żarciki. Wyciągnęła parę spodni dresowych i szukała dalej. Po chwili na łóżku obok spodni wylądowały skarpetki i bielizna. W trzeciej szufladzie od góry Sydney znalazła zdjęcia.

Osunęła się na podłogę obok łóżka i zaczęła oglądać jego ukryty skarb. Schował je pod stosikiem podkoszulków, jak coś wstydliwego. Były dosyć wyświechtane, widocznie często je przeglądał.

Pogładziła palcem krawędź jednej z fotografii.

- Och, Alec.

Na kilku pierwszych zdjęciach były krajobrazy. Plaża. Rynek. Góry, porośnięte zieloną dżunglą. Wszystkie idealne, jak pocztówki. Odległe miejsca, z którymi zapewne wiązały się wspomnienia.

Sydney zmarszczyła brwi. Nigdy nie sądziła, że Alec jest sentymentalny.

Zatrzymała się, natrafiwszy na swoje zdjęcie. Była w krótkich spodenkach, włosy miała zaplecione w warkocze, przez co wyglądała nedorzecznie młodo. Pamiętała, jak pozowała Alecowi do tego zdjęcia, przed Świątynią Słońca w Palenque - były to ruiny na Jukatanie, pozostałe po Majach, sławne z wyrytej na kamiennym sarkofagu postaci „kosmonauty”. To był cudowny dzień, jeden z wielu, które spędzili razem w czasie poszukiwań prekolumbijskich skarbów.

Tamtej nocy dotarli do pięknego ośrodka wypoczynkowego, ukrytego głęboko w dżungli. Osobne chatki, wielki basen - wymarzone miejsce na miesiąc miodowy. Wtedy, poza sezonem, w czasie skwarne tropikalnego lata, ośrodek należał wyłącznie do nich.

Czekała przy szklanych rozsuwanych drzwiach swojego pokoju, przyglądając się Alecowi, który palił na werandzie, po drugiej stronie uliczki. Zdjął koszulę i buty, był w samych dżinsach. Wyglądał jak Adonis w świetle księżyca. Sydney słuchała symfonii owadów i żab, tak bardzo pragnąc wyjść na dwór i stanąć obok niego... a jednocześnie wiedząc, że nie powinna tego robić. Tydzień później, w Buenos Aires, już się nie zawahała.

Odpędzając tamto wspomnienie, Sydney wzięła następną fotografię. Widać było na niej chłopca, może dziewięcioletniego, uśmiechającego się promiennie, z dwójką młodszych dzieci na kolanach. Wszystkie buzie były usmarowane czekoladą i lodami, dzieciaki wymachiwały łyżeczkami. Na odwrocie zdjęcia kobieca ręka napisała: Pierwsze urodziny bliźniaków.

Dzieci Geeny, pomyślała Sydney. Dwóch siostrzeńców i siostrzenica Aleca.

Była ciekawa, czy te zdjęcia mają symbolizować to wszystko, co Alec utracił. Może ukrył je w szufladzie, bo wiedział, że tylko tyle pozostało mu po tych, których kochał.

Ostatnia fotografia przedstawiała Aleca o wiele młodszego niż obecnie, obejmującego mężczyznę i dziewczynę. Cała trójka była ubrana w lotnicze kombinezony. Geena i Conor. Jego przybrana rodzina.

Sydney wiedziała, że Conor był dla Aleca prawdziwym bohaterem. Alec pragnął go naśladować... a w końcu go zdradził. W potworny sposób. Oczywiście Alec, jak to zwykle on, nie wdawał się w szczegóły.

Wspominał tylko, że zasłużył na wszystko, co mówił o nim Conor. Kara okazała się trudna do zniesienia. Wykluczenie z rodziny.

Nie wątpiła, że Alec zasłużył na to wygnanie. Owszem, potrafił wiele wspaniałych rzeczy: był złotą rączką, geniuszem komputerowym, pilotem - oblatywaczem, a nawet tajnym agentem. Ale miał na koncie i ciemne sprawy.

Przejrzała pobieżnie resztę zdjęć, poszczególne obrazy migąły jej przed oczyma. Prawda była taka, że Alec nie zjawił się przed nią jak rycerz w lśniącej zbroi, gotów porwać ją i ocalić od nieszczęśliwej egzystencji u boku męża - mordercy, Russella Recka. Nie. W typowy dla siebie sposób wśliznął się w jej życie podstępem.

Doskonale pamiętała ten dzień. Czowała się kompletnie rozbita. Oplakiwała koniec swoich złudzeń na temat małżeństwa. Odezwał się dzwonek przy drzwiach, więc otworzyła, choć po policzkach ciekł jej rozmazany łzami tusz. Miała nadzieję, że to któryś z kumpli męża. Chciała narobić Russellowi wstydu. Idealna żona, jego trofeum myśliwskie, w stanie rozkładu. Kiedy jednak otworzyła drzwi, zobaczyła Aleca w jednoczęściowym uniformie, z identyfikatorem na piersi i formularzem w trzech kopiach w dłoni. Oczywiście, miał też przygotowaną część artystyczną.

- Pani Reck? Jestem z pani firmy ochroniarskiej. Dzwoniła pani w sprawie usterki w nowym systemie alarmowym.

To był podstęp, by dostać się do domu Russella.

Sydney zmarszczyła brwi, ostrożnie odkładając zdjęcia z powrotem do szuflady. To nie były szczęśliwe czasy. Dla żadnego z nich. I dlatego powinna akceptować Aleca takim, jakim był, ze wszystkimi jego wadami. Sama popełniła zbyt wiele błędów, by móc go osądzać.

Sypialnia Aleca miała balkon. Sydney otworzyła rozsuwane szklane drzwi, ogarniając wzrokiem widok. Było wczesne przedpołudnie; na długim pasie piasku opalali się urlopowicze, surferzy w kombinezonach podskakiwali na fałach. Uśmiechnęła się. Tylko Alec potrafił wynaleźć takie nieprawdopodobne, piękne miejsce.

Zamknęła oczy, czując na twarzy promienie słońca. O tak, wierzyła w to, że każdemu należy się druga szansa. Nieważne, co zrobił Alec; przecież w końcu pomógł jej wsadzić Russella za kratki. Zasłużył sobie na jej lojalność.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu stojącego na nocnym stoliku. Sydney odwróciła się i spojrzała do wnętrza pokoju przez szklane drzwi. Błękitne niebo nad jej głową pociemniało na moment. Wystraszyła się. Wstrzymała oddech, przypominając sobie swoją reakcję na dzwonek telefonu w biurze dziś rano. Wtedy też się przestraszyła.

Dwa dni wcześniej zadzwonił jej adwokat. Chodziło o Russella. „Sydney? Obawiam się, że mam złe wieści...”

Od tamtej pory czekała na jego telefon, za każdym razem wyskakując ze skóry na dźwięk dzwonka.

Weszła do środka, powtarzając sobie, że przecież nikt oprócz Aleca nie wie, że ona tu jest. A jednak serce biło jej za szybko, kiedy zamykała za sobą szklane drzwi. Po minucie włączyła się automatyczna sekretarka. Sydney usłyszała głos Aleca:

- Odbierz, Syd. Wiem, że tam jesteś. Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą.

- Syd?

Wskoczyła na łóżko i podniosła słuchawkę.

- Tak, Alec. Jestem tu.

- Moje niesamowite zdolności dedukcyjne znów zadziałały. Mówiłem ci już kiedyś, że mam nieprawdopodobnie wysoki iloraz inteligencji?

- Możliwe, że coś wspominałeś.

- Pomyślałem sobie, że zadzwonię i poproszę cię, żebyś zahaczyła o bar Steve'a Charbroilera. Przywieź mi porcję pastrami. Strasznie się spóźniają z zamówieniem.

- Osiem godzin po operacji pozwolili ci zjeść pastrami? A co z galaretką i wodnistym kompocikiem?

- Chyba postanowili odciąć mi dostawy. Niechcący wywaliłem to świństwo na gościa, który próbował mnie karmić. Dwa razy. Myślisz, że po galaretkie zostają plamy?

- Więc mam przyjechać i narazić się na twój zły humor? - zapytała, uśmiechając się na wspomnienie sceny, którą jej urządził rano.

- I przywieź pastrami. Boże, Sydney! Wreszcie masz kogo
niańczyć. - Na drugim końcu linii zapadła cisza. Sydney usłyszała
westchnienie. - Znowu odpływam, mała. Wróc do mnie - powiedział
w taki sposób, że mogło to znaczyć wszystko.

Rozdział 4

Jackson Bosse wiedział, jak osiągnąć w życiu to, czego chce. Był dużo zdolniejszy niż przeciętny człowiek. Nie bał się ciężkiej pracy - potrafił się na niej skoncentrować. Nie spuszczał piłki z oczu. Do tej pory ta technika się sprawdzała.

Zrezygnował ze studiów na Uniwersytecie Stanforda, by zarobić swój pierwszy milion. Udało mu się to, jeszcze zanim osiągnął wiek, kiedy mógł legalnie kupować alkohol. Zaprojektował jedną z pierwszych superprzeglądarek do surfowania po stronach WWW. Dalej poszło już łatwo. W tej chwili miał dość środków i wolnego czasu, by móc zrobić coś dla innych.

Był przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Potrafił ułożyć plan i trzymać się go.

Tyle że ostatnio częściej przesiadywał przy tym przeklętym biurku, patrząc bezmyślnie w przestrzeń. I czekając.

Rzucił długopis i sięgnął po słuchawkę, ale nagle obrócił fotel i zagapił się ponuro w ścianę. Powiedział sobie, że nie zadzwoni do Sydney. Nie będzie jej sprawdzał.

- Nie dam Porterowi tej satysfakcji - oświadczył uroczyście na głos, jakby składał przyrzeczenie.

Musiał się wreszcie pozbyć tych głupich podejrzeń. Zapomnieć o tym, że ostatnio Sydney tak się od niego oddaliła. Kobiety przecież miewają różne humory, nie? Poza tym sprawy się ostatnio skomplikowały; Sydney wiele przeszła, zanim posłała Russella za kratki. Teraz ten morderca stawał na głowie, by doprowadzić do wycofania zarzutów. Już samo to musiało jej nieźle dawać w kość. Na dodatek ni stąd, ni zowąd zjawił się Porter. Wrócił ze swoich pełnych przygód wojaży, utrudniając wszystkim życie. Sydney pewnie odchodziła od zmysłów.

Problem polegał na tym, że wcale nie prosiła Jacka o pomoc. Przez ostatnich kilka tygodni w ogóle niewiele mu powiedziała. To była poważna sprawa. Nie sypiali ze sobą; była to wspólna decyzja, ale stawiała Jacka na niepewnej pozycji. W zasadzie łączyło ich jedynie pokrewieństwo dusz. Jeśli Porter zdoła to zniszczyć...

- Nie zastanawiaj się nad tym, stary - powiedział, odpędzając nieprzyjemne myśli. Podniósł kartki, które leżały na biurku, i spróbował się skoncentrować. On i Sydney mieli dziś spotkanie w

miejskim urzędzie planowania. Chciał uważnie przejrzeć te papiery na wypadek, gdyby Sydney nie miała na to czasu.

Przerzucił kolejną stronę. Powtarzał sobie, że musi być cierpliwy. Nie ufać Sydney byłoby zupełnie bez sensu. Do diabła, w końcu opowiedziała mu całą tę niemiłą historię, jak to Porter z ochroniarza stał się jej kochankiem. I co z tego, że któreś upojonej nocy poszli ze sobą do łóżka? Porter spieprzył sprawę na dobre. A Sydney była bystrą dziewczyną. Wiedziała, czego chce: małżeństwa i rodziny. I wiedziała, że nie dostanie tego od Portera.

Spojrzał na fotokopie zwinięte w rulon na biurku. Dzięki nim mógł mieć pewność, że infantylne sztuczki Portera nie zniszczą jego więzi z Sydney. To było ich marzenie. Ich Centrum Sztuki, ich wizja przyszłości.

Supel w jego żołądku odrobinę się rozluźnił. Możesz ufać Sydney.

Owszem, ostatnio może i odnosił wrażenie, że Sydney boi się z nim wiązać. Ale, do diabła, była już wcześniej zameżna. Dwa razy. Oba małżeństwa okazały się kompletną katastrofą, i właśnie dlatego Jack nie naciskał w sprawie seksu. Musiał jej dać trochę czasu. Nic dziwnego, że miała wątpliwości, że bała się trzeci raz stanąć przed ołtarzem. Ale Jack już wcześniej radził sobie z jej wahaniem i wiedział, że poradzi sobie z nimi także w przyszłości.

A Sydney naprawdę była stworzona do tego, by założyć rodzinę. Czy miała cierpieć tylko dlatego, że w przeszłości miała pecha? Życie to hazard, a małżeństwo w szczególności. Sydney nie wierzyła w siebie na tyle, by pozwolić sobie na odrobinę szczęścia. Jack postanowił zmienić taktykę. Przecież to nie jego wina, że kochał ją bardziej niż własne życie. I chciał mieć dzieci tak samo, jak ona.

Może nawet bardziej...

Jego oświadczenia przypominały raczej zasadzkę, niż propozycję małżeństwa. Padł na kolano w pełnej ludzi restauracji, wyciągnął błękitne pudełeczko od Tiffany'ego i uśmiechnął się promiennie, wzbudzając aplauz publiczności. Zobaczył w jej oczach strach. Wiedział, że nie wyleczyła się jeszcze do końca z Portera. Ale dla niego to wszystko nie miało znaczenia. Wiedział, że potrafi jej dać szczęście. Nie zawiedzie jej.

Potrafi stworzyć z nią rodzinę, do której tak tęskniła. Potrafił pomóc w realizacji jej marzeń. Od dawna planowali wspólnie

rozbudowanie centrum sztuki, by dzieci mogły w nim nie tylko oglądać dzieła z prawdziwego zdarzenia - obrazy Picassa czy prekolumbijskie rzeźby - ale też spróbować sił w warsztatach galerii. Do diabła, kiedy tylko zobaczył Sydney Shanks, wiedział, że to kobieta stworzona dla niego.

Jackson uśmiechnął się i rozparł wygodnie w fotelu, przypominając sobie moment, kiedy zaskoczył ją na drugim końcu zatłoczonej sali. Zupełnie jak w bajce. Brał udział w jakiejś imprezie dobroczynnej w Centrum. Myślał, że położy się wcześniej spać. Chciał jeszcze tylko zajrzeć do firmy, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja - mieli drobny problem z wysyłkową księgarnią internetową. I nagle w galerii zjawiła się Sydney, zaprzatając bez reszty jego uwagę.

Miała na sobie sukienkę, czerwoną, jak jej ogniste włosy. Ramiączka cienkie jak spaghetti. W materiał wszyte były maleńkie diamenciki - sukienka migotała przy każdym ruchu. Chodzące, oddychające dzieło sztuki. Zwaliła go z nóg.

Od razu poprosił, żeby go przedstawiono. Reszta poszła już łatwo. Opracował plan. Wykonał go skrupulatnie. Sześć miesięcy później byli zaręczeni.

Tylko że ostatnio - od kiedy pokazał się Porter - Jackowi wydawało się, że powinien dać sobie spokój z wystawnym ślubem w stylu księżnej Diany. Powinien zabrać Syd do Vegas.

Wpatrując się w telefon, zastanawiał się, czy nie powinien trochę pogonić Sydney. Skończyła trzydzieści osiem lat, nie mogła w nieskończoność zwlekać z podjęciem decyzji. A i Jack nie robił się młodszy. Jego tata miał dwadzieścia parę lat, kiedy został ojcem po raz pierwszy. Jack miał już prawie trzydzieści pięć. Przydałyby się jakieś dzieciaki.

Ale trzeba było wziąć pod uwagę Portera. Jack jeszcze nigdy w życiu nie uciekł z pola walki. Gdyby zaczął naciskać Sydney, by jak najszybciej wzięli ślub, Porter pomyślałby, że robi to ze strachu.

Co byłoby prawdą.

Jack wyobrażał sobie Aleca w szpitalnym łóżku: pilocik w potrzebie, spragniony jak diabli. Zastanawiał się, jak podziela to na Sydney.

- Nie dałbym głowy, że ten drań nie rozbił samolotu celowo. Żeby ją odzyskać.

A on, Jack, siedział tu, w fotelu. I czekał. O, tak. Ufał Sydney...

- Ale nie ufam Porterowi.

Złapał słuchawkę i wybrał jej numer. Najpierw chciał sprawdzić, czy jest w domu.

Odczekał sześć sygnałów, bez rezultatu, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Bez pukania. Ale to nie była Sydney.

- Rany, nie chciałam cię rozczarować - powiedziała Rocky.

Wspaniałe jasne włosy upięła luźno na karku spinką w kształcie motyla - człowiek od razu się zastanawiał, czy ta dziewczyna i w łóżku wyglądałaby równie dobrze. Jej obcisły kombinezon miał nadruk przedstawiający pytona, którego kolor - ciekawy odcień morskiej zieleni - pasował do barwy jej oczu. Rocky była wysoka, ale nosiła buty na obcasach, by wyeksponować zgrabne kostki.

Jack odłożył słuchawkę, jakby Rocky go na czymś przyłapała. Ta mała zawsze zjawiała się nie w porę. Diabelnie irytujące.

Obeszła biurko i przysiadła bokiem na narożniku. Na nogach miała klapki na szpilce. Jack zastanawiał się, jak kobiety mogą chodzić w czymś takim i nie połamać sobie nóg. Jeden pantofel zwisał luźno ze stopy.

Rocky wydeła wargi.

- Sydney znowu zaginęła w akcji?

- A od kiedy to jest twój interes?

- Ależ, Jack, czyżbyś chciał zranić moje uczucia? Zastanawiał się, dlaczego Sydney zawracała sobie głowę tą małą. Jak mogła zapomnieć o nienawiści do ojca dziewczyny i hołubić jego córeczkę z piekła rodem? Była taka szczęśliwa, że mogła dać Rocky pracę na wakacje. Za to Jack był wściekły. Nie podobał mu się ten pomysł, nie podobało mu się, w jaki sposób ta mała wykorzystuje Sydney. Klasyczny przypadek kłusowania ręki swojego dobroczyńcy. Rocky Reck wiecznie miała muchy w nosie i wszystkich dookoła traktowała jak śmiecie. Sydney przede wszystkim.

A poza tym była seksowna. I wiedziała o tym.

Zdolności i seksapil - cóż za podniecająca, przerażająca i groźna kombinacja.

- No więc, co jest? - zapytała. - Czy nasza Dobra Wróżka wciąż siedzi przy łożu chorego? A może raczej w łożu chorego? - położyła nacisk na „w”.

- Trzymaj. - Jack rzucił jej dokumenty, które przed chwilą czytał, ignorując aluzję. - Wygląda na to, że nie masz nic do roboty. Idź do Phila i poproś, żeby na to zerknął.

- Dzięki. - Wyciągnęła się na biurku jak kot, oparta na łokciu, dzięki czemu jej dekolt znalazł się na poziomie oczu Jacka. - A skoro już mowa o robocie... ostatnio ciągle się tu płaczesz. Nie tęsknią za tobą we Frajer.com? - Uśmiechnęła się złośliwie. - Czy może firma prowadzi się teraz sama?

- Coś w tym rodzaju.

Rocky przygryzła uszmkowaną dolną wargę drobnymi jak perełki ząbkami. Jack był ciekaw, czy ćwiczyła to przed lustrem. Jak złapać milionera.

Przysunęła się bliżej i pociągnęła go za krawat.

- Ładny - przeciągnęła krawat między palcami. - Myślałam, że tylko geje mają taki dobry gust...

Złapał ją za rękę. Leniwy uśmiech, który jej posłał, nie był zachęcający.

- Nie staraj się aż tak, kochanie. Dam ci radę - powiedział. Przyciągnęła jego dłoń do swojego dekoltu, tak że jego palce praktycznie zatoneły w jej biuście.

- Rety, Jack... - zerknęła w dół, na jego spodnie, po których wyraźnie było widać efekt jej zabiegów. Zmarszczyła nos i uśmiechnęła się uroczo. - Nie miałam zamiaru cię... zawstydzić.

Wstała bez pośpiechu, niczym aktorka na scenie. Jack patrzył za nią, jak odchodzi z dokumentami w dłoni. Zawsze to robiła; dotykała go pod byle pretekstem. Kleiła się do niego. Traktowała go jak idiotę, który nie wie, o co jej chodzi. Chciała zranić Sydney. Jak najboleśniej.

Wszystko to było dość smutne. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna chciała coś udowodnić. Cóż, kiedy ma się za ojca magnata przemysłowego, który stoczył się ze szczytu, to pewnie normalne. Nieciekawe dziedzictwo. A poza tym rozwód zawsze źle wpływa na dzieci. On i Sydney nigdy się nie rozwiodą.

Na biurku nareszcie zadzwonił telefon. Jack podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Sydney?

Słuchał jej tłumaczeń, że musi być dzisiaj u Aleca. Prosiła, by Jack zastąpił ją na spotkaniu w urzędzie planowania. Coś się

wydarzyło, ale nie chciała wdawać się teraz w szczegóły. Obiecała, że wyjaśni wszystko wieczorem.

- Więc on wyzdrowieje? - Szkoda, że ten drań nie wyświadczył mu przysługi i nie stracił czucia od pasa w dół.

- Przepraszam, że odwołałam spotkanie, Jack, ale chodzi o to... on mnie teraz naprawdę potrzebuje.

Jack rozłączył się i pomyślał, że to dla niej typowe. Florence Nightingale Sydney bieży na ratunek. Niestety, w Jacku Alec Porter nie budził tak ciepłych uczuć. A już wybitnie nie podobało mu się brzmienie głosu Sydney. „Przepraszam... on mnie potrzebuje”.

Jack zamknął oczy. Zawsze wiedział, jak osiągnąć w życiu, to, czego chce. Nie spuszczał piłki z oczu. I dlatego tak bardzo starał się przekonać Sydney do małżeństwa. Dlatego pozwalał swojej ekipie prowadzić Zip.com, a sam plątał się po muzeum, czekając na Sydney. Myślał, że potrafi kochać za nią i za siebie.

Tylko dlaczego teraz czuł się tak, jakby pętla zaciskała mu się na szyi? Wszystko przez tego pilota.

Przepraszam... on mnie potrzebuje.

Wściekłym ruchem zmiotł z biurka tubę z projektami. Potoczyła się po podłodze.

- Ja cię potrzebuję, Sydney. To ja cię potrzebuję.

Za pierwszym razem, kiedy Rocky pojechała odwiedzić ojca w więzieniu, nie udało jej się z nim zobaczyć.

Kiedy już odstała swoje w kolejce i wpisała do formularza nazwisko Tatusia i jego numer, urzędnik w okienku poinformował ją, że dziś rano była tu już jej siostra, Carmela. Ojciec miał prawo tylko do jednej wizyty dziennie, w sumie do dwóch tygodniowo. Rocky miała pecha.

Potem zaczęła przychodzić wcześniej. I dzisiaj stała w kolejce jeszcze przed bramą, chcąc mieć pewność, że będzie pierwsza. W poczekalni, siedząc na cementowej ławce, odczekała na swoją kolej i wjechała windą na piąte piętro.

Przez ostatnie półtora roku z powodu nadgorliwości Sydney ojciec siedział w więzieniu, czekając na proces. Macocha zadawała sobie wiele trudu, by przylecieć na każde przesłuchanie, choćby była Bóg wie gdzie. Stając na podium dla świadków, oplakiwała rzewnie całe zło, jakie jej wyrządził. Dość owacji, dajcie jej Oscara. Po takim przedstawieniu sędziego nigdy nie godził się wypuścić ojca za kaucją.

Czekając w kolejce, Rocky usiłowała nie myśleć o swoich urazach. Żołądek miała tak ściśnięty, że było jej niedobrze. W porównaniu z tym wszystkim szkoła prawnicza była jak ośrodek wypoczynkowy. Pozwalała jej się oderwać od rzeczywistości. Rocky nie mogła się już doczekać, kiedy zacznie nowy semestr.

Skupiła się na czekającym ją widzeniu. Wypełniła formularz i schowała torebkę do jednej z szafek, których cały rząd stał pod ścianą. Miała już wprawę. Mignęła prawem jazdy przed oczami strażnika w okienku i czekała, aż zostanie wywołane nazwisko ojca.

Spojrzała na zegar. Dochodziła jedenasta. Zaraz powinni go zawołać.

Razem z nią czekała ciężko pracująca biedota. Tu, w Los Angeles, w więzieniu było słycać prawie wyłącznie hiszpański. Lądowało tutaj bardzo niewielu bogatych ludzi. Rocky zastanawiała się czasami, czy kiedy już zostanie adwokatem, uda jej się nie osądzać ludzi według ich statusu. Nie wydawało jej się słuszne, by pieniądze przeważały szalę sprawiedliwości.

Chociaż akurat ojcu nie pomogły. Zamknęła oczy. Kolejny dzień z życia młodej...

W takich chwilach czuła, że jej wiara w wymiar sprawiedliwości jest wystawiona na ciężką próbę. W panującej w poczekalni ciszy historie opowiadane szeptem na sąsiednich ławkach brzmiały jak fragmenty jakiejś opery mydlanej.

„Poprosił mnie, żebym zastawiła dom i wpłaciła kaucję, ale powiedziałam mu, że nie tym razem... Sędzia mu dał czterdzieści lat... Adwokat powiedział, że jak nie pójdzie na ugodę, może dostać dożywocie...”

Siedząc tam, słuchając tych historii, Rocky zastanawiała się, co będzie z ojcem. Oskarżenia były poważne: defraudacja kilku miliardów rządowych funduszy... i zamordowanie współnika. W głębi serca bała się, że naprawdę mógłby być do tego zdolny.

Ale takie myśli tylko ją wkurzały. Sydney sprawiła, że Rocky zważyła we własnego ojca. Henry Shanks był pierwszym mężem Sydney, a także współnikiem i najlepszym przyjacielem Tatusia. Sydney twierdziła, że Tatuś zaaranżował jego śmierć w katastrofie samolotu, uszkodzonego celowo przez ludzi z jego firmy. Wymyśliła kulawą historyjkę, że niby ona i Tatuś mieli jakiś głupi romans, ale nagle odezwało się jej katolickie sumienie; zagroziła, że przyzna się

do wszystkiego i wróci do męża. Więc Tatuś kazał zabić Henry'ego. Dla Sydney. Uważała się za kobietę, dla której warto zabijać.

Jakby rzeczywiście Tatuś aż tak bardzo chciał mieć Sydney dla siebie. Im więcej Rocky o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że jedyny problem jej ojca to zły gust, jeśli chodzi o kobiety.

Rocky uważała, że związki na poważnie to prawdziwy kanał. Miłość wydobywała z człowieka najgorsze cechy. Wystarczyło spojrzeć na matkę i jej paradę ogierów. W miarę upływu lat wyglądało to coraz bardziej głupio, bo Carla się starzała, a objekty jej zainteresowania były coraz młodsze. No i ten żaloszny Jack, czekający, aż Sydney złamie mu serce.

Wstała, słysząc głos dobiegający z interkomu. Była tak pogrążona w myślach, że z początku nie zauważyła nic niezwykłego.

Wywołali przez głośnik tylko nazwisko ojca. Nie kilku czy kilkunastu różnych więźniów, którzy zwykle jednocześnie odbywali półgodzinne widzenia.

Ludzie patrzyli na nią zdziwieni, że rytuał odwiedzin został naruszony. Rocky podeszła do wykrywacza metalu, nie zwracając uwagi na ich spojrzenia. Zezwolenie, które wcześniej wypełniła, czekało na ladzie, tak samo, jak przy każdej innej wizycie. Ale tym razem strażnik ją zatrzymał, kiedy doszła do jego budki.

Kazał jej czekać.

Zapadła kompletna cisza. Rocky miała wrażenie, jakby w pomieszczeniu podniosła się temperatura. Nie mogła złapać tchu. Z windy na wprost wyszedł jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili go nie poznała. Wydawał się niższy, niż go zapamiętała, jego włosy były teraz prawie zupełnie białe. Podeszedł do wykrywacza metalu, zatrzymując się po drodze, by uścisnąć rękę strażnikowi. Kiedy tak patrzyła, czuła, że nogi zupełnie jej zdrętwiały.

Ojciec podeszedł prosto do niej. Był ubrany w grafitowy garnitur, wydawał się starszy, szczuplejszy; był niesamowicie przystojny. Otworzył ramiona.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę, malutka - powiedział. Widząc, że Rocky się nie rusza, uśmiechnął się gorzko. - Mam nadzieję, że jest miła?

Rzuciła się do niego z oczami pełnymi łez. Usłyszała za plecami kilka nieśmiałych kłaśnieć. Kiedy ojciec ją przytulił, pomyślała, że

chyba zwariuje z radości. Czowała się tak, jakby czekała na tę chwilę całe życie.

- Niespodzianka, mała - szepnął, tuląc ją do siebie. - Wracam do domu.

Rozdział 5

W niedzielę rano około jedenastej piętnaście Russell Reck wyszedł ze stanowego więzienia Los Angeles jako wolny człowiek. Nie była to najszcześniejsza chwila w życiu Sydney; dobrze wiedziała, że Russell najchętniej widziałby ją martwą.

Kiepski początek niemilego dnia. Alec, który kłócił się z nią od dwudziestu minut, wcale nie poprawił jej humoru.

Po dwóch dniach spędzonych w szpitalu trochę bardziej przypominał dawnego siebie. Czekał na dokumenty wypisu, ubrany w dżinsy i popielatą koszulkę. Dopasowane ciuchy podkreślały jego wspaniałą budowę. Trzeba by czegoś więcej, niż drobna operacja, by zaszkodzić jego urodzie. Był tylko bardzo blady, a na jego podbródku widniał cień zarostu. Temblak miał mu utrudniać życie jeszcze przez parę dni.

- No więc, spróbowałem się postawić w twojej sytuacji. - W jego głosie brzmiała głęboka uraza, choć nie zadał sobie trudu, by przybrać odpowiedni wyraz twarzy. - Próbowałem wczuć się w rolę głupiej kozy. - Potrząsnął głową. - I ciągle nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś, że zwalniam Russella?

- Alec, o co ci właściwie chodzi?

- Nie sądzisz, że to było trochę głupie, tak mnie trzymać w nieświadomości? Myślałaś, że się nie dowiem?

- Skończyłeś już?

- Przecież nie jesteś idiotką, Syd.

Wzięła głęboki oddech, przekonana, że cała ta kłótnia do niczego nie doprowadzi. Od początku wiedziała, że Alec nie przyjmie dobrze wiadomości o zwolnieniu jej byłego męża.

Dawno temu Alec postanowił, że pośle Russella Recka, „Wrakarza”, za kratki. To był jego jedyny cel w życiu. Uknuł misterny plan, który doprowadził go pod drzwi Sydney. Zwerbował ją do pomocy, otwierając jej oczy na liczne przestępstwa tego człowieka. Postawił wszystko na jedną kartę i wygrał. Kiedy Sydney poznała prawdę, pomogła mu go zniszczyć.

Nie miała wątpliwości, że Alec miał jakiś własny, tajemniczy powód - choć nigdy nie odkryła, co to mogło być. Ale w ciągu ostatniego roku ich wzajemne stosunki uległy dramatycznej przemianie. I z tym właśnie dramatem miała teraz do czynienia.

- W porządku - powiedziała, spuszczać trochę z tonu. - Kiedyś, dawniej i w innym miejscu pewnie bym ci powiedziała, że Russell wychodzi. To byłoby naturalne. W tamtych czasach płaciłam ci masę forsy, żebyś mnie pilnował. Ale nie jesteś już moim ochroniarzem. Oddałeś odznakę dawno temu.

- I o to chodzi? O pieniądze? Sydney wzniosła oczy do nieba.

- Bo jeśli o to chodzi - mówił dalej - to przecież wiesz, do diabła, że zawsze miałem gdzieś...

- Powiedz, że tego nie zrobimy.

- Gdybyś mi ufała, dałabyś mi znać, kiedy się dowiedziałas o jego zwolnieniu. Przyszłoby ci do głowy, że może mnie to obchodzić.

Naprawdę wyglądał na urażonego, co kompletnie nie było w jego stylu. W ogóle wyglądał i zachowywał się dziś, jakby nie był sobą. Błada skóra, sińce pod oczami. Dwudniowy zarost. Chodziło o to, że wyglądał jakoś bezradnie, co zupełnie do niego nie pasowało.

W głowie Sydney zaświtała niemila myśl: Ostrożnie. Ten facet jest jak kameleon.

Nie wiedziała wszystkiego o jego przeszłości, znała raptem kilka powierzchownych faktów. Tajne operacje rządowe... mistrz kamuflażu... superszpieg. Oprócz tego wiedziała tylko, że nie powinna była się w nim zakochiwać i że zbyt łatwo potrafił ją manipulować.

Kiedy na nią spojrzał, twarz mu się zmieniła, jakby odczytał jej myśli. Zawsze to potrafił.

- Zresztą, głównie mnie obchodzi, co o tym sądzisz. Owszem, mam w tym swój cel: takiego Aleca znasz i kochasz, co? Brawo, Sydney, nagroda za spostrzegawczość. Więc spójrzmy na to inaczej: może znów mnie zatrudnisz?

Niespokojnie poruszał dłońmi. Alec palił: paskudny nałóg, z którym próbował zerwać. Dla Sydney, jak twierdził. Teraz widać było, że potrzebuje papierosa. Nawet bardzo.

- Tak się złożyło, że jestem bez pracy, więc może mnie przyjmiesz, co? Jak za dawnych czasów, mała. - Ukłonił się sztywno.

- Alec 007 znów do twoich usług.

- Wiesz, co myślę? Że rozwaliłeś sobie głowę, a nie obojczyk.

- Co, to? - Podniósł rękę podwieszoną na temblaku, z trudem powstrzymując grymas bólu. - Nie martw się, panienko. Będę używał czegoś więcej oprócz rąk. Wiesz, że lubię się wtrącać w cudze sprawy.

- Właśnie takiej rozmowy chciałam uniknąć.

- Wyobrażam sobie. Ale już za późno, więc poddaj się z wdziękiem. Złóż broń, wypisz czek i jestem cały twój.

- Alec. - Odczekała sekundę, chcąc mieć pewność, że słucha jej uważnie. - Nie.

- To znaczy: Alec, pilnuj własnego nosa? - zapytał z goryczą. - Nie pasuję już do układanki? - Jego dłonie znów szukały sobie nerwowo zajęcia. Roześmiał się niecierpliwie. - Zdumiewające. Po prostu niesamowite. Cały ten raban tylko dlatego, że wylądowaliśmy pewnej nocy w łóżku i uprawialiśmy seks. - Wymawiając ostatnie słowo, dramatycznie przyciszył głos.

- Wyobraź sobie - powiedziała ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy - że niektórym to robi różnicę.

Ale jej gniew tylko rozbawił go jeszcze bardziej. Wstał i podszedł do Sydney tak blisko, że musiała zadrzeć głowę. Mrugnął jednym okiem.

- Na twoje szczęście, zachowuję się bardziej dojrzałe w całej tej sprawie. Potrafię się odciąć od przeszłości.

- I dlatego dwa dni temu prosiłeś mnie, żebym spławiła Jacka i dała ci drugą szansę? Nie nabierzesz mnie na to, Alec.

Ale zanim zdążyła się odwrócić, złapał ją za ramię.

- O co ci chodzi, Sydney? Boisz się, że mogę zakłócić twoją sielankę z Zakutą Pałą?

- Zawsze wszystko komplikujesz. Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Komplikuję? Ooo, podoba mi się to słowo. To brzmi tak, jakbym mógł na nowo rozpalić ogień w twoim piecyku. Może nawet wygryźć Zakutą Pałę?

- On ma na imię Jack.

- Niech mu będzie. - Alec schylił się i zaczął jej szeptać do ucha: - Posłuchaj uważnie. Byłbym zachwycony, mogąc jeszcze raz dorwać się do tego twojego gorącego ciała. - Sięgnął za jej plecy i ścisnął pośladki. - I zrobię wszystko, żebyś pozostała żywa na tyle długo, bym cię zdążył na to namówić. Nie pasujesz do tego Zwiędłego Fiutka.

- Możesz go nazywać, jak ci się podoba. To niczego nie zmieni.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Jeszcze zanim się odwróciła, poczuła na sobie zażenowane spojrzenie pielęgniarki. Kobieta z całą pewnością gapiała się na dłoń Aleca, przylepioną do pośladka Sydney.

Pielęgniarka podała Alecowi teczkę.

- Pańskie papiery są gotowe.

Przechodząc obok Sydney, Alec mruknął półgłosem:

- Ciąg dalszy nastąpi.

Sydney nie ruszyła się z miejsca. Z bijącym sercem słuchała skrobienia pióra Aleca, kiedy podpisywał formularze. Nie odwróciła się nawet wtedy, gdy drzwi się już zamknęły i znowu zostali sami. Wciąż była zdumiona własną reakcją; przyspieszonym oddechem, silniejszym biciem serca.

Jeszcze sześć miesięcy temu, kiedy Alec zjawił się na jej progu, pomysł, że mogą być „tylko przyjaciółmi” wydawał się zupełnie realny. Argentyna była dawno temu. Rok. Przez cały ten czas Sydney przygotowywała się do rozpoczęcia całkiem nowego życia, bez Aleca. A Jack był świetną partią. Dlaczego więc nie mogła - jak proponował Alec - zapomnieć o przeszłości? Powiedzieć: „było, minęło” i żyć dalej?

Bo to jest Alec i znów wpadł jak bomba w moje życie...

Alec odwrócił ją twarzą do siebie.

- O rany, mała - powiedział znajomym, drwiącym tonem - nie wiedziałem, że jeszcze ci na mnie zależy. Biedny Jack.

- Nie o to chodzi. - Sydney była mile zaskoczona, że jej głos zabrzmiał tak pewnie.

- Bzdury. - I znów ten uśmiech.

- Alec, przyznaj szczerze - powiedziała, zdecydowana skończyć tę rozmowę - chcesz mnie z powrotem tylko dlatego, że powiedziałam „nie”.

Długa chwila ciszy, która zapadła między nimi, była najlepszą odpowiedzią. Miał już swoją szansę... Nie chciał jej wtedy - nie miał prawa chcieć teraz.

- Auć - powiedział.

- No właśnie.

Wytrzymał jej spojrzenie. Nie miał zamiaru schodzić z placu boju.

- Dobra - powiedział stłumionym głosem. - Koniec z wygłupami. Koniec z dowcipami o Zakutej Pale... i żadnego nagabywania. Potrafię być grzeczny.

Zdradziły go oczy. Jednym spojrzeniem potrafił wyrazić wszystkie swoje uczucia.

- Od tej pory chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo - powiedział. - Nic poza tym. Zgoda?

I znów wyraz jego twarzy powiedział zbyt wiele. Wyczytała z niego kilka prawd na własny użytek.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Nie spodobała mu się jej odpowiedź.

- Widzę, że po dobroci niczego nie wskóram. Pomogę ci, czy tego chcesz, czy nie.

- Niezła próba, ale...

Potrząsnął ją za ramiona.

- On chce twojej śmierci. Zniszczyłaś mu życie. Zaplanowałem wszystko po to, żebyś go wystawiła. Pamiętasz? Przyszedłem do ciebie i opowiedziałem ci, za jakiego potwora wyszłaś za mąż. Podsunąłem ci pytania, które miałaś mu zadać, nauczyłem cię, jak szperać w jego komputerze i wydobyć potrzebne informacje. Dałem ci nawet tajny numer telefonu do FBI. Myślałem, że uda nam się go zamknąć w więzieniu na dobre. Ale widocznie spieprzyłem sprawę, bo wyszedł i teraz dybie na twoje życie.

Alec podszedł bliżej. Wyciągnął zdrową rękę i pogłaskał Sydney po ramieniu.

- On nie wie, kim jestem - powiedział błagalnie. - Załatwiłem to tak, żeby mnie nie namierzył. On chce załatwić ciebie i tylko ciebie. Myślisz, że dobrze się z tym czuję, Syd? Gdybyś została gwiazdą wieczornych wiadomości, to byłaby moja wina.

Pokręciła głową.

- Nie, Alec. Nie mogę żyć w strachu. Właśnie wtedy Russell będzie górą. Kiedy mnie zmusi, żebym się cały czas oglądała przez ramię.

- Strach to dobra rzecz, Sydney. To ostrzeżenie. Jak ból.

- Ale ja nie mogę tak żyć. To nie jest życie. - Spojrzała mu w oczy. - Chcę zacząć żyć normalnie, Alec. Po tym wszystkim, co przeszłam, nie zadowolę się jakąś namiastką.

Zabrzmiało to całkiem niezle. Jej słowa mówiły, że jest silna. Że ona, Sydney Shanks, potrafi stawić czoło człowiekowi, który zdefraudował rządowe miliardy i na dokładkę zabił swojego współnika. Świetna kwestia na zakończenie, pomyślała, odwracając się i idąc do drzwi. Bo w tej chwili Alec i jej uczucia do niego wydawały się o wiele bardziej niebezpieczne niż Russell.

- Idziesz? - zapytała z ręką na kłamce.

Przyglądał jej się przez chwilę. W końcu pokręcił głową.

- Nie. Idź przodem, skoro taka z ciebie superwoman. My, śmiertelnicy, zamówimy sobie taksówkę.

O mało nie zaprotestowała, zastanawiając się, czy to ma być jakiś rodzaj dziecinnej kary. Jeśli ja ci nie mogę pomóc, to i ty nie pomagaj mnie. Ale nagle zrozumiała, że to nie ma znaczenia. Jakikolwiek miał powód, racja była po jego stronie.

Idąc korytarzem, przypomniawszy sobie o swoim postanowieniu. Russell jej nie wystraszy. Nie pozwoli mu na to. I nie potrzebowała nikogo do obrony - nie musiała wieszać na plecach Aleca wielkiej, czerwonej tarczy strzelniczej.

Pozostawał jeszcze Jack. Russell był wolny i zdolny do wszystkiego. Było oczywiste, komu zagrozi w następnej kolejności. Sydney musiała ułożyć jakiś plan. Obmyślić sposób, jak odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Wsiadła do windy i nacisnęła guzik z napisem „parter”. Tym razem musiała mieć pewność, że stawką jest wyłącznie jej życie. Trzy lata temu może i nie była jedynym powodem, dla którego Russell wsadził Henry'ego do tego samolotu, ale na pewno była miłą premią.

Ten padalec Russell opłakiwał śmierć swojego współnika razem z Sydney, udając niewiniątka. Pocieszał ją, wdowę po Henrym, aż kiedyś, w chwili słabości, małżeństwo wydało się Sydney oczywistym, logicznym posunięciem. Wiedziała, że nigdy nie zapomni jego wyznania tego dnia, kiedy zadzwoniła do FBI. To było tak, jakby wbił jej nóż w plecy...

„Zrobiłem to dla ciebie, Sydney... przestawało ci na mnie zależeć, zostałabyś z Henrym z poczucia obowiązku. Co miałem robić? Chciałaś mnie zostawić. Wpadłem w panikę...”

Te słowa wciąż ją prześladowały.

Teraz wiedziała, że już nigdy nie będzie tą bezwonną zabawką, którą Russell zabrał w swoją podróż do piekła. Nie chciała też angażować w to Aleca ani nikogo innego. Powinna to załatwić sama - powtarzała sobie w duchu, mijając biurko szpitalnej recepcjonistki. Musi poczekać na następny ruch Russella i odpowiedzieć tym samym. Gonic na D2. Szach królowej.

Popchnęła ciężkie podwójne drzwi szpitala i wyszła w oślepiające, południowe słońce pełni kalifornijskiego lata. Ulicę

ocieniały palmy - charakterystyczny akcent krajobrazu złotego wybrzeża. Słońce w jakiś sposób poprawiło jej humor. Poczwała, że jest na właściwej drodze. Stara dobra Kalifornia. Zdawało się, że upał podsyca w niej odwagę, utwierdzając Sydney w jej postanowieniu. Ucz się na błędach i ruszaj dalej. To było jej nowe, życiowe motto.

Kątem oka zauważyła samochód. Szarego sedana, podobnego do wielu innych.

Tyle że ten skręcił z jezdni, kierując się wprost na nią.

To wyglądało zupełnie nieprawdopodobnie. Niesamowity był ten samochód, tak dziwnie blisko. Jakby była jego celem.

I tak właśnie było. Samochód pędził prosto na nią.

Powietrze przeszył pisk hamulców. Sydney poczuła zapach palonej gumi, kiedy wóz podskoczył na krawężniku i wpadł na chodnik.

Zadziałał instynkt. Odwróciła się. Skacz! Zderzak musnął ją o milimetr, ostry metal niemal zahaczył o jej nogi. Wylądowała bezpiecznie na betonie, potłukła się tylko. Spojrzała w ślad za samochodem, który zawrócił i zarzucając lekko tyłem, pognał ulicą.

Sydney patrzyła za nim, zastanawiając się, czego brakowało w obrazku, który widziała przed chwilą. W końcu zrozumiała: samochód nie miał rejestracji.

Zaczęli się zbierać ludzie. Nastolatek z deskorolką pod pachą. Kobieta z papierową torbą, wypełnioną zakupami. Sydney przyszedł na myśl szalony pomysł, że powinna ich uprzedzić. Powiedzieć, że niepotrzebnie zawracają sobie głowę. W wieczornych wiadomościach zobaczycie lepszą akcję.

Jakiś mężczyzna obejrzał jej zadrapania i siniaki, zginając jej stawy z zawodową troską, zadając pytania. Zaciśnęła zęby, bo zachciało jej się nagle chichotać... cały czas tłukło jej się po głowie: Jak wygodnie mieć wypadek przed wejściem do szpitala.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał mężczyzna.

Sydney zakryła usta, trzęsąc się od histerycznego śmiechu, czując spóźniony przyływ adrenaliny. Wciąż patrzyła na pustą ulicę. Nie miał rejestracji. Ten samochód nie miał rejestracji.

Russell zaczął swoje polowanie.

Zmrok

Rozdział 6

Był taki czas, kiedy Sydney oddałaby wszystko, byle tylko być z Russellem. I czas, kiedy naprawdę z nim była. Czas, kiedy szczerze wierzyła, że to dobry i kochający człowiek i że te zalety przeważają jego wady.

Siedząc w eleganckiej restauracji Krewetka, otoczona przez akwaria i dekoracje stylizowane na Daleki Wschód, Sydney zastanawiała się, jak mogła być tak naiwna przez te wszystkie lata. A może to Russell był mistrzem w ukrywaniu swojej prawdziwej natury? Cóż, nie ona jedna dała się nabrać.

Dzisiaj, jak zwykle, był spóźniony.

Najwyraźniej uznał Sydney za swój cel nadrzędny. Telefon do niej musiał być jednym z pierwszych po wyjściu z więzienia. Odebrała ten telefon, mając świeżo w pamięci incydent z samochodem przed bramą szpitala. Nieufnie słuchała argumentów Russella, dlaczego powinni się spotkać. Miał jakąś tajemniczą sprawę, którą musiał z nią omówić osobiście.

Słuchając jego głosu przez telefon, Sydney myślała tylko o jednym: najlepiej stanąć z wrogiem twarzą w twarz.

Zaproponował Krewetkę. Akwaria pełne ryb działały na niego uspokajająco. Sydney wyznaczyła godzinę. O tej porze dnia Krewetka była pełna ludzi. Alec chciał, żeby się bała, ale uznała, że czujność zupełnie wystarczy.

W trakcie trwania ich małżeństwa nie bała się Russella. Byłoby to jak najbardziej uzasadnione uczucie, ale okazała się za mało spostrzegawcza, by mieć powody do strachu. Zaraz po ich ślubie w Acapulco odkryła tylko, że Russell ma romans. Wynajęła prywatnego detektywa. Kiedy już miała zdjęcia, poszła z nimi do biura Russella.

Kobieta była młoda. Brunetka, co zaskoczyło Sydney. Zawsze myślała, że Russell woli blondynki.

I wtedy na scenę wkroczył Alec. Zjawił się tego samego wieczoru, jak zwykle z niezawodnym wyczuciem czasu. Sydney świętowała właśnie swój upadek z piedestału, upijając się powolutku w zaciszu domowym i zastanawiając, jakim cudem znalazła się w tym przygnębiającym, pustym miejscu. W domu Russella panował kompletny bałagan po tym, jak w przypiływie furii lekko „przearanżowała” wnętrza. Z tuszem do rżęs ciekącym po

policzkach, z butelką szampana w dłoni, chwiejąc się na nogach, otworzyła drzwi i zobaczyła mężczyznę w uniformie.

„Jestem z pani firmy ochroniarskiej. Dzwoniła pani w sprawie usterki w nowym systemie alarmowym”.

Był młody, wyglądał jak typowy przedstawiciel „pokolenia X”, z nastroszonymi, prawie białymi włosami i długimi bakami. Na twarzy miał chłopięcy uśmiech i piegi. Plakietka przypięta do jego piersi mówiła, że na imię ma James i że pracuje dla Beechwood Security Systems. Był to Alec w jednym ze swoich licznych przebrań.

I, oczywiście, jak to Alec, natychmiast do niej wystartował.

Pamiętała, że pomyślała wtedy: A więc tak się to odbywa. Znudzona, zaniedbana przez męża kobieta i słodki chłopiec, naprawiający system alarmowy.

Tyle że Sydney nie chciała łamać małżeńskiej przysięgi. Nie chciała się zniżyć do poziomu Russella.

Teraz nienawidziła tamtej kobiety, tej żony na pokaz, którą wtedy była. Kobiety, która porzuciła posadę asystentki kustosza w muzeum Norton Simon, by zasnąć nad próbkami tapet i planami pięter monstrialnego, nowego domu Russella. Kobiety, która oszukała Henry'ego i sama dała się oszukać. Trzeciej pani Russellowej Reck.

Obserwując Russella, który szedł do niej po sławnym, wbudowanym w podłogę akwarium, tworzącym ścieżkę przez środek sali, Sydney zrozumiała, że wreszcie posłała tamto głupie stworzenie na wieczny spoczynek. Patrząc na byłego męża, czuła już tylko obrzydzenie.

Kiedy tak stąpił w jej kierunku po wodzie, między jego mokasynami od Bruno Magliego przepłynął długi na stopę koi. Russell wybrał na to spotkanie dość swobodny, ale elegancki zestaw; marynarkę od Armaniego i jedwabną koszulę. Widać było, że więzienie niezbyt mu służyło.

Kiedy dotarł do stołu, schylił się, by ją pocałować.

- Sydney, dzięki, że zgodziłaś się na to spotkanie... Odsunęła się.

- Siadaj, Russell. Nie mam zbyt wiele czasu.

Nie przejął się tym chłodnym powitaniem. Uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że ma nad nią przewagę. Zamówił drinka. Spojrzał na nią przenikliwie.

- Kiedy cię ostatnio widziałem, ktoś celował pistoletem w moją głowę. - Pstryknął palcami, jakby coś sobie przypomniał. - Ach, zdaje się, że to byłaś ty, Sydney. Czekaliśmy na FBI.

Sydney upiła łyk wina.

- Mylisz, się, Russ. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, stałam na podium dla świadków i wyliczałam sędziemu powody, dla których powinien zatrzymać w więzieniu twoją żalowaną osobę. I muszę z przykrością stwierdzić, że chyba mi się nie udało.

Russell uśmiechnął się.

- Wyglądałaś prześlicznie jako skrzywdzona żona. Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak płakać, Sydney. To wyglądało naprawdę szczerze.

- Dużo ćwiczyłam. Chciałam dobrze wypaść. Potrząsnął głową ze śmiechem.

- Chyba źle zacząłem. Przyszedłem tutaj, żeby cię przeprosić, a nie pogarszać nasze stosunki.

- Za późno. - Zaczęła wstawać od stolika.

- Sydney, proszę. Wysłuchaj mnie. Tyle chyba możesz dla mnie zrobić?

Pomyślała, że właściwie nie ma wyboru. W końcu będziesz musiała stawić mu czoło. Westchnęła i usiadła.

Russell podniósł jej kieliszek i przytknął do ust, tą stroną, gdzie wargi Sydney zostawiły na szkłe ślad szminki. Pociągnął łyczek chardonnay.

- Świetne. - Odstawił kieliszek. - Nie myliłaś się, Sydney, rzeczywiście popełniłem morderstwo.

O dziwo, Sydney nawet nie drgnęła.

- Ale chcę to odpokutować - ciągnął Russell. - To, co zrobiłem Henry'emu... Nawet nie wiem, od czego zacząć. Miałaś zupełną rację co do tego potwora Kinnarda.

Joseph Kinnard, były podsekretarz obrony do spraw badań i nowych technologii, był wtyczką Russella w Departamencie Obrony Narodowej. Dzięki jego machinacjom rząd przelał ogromne fundusze na konta Reck Enterprises, firmy Russella zajmującej się budową samolotów. Russell utrzymywał cały czas, że był tylko marionetką w ręku Kinnarda. Wypełniał instrukcje Josepha i to było jego jedynym błędem.

- Pozwoliłem mu wykorzystać mój strach... zmusił mnie, żebym wsadził Henry'ego do tego samolotu.

- Musisz więcej poćwiczyć przed lustrem, Russell. To było żałosne. Widziała, że z trudem powstrzymał uśmiech.

Oczywiście, bawiło go to przedstawienie. W końcu to on był górą. Do spółki z Josephem popełnił najzwyczajniejsze morderstwo. Razem wyprodukowali i przetestowali samolot, który miał się rozbić podczas rutynowego lotu próbnego. Była to część ich planu, dzięki któremu chcieli wyłudzić jeszcze więcej rządowych pieniędzy. To, że na pokładzie tego samolotu zginął Henry, było sprawą zupełnie uboczną.

Niestety, niezwyciężona ekipa prawników Russella zdołała oddalić zarzut morderstwa na podstawie „niewystarczającej ilości dowodów”. Poza tym Russell podał prokuratorowi grubą rybę na srebrnym półmisku, czyli Josepha, i widocznie uzyskał dzięki temu niższy wyrok dla siebie.

- Nie jestem już tym samym człowiekiem, Syd - powiedział. - Nie jestem już Wrakarzem. Nie chcę nim być. I dlatego przyszedłem do ciebie. Staram się postąpić tak, jak chciałby tego Henry.

- Nie waż się o nim wspominać - wysyczała. - Nie masz prawa mówić w ten sposób o Henrym. Jakbyś był jego przyjacielem.

- Oczywiście. Zachowałem się bezmyślnie. - Ze szczerze zmartwioną miną potarł twarz dłońmi. Sydney obserwowała go, myśląc, jaki z niego marny aktorzyzna. - Powinienem był wiedzieć, że to cię zaboli. - Uniósł ręce, jak człowiek pogrążony w rozpacz. - Niestety, zanim zdołam to wszystko naprawić, obawiam się, że bardzo utrudnię ci życie.

Przestraszył ją wyraz jego twarzy.

- Co tym razem wymyśliłeś, Russell?

- Nie będę owijał w bawełnę. Chodzi o moją ugodę z rządem - powiedział. - Widzisz, nie chodziło o Josepha. Będę musiał zapłacić reparacje. Okup. I to dość wysoki, obawiam się. A jako że większość pieniędzy zarobiłem w trakcie naszego małżeństwa... - Uniósł głowę, spoglądając Sydney w oczy. - Oni chcą wszystkiego, Syd. Niezależnie od rozwodu.

Nie spodziewała się ciosu z tej strony. Tak, jak nie zauważyła samochodu, pędzącego prosto na nią.

- Moje pieniądze pochodzą od Henry'ego - powiedziała, kiedy już odzyskała oddech.

Russell rzucił jej senne spojrzenie spod opuszczonych powiek, na jego ustach zjawiał się cień uśmiechu.

- Obawiam się, że rząd widzi tę sprawę inaczej.

Sydney złapała torebkę i kiwnęła na kelnera, prosząc o rachunek. Po chwili namysłu postanowiła jednak nie czekać. Sięgnęła po portfel i wyjęła z niego kilka banknotów, by zapłacić za wino.

Russell kontynuował swój wywód.

- Twój adwokat prawdopodobnie właśnie dostał nakaz sądowy. Chciałem cię ostrzec osobiście, zanim dowiesz się o tym od kogoś innego. To był jeden z punktów mojej umowy; że dadzą mi chwilę czasu, bym mógł przekazać nowinę mojej żonie. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że wszystko straciłaś, choć tak to wygląda. Posłuchaj, Sydney. Mogę ci pomóc ocalić Centrum Sztuki.

Usiadła. Jego słowa wciąż wisiały między nimi w powietrzu.

- Co konkretnie proponujesz? - zapytała wbrew sobie. Pochylił się do niej, szepcząc żarliwie:

- Zdołałem, czy może raczej moi adwokaci zdołali opracować pewien plan na wszelki wypadek. Reck Enterprises zostało przepisane na nazwisko Rocky na długo przedtem, zanim przedstawiono mi jakiegokolwiek zarzuty. I udało mi się znaleźć bardzo hojnego cichego wspólnika, który pomoże nam utrzymać się na powierzchni.

Bijąca od niego energia była niesamowita. On myśli, że zrobię wszystko, czego zażąda. Chce mieć mnie po swojej stronie.

- Dzięki temu wspólnikowi mam dość funduszy, by uratować Reck Enterprises. A nawet trochę więcej. Rozumiesz oczywiście, że nic nie jest na moje nazwisko. Teoretycznie nie wolno mi w ogóle prowadzić interesów w przemyśle lotniczym. W każdym razie przynajmniej przez kilka lat. Oczywiście Rocky będzie wszystkiemu patronować. Galerię dałoby się umieścić pod tym samym zarządem. Wysłałem już Rocky z tą propozycją do twojego wspólnika. Powinien w tej chwili czytać dokumenty. Miejmy nadzieję, że zdążyła, zanim rząd zarekwirował księgę galerii.

Zawarł z rządem ugodę, która pozbawiała Sydney wszystkiego, podczas gdy on sam zaplanował każdy krok i podjął środki zaradcze, by móc funkcjonować, jak gdyby nigdy nic.

- Chcesz pomóc uratować Centrum Sztuki? Z tego, co mówisz, wynika raczej, że jesteście moim kozłem ofiarnym.

- Nie bądź uparta, Sydney. Przemyśl moją propozycję. Przede wszystkim chciałbym... chciałbym móc naprawić to, co się stało. Nie mogę przywrócić Henry'emu życia, nie będę też żałował, że mu cię odebrałem. Pozwól mi przynajmniej ocalić to, co kochasz.

Mówił dalej półgłosem, opierając łokcie na stole.

- Boże, Sydney. Pamiętasz tamte czasy? Tak bardzo cię pragnąłem, ale byłaś żoną mojego współnika. Rozpalałem się na sam twój widok.

A pamiętasz, jak robiliśmy to w biurze? To było takie podniecające; mieć cię, wiedząc, że w każdej chwili może wejść Henry...

Starła się nie pokazać po sobie, jak bardzo ją ranił, przypominając o jej zdradzie.

- Zawsze będziesz miłością mojego życia, Sydney - powiedział. Wyduła pogardliwie wargi, udając obojętność.

- Och, czuję się okropnie. Ależ byłam niegrzeczną dziewczynką, pozwalając ci się wykorzystywać i manipulować.

- Mieliliśmy romans, Sydney. Zanim zginął Henry. - Russell mówił cicho i powoli. W jego głosie nie było już rozbawienia. Raczej groźba. - Widzisz, nie ja jeden skorzystałem na śmierci Henry'ego. Przejęłaś kontrolę nad spółką wartą miliardy; nieważne, że tylko na papierze. A potem tak szybko się pobraliśmy. Może to dlatego prokurator chce twoich pieniędzy tak samo jak moich. To chyba sprawiedliwe. Nie uważasz?

Wstała.

- Pewnie masz mnie za głupią, skoro zgodziłam się tu przyjść. Skoro w ogóle cię słuchałam. Nie jesteś w stanie mi zagrozić, Russell. Nie jestem już tamtą łatwowierną kobietą. Tamtą wykorzystałeś do końca. A tak dla przypomnienia: powiedziałam Henry'emu o nas. Przyznałam się i poprosiłam o rozwód. Ale chciał, żebym poczekała... bym nabrała pewności, że wolę ciebie. Wiesz, jaki był Henry. Zawsze myślał o wszystkich, tylko nie o sobie.

Mijała przykryte białymi obrusami stoły, patrząc przed siebie, na ulicę za drzwiami. Jej obcasy stuknęły po tej samej płycie z pleksi, pod którą pływały ryby. Serce biło jak oszalałe, krew pulsowała w skroniach.

Jak genialnie Russell wymanewrował ich wszystkich. Ja płacę za jego wolność, Joseph siedzi w więzieniu.

A Russell będzie się rozkoszował każdą minutą swojej genialnej zemsty.

Jack Bosse wpatrywał się w bardzo oficjalnie wyglądający dokument. Zdumiewające. Pięć minut temu z jasnego nieba spadł grom w postaci sądowego nakazu przekazania do wglądu wszystkich ksiąg galerii. Chodziło o jakiś bzdurny zarzut, że pieniądze Sydney pochodzą z oszukańczych interesów Recka. A ostatnią osobą, od której Jack spodziewał się pomocy w wygrzebaniu się z tych kłopotów, była właśnie córka Russella.

Rocky Reck siedziała po przeciwnej stronie biurka Jacka, ubrana w krótką, luźną bluzkę i białe skórzane spodnie, które odsłaniały kolczyk w pępku. Strój uzupełniały sięgające za kostkę botki na szpilce.

- Znikający atrament? - zapytała. Kiedy spojrzał na nią, nie rozumiejąc, dodała: - Gapisz się na to, jakbyś nie wierzył własnym oczom.

- Powiedzmy, że nie wierzę w dobre intencje twojego ojca.

- Doprawdy? - Zastanowiła się przez chwilę. - Rety, a ja myślałam, że właśnie dałam ci lekarstwo na wasze kłopoty. - Pochyliła się z uśmiechem. - Żadnych ukrytych motywów.

- Zawsze są jakieś ukryte motywy - mruknął półgłosem. Nie obchodziło go, czy Rocky to usłyszy.

Rozdrażniła go propozycja, którą wysunął Reck. Może nawet bardziej niż zakamuflowana groźba, która kryła się za rządowym nakazem. Jack nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Niemożliwe, by Reck łudził się, że Sydney zechce go z powrotem. Więc skąd nagle to koło ratunkowe? Ludzie tacy jak Wrakarz nigdy nie dawali niczego za darmo.

- Pozwól, że cię o coś zapytam.

Jack uniósł głowę. Rocky usadowiła się wygodnie w fotelu po drugiej stronie biurka, wciskając plecy w miękkie oparcie. Skrzyżowała nogi i oparła je na biurku. Gładkie włosy opadły jej na twarz, przesłaniając jedno oko, na ustach zaigrał koci uśmiech.

- Co ty w niej właściwie widzisz? Przecież jest ze sto lat starsza od ciebie. Nie ma nawet w połowie tyle pieniędzy, co ty. A jeśli rząd dopnie swego... - Wzruszyła ramionami, dopowiadając swoją myśl

gestem. - Sydney będzie miała szczęście, jeśli zostanie z koszulą na grzbiecie. Przecież nie może chodzić o seks?

Jack przysiadł z uśmiechem na skraju biurka.

- Wiesz, co myślę? Że już dawno temu ktoś powinien był stłuc ci tyłek.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Może ty spróbujesz?

- Słuchaj, kochanie, od kiedy przyszedłeś tu do pracy, odgrywasz na mój użytek niezłe przedstawienie. - Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów tak niegrzecznie, jak tylko się dało. - Naprawdę doceniam twoje wysiłki, ale o co tak naprawdę chodzi? Czego ty ode mnie chcesz?

Jej seksowny uśmiech... iskra w oczach. Ta dziewczyna to diabeł wcielony, pomyślał.

- Czy to nie jest oczywiste? - zapytała.

- Absolutnie oczywiste.

Przygryzła dolną wargę, rzucając mu spojrzenie baaardzo niegrzecznej dziewczynki.

- Naskarżysz na mnie?

- Komu, Sydney? Nie. Nie dam ci tej satysfakcji. - Wstał i podszedł bliżej. - Wyjaśnijmy sobie coś. Nieważne, co zrobisz czy powiesz, nie jesteś w stanie poróżnić mnie i Sydney.

Rocky nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Przykro mi, Jack, ale tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

- To dla mnie żadna niespodzianka.

Zanim Rocky zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do biura wpadła Sydney. Na jej widok Jackowi zrobiło się dziwnie lekko na duszy. Jakby samą swoją obecnością mogła odsunąć kłopoty, które przyniosła ze sobą ta mała, siedząca po drugiej stronie biurka.

Wyszedł Sydney na spotkanie i zatrzymał ją, zanim podeszła bliżej.

- Nie uwierzysz, co tu mam. - W jednej ręce trzymał nakaz sądowy, w drugiej propozycję Recka.

Sydney wzięła od niego obie teczki. Zerknęła na nakaz i rzuciła z powrotem na blat. Ofertę Russella przedarła na pół, i jeszcze raz na pół. Jack uśmiechnął się.

- Boże, uwielbiam twój styl. - Nagle wydało mu się, że wszystko będzie dobrze.

Ponad ramieniem Sydney widział twarz Rocky Reck. Spodziewał się grymasu, ale ujrzał tylko tajemniczą minę, z której niewiele mógł wyczytać. Dziewczyna powoli opuściła nogi na podłogę. W obliczu stanowczości Syd cała jej brawura zniknęła w ciągu kilku sekund.

Jack z trudem oderwał od niej oczy, spoglądając z powrotem na Sydney. Przysunął się odrobinę bliżej.

- Mogę pomóc - szepnął.

- Nie, nie możesz. Właśnie wracam z kancelarii mojego prawnika. Nie do końca zrozumiałam jego wyjaśnienia, mówił coś o zasadach przekazywania funduszy. Cokolwiek przekażesz na rzecz galerii, zostanie uznane za moją własność. Z łatwością mogą przekonać sąd, by zamroził wszystkie aktywa galerii do czasu rozstrzygnięcia sprawy. A to podobno może się ciągnąć latami.

- Jak to możliwe? - zapytał Jack z oburzeniem. W pokoju rozległ się śmiech Rocky.

- Bo miała romans z moim tatą, kiedy jeszcze była żoną Henry'ego. Nie wiesz, jak to się robi? Wyeliminować pierwszego męża, zgarnąć jego szmal i uwić sobie gniazdko z kolejnym kochasiem. Czy ty nie oglądasz filmów? Jezu!

Jack potrząsnął głową. Sydney opowiedziała mu wszystko dawno temu. Wiedział o jej romansie z Russellem.

- To nie wyglądało tak...

- Ale tak to przedstawili - przerwała mu Sydney. - I skutek będzie ten sam. Spór ciągnący się latami. - Sydney odwróciła się, by spojrzeć na pasierbicę. - Nie chcę, żebyś była w to zamieszana, Rocky.

- Nie martw się. - Rocky wstała bez pośpiechu. Przechodząc obok Sydney, nachyliła się do niej i rzuciła teatralnym szeptem: - Zawsze będę po stronie tatusia.

Pokiwała palcami na pożegnanie i wyszła, zatrzaskując drzwi. Kiedy zostali sami, Jack pokręcił głową.

- Dlaczego jej na to pozwalasz? Sydney wpatrywała się w drzwi.

- Rocky i ja należymy do bardzo elitarnego klubu. Obie przetrwałyśmy Russella.

- Nie jesteś jej nic winna.

- Nie. Nie jestem.

- Więc po co ją tu trzymamy? Żeby nam zaglądała przez ramię i dostarczała jakieś cholerne oferty od tatusia?

- Poszłam dzisiaj z Russellem na drinka - powiedziała Sydney. Zatkąło go na moment.

- Spotkałaś się z nim? Beze mnie? Czy to było rozsądne?

- Nie wiem. - Sydney potrząsnęła głową, jakby budziła się ze snu. - Musiałam stanąć z nim twarzą w twarz, Jack.

- Słuchaj, ja wszystko rozumiem, ale pozwól, że teraz postąpię jak przystało na szowinistycznego macho; okażę swoje oburzenie i powiem ci, że następnym razem pójdę z tobą.

Westchnęła z rezygnacją.

- W porządku.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytał.

W papierach, które podała Sydney, Russell Reck obiecywał im furę pieniędzy pod warunkiem, że jego córka będzie prowadzić galerię. Jako wicedyrektor do spraw public relations czy coś w tym stylu. Zupełnie jakby kupował dla niej posadę, jakby Rocky nie była w stanie sama zdobyć żadnego stanowiska i musiała je dostać od Tatusia.

Oczywiście, nie tylko Rocky by na tym ucierpiała. Taki stan rzeczy zniszczyłby też jakąkolwiek więź, która mogła ją łączyć z Sydney. Jack podejrzewał, że właśnie o to chodziło.

- Nie potrzebujemy go - powiedział. - Możemy...

Ale Sydney pokręciła głową, chodząc niespokojnie po pokoju.

- Na razie nic nie będziemy robić. Jeszcze nie. Daj mi trochę czasu, żebym mogła to wszystko przemyśleć. A póki co możesz mi pomóc. Wprowadź w temat tę twoją śmieszoną kancelarię prawną.

Uśmiechnął się.

- Już do nich dzwoniłem. Zbierzemy własną ekipę prawników i skopujemy mu tyłek.

Zatrzymała się przed nim, spoglądając mu w oczy.

- Będzie nieprzyjemnie. Rząd i Russell będą chcieli mnie rozszarpać na kawałki. Nie śpiesz się, Jack. Może powinienes się zastanowić, zanim się zaangażujesz...

Zakrył jej usta dłonią.

- Nie zostawię cię samej. Nawet mnie o to nie proś.

Poczuł, że uśmiecha się pod jego palcami. Uniosła jego dłoń i przytuliła do niej policzek.

- Dziękuję.

Cała Sydney. Jak zawsze wdzięczna za wszystko.

Powtarzał sobie, że skoro uczyniła go swoim sojusznikiem, powinien poczuć się lepiej. Niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż stać u jej boku i układać razem z nią plany na przyszłość. Nie proś o więcej... czekaj na odpowiedni moment. Sydney sama do ciebie przyjdzie.

Ale kiedy wyszła, Jacka ogarnęło znajome uczucie pustki. Wiedział, że coś jest nie w porządku, skoro tak bardzo potrzebował jej fizycznej obecności. Jakby wychodząc z pokoju, mogła zniknąć na zawsze z jego życia.

- Kocham cię - powiedział na głos w pustym biurze.

Znali się jedenaście miesięcy. Od pięciu miesięcy byli zaręczeni. I do tej pory żadne z nich nie wypowiedziało głośno tych słów.

Rozdział 7

Alec wcale nie uważał, że wygląda głupio, czekając w środku nocy na Sydney pod drzwiami jej mieszkania. Zerknął na zegarek. Rany, ależ późno!

Powtarzał sobie, że przyście tutaj nie miało nic wspólnego z tym, że nie widział jej przez cały zeszły tydzień. Nie tęsknił za nią. Po prostu uznał, że dał już Syd wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko przemyślała. Żeby w końcu dotarło do niej to, co powiedział jej w szpitalu: potrzebowała jego pomocy.

Tak właśnie sobie myślał, zostawiając na jej cholernej sekretarce pięć wiadomości, na które nie odpowiedziała.

Dziś nawet pojechał do jej przypominającego grobowiec biura, usiłując ją tam złapać. Jak zwykle była uparta jak oślica - żadna nowość. To dlatego nie odpowiadała na jego telefony i nie można jej było zastać tam, gdzie powinna być. Jakby zupełnie nie obchodziło jej to, że Wrakarz wyszedł z więzienia.

Siedząc na jej progu, mógł wyglądać na ulicę, widział więc, jak podjechała i zaparkowała swojego lexusa. Wysiadła z samochodu, prosto w plamę światła ulicznej latarni. Była ubrana w tak obcisłą sukienkę, że Alec musiał przypomnieć sobie, po co tu przyjechał. Jego wizyta nie miała nic wspólnego z pięknymi wypukłościami jej ciała. Z tymi włosami i uśmiechem. Był tu tylko po to, by dać jej tę nieuchwytną drugą szansę, którą sam przegapił.

Kiedy spojrzała w jego kierunku, jakby wyczuwając jego obecność w ciemności, poczuł zupełnie nieuzasadniony zawrót głowy. I skąd ten nagły przypływ adrenaliny, kiedy jej spojrzenie odnalazło jego oczy? Dlaczego zastanawiał się, ile kroków musiałby zrobić, by spotkać ją w pół drogi, porwać w ramiona i potrząsnąć, aż nabrałaby rozumu... albo całować ją, aż zrobiłaby wszystko, co jej się każe?

Nieuzasadnione było też uczucie, które zjawilo się w następnej chwili. Wściekła, ślepa furia.

Powtarzał sobie, że musi zapomnieć, jaka jest uparta. Wystarczająco uparta, by spróbować rozegrać tę bitwę o własnych siłach. Nie bierz tego do siebie. Musiał się z tym wreszcie pogodzić.

Nie zdziwił się więc, kiedy Sydney stanęła przed nim, przyglądając mu się uważnie, i powiedziała:

- Chyba boję się ciebie wpuścić do środka.

Uśmiechnął się, próbując wyobrazić sobie własną minę. Pragnął jej do szaleństwa.

- Ależ, kochanie, nie bądź taka. - Chwycił kosmyk jej włosów i owinął sobie wokół palca. Dzień wcześniej lekarz powiedział mu, że może dać sobie spokój z temblakiem. A jednak ramię bolało jak diabli przy każdym ruchu. Pigułki przeciwbólowe przestał brać w dniu, w którym wyszedł ze szpitala. Nienawidził tego świństwa.

- Obiecuję, że będę grzeczny - powiedział.

- Takie zdanie można interpretować bardzo wieloznacznie.

- Uwielbiam kobiety z wyobraźnią.

- Ale z drugiej strony... - Przeszła obok niego i otworzyła drzwi - Nie pozwolę, żebyś mnie onieśmielał. - Ruchem ręki zaprosiła go do mieszkania.

- Dzielna dziewczynka.

Kiedy był już w środku, poczuł się lepiej. Jakby wrócił do domu. Jak kiedyś, kiedy miał jeszcze samolot i plany na przyszłość. Kiedy przychodził tu, mając coś konkretnego do zaoferowania... Teraz mógł tylko siłą narzucać jej swoje usługi.

Usiadł i oparł nogi na stole, obserwując, jak Sydney krząta się po mieszkaniu. Zrobiła mu kawę, dokładnie taką, jak lubił. Gęstą od cukru, z mnóstwem śmietanki. Alec był strasznie łąsy na domowe wygody, szczególnie kiedy zapewniał mu je ktoś inny. Patrzył, jak Syd nalewa sobie kieliszek wina. Pomyślał, że dobrze zabrał się do rzeczy. Nie chciał jej do niczego zmuszać. Wiedział, że namówi ją po dobroci. Gładko i łagodnie. Alec znał swoje kobiety.

Upił łyk kawy i unióś w górę kciuk na znak, że jest świetna. Sydney usiadła w fotelu. Była spięta, ale próbowała to ukryć.

- No więc, pomyślałem, że powinniśmy o tym porozmawiać - powiedział, odstawiając filiżankę. - O tamtej nocy. - A kiedy wciąż nie rozumiała, o co chodzi, dodał: - Buenos Aires.

Spojrzała na niego, jakby mówił w jakimś obcym języku, jakby potrzebowała czasu, by przetłumaczyć sobie jego słowa. Upiła kolejny łyk wina i zapytała:

- Przyszedłeś tu rozmawiać o Argentynie?

- Tak. Dzięki temu może zdołamy... oczyścić atmosferę. Wyjaśnić sobie wszystko. - Widząc, że Sydney mu nie dowierza, pochylił się do przodu i dodał żarliwie: - Chcę wszystko naprawić między nami, Sydney.

- Żeby w końcu zrobić dokładnie to, czego chcesz? Żeby pozwoliła ci zająć się Russellem?

- Nie bądź taka podejrzliwa.

- Doskonale znam twój styl działania, Alec. To oczywiste, że jestem podejrzliwa.

- Czy moje motywy rzeczywiście mają znaczenie? - zapytał, zmieniając taktykę. - Przecież w końcu to od ciebie zależy, jak się to skończy.

Zastanowiła się nad tym.

- Dobra. Zaczynaj.

- Nie ma sprawy. - Bawił się przez chwilę filiżanką. Nie spieszył się, może nawet bardziej ze względu na Syd, niż na siebie. Właśnie w takich momentach chciało mu się papierosa. Musiał się odprężyć. Właściwie nie miał zamiaru rzucać palenia, po prostu od wypadku nie palił. Poczł, że to dobry początek, więc trzymał się, powtarzając sobie, że wcale nie robi tego dla Sydney, która od dwóch lat go o to błagała.

Ale ostatni tydzień był dość kiepski. Alec przykleił sobie nawet plaster nikotynowy. W tej chwili zaczął się wręcz pocić. Bał się, jak zareaguje Sydney, kiedy usłyszy, co ma jej do powiedzenia.

- Tamtej nocy - zaczął - sporo wypiął. Myślałaś, że cię wykorzystałem. Ale nie rozumowałaś wtedy całkiem jasno.

- Więc może ty mi rozjaśnisz w głowie?

Sydney ubzdryngoliła się na wesoło, ale on był trzeźwy jak świnia. Nigdy nie pił. Miał uraz od dzieciństwa. Był świadkiem, jak jego rodzice zabijali się narkotykami i alkoholem i widział, co się działo, kiedy urywał im się film. Jego bawiły zupełnie inne rzeczy.

- Chodzi o to, że wiedziałem doskonale, co się dzieje. Myślałem za nas oboje.

Sydney odstawiła kieliszek.

- Cóż za ohydne, szowinistyczne stwierdzenie.

- Niby tak, ale spełniło swoje zadanie. - Widząc, że Sydney zaraz wybuchnie, dodał: - Wiele przeszliśmy. Przeżyjemy i to.

- A jeśli czekaliśmy za długo, Alec? Ja ruszyłam naprzód. Zaplanowałam przyszłość, podjęłam zobowiązania. Możesz wierzyć lub nie, ale pogodziłam się z tym, co między nami zaszło.

- Kłamiesz, aż ci się nos wydłuża. Do cholery, Syd, chyba stać cię na więcej.

- To znaczy? Skrzyżował ręce na piersi.

- „Ruszyłam naprzód” - powiedział melodramatycznym tonem. - „Pogodziłam się z tym, co między nami zaszło”. Pewnie. To dlatego sześć miesięcy później zaręczyłaś się z Zakutą Pałą? Klasyczny przypadek zawiedzionej kobiety, która szuka pocieszenia.

- Ależ z ciebie kutas, Alec.

Uśmiechnął się. Tak łatwo było ją zdemaskować.

- Nareszcie stwierdzenie, z którym mogę się zgodzić - powiedział. - A teraz przestań zgrzytać zębami i słuchaj. - Usadowił się wygodniej w fotelu. - Tamtej nocy jedno z nas kontrolowało sytuację. Może niekoniecznie ta osoba, która tego chciała... która powinna kontrolować. Czyli ty. Ale ja wiedziałem doskonale, co się dzieje. I byłem ostrożny. - Sydney nie reagowała. - Staram się zanalizować sytuację.

- Staraj się bardziej.

- No dobra. Seks. Było wspaniale. Więc dlaczego nie poszedłem na całość, no wiesz, ślub, dzieciaki, tak jak ty chciałaś? Daj spokój, Syd. Przecież oboje wiemy, że spieprzyłbym to. Oczywiście, pewnie jesteś przekonana, że zdołałabyś wszystko naprawić. Pomachałabyś swoją magiczną różdżką miłości i sprawiła, że sen by się ziścił. Ale takie historie raczej nie kończą się dobrze.

- A niby skąd ty wiesz tak wiele na ten temat?

- Jestem uważnym obserwatorem ludzkiej natury. - Uśmiechnął się znowu. - Dla ilustracji, weźmy na przykład twojego kochasia, Jacka. Próbuje dokonać rzeczy niemożliwej, przekonany, że jego miłość wystarczy dla was obojga... ale to mu się po prostu nie uda. - Alec poznał po minie Sydney, że trafił w czuły punkt. By dodatkowo wzmocnić efekt, dorzucił: - Tak jak nie udało się Henry'emu.

Spojrzała na niego, jakby ją uderzył.

- Cholera - powiedział. - Może powinienem był sobie darować to ostatnie zdanie.

Nienawidził sprawiać jej bólu. Między nim a Syd była jakaś dziwna więź, która sprawiała, że zbyt łatwo wczuwał się w jej cierpienie.

Conor powiedział kiedyś Alecowi, że ludzie, którzy kochają, wystawiają się na ciosy. Otwierają się przed tymi, których kochają, i nie są dość ostrożni. Tłumaczył Alecowi, że nigdy nie wolno mu tego

wykorzystywać - kolejna z nauk moralnych Conora, którą Alec puścił mimo uszu.

Alec wiedział mnóstwo o Sydney, o niektórych sprawach nawet opowiedziała mu sama. Ale większość faktów na jej temat wykopał na długo przedtem, zanim poznał ją osobiście. Była rozpieszczonym dzieckiem, wychowanym przez samotną matkę. Ojciec zmarł, kiedy miała dziewięć lat, i prawdopodobnie dlatego związała się z o wiele starszym od siebie mężczyzną. Szukała w nim tatuśka. Staruszka numer jeden, Henry'ego Shanksa, poślubiła, mając dwadzieścia dziewięć lat. Następny wybranek nie był dużo młodszy, ale za to z pewnością przysporzył jej o wiele więcej kłopotów.

Dwa lata temu Alec musiał wyeliminować Russella Recka z gry. Miał do wyboru: zniszczyć jego albo samemu się podłożyć i nie miał problemu z podjęciem decyzji. A pani Russellowa Reck była idealnym środkiem do osiągnięcia tego celu.

Ale Henry... nie powinien był wspominać o Henrym.

- Syd?

Uniosła gwałtownie głowę, jakby ocknęła się ze snu.

- Ach! Czekales na odpowiedź? No dobra, więc odpowiedź brzmi: nie. Nie wprowadzisz się tu, Alec. Nie będziesz się bawił w mojego anioła stróża. Poradzę sobie z Russellem. - Zmarszczyła brwi, posyłając mu zimne spojrzenie. - Czy to załatwia sprawę?

- A kto powiedział, że mam się tu wprowadzać? - Oczywiście, w samochodzie miał walizkę.

Wstała i przeszła do kuchni. Alec poszedł za nią, nie chcąc dać się tak łatwo spławić.

- Dobrze znam twoją taktykę, Alec - powiedziała Sydney, nie raczywszy nawet spojrzeć w jego stronę. - Oczyszczyć atmosferę, pogodzić się... a potem zrobić dokładnie to, czego chciałeś od samego początku. Chociaż takie ponížanie się to zupełnie nowa sztuczka. - Podeszła do zlewu i odwróciła się twarzą do niego. - Nie masz tu czego szukać, Alec. Idź sobie.

- No cóż, miałaś kilka dni na przemyślenie sprawy, ale widzę, że nie doczekam się żadnych rewelacji.

- Czyżbym cię rozczarowała? No to mam coś dla ciebie. Na temat tamtej nocy w Argentynie. Dowiedz się, że nie chodziło o żadne małżeństwo, dzieci czy inne bzdury w stylu „żyli długo i szczęśliwie”. Chodziło o jedną chwilę szaleństwa, kiedy wmówiłam sobie, że ty

jesteś Tym Jedynym. Mężczyzną moich snów. Jednym na milion, z którym powinnam spędzić życie. Moją prawdziwą miłością.

Cieszył się, że stoi oparty o stół, bo dzięki temu Sydney może nie zauważyła, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Poczł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch. Kobiety już nieraz wyznawały mu miłość. Ona nie była pierwsza. Więc dziwne było, że teraz nie mógł się ruszyć, nie mógł nawet złapać oddechu.

Kiedy znów był w stanie się odezwać, powiedział:

- Czy to miało mi poprawić samopoczucie? Sydney zamyśliła się na chwilę.

- Nie.

- To zabawne, Syd. Nie przyszedłem tutaj, żeby się kłócić. Przyszedłem ci wytłumaczyć mój punkt widzenia.

- Według mnie po prostu się boisz, że w końcu przyjąłm do wiadomości kilka faktów na twój temat.

- Boję się tylko tego, Syd, że uważasz mnie za swój główny problem. Ale nie ja jestem twoim problemem.

- Nie - powiedziała, podejmując jego grę. - Ty jesteś tylko moim zaufanym przyjacielem który przyszedł, by mi powiedzieć: „Przykro mi, ale nie spodziewaj się happy endu. Planujesz wesele? Z mojej szklanej kuli wyczytałem, że czeka cię katastrofa”.

- Ojej - Alec wydał wargi - zraniłem twoje uczucia. - Złapał ją za ramiona i ścisnął mocno, jakby chciał dodać fizyczny ból do jej cierpienia. - A ja myślałem, że w ogóle mnie nie słuchałaś.

Oddychała z trudem, z odrzuconą do tyłu głową, wpatrując się w jego twarz. A ta przekłeta sukienka była tak obcisła, że widział wyraźnie, co tracił przez ostatni rok. Twarz miała zaczerwienioną z wściekłości, ale źrenice rozszerzyły jej się z zupełnie innego powodu.

- Koniec zabawy - oblizala wargi, seksowna jak wszyscy diabli - drzwi są za tobą.

Alec uśmiechnął się.

- Chciałabyś.

Pocałował ją mocno w usta. Kiedy to nie wystarczyło, chwycił jej twarz w dłonie i przyciągnął ją bliżej. W Argentynie była pijana - mogła nie pamiętać. Ale w jego pamięci wyryła się każda sekunda, potrafił odtworzyć każdy moment. Kiedy ją teraz całował, czuł się tak, jakby go nigdy nie zostawiła. Jakby nigdy nie wyszła z tamtego hotelowego pokoju, w którym przeżyli noc niesamowitego seksu. Byli

jak dwa magnesy, które wreszcie przestały się odpychać... W końcu zdołali zamienić swój gniew w to, czego oboje pragnęli przez cały czas.

Takie właśnie myśli chodziły mu po głowie, kiedy Sydney odepchnęła go i zamachnęła się, by wymierzyć mu celny, piekący policzek.

Alec nie zwrócił uwagi na ból. Usłyszał, jak w zlewie tłuką się naczynia, które stracił łokciem, usiłując odzyskać równowagę. Wyciągnął rękę i złapał dłoń Sydney, zanim zdążyła uderzyć go drugi raz. Obrócił ją wokół siebie, jak w walcu, i przycisnął do zlewu. Zaklął soczyście, kiedy jego ramię przeszył palący ból. Przytrzymał ją tak, uwięzioną, przyciskając jej ręce do boków.

Spojrzał w jej twarz. Była taka wściekła... taka podniecona. Zawahał się, nie wiedząc, do czego to wszystko prowadzi. Sydney oddychała z trudem. Jej oczy wydawały się nieprawdopodobnie ciemne. Przybliżył usta do jej ust, drażniąc się z nią. Wyczuł w jej oddechu słodki zapach wina.

- Przez ciebie zawsze robię wszystko nie tak - powiedział.

- O, pewnie. Mea culpa. Uśmiechnął się.

- Co, nie chcesz, żebym cię całował?

Pchnęła mocno obiema dłońmi jego szeroką klatkę piersiową. Nie spodziewał się tego. Zatoczył się do tyłu, aż jego łopatki oparły się o lodówkę, którą miał za plecami. Zanim zdążył złapać oddech, Sydney była już przy nim. Teraz to ona przyciskała go do lodówki. Chwyliła go za włosy i przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy, zbliżając usta do jego ust.

- Nie słuchasz mnie, Alec - wyszeptała. - Nigdy nie mówiłam, że nie chcę, żebyś mnie całował. W ogóle mnie nie słuchasz.

Było dokładnie tak, jak to zapamiętał; miękkość jej warg, jej smak... potrafiła sprawić, że pragnął o wiele więcej.

Miała niesamowite usta. To była pierwsza rzecz, jaką zauważył. Przez te miesiące, kiedy szwendali się po Ameryce Południowej, Peru, Ekwadorze, wciąż myślał o jej ustach, wyobrażając sobie, jak by to było całować się z nią. Alec lubił podejmować ryzyko. Nie miał nic przeciwko wplątywaniu się w przygody bez brania pod uwagę konsekwencji. Ale Syd działała inaczej. I w tej chwili doprowadzała go do kompletnego szaleństwa.

- Powiedz szczerze, Syd - powiedział, całując ją do utraty tchu. - Czy on potrafi sprawić, żebyś o tym zapomniała?

Nie, jakoś nie mógł sobie wyobrazić Sydney z Jackiem... nie potrafił pogodzić się z tym, że mogłaby należeć do innego mężczyzny.

- A ja prawie uwierzyłam, że chcesz mnie uwieść tylko po to, by postawić na swoim - powiedziała, rozkosznie zasapana.

I nagle Alec poczuł, że znieruchomiała w jego ramionach. Otworzyła oczy.

- Co ja mówię? Oczywiście, że chcesz mnie uwieść, by postawić na swoim.

- Sydney, w tej chwili nawet bym się z tobą ożenił... gdyby to był jedyny sposób, żebyś przejrzała na oczy.

- Mój ty rycerzu w lśniącej zbroi.

- No dobra - powiedział, odzyskując oddech i odsuwając się o krok. Uniósł ręce w górę. - Rób, co chcesz. Koniec. Na razie.

Tylko że to nie był koniec. Nie dla Aleca. Według niego to zupełnie nie miało sensu. Sydney go potrzebowała. Dlaczego go odpychała? Dlaczego chciała go zostawić dla tamtego wymoczek?

Potrząsnął głową, jakby chciał poukładać sobie to wszystko, póki stoi tu, w jej kuchni. Kiedy zmieniły się zasady gry? Cholera, czy nie dla niej pędził z powrotem do Stanów? Zaryzykował wszystko? Czy to jej nie wystarczało? No cóż, widocznie nie. Bo znalazła sobie kogoś na jego miejsce.

- O tak. Mam już tego powyżej uszu - powiedział, starając się mówić spokojnie, by głos nie zdradził jego gniewu i urazy. Chce być sama? Nie ma sprawy.

Odwrócił się i ruszył do drzwi, sięgając do kieszeni po kluczyki. Pomyślał, że jeśli Syd ma ochotę związać się z Jackiem i całe życie zdychać z nudów, jej sprawa. Jest już dużą dziewczynką. Zaznała przecież rozkoszy małżeństwa i wiedziała, w co się pakuje.

Ale kiedy był już przy drzwiach, poczuł, że nie może wyjść. Jakby natrafił na niewidzialne pole siłowe. Ta scena za bardzo przypominała powtórkę tamtego przedstawienia w Argentynie, kiedy pozwolił jej odejść, skrzywdzonej i urażonej. Poza tym, za bardzo się namęczył, żeby w ogóle przekroczyć próg.

Odwrócił się. Obiecał sobie, że nie będzie jej błagał... w końcu wszystko, co jej powiedział, było prawdą.

- Nie wychodź za niego, Syd. To pomyłka. Przed chwilą tu, w tej kuchni, udowodniłem ci to.

Czekał na reakcję, przyglądając się jej uważnie. Ale po raz pierwszy nie potrafił nic wyczytać z tej pięknej twarzy. I nie był przygotowany na jej odpowiedź.

- Udowodniłeś tylko to, że nigdy nie powinnam była cię tu wpuszczać, Alec.

Uśmiechnął się.

- No tak, pewnie. - Zasalutował jej na niby. - Co też mi przyszło do głowy?

Kiedy znalazł się na dworze, zmusił się, by przestać myśleć o czymkolwiek. Nie miał pojęcia, w którym miejscu się pogubił, ale było zupełnie jasne, że właśnie stracił idealną okazję, by przemówić Syd do rozumu.

Był naprawdę wkurzony. Dlaczego w kółko próbował dojść do ładu z tą upartą babą? Dlaczego nie potrafił odwrócić się i odejść? Oczywiście nie chodziło o to, że chciał się z nią ożenić - do tego nie miał żadnego prawa. Chciał tylko, żeby była bezpieczna. To wszystko. Na litość boską, czy prosił o zbyt wiele? Ile razy ryzykował dla niej własny tyłek? Czy nie mogłaby być choć trochę wdzięczna?

Nie chciała zostawić narzeczonego. Ciekawe, dlaczego się do niego nie wprowadziła?

Zatrzymał się obok swojego chevroleta i potrząsnął głową. Opierał się przez chwilę o karoserię, usiłując dojść z tym wszystkim do ładu.

- Kogo ja chcę oszukać? - mruknął półgłosem.

Ruszył z rykiem silnika. Wciąż słyszał w głowie jej słowa: „mężczyzna moich snów”. O tak. To właśnie on. Pan Jeden - na - milion.

No i ta historia z Henrym. Nie mógł sobie wybaczyć, że poruszył ten temat, i to nie tylko dlatego, że sprawił ból Sydney. Henry Shanks przypominał o pewnej tajemnicy, której Alec bardzo się wstydził. To był główny powód, dla którego nie powinien się żenić z Syd, niezależnie od tego, czy potrafiłby dać jej szczęście. Jeśli kiedykolwiek dowie się o Henrym...

Myślałby kto, że Alec w końcu się czegoś nauczy. Sydney nie była pierwszą kobietą, którą rozczarował. Do diabła, był prawdziwym specem w tej dziedzinie. Powinien ruszyć dalej, widział to tak jasno,

jakby drogę oświetlał mu potężny reflektor. Ale on był jak króliczek z reklamy baterii. Nie potrafił dać sobie spokoju.

Właśnie to powinien teraz zrobić. Dać sobie spokój z tym udawaniem rycerza - zbawcy. Ruszyć naprzód...

Opuścił szybę, pozwalając, by chłodne powietrze studziło jego rozgorączkowaną głowę. Kiedy to nie wystarczyło, włączył radio na cały regulator, mając nadzieję, że zagłuszy własne myśli. Ale wciąż słyszał: Jeden na milion".

No cóż, dał jej szansę. I wiedział, co musi teraz zrobić. Nadeszła pora na plan B.

- Wolałbym to załatwić inaczej, ale, do diabła, nie dała mi wyboru. Uśmiechnął się, mrużąc pod nosem melodię płynącą z radia. A im dłużej myślał o nadchodzących dniach, tym szerszy stawał się uśmiech na jego twarzy. W końcu zaczął się śmiać na cały głos, naciskając mocniej pedał gazu.

Zdaje się, że Sydney miała rację. Nigdy nie powinna była wpuszczać go za próg.

Sydney oparła się o stół. Usłyszała, jak Alec zatrzasnął za sobą drzwi.

Zapatrzyła się w popękane naczynia i sięgnęła po kieliszek z winem, który postawiła obok na blacie. Miała ochotę stłuc go w zlewie, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- Nie mam zamiaru ponosić więcej strat przez tego przekłętego faceta - powiedziała, odstawiając delikatnie kieliszek.

Była wściekła, że potrafił ją do tego doprowadzić. Potrafił wyrzucić jej świat do góry nogami i na lewą stronę. To było jak z... czekoladą. Wiedziała, że nie powinna jej jeść, ale kiedy widziała przed sobą tabliczkę, cała ta wspianiała, budowana z takim trudem siła woli zniknęła, zagłuszona jedną myślą: ale ja kocham czekoladę!

No cóż, ale Aleca Portera nie wolno jej było kochać.

- Do diabła z tobą, Alec!

Pięć miesięcy temu życie było proste. Galeria. Jack. Potem nagle w jej drzwiach stanął Alec i jak wąż z powrotem wkręcił się w jej życie. „Spokojnie, Syd. Jesteśmy tylko przyjaciółmi”. Pomyślała sobie: Nie ma sprawy. To się da zrobić. Myślała, że będzie potrafiła utrzymać swój związek z Jackiem i zrealizować ich wspólne marzenie o galerii. Obecność Aleca nie musiała wcale niczego zmieniać.

Niestety, obecność Aleca zawsze wszystko zmieniała.

„To się po prostu nie uda, kotku, tak jak nie udało się Henry'emu”.

Zastanawiała się, czy to właśnie zabolalo ją najbardziej. Fakt, że Alec miał absolutną rację.

Sydney usiadła przy kuchennym stole i ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże, co ja narobiłam? - Człowiek powinien się uczyć na własnych błędach.

Na ścianie za jej plecami zadzwonił telefon. Uniosła głowę, wiedząc doskonale, kto dzwoni. Robili to każdego wieczoru. Dzwonili do siebie, by powiedzieć sobie dobranoc.

Wpatrywała się w telefon, czekając, aż uruchomi się sekretarka. Słuchała głosu Jacka, który mówił, że już za nią tęskni. „Jesteś pewna, że nie chcesz się do mnie wprowadzić? Hej, mała, niedługo możesz zostać bez dachu nad głową. Może jednak przemyślisz to jeszcze raz? Kiepski żart. Przepraszam, kochanie. Wiesz, że nie pozwolę mu wygrać”.

Sydney wstała, biorąc głęboki oddech. Musiała wziąć się w garść. Nie mogła dopuścić do tego, by Alec nią manipulował. Mogę wszystko naprawić, jeszcze nie jest za późno. Powtarzała to sobie, wyjmując ze zlewu potłuczone naczynia i wkładając je do kosza. Była teraz starsza. Mądrzejsza. Jack zasłużył na jej lojalność. Tak samo zresztą, jak Henry.

Ale nagle, na wspomnienie Henry'ego, przerwała gorączkowe porządki i oparła się bezwładnie o zlew. Wydarzenia całego zeszłego tygodnia przemknęły jej przed oczami.

Tak naprawdę była winna Jackowi tylko jedno.

Nie mogła pozwolić, by skończył jak Henry. Martwy.

Rozdział 8

Alec Porter zawsze miał swoje tajemnice. Sekrety, które kosztowały go utratę rodziny i które złamałyby serce Sydney.

Siedząc naprzeciwko Russella Recka w osławionych biurach Reck Enterprises pomyślał, że nie zaszkodzi mu, jeśli doda do tej listy kolejną tajemnicę.

Jeszcze zanim Sydney odrzuciła jego ofertę i kazała mu iść do diabła, Alec przygotował się na najgorsze. Plan B. Z niewielką pomocą dawnych znajomych stworzył komplet dokumentów, które w czarodziejski sposób zmieniły Aleca Portera w niejakiego Jamesa Flinta, przedsiębiorcę internetowego, szukającego szczęścia w innej branży. Nowe nazwisko wymagało nowego wyglądu. Zeszłego wieczoru był u fryzjera i teraz z jego naturalnych, ciemnych włosów sterczały platynowe pasemka. By podkreślić nowy styl, wetknął w ucho pojedyncze złote kółeczko. Kolorowe szkła kontaktowe dopełniły całości. Czarna skórzana marynarka opadała miękko do kolan niczym prywatna wersja peleryny Supermana. Nowa tożsamość zapewniała mu względne bezpieczeństwo, kiedy wszedł do sali konferencyjnej Recka. Wreszcie mógł stanąć oko w oko z wrogiem.

- Kto mógł przewidzieć, że zupełnie zniknie popyt na moje usługi? Straciłem wszystko - powiedział Russellowi Reckowi, siedząc przy drugim końcu stołu. Wzruszył ramionami. - Ale pan ma środki, jakich potrzebuję. - Pchnął po błyszczącej powierzchni stołu dokumenty, które wyciągnął z teczki. Wraz z ofertą podał stosik dyskietek: system unikania kolizji, który doskonalił przez cały zeszły rok.

Z tego, co powiedziała mu Sydney, wynikało, że Reck wyszedł z więzienia pod warunkiem wycofania się z biznesu lotniczego. Usunął swoje nazwisko z nagłówek na papierze firmowym, pozwalając, by przedsiębiorstwo działało bez niego, zarządzane przez jego córkę. Ale zatrzymał swój wygodny, narożny gabinet z widokiem, rzekomo ograniczając się do poszukiwania przyszłych możliwości rozwoju dla przedsiębiorstwa. Lew zamienił się w owieczkę.

Tylko że Alec w to nie wierzył - co stwarzało kilka interesujących możliwości. Plan B.

Uśmiechając się szeroko do Wrakarza, powiedział:

- Mam nadzieję, że uzna pan moje warunki za korzystne.

Przybrał luzacką pozę, oparłszy nogę w kostce na kolanie, jedno ramię przerzuciwszy przez oparcie stojącego obok krzesła. Za wysokim od podłogi do sufitu oknem widać było zatokę z żaglówkami podskakującymi na falach. Taki widok można było mieć tylko za pieniądze.

To nie była jego pierwsza wyprawa do jaskini Wrakarza, ale miał pewność, że nikt go nie zapamiętał. Tak, jak powiedział Sydney, był poza zasięgiem radaru Russella.

Reck przerzucał strony oferty. Alec czekał cierpliwie. Po Wrakarzu widać było, że ostatni rok mu nie służył, jednak Alec wciąż rozpoznawał oczy mordercy.

Nie bał się. Grał swoją rolę, podchodził wroga. Do diabła, to była dla niego prawdziwa frajda.

Przypomniawszy sobie, jak Conor opowiadał mu kiedyś o lataniu. „To jedyna rzecz, która potrafi uciszyć hałas w mojej głowie”, mówił. Kręcenie w powietrzu beczek i ósemek było jego bratu niezbędne do życia jak tlen.

Alec czuł się równie szczęśliwy, kiedy mógł mocno postawić obie nogi na ziemi. Latali wtedy z Conorem eksperymentalnymi „odrzutowcami X”.

Płacono im, żeby wyciągali z tych maszyn, co się da. Nie każdy wychodził żywy z takiej roboty.

Nie, Aleca nadstawianie karku nie podniecało tak bardzo, jak Conora. Ale kiedy tak siedział naprzeciwko człowieka, którego nazywali Wrakarzem, z nową twarzą i nazwiskiem, ryzykując, że facet skojarzy fakty - czuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach.

Reck rzucił kontrakt na stół.

- Oprogramowanie, które ratuje życie - powtórzył slogan reklamowy Aleca. - Chce pan zrewolucjonizować podróże powietrzne w chwili, kiedy przestarzałe maszyny spadają z nieba jak kamienie. Nie pan jeden.

- Rzeczywiście, to przykre być jednym z wielu. A jednak... - Pochylił się do przodu, wczuwając się w rolę. - Proszę tylko pomyśleć. Program przejmuje sygnały z transponderów znajdujących się na wszystkich samolotach w okolicy. Komputer pokładowy określa ryzyko kolizji, a mój program poleca pilotowi wykonać odpowiedni manewr, który pozwoli jej uniknąć. Jeśli pilot nie

posłucha, bo na przykład nie uważał, wyszedł się odlać albo zemdłał, samolot robi to za niego.

Uśmiechnął się, pozwalając Reckowi złapać oddech, zanim uderzy w najczulszy punkt.

- Już sami dziennikarze są w stanie ruszyć tę firmę z miejsca. Trudno o lepszą reklamę niż wieczorne wiadomości. - Zmarszczył brwi, jakby nie wiedział, czy mówić dalej. - Ale przecież pan już o tym wie. Morderstwo współnika: podejrzany magnat przemysłowy wychodzi na wolność. To mój ulubiony tytuł.

Brązowe, pozbawione wyrazu oczy Recka spojrzały na Aleca uważnie.

- Mam nadzieję, że niedługo im się znudzi.

- Możliwe, ale jeśli mam rację, to Reck Enterprises może wkrótce dostać kilka pozytywnych recenzji. Spece od reklamy trochę pomogą i firma nie zejdzie z pierwszych stron gazet.

Reck spojrzał na dyskietki.

- Pod warunkiem, że to działa.

- Jak szwajcarski zegarek.

- Pan się wydaje bardzo pewny siebie.

- Jestem cholernie pewny siebie.

Alec wiedział, jak funkcjonuje ten mechanizm. Kiedy człowiek zbyt długo gra czarne charaktery, zaczyna się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek obsadzą go w innej roli. I oto zjawia się James Flint, przynosząc Wrakarzowi świętego Graala aeronautyki. Jeśli akcje Reck Enterprises miały jeszcze kiedykolwiek pójść w górę, firma musi odzyskać zaufanie społeczeństwa.

- Oblatywałem ten program przez prawie rok - mówił dalej Alec.

- Obecnie używany system jest do niczego; zbyt dużo fałszywych alarmów. Ale mój system ma wbudowany wykrywacz błędów i algorytmy. Nazwałem to „Złota Gęś”.

- Pan to sam testował? Jest pan pilotem?

Alec uśmiechnął się. Opowiadanie bajeczek to była ulubiona część zabawy.

- Nie w tym życiu. Zatrudniłem do tego przyjaciela. Ja jestem tylko amatorem. Dwa lata temu prawie uzyskałem licencję na citabrii - dodał, wspominając samolocik z kółkiem na ogonie, na którym uczyli się latać różni zapaleńcy. - Ale nie mogę sobie pozwolić na

utrzymanie samolotu. Jeśli pan mnie zatrudni, może to się zmienić. Słyszałem, że helikoptery to niezła frajda.

- Wygląda pan na człowieka, który nie boi się ryzyka, panie Flint. Alec wstał, zbierając się do wyjścia. Jego motto brzmiało: Zawsze wychodź w najciekawszym momencie.

- Proszę to podrzucić swojej ekipie badawczej - puścił oko. - Niech oni panu powiedzą, czy to ryzykowne.

Ale Reck jeszcze z nim nie skończył. Zanim Alec dotarł do drzwi, Russell zawołał:

- Jeśli pańska „Złota Gęś” rzeczywiście jest taka dobra, kupiłby to od pana każdy. Boeing, Lockheed - Martin. Mam uwierzyć, że najpierw przyszedł pan do mnie? Do firmy, która stoi na granicy bankructwa?

Alec odwrócił się.

- Ja to widzę tak: pan mnie potrzebuje. Może nawet bardziej, niż ja potrzebuję tej posady. - Udawał, że zastanawia się, co powiedzieć dalej. - Podoba mi się taka sytuacja.

Alec wyszedł, wiedząc, że Reck zacznie się teraz ślinić nad jego programem. Wychodząc z biura, zaskłamał recepcjonistkę, na dole przytrzymał drzwi staruszkowi z laską. Kiedy był już na dworze, założył lotnicze okulary i skręcił za róg, do samochodu. Marynarka łopotiała mu zawadiacko wokół kolan.

O tak, miał przed Sydney kilka sekretów. Bardzo niemiłych. Gdyby wyszły na jaw, nie chciałaby go więcej widzieć na oczy. Ale ten sekret... ten sekret mógł ocalić ich oboje.

Czekając na Jacka w jego biurze, Sydney rozmyślała o psach. Zastanawiała się, czy nie powinna sobie jakiegoś kupić. Naprawdę dużego, obronnego psa? Z tych, co to na filmach sypiają w nogach łóżka jak pluszowa przytulanka, zawsze gotowe rozerwać każdego intruza na strzępy. Albo ridgebacka, jak Fred i Ethel, psy Jacka. Powinna go o to zapytać. Dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej rasy.

Pies mógł pomóc. Może dzięki niemu nie budziłaby się w nocy zlaną zimnym potem. Może nie musiałaby brać pigułek, żeby znów zasnąć.

Naprawdę powinnam się nad tym zastanowić, pomyślała, otwierając górną szufladę biurka Jacka i wydając blaszane pudełko miętówek. Powinna dopisać psa do swojej listy bieżących spraw.

Gdzieś między wsadzeniem Russella za kratki i złamaniem serca Jackowi.

Gapiała się na miętówki i w końcu wrzuciła z powrotem do pudełka tę, którą trzymała w dłoni. Niestety, to ostatnie, z Jackiem... to było najpilniejsze.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Obracając się razem z fotelem, zobaczyła Jacka, który uśmiechnął się i ruszył w jej stronę. Dzisiaj rano omówili z prawnikami Jacka najnowszą strategię działania. Siedzieć cicho. Zorientować się, z czym wyskoczy rząd, kiedy już zakończy dochodzenie. „W tej chwili mamy związane ręce”, powiedzieli jej. Musieli czekać, aż sąd przekaże im pałeczkę.

Sydney nie angażowała się w tę dyskusję. Myślami była gdzie indziej. Planowała to spotkanie, wiedziała, że jest nieuniknione. „To się po prostu nie uda... tak jak Henry'emu”. Słowa Aleca prześladowały ją przez cały czas.

Jack rzucił na biurko dokumenty. Natychmiast wyczuł jej nastrój, zmusił się jednak do uśmiechu. Cały Jack. Zawsze próbował robić dobrą minę do złej gry.

- Najgorsze, co może nas spotkać - powiedział, biorąc ją za rękę - to to, że odłożymy na bok wszelkie sprawy związane z galerią, złapiemy samolot do Vegas...

Sydney odruchowo cofnęła dłoń.

- Jack, musimy porozmawiać.

Patrzyła na niego, obserwowała wyraz jego twarzy. Wyglądał niemal tak, jakby już wiedział.

- A więc to tak - powiedział. O tak. Wiedział doskonale.

- Jack, tak mi przykro.

- Czekaj. - Uniósł rękę w górę. - Nie spiesz się tak. Nie zaczynaj od przeprosin. Przecież to jeszcze nie wszystko.

Skinęła głową i wstała. Sięgnęła do prawej dłoni, by zdjąć pierścionek zaręczynowy.

- Do diabła, Sydney. Powiedziałem, zaczekaj!

Opuściła bezwładnie ręce, a w końcu objęła się nimi w talii. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć czy zrobić, żeby to nie wyglądało tak fatalnie. Och, Jack, uważaj się za szczęściarza. Nie będziesz częścią mojego koszmarnego życia. Ale wiedziała, że on nigdy nie zrozumie jej punktu widzenia, i rozpaczliwie chciała mu to wszystko wytłumaczyć.

- Nie potrafię dać ci szczęścia, Jack.

Nie zdążyła jeszcze dopowiedzieć do końca tych słów, a już wiedziała, że źle zaczęła. Ale Jack nie zrozumiałby, gdyby podała mu prawdziwy powód - Russella i jego groźby. Był twardzielem, prawdziwym macho, i wyśmiałby tylko to, że boi się o jego życie.

No i, oczywiście, było jeszcze ostrzeżenie Aleca. „To się po prostu nie uda, kotku... tak jak nie udało się Henry'emu". I jej reakcja na te słowa.

Alec wstrząsnął nią tamtego wieczoru. Wydobył na światło dzienne jej prawdziwe uczucia, uświadomił, że popełnia stare błędy. Sydney zawsze była przekonana, że człowiek powinien uczyć się na własnych błędach.

Tak bardzo pragnęła uszczęśliwić Jacka.

Obeszła biurko. Czowała się niezręcznie, wiedziała, że nie jest do końca uczciwa.

- Jack, moje życie przez ten ostatni rok... jest mnóstwo spraw, z którymi muszę dojść do ładu. Zaslugujesz na coś lepszego.

- Nie, Sydney. - Usiadł bezsilnie w fotelu, potrząsając głową. - Zasluguję dokładnie na to, co mnie spotyka.

Sydney odwróciła się. Stała po drugiej stronie pokoju, od Jacka oddzielało ją biurko. Nie poczuła się przez to ani trochę lepiej.

- No cóż - powiedział - właściwie spodziewałem się tego. - Potarł twarz rękoma. - Nie dotknęłaś mnie już od tygodni. Myślałem... Myślałem, że jakoś to przetrwamy. Nie przyszło mi do głowy, że możesz nie dać mi tej szansy.

Zawsze świetnie się rozumieli, potrafili kończyć nawzajem swoje zdania, zupełnie jakby czytali sobie w myślach. Sydney wiedziała, co Jack powie, jeszcze zanim się odezwał.

- Za mocno cię naciskałem - ciągnął. - Poganiałem cię. To zupełnie normalne, że się wystraszyłaś...

- Tu nie chodzi o strach.

- Nie. Rzeczywiście. Ja po prostu nie potrafię się z tym pogodzić, Sydney, że nie będziesz moją nagrodą za te wszystkie wysiłki. Wiem, że to głupie...

- Jack, proszę cię. Nie rozpaczaj aż tak. Nie przeze mnie.

- Daj mi choć jeden powód do radości, to przestanę rozpaczać.

Podeszła do niego i wzięła jego dłonie w swoje. Było jej przykro, że nie dotykała go ostatnio, że to pierwszy ciepły gest od tak dawna.

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o małżeństwie? Pamiętasz to wszystko, co ci wtedy powiedziałam? Wszystkie moje obawy? Nie wiem, jak to zrobiłeś, jakim cudem sprawiłeś, że wszystkie wydały mi się nieistotne; Ale to był błąd. Muszę się uporać z kilkoma prawdziwymi problemami, zanim uczynię kogokolwiek częścią swojego życia. Nawet ciebie, Jack. - A skoro nie odpowiadała, mówiła dalej: - Posłuchaj, ja się zupełnie nie sprawdzam w małżeństwie. Dajmy sobie z tym spokój. Na pewno jest gdzieś kobieta, która potrafi dać ci szczęście i nie ma ze sobą takiego bagażu doświadczeń, jak ja.

- Chcesz mnie zbyć oklepaną gadką, że zasługuję na coś lepszego? - Wstał i pokręcił głową. - To nie będzie takie proste. - Wepchnął ręce do kieszeni, jakby musiał się powstrzymać, by nie złapać jej za gardło. Odwrócił się niechętnie, powtarzając sobie w duchu: Weź się w garść, Bosse. Nie daj się ponieść nerwom.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie i wyświadczyć mi tę przysługę: bądź szczerą. Czy chodzi o Portera? - zapytał w końcu.

- Oczywiście, że nie - powiedziała, bo to nie było zbyt dalekie od prawdy i o wiele mniej skomplikowane. Rozmyślała o tym przez większą część zeszłej nocy i doszła do wniosku, że chodzi tylko o nią i o Jacka. I o nikogo więcej.

Kiwnął głową, z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Więc chyba mam gotową odpowiedź na pytanie numer dwa: Czy z nim sypiasz?

Kompletnie ją tym zaskoczył. Zaciśnęła powieki.

- Jack. Okaż mi trochę więcej zaufania.

- Więc o co, do diabła, chodzi? Miesiąc temu wszystko było w porządku. Teraz nagle...

Umilkł, powoli wyjmując ręce z kieszeni. Miał taką minę, jakby nagle doznał olśnienia. Uśmiechnął się szeroko i podszedł do niej, potrząsając głową.

- Ty się o mnie boisz? Przez Russella? Och, skarbie, nie! - Wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona. - Jestem dużym chłopcem, potrafię się o siebie zatroszczyć.

Odepchnęła go od siebie.

- Nie ty będziesz o tym decydował.

- O ile się orientuję, to powinna być właśnie moja decyzja.

- Nie mogę, Jack. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś ucierpiał z mojego powodu. Nie tym razem.

- Więc mam sobie pójść? Mam zostać sam przez resztę życia, bo twój podejrzenie o morderstwo eksmąż mógłby, powtarzam, mógłby, uwziąć się na mnie? To nie do przyjęcia.

- Jack, zupełnie się nie orientujesz, z kim masz do czynienia.

- Zostawiasz mnie. Z tym mam do czynienia. Nic innego mnie nie obchodzi. Słuchaj, ja sobie nie powiem: „Ojej, chyba nam nie wyszło. Mówi się trudno”. Dla mnie to nie jest takie proste. Jeśli odejdziesz, nie poszukam kogoś lepszego. Będę sam. Po prostu. Więc jakikolwiek „bagaż” ze sobą niesiesz, biorę cię razem z nim. I nie boję się.

- No cóż, ale ja się boję. - Zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy. - A ty nie będziesz sam. To nie w twoim stylu. To nic, że teraz nie chcesz tego przyznać; ale na pewno będzie ktoś inny.

Złapał ją za nadgarstek. W jego zwykle spokojnych, niebieskich oczach pojawił się niemiły wyraz. Nawet jego uśmiech był jakiś dziwny, przebiegły.

- Może źle podchodzimy do całej sprawy - powiedział. - Co powiesz na inny punkt widzenia? Pomyśl tylko, ta cała historia z Russellem może być dla ciebie wygodna. Biedna Sydney, musi się tak strasznie poświęcić. Musi zostawić Jacka dla jego własnego dobra. - Przyniósł się do niej bliżej i szepnął: - Przyznaj się, nie odczuwasz nawet odrobiny ulgi? Stary dobry Russell dał ci świetną wymówkę, żebyś ode mnie odeszła. Prosto w ramiona Portera.

- Jack, masz wszelkie prawa, żeby się gniewać...

- Żebyś wiedziała, że jestem wkurzony. Czuję się jak idiota. Ten gnojek wrócił zaledwie kilka miesięcy temu, a już wszystko, nad czym pracowałem, wyślizguje mi się z rąk. On cię nawet nie kocha. Na pewno nie tak jak ja.

- Wszystko, nad czym pracowałeś? - Kiwnęła głową. - Tak. Pracowałeś nad tym bardzo ciężko, Jack. Zaplanowałeś małżeństwo. Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo jesteś zawiedziony, że interes ci nie wypalił.

- Nie to miałem na myśli...

- To tylko inny punkt widzenia, Jack. Natychmiast zrozumiał swój błąd. Opuścił głowę.

- O Boże, Sydney. Przepraszam.

- Jack - powiedziała, zniżając głos, chcąc się dopasować do jego tonu - masz prawo czuć się zraniony. Ale nigdy by nam nie wyszło. Patrzysz na mnie i widzisz wszystkie elementy potrzebne do udanego małżeństwa: wykształcona, ładna, a nawet katoliczka. Jestem odpowiednią kobietą na stanowisko żony, a ty jesteś gotów przeprowadzić fuzję swojego życia. To nie jest miłość.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

Tym razem, podając mu pierścionek, zacisnęła wokół niego palce Jacka.

- Przyznaj to wreszcie, Jack. Zakochałeś się, używając wyłącznie głowy. Nie serca.

Idąc do drzwi, uświadomiła sobie jasno, że wszystko, co powiedziała, było prawdą. Jack nie był marzycielem. To, co do niej czuł, miało więcej wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, niż z czymkolwiek innym. Nie łączyła ich żadna szczególna więź. To nie była miłość.

- Sydney, stój.

Była już prawie przy drzwiach. Zmusiła się, by iść dalej. Niech się wścieka. Gniew mu dobrze zrobi. Ale Jack dogonił ją i stanął tuż za jej plecami.

- Nie odchodź tak - powiedział, odwracając ją do siebie. - Naprawdę potrafisz zostawić mnie i wszystko, co razem zbudowaliśmy? - zapytał.

- Prawdę mówiąc, Jack, nie wiem, jak moglibyśmy dalej razem pracować.

- Więc mnie nie doceniasz. - Niewiarygodne, ale uśmiechnął się do niej. - Wiesz co? Myślę, że nie powinienem się w tej chwili w ogóle odzywać. To wszystko, to dla ciebie za wiele. Wariujesz od tego. Doskonale to rozumiem. Ale oboje wierzymy w Centrum Sztuki. Wracaj sobie do Portera, pieprzę to. Spław go albo się z nim prześpij. Nic mnie to nie obchodzi. W końcu i tak cię zostawi. A ja będę na ciebie czekał.

- Jack, gadasz jak wariat...

- Myślę, że to najrozsądniejsza rzecz, jaką powiedziałem od dziesięciu minut. Dokończmy to, co zaczęliśmy, Sydney. Nie pozwól, żeby Russell zwyciężył nas bez walki. Jeśli po tym wszystkim my... jeśli to w końcu nie wypali, trudno. Ale nie rezygnuj z centrum. Nie odbieraj mi i tego, Syd.

Głos wewnętrzny mówił Sydney, że powinna odejść. Wyjaśnili sobie parę podstawowych spraw. To było najlepsze wyjście. Ona mogła toczyć swoją wielką bitwę, a Jack pozostałby bezpieczny.

Ale patrząc w jego twarz, zrozumiała, że koszt byłby zbyt wysoki. To jest Jack. Niezależnie od okoliczności znaczył dla niej bardzo wiele. Uważał najwyraźniej, że jeszcze ze sobą nie skończyli, i możliwe, że miał rację. Centrum Sztuki, ich przyjaźń... to były sprawy warte ocalenia.

Kiedy skinęła głową, na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnej ulgi.

- Dobra - powiedział. - Jaki masz plan na wypadek, jeśli ten świr rzeczywiście zacznie na ciebie polować?

- Wynajęłam agencję. - Firma, którą wynajęła, nie była w stanie dowiedzieć się niczego na temat samochodu przed szpitalem, ale zapewniła jej ochronę. - Mam nawet ochroniarza. To trochę niesamowite. Siedzi tuż pod moimi drzwiami, w salonie. Ale wydaje się miły. Jest bardzo cichy, nie narzuca się. Prawie go nie zauważam. - Russell znów spowodował, że w jej domu zjawił się ktoś nieznajomy. Znów przejmował kontrolę nad jej życiem.

Jack dopiero w tej chwili zorientował się, że ciągle ścisną w rękę pierścionek. Wrzucił go do kieszeni. Zaciskał palce tak mocno, że brylant zostawił wgłębienie na jego dłoni.

- To dobrze - powiedział, masując skórę, jakby chciał zetrzeć czerwony ślad. - Kiedy sytuacja z Russellem trochę się wyklaruje, porozmawiamy, zgoda? Tylko o to cię proszę. - Sydney nie odpowiadała, rozłożył więc ramiona błagalnym gestem. - Czy naprawdę proszę o zbyt wiele?

Podeszła bliżej i uścisnęła go, pozwalając mu się objąć. Nie chciała, żeby ją błagał. Nie chciała sprawiać mu bólu.

- Zrobię, co zechcesz, Jack.

Długo stali objęci. Sydney poczuła ogromny smutek, bo w tej chwili aż zbyt jasno zdała sobie sprawę ze swoich uczuć.

Mimo całego podziwu i szacunku, jakim darzyła Jacka Bossego, to nie on był mężczyzną, którego kochała.

Rozdział 9

Rocky siedziała w swoim otwartym gabinecie w biurze Shanks i Bosse i rysując coś w notatniku, rozmawiała przez telefon ze swoim ojcem, który od niedawna był wolnym człowiekiem.

Dziwiła się, że nie czuje właściwie żadnej różnicy. Ta rozmowa powinna być zupełnie inna niż poprzednie, kiedy jeszcze siedział w więzieniu. A jednak równie dobrze Rocky mogłaby czekać teraz na jednej z tych cementowych ławek, otoczona przez tamten żaloszny tłum, nasłuchując, kiedy z głośnika padnie jego nazwisko.

Sprawdzian wiary.

Rzuciła długopis na biurko.

- Ona nie chce twoich pieniędzy, Tatusiu - powiedziała.

Od dwudziestu minut ojciec wtajemniczał ją w swoje plany. Uknuł intrygę. Tydzień wcześniej Sydney odrzuciła jego propozycję przyłączenia galerii do Reck Enterprises. Teraz chciał, żeby Rocky umówiła się na spotkanie ze swoją macochą i powiedziała jej, jak bardzo chciałaby wziąć udział w tym wspaniałym, nowym przedsięwzięciu, które zaproponował ojciec. A gdyby to nie pomogło, miała dać Sydney do zrozumienia, jak bardzo czuje się zraniona jej odmową. Czy macocha nie mogłaby odrzucić swojej dumy dla dobra Rocky?

Słuchając go, kiedy wyjaśniał jej po kolei te wszystkie genialnie przemyślane kroki, poczuła, że jego intencje nie są do końca czyste.

- Tatusiu - ściszyła głos - jeśli chcesz, mogę dla ciebie szpiegować.

Powiedziała to, bo nie mogła już znieść niepewności. Chciała usłyszeć prawdę; że ojciec potrzebuje jej, by manipulować Sydney. By ją zmusić, żeby zapłaciła za wszystkie wyrządzone krzywdy.

Rocky doskonale rozumiałaby jego gniew. Dlaczego nie miałby nienawidzić kobiety, która wsadziła go do więzienia? Kobiety, która usiłowała doprowadzić do tego, by na starość został sam, bez grosza przy duszy? Rocky sama doskonale знаła to uczucie. I najbardziej na świecie chciała, by ojciec dopuścił ją do swojego spisku przeciwko Sydney.

Ale nie chciała, żeby ją okłamywał. Nie chciała być wykorzystywana jako nieświadome narzędzie w jego wojnie z byłą żoną.

Ojciec powiedział jej, że się myli. „Jak możesz myśleć, że o to mi chodzi, kochanie?” Twierdził, że chce tylko naprawić sytuację między nim i Sydney, nic poza tym. „Sydney jest uparta. Czasami twoja macocha nie wie, co jest dla niej dobre”. Mówił, że uparła się odrzucić idealną okazję spełnienia swoich marzeń dzięki Reck Enterprises, firmie, która nawet na papierze nie była jego własnością. „I to tylko dlatego, że według niej pieniądze pochodzą ode mnie”.

Chciał też pomóc swojej córce. „Studia prawnicze to świetna sprawa, skarbie, ale stać cię na więcej. Reck Enterprises to dla ciebie wspaniała okazja, Rocky. W zasadzie jesteś właścicielką firmy. I jestem szczęśliwy, że stworzyłem ci taką szansę”. Uważał, że Sydney robi krzywdę i sobie, i Rocky. A Rocky na pewno potrafiła wyjaśnić macosze, o jaką stawkę toczy się gra.

Zgodnie z planem ojca, Rocky miałyby zostać wicedyrektorem działu public relations. Centrum Sztuki byłoby jednym z wielu projektów, którymi miała się zajmować. Jakby rzeczywiście interesowało ją pisanie relacji do gazet, jakby studia prawnicze były jakąś bzdurą. W zeszłym roku akademickim Rocky zaliczyła z wyróżnieniem prawie wszystkie przedmioty. Studiowała na uczelni, która zaliczała się do najlepszych szkół prawniczych w kraju. Rocky naprawdę diabelnie ciężko pracowała, żeby się do niej dostać.

- Spróbuję. Tylko tyle mogę ci obiecać. Tatusiu, myślałam o Reck Enterprises. Ja naprawdę nie mam żadnego doświadczenia w takich sprawach, jak public relations... - odpowiedziała, słysząc jego zwykłe argumenty. Kobiecie nie jest łatwo zrobić karierę prawniczą. Po co męczyć się jeszcze dwa lata w szkole, nie mówiąc już o aplikanturze, skoro mogła od razu zacząć myśleć o przyszłości? A co najważniejsze, jak mogła odrzucić swoje dziedzictwo? Była jego jedynym skarbem. Jego małą córeczką. Reck Enterprises jej potrzebowało.

- Taaak, rozumiem. Słuchaj, Tatusiu, muszę już kończyć. Ale zadzwonię wieczorem... nie, nie zapomnę wspomnieć o tym Sydney. Po prostu nie sądzę, żeby to miało w czymkolwiek pomóc. Będiesz mi musiał zaufać co do terminu, zgoda? A, zapomniałabym. Mam katalog na przyszły miesiąc.

Podniosła książeczkę reklamującą planowane wystawy galerii. Od kiedy wyszedł z więzienia tydzień temu, chciał być na bieżąco ze wszystkim, co się działo w Centrum Sztuki. Jakby już nim zarządzał.

- Będę go miała przy sobie, kiedy się zobaczymy następnym razem. Kocham cię.

Odłożyła słuchawkę i rzuciła katalog na biurko. Czowała się fatalnie. Była otepiała i potwornie zmęczona, jakby miała ze sto lat. To było niesamowite. Jak mogła być aż tak wypompowana?

Tatusz ledwie wyszedł z więzienia... i posługuje się mną.

Sprawdzian wiary.

Cały zeszły rok - telefony, błagania o odwiedziny - a jeśli chodziło tylko o Sydney? Co, jeśli jej zbudowana od nowa więź z ojcem zaistniała tylko dlatego, że potrzebował sposobu, by dobrać się Sydney do skóry? Jeśli chodziło tylko o to?

No i ta sprawa z Reck Enterprises. Z tego, co rozumiała, wszystko było teraz zapisane na jej nazwisko. Żeby rząd nie mógł mu zabrać firmy. Zamiast niego rząd pozwał Sydney i Dziecięce Centrum Sztuki. W zeszłym tygodniu Sydney i Jack zabarykadowali się za zamkniętymi drzwiami, naradzając się, jak uratować galerię.

To tak, jakbym wbijała im nóż w plecy.

Rocky wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Objęła się ciasno rękami w talii, jakby chciała w ten sposób zatrzymać w swoim wnętrzu wszystkie wątpliwości, by nie wyskoczyły nagle na dywan i nie zaczęły wrzeszczeć: To oszust! Złodziej... może nawet morderca!

Oczywiście wiedziała, że czasem ludzie przyznawali się do winy, by oczyścić się z gorszych zarzutów. System prawny zawsze działał na niekorzyść podsądnego. Ale te stopy akt, zeznania z zeszłego roku - czy to wszystko mogły być kłamstwa, jak wmawiał jej ojciec?

A jeśli był winny wszystkich postawionych zarzutów? Może nawet oskarżenie o morderstwo, które wysunął prokurator...

Rocky zadrżała. Wmawiała sobie, że w pokoju jest zimno. Że ten głęboki chłód, który czuła w sercu, nie ma nic wspólnego z jej wątpliwościami. Chwyciła sweter, wiszący na oparciu krzesła. Klimatyzacja w budynku działała pełną parą. To miało coś wspólnego z wystawianymi dziełami.

Poczuła, że musi się wydostać z tej przeklętej lodowni. Może powinna pójść coś zjeść. Musiała przestać myśleć o tym, co się stanie z galerią i o dzieciakach, które nie będą mogły tu przychodzić tylko dlatego, że jej ojciec podał rządowi Sydney na srebrnym półmisku. W końcu to nie były tak naprawdę pieniądze Sydney. Pochodziły od Tatusia. Z małżeńskich czasów.

Idąc przez główną salę, wciąż się obejmowała, próbując się rozgrzać. Pomyślała, że chyba nigdy nie nienawidziła Sydney tak, jak w tej chwili. Wszystko, co ta kobieta sobą reprezentowała, było oszustwem. Musiało być. Nikt nie był aż tak dobry. Nikt nie kochał tak bezwarunkowo, jak to udawała Sydney, nikt nie oddawał wszystkiego - własnych ambicji, fortuny - by zapewnić dzieciom dostęp do sztuki. Musiały istnieć jakieś ukryte egoistyczne powody, dla których toczyła ten samotny bój.

O tak, Sydney musiała mieć z tego jakieś korzyści, tyle że nie potrafiła się do nich uczciwie przyznać. Tak, jak nigdy nie była uczciwa z Rocky. Myślałby kto, że mnie kocha. To musiała być gra. Nikt nie podaje ręki komuś, kto rewanżuje się nienawiścią. Komuś, kto postawił sobie za najważniejszy cel zatruć życie swojemu dobroczyńcy, tak jak Rocky.

Zatrzymała się. Zdała sobie sprawę, że wcale nie jest głodna. Od wielu dni nie miała ochoty na jedzenie. Wychodzić też jej się nie chciało. Chłód w jej wnętrzu nie miał nic wspólnego z klimatyzacją.

Chciała tylko, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

- Panno Reck?

Strażnik przy drzwiach uśmiechał się, przytrzymując jej drzwi. Miał na imię Max. Naprawdę przyprawiał ją o dreszcze, choć zawsze był bardzo uprzejmy. Było coś takiego w jego spojrzeniu, kiedy na nią patrzył... coś dziwnego w wyrazie jego twarzy.

A może to dlatego, że Rocky wiedziała o jego odsiadce? Nie miała pojęcia, za co siedział, ale ojciec twierdził, że to jakiś drobiazg. Żona oskarżyła go o jakąś bzdurę, żeby uzyskać prawo do opieki nad dziećmi. Takie rzeczy działały się bez przerwy. Kiedy Rocky poszła raz odwiedzić tatę, poprosił ją, żeby pomogła temu facetowi, bo Max ochraniał go w więzieniu. Rocky wiedziała ze studiów, że społeczeństwo zawsze było uprzedzone do byłych więźniów. System prawny był naprawdę niesprawiedliwy. Ojciec poprosił ją, by szepnęła za nim słówko w dziale kadr, może nawet przepchnęła jego podanie o pracę. I zrobiła to.

Zadrzała. To jego niesamowite spojrzenie...

Odsunęła się od drzwi.

- Przepraszam, Max. Zmieniłam zdanie - powiedziała, odwracając się na pięcie.

Szła coraz szybciej, a w końcu zaczęła biec korytarzem w kierunku biur na zapleczu. Kiedy zdała sobie sprawę, co robi, zmusiła się, by zwolnić kroku i złapać oddech. Zauważyła, że recepcjonista przy drzwiach biura Sydney przygląda jej się z zakłopotanym wyrazem twarzy. Wyobraziła sobie, jak to musiało wyglądać. Uśmiechnęła się, idąc w jego stronę.

Zatrzymała się tuż przed biurkiem Małego Smutasa. Pochylając się do przodu, puściła luźno poły sweterka, pozwalając chłopakowi zajrzeć w dekolt. Sięgnęła po pierwszy z brzegu segregator.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym to pożyczyła, prawda? Spojrzał na nią, jakby mówiła w obcym języku. Rocky pomachała

segregatorem przed jego nosem, posyłając mu swój najbardziej uroczy uśmiech. Ten, który ćwiczyła przed lustrem. Wiedziała doskonale, jak wygląda. Nie można było się jej oprzeć.

- Pewnie - powiedział chłopak, czerwieniąc się jak burak. - Nie ma sprawy, panno Reck.

Posłała mu całusa i oddaliła się z segregatorem. Nie miała zielonego pojęcia, co w nim jest, ale potrzebowała pretekstu.

- Panno Reck? - usłyszała, że chłopak woła za nią. Kiedy się odwróciła, zapytał: - Ale przyniesie mi to pani z powrotem? Ten segregator?

Rocky puściła oczko.

- Ależ oczywiście, skarbie.

Wetknęła segregator pod pachę. Jej serce biło jej tak szybko, że mało nie wyskoczyło z piersi. Za to nie było jej już zimno.

Poziom adrenaliny podniósł się do maksimum, kiedy dotarła do gabinetu Jacka. Nikt w biurach Shanks i Bosse nie miał sekretarki. Większość telefonów odbierał Mały Smutas, wakacyjny pracownik. Stawiali na demokrację. Jediną rzeczą, jaka oddzielała Królową Pszczół i jej wspaniałego samca od wiernych poddanych były drzwi - ich gabinety miały drzwi, w odróżnieniu od boksów, które przydzielono wszystkim pozostałym. Sydney i Jack dysponowali ograniczonymi funduszami. Każdy cent był przeznaczony na realizację ich marzenia: galerii i warsztatów dla dzieci.

Problem polegał na tym, że po dwóch miesiącach przepracowanych tutaj Rocky zaczęła naprawdę lubić Centrum Sztuki, mimo że było stworzone przez Sydney. Kilka tygodni temu Rocky przyprowadziła na jeden z warsztatów swoją siostrzenicę i siostrzeńca.

Tak tylko, żeby się przekonać, o co tyle hałasu. Dzieciaki zobaczyły wspaniałą wystawę - mozaiki sprowadzone z Knossos na Krecie. To jedno Rocky musiała przyznać macosze; miała znajomości w świecie sztuki.

Po wystawie dzieci same zrobiły kafelki z kawałków potłuczonej ceramiki osadzonych w gipsie. Na tym to polegało. Najpierw obejrzały prawdziwą sztukę, a potem miały możliwość wykonania własnych dzieł. Dzieciaki podarowały Rocky oba kafelki, by jej podziękować. To był pomysł ich mam. Pewnie dlatego, że mozaiki nie pasowały do przypominającego mauzoleum domu Afrodyty. Ale Rocky je uwielbiała. Trzymała je w przedpokoju. Na jednej leżał bukiet suchych róż, a na drugiej Rocky ustawiła butelkę z kolorową oliwą, w której pływały kwiaty.

I pewnie dlatego stała teraz przed gabinetem Jacka z jedną ręką na klamce. To zupełnie wariactwo. Zamknęła oczy. Wolałaby, żeby serce nie biło jej tak szybko.

Zupełne wariactwo.

Weszła do środka tanecznym krokiem, bez pukania.

Jednak w gabinecie nie zastała przeciwnika gotowego do walki, jak się tego spodziewała. Jack siedział skulony przy biurku, obejmując głowę dłońmi. Kiedy spojrzał w górę, Rocky zauważyła, że oczy nabiegły mu krwią.

Wiedziała, że płakał. Jack nie miał jakiegoś wyjątkowego talentu do wyrażania uczuć spojrzeniem, a Rocky nie miała zdolności telepatycznych. Wystarczyło jednak, że spojrzała na jego twarz. Pewne sprawy były uniwersalne.

- Idź sobie - powiedział.

To było naprawdę niesamowite. Przyszła tutaj, przepełniona bólem... weszła do środka i znalazła dokładne odbicie swoich uczuć na twarzy Jacka.

Pomyślała, że nie powinna była tu przychodzić. Wyjdź. Wyjdź natychmiast. Jeszcze przed chwilą było jej tak zimno, ale kiedy pomyślała, żeby przyjść tutaj i wyżyć się na Jacku - nie czuła już chłodu.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami.

- O rany - rzuciła mu spojrzenie głupiej blondynki. - Czyżbym przyszła nie w porę?

Jack wziął długopis i zaczął coś pisać na kartce.

- Czego chcesz?

- Właściwie, to dosyć ważne. Inaczej tak bym tu nie wpadała. - Podniosła do góry segregator, który zabrała z recepcji, i błyskawicznie schowała go za plecy. Nawet nie sprawdziła, co jest w środku. - Ale widzę, że nie jesteś w nastroju.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Odłożył długopis i uniósł głowę.

- Skoro już tu jesteś...

- Może potrafię pomóc.

To była najgłupsza rzecz, jaką mogła powiedzieć. Jakby Jack Bosse potrzebował się wyplakać na jej ramieniu. A jednak lubiła, kiedy na nią patrzył. Nie miało znaczenia, jakie to było spojrzenie; zagniewane czy zaciekawione. Czasami zdawało jej się, że mogłaby zrobić wszystko, byle tylko Jack na nią spojrzał.

Był od niej o wiele starszy. Jakieś dziesięć lat. Ale zawsze patrzył tak, jakby poświęcał jej całą swoją uwagę. Chłopcy w jej wieku tego nie robili. Nie otwierali przed nią drzwi i nie odsuwali krzesel. Zabierali najwyżej dziewczynę do Taco Bell na lunch i spodziewali się, że zapłaci za swoje burrito. Patrzyli z niepokojem na każdą dodatkową serwetkę, którą wzięła, jakby to była chusteczka z ich monogramem.

Ale z Jackiem było inaczej. Zawsze podejrzewała, że jest wrażliwy. Może nawet bardziej, niż inni mężczyźni. To sprawiało, że był prawdziwą zagadką. Sam doszedł do wszystkiego, a wyglądał, jakby miał się rozpaść na kawałki, kiedy Sydney powie: „Buuu!”

Sądząc z wyrazu jego twarzy, właśnie to mu się przytrafiło.

- Hej - powiedziała z uśmiechem, podchodząc bliżej - przecież nie gryzę.

- W każdym razie nie o tej porze.

- Och, daj spokój. Nie bądź taki. - Przynajmniej już nie mówił, żeby sobie poszła. - Słuchaj, jestem tylko praktykantką, która odrabia staż po pierwszym roku studiów. Co ja mogę wiedzieć? Ale... - Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko biurka. - Chętnie posłucham o twoich kłopotach.

Miał naprawdę ładne, niebieskie oczy. Przejrzyste i niezgłębione - właśnie to słowo opisywało jej najlepiej. To właśnie dzięki nim wydawał się taki wrażliwy.

- Może nie jestem gazetowym psychologiem - powiedziała - ale płacę, kiedy się mnie uszczypnie, krwawię, kiedy się skaleczę i tak dalej. Więc jak, czyżby stara, dobra Syd wystawiła cię do wiatru? Nie będę aż tak prymitywna i nie powiem: „A nie mówiłam?” - Jack nie odezwał się ani słowem, dodała więc: - Co, nie pomagam ci?

- Rocky, wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie zwierzyłbym ci się, choćbyś była ostatnią... słuchaczką na ziemi. - Wyciągnął rękę. - Co tam masz?

Ale Rocky dalej trzymała segregator na kolanach.

- Nawet ja widzę, że to nie jest odpowiedni moment. Nie jesteś w najlepszym humorze.

- A co cię to obchodzi?

- Wiesz co? Jeśli spodziewasz się po ludziach najgorszego, zwykle spełniają twoje oczekiwania.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Podobało jej się, że potrafiła to zrobić. Zaskoczyć go.

- Przepraszam - powiedział. - Masz rację.

- Nie ma sprawy. Nie za dobrze zaczęliśmy naszą znajomość. Pewnie wiesz, co myślę o Sydney. - Rocky wzruszyła ramionami. - Jesteś w obozie wroga. A moja strategia zawsze polegała na tym, żeby najpierw atakować, a dopiero potem zadawać pytania. - Przygryzła dolną wargę i rzuciła mu zimne spojrzenie. - Ale możliwe, że się myliłam co do ciebie, Jack.

Wreszcie spojrzał na nią z uwagą. Nie wyglądał już na smutnego. Bawił się długopisem, obserwując ją, jakby się zastanawiał, czy w ogóle jest sens się odzywać. Po jakiejś minucie zapytał wreszcie:

- Dlaczego tak bardzo nie lubisz Sydney?

- A masz parę godzin? - Spojrzała na zegarek, mając nadzieję, że gest wypadł naturalnie. - Może opowiem ci przy lunchu. Chyba że masz już jakieś plany?

Jego twarz przybrała nagle niemiły wyraz.

- Chcesz się umówić na lunch? - Zaczął przeglądać papiery na biurku. - Wynoś się stąd, Rocky.

- Uuuu, chyba trochę przesadzasz. - Odsunęła krzesło, szykując się do wyjścia. - Przepraszam za ten przyjazny gest.

Jack wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek. Poczuli się tak, jakby zajrzał jej prosto w serce i wyczytał z niego wszystkie kłamstwa.

- Wiesz co? Myślę, że jesteś na tyle pokręcona, żeby startować do narzeczonego własnej macochy, byle tylko ją zranić. - Palce na jej nadgarstku zacisnęły się trochę mocniej. - Gdybym uwierzył, że to było nieświadome. .. gdybym choć przez chwilę wierzył, że zrobiłaś to bez żadnego ukrytego celu, zgodziłbym się. Ale dobrze wiem, o co ci chodzi.

Puścił jej rękę i opadł na fotel.

- Żal mi cię, Rocky. Naprawdę. Ale nie chcę być częścią twojego wspaniałego planu, jak dokuczyć Sydney.

Jeszcze nikt nigdy tak do niej nie mówił. Nikt nie wyrażał się tak prosto z mostu, jakby go nie obchodziło, co ona sobie pomyśli. Nie było w tym żadnych podtekstów, po prostu szczerą prawdą. Przez chwilę Rocky nie mogła złapać tchu. Nie była w stanie odpowiedzieć. Wiedziała, że jeśli się odezwie, zrobi coś głupiego; na przykład wybuchnie płaczem. Stała więc nieruchomo, mając nadzieję, że ściśnięte gardło rozluźni się trochę i pozwoli jej swobodnie oddychać.

Tak się jednak nie stało. Nie powiedziała słowa, nawet nie pisnęła, a łzy i tak napłynęły jej do oczu.

Jack przesunął w jej stronę pudełko chusteczek. Rocky złapała pudełko i rzuciła w niego, trafiając prosto w pierś. Łzy ciekły jej po policzkach. W ślad za pudełkiem poleciał segregator. Kartki rozsypały się na wszystkie strony.

- Tak, to jeden ze sposobów, żeby się mnie pozbyć - powiedziała dziwnym, zdławionym głosem, jakby naprawdę miała się załamać i zrobić z siebie kompletną idiotkę.

Wypadła z gabinetu i pobięła korytarzem na tych swoich głupich obcasach. Po chwili Jack dogonił ją i odwrócił przodem do siebie. Miał skruszoną minę. Rocky wyrwała mu się i pobięła dalej. Jack złapał ją znowu, ale tym razem pociągnął w kierunku najbliższych drzwi, do pokoju z kserokopiarką.

Przytrzymał ją za ramiona przy ścianie, nie pozwalając się ruszyć. Patrzyła mu prosto w oczy. Tylko czekała, by ważył się skomentować jej wybuch płaczu.

- Nie powinienem był na ciebie napadać - powiedział ku jej zdumieniu. - Cała ta gorycz i złość nie była przeznaczona dla ciebie. Byłem naprawdę wkurzony z zupełnie innego powodu i wyładowałem się na tobie. Rzeczywiście, mocno przesadziłem. - Jack zdobył się nawet na uśmiech. - Rozejm?

- Ja też przesadziłam - powiedziała, pochylając głowę. Nie chciała, żeby zobaczył jej uśmiech. Nie chciała, by wiedział, jaka była szczęśliwa, że za nią pobiegł. - Ja też miałam fatalne przedpołudnie. Myślę, że sama się o to prosiłam. - Uniosła oczy, przygryzając delikatnie wargę. - Pewnie wiedziałam, gdzie mogę się spodziewać przyzwoitej kłótni.

- Taak, pewnie tak. - Wciąż się w nią wpatrywał, jakby nie był w stanie oderwać od niej oczu. Ciągłe też przyciskał ją do ściany. Nie odsunął się; wręcz przeciwnie, zrobił krok naprzód. Jego spojrzenie padło na jej usta i przez ułamek sekundy myślała, że zaraz ją pocałuje. Przynurła twarz odrobinę bliżej.

Ale zamiast ją pocałować, odskoczył jak oparzony. Opuścił bezwładnie ręce, na jego twarzy malowało się poczucie winy.

Tym razem Rocky nie ukrywała przed nim swojego uśmiechu.

- Tak, takie sprzeczki dla wprawy to niezła rzecz. Jesteśmy w tym dobrzy - powiedziała, by nie miał zbyt wiele czasu na myślenie o tym, co przed chwilą zaszło między nimi. Sama się zastanawiała, co to miało znaczyć. - Więc właściwie czemu byłeś taki przygnębiony? Co się stało?

- Praca - powiedział, ale wciąż wyglądał tak, jakby nie otrząsnął się jeszcze do końca, jakby był zdumiony tym, co przed chwilą zrobił. - Nerwowa atmosfera.

- Płakałeś, bo byłeś zdenerwowany? - Kiedy spojrzał na nią zaskoczony, wyjaśniła: - Twoje oczy. Są czerwone. Ktoś ci umarł, czy co?

- Czy co - powiedział, nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia.

- To co z tym lunchem? - zapytała, choć tak naprawdę miała na myśli pocałunek. Pragnęła tego pocałunku, który wciąż na nią czekał; widziała to w spojrzeniu Jacka. - Przez ciebie zrobiłam z siebie idiotkę. Powinieneś mnie za to przynajmniej nakarmić.

Sięgnął do drzwi za swoimi plecami.

- Przepraszam, ale mam za wiele spraw na głowie.

- Może dasz się namówić kiedy indziej? - zapytała, nie chcąc się poddać.

Zawahał się, jakby nie był pewien, dlaczego tak się uparła. Zdała sobie sprawę, że zrobiła Jackowi to samo, co jej zrobił rano ojciec: zasiała w jego głowie wątpliwości. Może źle ją oceniałem? Może nie jest wcielonym diabłem?

Spodobało jej się, że ktoś inny może się czuć tak samo zagubiony, jak ona.

- Przecież to nic takiego, prawda? - zapytała. - Jakiś hamburger i toast coca - colą? By przypieczerować nasz rozejm.

- Zgoda - powiedział, wychodząc na korytarz. - Pewnie.

Rocky patrzyła za nim, kiedy szedł korytarzem. Zdawała sobie sprawę, że trochę ją poniosło. Ale rezultat był interesujący.

Podśpiewując pod nosem, poszła do swojego „pokoju”. Jack nie chciał stać się częścią jej wspaniałego planu. Ale jeśli ona rozegra to ostrożnie i sprytnie, nie będzie miał wyjścia.

Jack czuł się dość dziwnie, kiedy wrócił do swojego gabinetu.

- Co się, do cholery, stało przed chwilą? - zapytał na głos.

Przez krótki moment, kiedy stał, przyciskając Rocky do ściany, czuł nieodpartą chęć, by ją pocałować.

Powtarzał sobie, że zbyt wiele się ostatnio dzieje. A najbardziej dawała mu się we znaki sytuacja z Sydney. Frustracja, gniew - po prostu wszystko zaczęło w nim nagle kipieć.

Chciał tylko dać Rocky nauczkę. Nie baw się ogniem, mała, bo się poparzysz. A potem zaczęła płakać; to nie było przyjemne. Próbował ją pocieszyć. I nagle poczuł... coś innego.

No cóż, musiałby chyba być martwy, żeby nie uznać jej za atrakcyjną. A ta mała uwielbiała obnosić się ze swoim seksapilem. Ta obcisła niebieska bluzka wyglądała, jakby była namalowana na ciele, a na dodatek ta chusta obwiązana wokół bioder zamiast spódnicy - było widać dosłownie wszystko.

Jack mówił sobie, że to po prostu dzieciak, który lubi eksperymentować. Sprawiać kłopoty. Ale to nie jej wiek najbardziej go martwił. Nie była dla niego odpowiednia. Pod żadnym względem. On szukał odpowiedzialnego związku, chciał się ożenić i mieć dzieci. A Rocky Reck chodziła jeszcze do szkoły, na litość boską. Nie odkryła jeszcze, kim jest.

To właśnie dlatego Sydney była taka doskonała. Ona już znalazła swoją ścieżkę w życiu. Wiedziała, czego chce.

A tym, czego chciała, na pewno nie był on

Jack potarł twarz dłońmi, opierając się o biurko. Zagapił się na porzrzucone po podłodze kartki.

Rocky w jednej sprawie miała rację. Rzeczywiście płakał.

- Jak idiota - powiedział głośno.

„Zakochałeś się, używając wyłącznie głowy, Jack. Nie serca”. Tak powiedziała Sydney. A czy było w tym coś złego?

Zastanawiając się nad tym, podniósł segregator. Podejrzewał, że Sydney oczekiwała eksplozji uczuć. Tak, jakby nie miała już dość eksplozji w swoim pokręconym życiu. No cóż, mocne wrażenia nie były w stylu Jacka. Nie co dzień lądował w pustych pokojach, całując się z seksownymi podlotkami, tylko po to, żeby zagłuszyć swój ból.

Potrząsnął głową, zbierając z podłogi kilka rozrzuconych kartek. Sydney miała kompletnie błędne podejście do miłości... ale Jack przyznawał, że zasłużył na to, co dziś między nimi zaszło. Od samego początku zdawał sobie sprawę, że próbuje na siłę popchnąć Sydney do małżeństwa. I prawie już dopiął swego, prawie ją przekonał, że to się uda. Tyle tylko, że kiedy pokazał się ten pilot i skomplikował sytuację, pękły wszystkie sznurki, za które pociągał. Moja wina.

Mimo wszystko, to bolało. Wciąż jeszcze bolało.

Podniósł ostatnią kartkę i dopiero w tej chwili zorientował się, że „dokumenty”, które przyniosła Rocky, była to książka wpisów, trzymana zwykle w recepcji. Jack wstał, nie rozumiejąc, o co chodzi. Odwiedzający zawsze byli proszeni o wpis do książki ze względów bezpieczeństwa.

Książka wpisów. To zupełnie bez sensu.

Przypomniał sobie nagle, jak Rocky schowała segregator za plecami.

Kiedy poprosił, żeby mu go podała, znalazła wymówkę.

„Nawet ja widzę, że to nie jest odpowiedni moment. Nie jesteś w najlepszym humorze”.

Idąc do niego, wzięła z recepcji książkę wpisów?

Zrozumiał nagle, że to wszystko zostało zainscenizowane. Segregator, łzy. To wszystko było jakimś dziwnym przedstawieniem, by uzyskać ... no właśnie, co?

- O co jej, do diabła, chodzi?

Lekko zdezorientowany, wetknął kartki w okładkę. Oczywiście sam był znany z tego, że kiedy czegoś potrzebował, potrafił wykorzystać swój urok osobisty. Ale z tą małą to była zupełnie inna historia.

O tak, już on zje z nią lunch...

- Prędzej piekło zamieni się w lodowiec, malutka.

Rozdział 10

Sydney gapiała się na książki porozkładane na całym biurku. Każda miała ponad tysiąc stron, a druk był tak drobny, że wymagał lupy. Straszliwe cegły.

Upiła łyk kawy i skrzywiła się. Zimna jak lód.

- Jak mój mózg - mruknęła.

Opadła na oparcie fotela i odgarnęła włosy z oczu. Spojrzała na oprawiony w ramki plakat z wystawy Salvadora Dali, szukając inspiracji. Kogo ona chciała oszukać? Przecież nawet za tysiąc lat nie pojmie zawiłości teorii spisków i nienaruszalności umów.

Obok książek prawniczych leżała cała góra katalogów i sterta fotosów dla prasy. Wszystko razem wyglądało jak krajobraz po bitwie. Sydney obiecała Jackowi, że przeczyta chociaż kilka recenzji napisanych przez zaproszonych krytyków, ale i to musiało poczekać. Odłożyła obowiązki na bok, by przegryźć się przez te prawnicze tomiska.

To było jedyne, co mogła zrobić: znaleźć sposób na posłanie Russella za kratki. Pozostała jej tylko ta jedna droga - pokonać go jego własną bronią. Musiała znaleźć jego słaby punkt. A jedynym miejscem, w którym mogła go szukać, były te książki.

Zadzwoił telefon. Świecąca kontrolka wskazywała, że to wewnętrzna linia Centrum. Sydney spojrzała na duży zegar na ścianie. Była prawie ósma. O tej porze w galerii nie powinno być już nikogo.

Marszcząc brwi, podniosła słuchawkę i usłyszała głos Charlene, artystki, która prowadziła warsztaty. Ostatnio Sydney udało się wypożyczyć z Norton Simon eksponaty na niewielką wystawę: obrazy i szkice dobrane z myślą o dzieciach. Po wystawie miał się odbyć warsztat pod nazwą „Picasso”. Okazało się, że transport farb przeznaczonych na te zajęcia nie pochodził od dostawcy, który zwykle zaopatrywał galerię. Charlene, malarka odpowiedzialna za stronę artystyczną, była zdania, że farby się nie nadają.

- Zaraz będę na dole - zapewniła Sydney i wzięła zakiet. Zastanawiała się, co to właściwie za różnica. Wszystko się wali, ona musi przekonywać Charlene, że jeden odcień ochry jest tak samo dobry jak inny.

Dotarcie do pracowni nie zajęło jej wiele czasu. Muzeum mieściło się w niewielkim ceglany budynku, pochodzącym jeszcze sprzed ery dobrobytu, kiedy w krajobrazie miasta pojawiły się

wieżowce wielkich firm. Od pracowni i pozostałej części biura oddzielała gabinet Sydney tylko centralna recepcja. Sama galeria składała się z trzech sal wystawowych, położonych wzdłuż korytarza, do którego wchodziło się obok sklepiku z pamiątkami.

Planowali z Jackiem rozbudowę galerii. Teraz wszystko było w zawieszeniu, gdyż rząd usiłował zmusić Sydney, by pokryła długi Russella. Odłożone zostały wszelkie spotkania z architektem i planistą z urzędu miejskiego. Wszyscy, z którymi spotykała się ostatnio Sydney, mieli na wizytówkach tytuł „mecenas” przed nazwiskiem.

Kiedy przechodziła przez warsztat ceramiczny, ogarnęła ją fala ciepła, buchającego z pieca do wypalania gliny. Charlene czekała w znajdującej się obok warsztatu głównej pracowni, spacerując niespokojnie wzdłuż metalowych szafek z materiałami. Na jednym z pociętych nożami do papieru stołów leżało otwarte pudełko farb plakatowych.

Sydney przyciągnęła sobie stółek pochlapany zaschniętą farbą we wszystkich kolorach tęczy i wyjęła z pudełka jeden ze słoiczków.

- Więc o co chodzi? - zapytała.

Charlem wyjęła na stół kilka arkuszy papieru.

- Widzisz? - powiedziała, nakładając pędzlem smugę czerwonej farby na jedną z kartek. - Konsystencja jest zupełnie do niczego. To jest za rzadkie. I popatrz na to. - Zdjęła kartkę z metalowego stojaka do suszenia i pokazała ją Sydney. - Namalowałam to godzinę temu. Farba się łuszczy przy suszeniu.

Sydney potrząsnęła głową.

- Daj spokój, Charlene. Oni mają po sześć lat.

Ale Charlene nie była przekonana, że wszystkie farby plakatowe są sobie równe.

- Czuję się nieprzygotowana, by poprowadzić warsztaty, które planowałam od miesięcy, Sydney. A te farby... nie potrafię ci wyjaśnić, o co chodzi, ale coś tu jest nie tak. Nigdy nie słyszałam o takiej wytwórni.

Sydney skinęła głową. Charlene była jedną z najlepszych nauczycielek. Jeśli miała wątpliwości co do farb, Sydney musiała jej wysłuchać. Niestety, miała w tej chwili na głowie o wiele większy problem: mogło się zdarzyć, że ta wystawa Picassa w ogóle nie dojdzie do skutku.

Rozejrzała się po pracowni. Zobaczyła maski z papier - mache, zrobione przez dzieci po ostatniej wystawie sztuki plemiennej, i patchworki wzorowane na kołdrach Amiszów, pochodzące z bardziej zaawansowanych warsztatów dla starszych dzieci. Obok nich stały abstrakcyjne rzeźby, wykonane z drutu, patyków i liści, które powstały podczas happeningu w Dniu Ziemi. Muzeum działało od marca. Teraz, po zaledwie kilku miesiącach miałyby zostać zamknięte?

- Sydney?

Uniosła głowę. Zorientowała się, że myślami błądziła gdzie indziej, zastanawiając się nad przyszłością.

- Przepraszam - powiedziała do Charlene. - Może zrobimy tak: ja sprawdzę, co się stało z pierwotnym zamówieniem, a ty, póki co, jakoś odbębnisz kilka pierwszych zajęć. W porządku? Myślisz, że dasz radę przez dzień czy dwa?

Charlene potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie wiem.

Po jakiejś godzinie Charlene dała się przekonać, że może rzeczywiście sześciolatek nie pozna się na gatunku farby, choćby się nawet łuszczyła. Sydney poszła wreszcie do samochodu. Czuła, że z każdym dniem coraz bardziej traci kontrolę nad sytuacją. Wojna z Russellem, usiłowania, by finansowo jakoś wyjść na swoje - to wszystko coraz bardziej dawało jej się we znaki. Wyglądało na to, że nie sprawdza się jako kustosz i przychodziło jej nawet do głowy, że może to przez nią galeria jest na skraju katastrofy.

No i Jack. Dzisiejsza rozmowa była nieprzyjemna. Sydney musiała patrzeć na jego ból i sama zdała sobie sprawę z kilku spraw. Zawsze myślała, że małżeństwo z Jackiem będzie spełnieniem jej marzeń. Dziś doszła do całkiem nowego wniosku. „Zakochałeś się, używając wyłącznie głowy. Nie serca”.

O sobie mogłaby powiedzieć to samo. W chwili, gdy zrezygnowała już z miłości, na scenie pojawił się Jack, przystojny, łagodny i genialny. Któż kobieta nie chciałaby się z nim związać? Tyle tylko że przez cały czas była zakochana w kimś innym...

Usłyszała pisk opon na długo przedtem, zanim Chevrolet wjechał na chodnik. Przed oczami stanęła jej scenka sprzed paru dni. Było zupełnie tak samo; zgrzyt hamulców, samochód skręcił prosto na nią. Sydney poczuła, że serce pochodzi jej do gardła.

Ale tym razem samochód skręcił jeszcze raz, a koła zeskoczyły z krawężnika. Chevrolet stanął. Otworzyły się drzwi.

- Dobry wieczór, ślicznotko - powiedział Alec. - Wsiadaj.

Alec jeszcze nigdy nie widział tak roztrzęsionej Sydney. Zabawne, bo właśnie chciał ją przestraszyć. Nie było lepszego sposobu, by uświadomić jej ryzyko, na jakie się wystawia.

Jednak z jej reakcji wywnioskował, że ktoś go w tym ubiegł.

- Wyglądałaś na trochę przestraszona tam, na chodniku. - Uniósł lotnicze okulary, by zerknąć na zbiegające kostki jej palców, zaciśniętych kurczowo na podłokietniku. - Co, myślałaś, że ktoś mógłby... no nie wiem, zrobić ci krzywdę?

- Jedyne, co mi w tej chwili zagraża, to twoja wariacka jazda. - Wolną ręką oparła się o półkę na desce rozdzielczej. - Widzę, że zmieniłeś styl ubierania.

Alec uśmiechnął się.

- Podoba ci się? - Pochylił się w jej stronę, jednym okiem zerkając na drogę przed sobą. - Co myślisz? Nie za jasne? Nie chciałbym wyglądać tandetnie.

- Czy mógłbyś przestrzegać ograniczenia prędkości? Zdaje mi się, że przed nami jest szkoła. A tak przy okazji, właśnie minąłeś mój samochód.

- Żartujesz - powiedział, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej słowa. - Więc gdzie ten gość, którego wynajęłaś? Ten ochroniarz?

Odwrociła gwałtownie głowę, chcąc ukryć swoją reakcję. Oczywiście. Alec śledził ją, od kiedy wypisali go ze szpitala. Przecież chyba nie myślała, że wystarczy jedno mizerne: „Idź sobie, Alec”, żeby go zniechęcić.

- Do licha, po co w ogóle trzymasz tego faceta? - mówił dalej. - Przecież Russell pozwolił ci wyjść z restauracji bez jednego zadrapania. Wiesz co? Mam pomysł. Może zostawię cię w jakiejś ciemnej uliczce i zobaczymy, co się stanie? Tak dla zabawy.

Patrzyła prosto przed siebie, zaciskając zęby.

- Mam ogromną ochotę nazwać cię wszystkimi najgorszymi słowami, jakie tylko znam.

- Ależ kochanie, nie krępuj się.

- Pewnie nie na wiele się zda, jeśli cię poproszę, żebyś przestał mnie szpiegować?

- Absolutna strata czasu. - Sydney rzuciła mu pełne obrzydzenia spojrzenie, dodał więc: - Taaak, wiem. Ja też się cieszę, że się wreszcie dogadaliśmy.

- Zatrzymaj się, Alec. Dość tego cyrku.

- Liczyłem na inną odpowiedź. Na przykład: „Miałeś rację, Alec”, albo: „Byłam głupia, że spotkałam się z Russellem sama”. Coś w tym stylu byłoby bardziej na miejscu, nie uważasz?

- A co powiesz na to: Natychmiast się zatrzymaj albo otworzę drzwiczki i wyskoczę w biegu.

Widząc, że Sydney jest już na granicy wybuchu, Alec znalazł dogodne miejsce i zaparkował. Ale zanim otworzyła drzwiczki, złapał ją za rękę.

- Zajmę ci tylko sekundkę, skarbie. Wiem, co sobie myślisz. Dostajesz dreszczy na samą myśl, że za tobą łażę. - Zatrząsał się. - Jak jakiś zakochany świr. Tylko patrzeć, jak zacznę wydzwaniać i przysyłać ci okropne liściki z pytaniem, czy już mnie nie kochasz.

Przycisnęła dłoń do jego ust.

- Wiem, że chcesz mieć kontrolę nad całą sprawą. Ale ja nie mogę pozwolić, żebyś był w to zamieszany.

Odsunął jej rękę, ściskając ją mocno.

- Niby czemu? Bo tak świetnie radzisz sobie sama? W tej chwili tętno masz chyba mniej więcej normalne. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale kiedy cię zostawię? Kochanie, widziałem, jaka byłaś przerażona. Więc może porozmawiamy o tym przez chwilę? Tak dla zabicia czasu?

Spoglądając w te jej zielone oczy, był przekonany, że zaraz urwie mu głowę. Ale Sydney zawsze potrafiła go zaskoczyć.

- Tak się składa - powiedziała - że nie ty pierwszy próbowałeś mnie przejechać. To się stało, kiedy byłeś jeszcze w szpitalu. Wjechał prosto na chodnik. Nie miał rejestracji.

Zdumiało go, jak bardzo potrafił się o nią bać. Był też wściekły. Nagle przyszła mu ochota, by zawrócić do biura Russella i wydrzeć facetowi serce. Chociaż to akurat niewiele by pomogło.

Zwykle, ochraniając jakąś damulkę w kłopotach, Alec działał incognito i zawsze potrafił trzymać się w cieniu. Tylko w przypadku Sydney wszystko szło jak po grudzie. Prawda była taka, że im dłużej się koło niej kręcił, tym bardziej ryzykował. A ona na dodatek wcale nie ułatwiała mu sprawy.

Uśmiechnął się i odgarnął lok z jej twarzy.

- Mam nadzieję, że kiedy jadłaś lunch z twoim Misiaczkiem Russellem, nie zapomniałaś powiedzieć „pięknie proszę”, zanim kazałaś mu się odpieprzyć. Wiesz przecież, że trzeba zawsze użyć tego magicznego słowa.

- Widzisz, Alec, ty myślisz, że mnie w końcu złamiesz tym marudzeniem. Możliwe, że masz rację. I właśnie tego się boję. Ale to się źle skończy.

- Bądź sobie z Jackiem - powiedział. - Bądź sobie panią Jackową Bosse do końca życia, ale teraz pomyśl o tych ślicznych dzieciaczkach, o których tak marzyłaś. - Alec czuł, jakby się miał za chwilę udławić tymi słowami. - Ja chcę tylko jednego, Syd. Tego jednego drobiazgu: chronić cię, zapewnić ci bezpieczeństwo. A jeśli myślisz, że to się może źle skończyć, to tylko jeszcze jeden powód, żebym był przy tobie...

Pocałowała go, długo i namiętnie, aż zabrakło mu tchu i wreszcie się zamknął. Podejrzewał zresztą, że głównie o to chodziło. Objął ją, pogłębiając pocałunek, wpijając się wargami w jej usta. Kiedy spróbowała się odsunąć, nie puścił, zdecydowany przekonać ją za wszelką cenę, że właśnie tu, w jego ramionach, jest jej najlepiej.

Ale w końcu poczuł, że Sydney mu się wyslizguje i odpycha go od siebie. Odsunął się. Widząc, jak siedzi przygarbiona, z pięściami zaciśniętymi na kolanach, zrozumiał, że zdążyła już pożałować tego pocałunku.

- Nie chodziło mi o Russella, kiedy mówiłam, że to się może źle skończyć - powiedziała, odzyskując oddech. - Chodzi o mnie i o ciebie, Alec. To, co jest między nami, jakoś nie chce zniknąć. Tylko że ja już tak nie potrafię. Nie mogę ci poświęcić kolejnego kawałka swojego życia, by potem znów usłyszeć, że nie masz ochoty na więcej. Jeśli będziesz dalej naciskał, skończymy jak w Argentynie. Ile razy masz zamiar łamać mi serce? - Dotknęła jego warg koniuszkami palców. - Alec, czy ty naprawdę chcesz doprowadzić do tego, żebym cię znienawidziła?

- Może nie mam wyjścia. Potrząsnęła głową.

- Zawsze jest jakieś wyjście.

Sięgnęła po torebkę i zaczęła grzebać w jej zaśmieconym wnętrzu. Wyjęła wizytówkę, którą Alec wyrzucił w szpitalu; tę z numerem telefonu Travaisa Bentleya.

- Zadzwoń do niego, spotkaj się z nim... uporaj się wreszcie ze sprawami, które nie dają ci zapomnieć o przeszłości i każą ci odpychać wszystko, co kochasz. Rozwiąż własne problemy, Alec. A mnie pozwól załatwić moje.

Gapił się na wizytówkę, jakby dostał obuchem w łeb. Sydney wzięła jego rękę, położyła mu wizytówkę na dłoni i zacisnęła na niej jego palce. A on siedział jak idiota.

Myślał o tym, co przed chwilą powiedziała. „Naprawdę chcesz doprowadzić do tego, żebym cię znienawidziła?”

Przecież nigdy nie spodziewał się niczego innego.

Sięgnął nad jej kolanami i otworzył drzwiczki.

- Możesz coś dla mnie zrobić? Uważaj na siebie.

Patrzył, jak odchodzi, żałując, że nie potrafi stać się lepszym człowiekiem. Dla niej. Chciałby móc zadzwonić do Trávisa, odkupić swoje winy. Wtedy Syd może nie odepchnęłaby go tak pochopnie. Byłaby ze swoim rycerzem w lśniącej zbroi, trzymałaby go u swego boku.

Ale bywają w życiu sprawy, od których nie da się łatwo uwolnić. Właśnie czymś takim była dla Aleca przeszłość. Nie dało się jej zmienić, pozbyć się jej. I nie chodziło tu o ojca czy o Trávisa ani o żadną z tych żalonych bzdur, którymi tak się przejmowała. Jego zbrodnie były dużo świeższej daty.

Spoglądając we wsteczne lustro, Alec wyjechał na ulicę i zawrócił. Nawet nie próbował się chować. Wlókł się tuż za Syd, śledząc ją, zdecydowany do końca udawać dżentelmena.

Rozdział 11

Daniel pomyślał, że może namalował trochę za dużo chmurek. Odsunął się o krok i przyjrzał się swojemu dziełu. Dużo białego. Ale on lubił biały kolor.

Przypomniawszy sobie, co powiedziała mu Charlie, nauczycielka. Tak naprawdę miała na imię Charlene, ale powiedziała dzieciom, że mogą na nią mówić Charlie. To było świetne. I chociaż inne dzieciaki się śmiały, Danielowi się to imię podobało. Było o wiele łatwiejsze do zapamiętania, niż „Charleene”. Jak Charlie Brown.

Charlie powiedziała mu, że to nieważne, co namaluje, bo Picasso próbował przez całe życie zobaczyć świat tak, jak widzą go dzieci. A Daniel był dzieckiem. Nie musiał niczego udawać.

Zmrużył oczy i spojrzał na swój obrazek. Może trzeba jeszcze powiększyć te chmury!

Umoczył ręce w farbie. Wiedział, że powinien używać pędzla, ale lubił to uczucie, kiedy farba przeciskała mu się między palcami. Mama powiedziała mu, że „ma talent”, więc pomyślał sobie, że nic nie szkodzi, jeśli będzie malował rękami. Bardzo podobało mu się słowo „talent”. Daniel ledwie skończył pięć lat i był trochę za mały jak na te zajęcia. Ale ponieważ „miał talent”, mama załatwiła w szkole, żeby mógł tu przychodzić.

- To naprawdę piękne, Danielu. Odwrócił się i spojrzał w górę, na Charlie.

- Dziękuję. - On też tak myślał. Zupełnie podobne do niektórych obrazów, które były porozwieszane na ścianach w galerii.

Chciałby, żeby mama zobaczyła jego obraz. Zanurzył ręce w pojemniku i poruszał palcami, między którymi przelewała się farba. Samymi koniuszkami palców można było robić takie ładne, małe kropeczki na chmurach...

Z jego palcami zaczęło się dziać coś zabawnego. Swędziały. I były gorące. Daniel wyjął dłonie z farby. Pomyślał, że może jednak starczy już tych chmurek.

Ręce zaczęły go teraz naprawdę boleć. Próbował wytrzeć farbę, najpierw o brązowy papier, którym były przykryte stoły, potem o własne spodnie.

- Daniel, kochanie. Nie rób tak... o mój Boże.

Cieszył się, że nauczycielka jest w pobliżu. Jego palce zrobiły się grube, wyglądały jak parówki. Żałował, że nie ma tu jego mamy.

- Ręce mnie okropnie pieką.

Oczy Charlie zrobiły się zupełnie okrągłe, kiedy spojrzała na jego palce. Daniel zerknął w dół. Zobaczył, że pod białą farbą skóra zrobiła się ciemnoczerwona.

Charlie porwała go z podłogi i zaniósła do zlewu. Wetknęła jego dłonie pod bieżącą wodę. Daniel zaczął płakać. Ręce go bolały i był porządnie wystraszony.

- Ja chcę do mamy.

- Tak, kochanie, wiem. Zaraz do niej zadzwonimy, tylko trzymaj rączki pod wodą, dobrze? Mindy? Mindy! Dzwon na pogotowie!

Kiedy Russell Reck poprosił swojego asystenta, żeby zamówił mu manicurzystkę, miał na myśli coś naprawdę specjalnego.

Ruda, wysoka i smukła. Najlepiej zielonooka. Wystarczyło, że odrobinę zmrużył oczy, i już po drugiej stronie stołu w gabinecie siedziała Sydney, wcierając oliwkę między jego palce.

Angela była blondynką. Ale miała wspaniałe dłonie.

Splotła palce z jego palcami i zataczając dłonią niewielkie kręgi, zaczęła gimnastykować mu nadgarstek. Uśmiechnęła się.

- Przyjemnie?

W więzieniu Russell musiał nosić pudła z sokiem pomarańczowym i mlekiem czekoladowym. Teraz piękna kobieta delikatnie masowała mu dłonie oliwką. Do diabła, oczywiście, że było przyjemnie.

- Masz uroczy akcent - powiedział. - Georgia?

Uniosła głowę, zaskoczona. O tak, pomyślał. Brzoskwinka z Georgii -

- No pięknie. - Podniosła jego drugą rękę. - Przez ponad rok ciężko

pracowałam z nauczycielem wymowy. Czyżby to była strata pieniędzy?

- A więc jesteś aktorką?

Umieściła jego dłoń w kryształowej misie z ciepłą wodą. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sięgnęła po wacik

- Pan jest niesamowity, panie Reck.

- Mam nadzieję, że tak, Angelo.

W zeszłym roku gazety wypisywały o nim niezbyt miłe rzeczy. Trzeba było wyjątkowej kobiety, by nie dała się przestraszyć. Angela nie była ani trochę onieśmielona.

Zanurzyła wacik w acetonie i zmyła nadmiar oliwy, którą wtarła wcześniej w nasadę paznokci Russella. Najbardziej podobały mu się spojrzenia, jakie mu rzucała. Sydney też tak na niego patrzyła. Z ukrytym podziwem.

Russell był zdumiony, jak szybko minął dzień. Zanim skończył czytać przyniesiony przez Michaela raport na temat tajemniczego pana Flinta i jego programu, zrobił się wieczór. Russell miał zamiar zadzwonić do Rocky, może nawet zaprosić ją na kolację, ale za późno o tym pomyślał.

Ostatnio zależało mu, by uchodzić za troskliwego ojca. Nie było to proste; przez całe życie ignorował osoby, które go kochały. Teraz chciał utrzymać dobre stosunki z Rocky, a takie spóźnione zaproszenie dowodziłoby braku szacunku. Umówił się więc na manicure i zaczął marzyć o Sydney.

Zerknął na biurko, na którym leżała teczka ze wstępnym wywiadem na temat Flinta. Dziś rano Russell zawiadomił pana Flinta, że został przyjęty. Uśmiechnął się na wspomnienie małego przedstawienia, które urządził, by powitać „nowego członka rodziny”. I miał szczerą nadzieję, że James Flint przyniesie mu w zębach swój wynalazek.

W raporcie nie znalazł nic nadzwyczajnego. W ciągu pięciu ostatnich lat Flint zaliczył szereg kolejnych posad i w końcu założył firmę internetową, która oczywiście upadła z braku odpowiedniego kapitału założycielskiego. Russell był o wiele bardziej zainteresowany drugą częścią raportu: oceną samego programu komputerowego.

Oprogramowanie, które ratuje życie. Podobał mu się dramatyzm tego sloganu. W więzieniu mówiło się tylko o śmierci. Tu wreszcie miał coś, co wносиło trochę optymizmu.

Ale musiał być bardzo ostrożny. Raz już popełnił błąd, opierając się na cudzych obietnicach; zwiódł go Joseph, niech go piekło pochłonie. Wtedy Russell był tak pazerny, że zbyt łatwo pozwolił Kinnardowi sobą manipulować. Marzył, by stać się Billem Gatesem nowego tysiąclecia. Przez Kinnarda trochę przeholował. Poszedł na łatwiznę i drogo go to kosztowało.

- Lubi pan Picassa?

Uniósł głowę. Angie skinęła głową w kierunku katalogu galerii, który leżał otwarty na zabytkowym stoliku.

- Moja była żona prowadzi nową galerię w centrum, na nabrzeżu. Zawsze marzyła o takim miejscu, w którym dzieci mogłyby oglądać dzieła sztuki, a potem eksperymentować samodzielnie w czasie warsztatów związanych tematycznie z każdą wystawą. Pracuje z nią moja córka. Przysyła mi katalogi. - Uśmiechnął się. - Podobają mi się te obrazy.

- Tęskni pan za nią - powiedziała domyślnie Angela. - Za swoją żoną.

- Czuję się samotny - poprawił ją. - Jest pewna różnica.

Ale rzeczywiście chciał naprawić sytuację z Sydney. W więzieniu myślał tylko o tym, jak się z nią pogodzić. Tak, jakby można było wymazać wszystkie błędy ostatnich lat, utratę jej miłości. Gdybym tylko zdołał odzyskać Sydney...

Wciąż o niej marzył; wspominał jej wspaniałe włosy, zielone oczy i przekorny uśmiech. Czasami, kiedy zamknął oczy, czuł zapach jej perfum. W więzieniu, nie mając przy sobie nikogo, kto mógłby rozwiać jego mrzonki, układał swoją własną bajkę ze szczęśliwym zakończeniem.

Ale teraz przekonał się, że Sydney się zmieniła. I to niekoniecznie na lepsze. Stała się twardsza, ostrzejsza. Przepelniała ją nienawiść i Russell wiedział, że to on jest obiektem tej nienawiści.

Był czas, że Sydney wybaczyłaby mu wszystko.

- Chociaż może masz rację - powiedział, uśmiechając się gorzko do Angeli. - Będzie mi brakowało Sydney.

Angela zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową. Zaczęła pakować swoją walizczkę.

- To zabrzmiało tak ostatecznie. I trochę smutno. No cóż - dziewczyna skończyła zbierać swoje rzeczy - mam nadzieję, że zdołał się pan zrelaksować choć przez chwilę.

- Byłaś cudowna - odparł.

Ale kiedy zaczęła wstawać, położył dłoń na jej dłoni i przytrzymał dziewczynę na skórzanej kanapie.

- Chciałbym ci wytłumaczyć, skąd wziął się przed chwilą ten nieprzyjemny ton. Przez ostatni rok miałem mnóstwo czasu na myślenie.

Rozmyślał o tym, kim się stał: człowiekiem, który zbudował imperium, by je potem samemu zniszczyć. Tamte lata, kiedy Henry

żył i pracował u jego boku... To było idiotyczne, zamienić Henry'ego na tę szuję Kinnarda.

Przez te ostatnie lata Russell pozwalał sobie na zbyt wiele i niesamowicie osłabił swoją pozycję. Wykorzystywał ludzi, nie dając nic w zamian. I dlatego, kiedy znalazł się w podbramkowej sytuacji, nikogo właściwie nie obchodziło, co stanie się z Russellem Reckiem.

- Co do mojej żony... Miałem nadzieję, że uda mi się naprawić parę spraw.

- Ale nie chce dać panu szansy? Uśmiechnął się.

- Nawet za sto lat.

Brakowało mu tylko rodziny. Pieniądze miał; zanim rząd wniósł przeciw niemu oskarżenie, Russell zdążył przelać na konta na Kajmanach wszystkie pieniądze, których nie zdołała odebrać mu Sydney podczas sprawy rozwodowej. Teraz miał do nich dostęp przez „cichego wspólnika”, którego sam stworzył. Ostatnio zaczął rozważać możliwość odzyskania pozycji w przemyśle lotniczym. Jego „cichy wspólnik” mógłby wykupywać mniejsze firmy i użyć ich jako tarczy przeciwko wrogim zakusom większych konkurentów. Oczywiście wszystko to było sprzeczne z ugodą Russella z rządem. Ale w więzieniu nauczył się kilku rzeczy. Na przykład, jak zacierać po sobie ślady.

Przepisanie Reck Enterprises na nazwisko Rocky było ważnym etapem na drodze do przyszłych sukcesów. Dopóki jego nazwisko nie pojawiał się na żadnych dokumentach, nikt nie mógł mu udowodnić, że to on pociąga za sznurki. Tak. Rzeczywiście, człowiek, który posiada rodzinę, ma solidną podstawę, na której może budować swoją przyszłość.

Ale dla Sydney nie było miejsca w tej przyszłości. Pozostała mu tylko Rocky. Rocky, która kochała go jak nikt na świecie. I wybaczyłaby mu wszystko, tak jak kiedyś Sydney.

- Czy pozwolisz się zaprosić na kolację, Angelo? - zapytał. Czekała chwilę, jakby chciała przemyśleć jego propozycję. Ale Russell znał odpowiedź, jeszcze zanim zapytał.

- Na pewno tylko o to ci chodzi, Russell? O kolację? Bo czasem tacy panowie jak ty - rozejrzała się po jego gabinecie, ogarniając wzrokiem bezcenne dzieła sztuki i stylowe meble - za wiele sobie wyobrażają. Dlatego, że przychodzę do ich gabinetów.

Uniósł jej dłoń i ucałował końce palców. Miała prześliczne, zadbane ręce.

- W więzieniu czas upływał mi na czekaniu. Nauczyłem się cierpliwości. Kolacja - zapewnił ją. - Tylko tyle. Obiecuję.

W tej chwili, w świetle lamp umieszczonych między oknami za jego plecami, wyglądała prawie jak Sydney.

- Czy pójdziesz ze mną na kolację? - Wstał, wciąż trzymając ją za rękę.

Tym razem nie wahała się ani chwili.

- Z przyjemnością, Russell.

Odprowadził ją do drzwi. Było to coś, czego nie robił nigdy przedtem. W swoim poprzednim życiu nie potrzebował czarować kobiet. Jego pieniądze i reputacja robiły to za niego. Cóż, była to kolejna rzecz, którą przestał uważać za pewnik.

- Powiedz mojej sekretarce, dokąd mam po ciebie przyjść. Albo, jeśli wolisz, możemy się gdzieś spotkać. O ósmej?

- W porządku. - Kiedy byli już przy drzwiach, dodała jeszcze: - Chciałam ci tylko powiedzieć, że nigdy tego nie robię. Nie umawiam się z klientami. Tylko że ty wydajesz mi się taki samotny. To słodkie. Taki potężny człowiek jak ty, spragniony towarzystwa.

Przez ułamek sekundy ujrzał przed sobą inną kobietę. Sydney, z tymi jej pięknymi, zielonymi oczyma pełnymi łez. „Russell, czuję się taka samotna”. Czekalaby na niego w ich śmiesznym, ogromnym łóżu, ubrana w elegancką koszulę nocną. To zabytkowe łóżko kupiła sama w Wenecji. Może zapelniając antykami ich wspólny dom, chciała sobie wynagrodzić opuszczenie muzeum.

Naprawdę nie powinien był jej zmuszać, żeby porzuciła posadę kustosza. Nie powinien był zostawiać jej bez przerwy samej.

„Russell, czuję się taka samotna”.

- Jestem samotny - powiedział do Angeli. - I naprawdę doceniam, że chcesz to zmienić.

Złożył na jej dłoni długi pocałunek. Rok temu załatwiłby to wszystko inaczej. Nie przejmowałby się tak bardzo, co ta kobieta sobie o nim pomyśli. Nie cieszyłby się tak bardzo z jej towarzystwa.

Ale ostatnio wszystko się zmieniło.

Rozdział 12

Rocky zapukała grzecznie do drzwi gabinetu Jacka i czekała. Usłyszawszy zaproszenie, wykonała entree, które ćwiczyła przez ostatnie pół godziny.

- Pomyślałam sobie, że przyniosę jedzenie - powiedziała. Jack spojrzał na nią zdezorientowany, dodała więc: - Na nasz piknik.

Zatrzasnęła drzwi nogą i oparła się o nie. Czuła się jak rozpędzony pociąg. Teraz nie mogła się już zatrzymać.

- Myślałam o czymś romantycznym, do jedzenia palcami. Może też o butelce wina. Moglibyśmy zjeść tutaj, na podłodze. Na jednym z tych ślicznych, kraciastych koców. Tylko że...

Uniosła plastikową torbę z ozdobnym napisem „Zaczarowany wok”.

- Nie jestem raczej typem kury domowej, więc przyniosłam chińszczyznę. Jest tu taka mała knajpka, zaraz za rogiem.

Podeszła do jego biurka, myśląc: Za moment ocknie się z tego osłupienia i każe mi wyjść. Postawiła torbę z jedzeniem na blacie, starając się nie patrzeć Jackowi w oczy. Bała się, że ją wyprosi.

- Minał już tydzień... zaczęłam nawet myśleć, że zapomniałeś o mnie i o swojej obietnicy. Ale potem przypomniałam sobie, że masz ostatnio sporo na głowie. - Tak, na przykład nie byle jaki kłopot z moim własnym ojcem, dodała w duchu. - Więc jeśli góra nie przyszła do Mahometa...

Trzęsła się tak bardzo, że musiała usiąść. Zaczęła wyjmować z torby pudełeczka z jedzeniem i ustawiać na biurku papierowe talerzyki, byle tylko się czymś zająć.

- Mam nadzieję, że lubisz wieprzowinę mu shu. To moje ulubione danie. - Mówiła szybko, jak nakręcona. - Pomyślałam sobie, że do ciebie pasuje raczej wołowina po mongolsku. - Wyrównała rząd białych pudełeczek na biurku, jakby ustawiała żołnierzy do ataku. - Jakoś tak mi się dziko skojarzyłeś, wyobraź sobie.

Jack w końcu usiadł. Rocky poczuła ogromną ulgę; znów była w stanie normalnie oddychać. Ale nie trwało to długo.

- Odwołaliśmy ślub.

Miała nadzieję, że nie widać, jak bardzo była wstrząśnięta. Wiedziała, że powinna mrugać, zachowywać się normalnie, powiedzieć coś, ale nie mogła. Patrzyła tylko, jak Jack sięga po talerz i pudełko z ryżem.

- Kiedy w zeszłym tygodniu przyszedł do mojego gabinetu, właśnie zerwaliśmy zaręczyny. - Mówił tak, jakby to nie miało dla niego żadnego znaczenia. - Więc tracisz czas, zadając sobie tyle trudu, żeby mnie odbić Sydney.

- Ach...

Przez jedną, dziwną chwilę Rocky czuła, że chyba zacznie śpiewać. A może raczej śmiać się, długo i głośno, aż zabraknie jej tchu i będzie musiała przestać.

Czyżby naprawdę myślał, że chciała go poderwać, by wkurzyć Sydney? Grubo się mylisz, Jack.

Ten facet był za bardzo zadufany w sobie. Baaaczność! Idzie pan Potentat Internetowy. Uważał, że jego sądy na temat wszystkich i wszystkiego są nieomyślne. A tak naprawdę był jej potrzebny, by przeforsować propozycję Tatusia. To wszystko. Nie chodziło jej o nic innego.

Jednak to dziwne, że nie potrafiła sprecyzować własnych uczuć na wieść o jego zerwaniu z Sydney. W każdym razie na pewno nie czuła się zawiedziona.

- Moje niecne plany znów spaliły na panewce. - Ogarnęła wzrokiem porozstawiane na biurku jedzenie. - Rany. Dwadzieścia dorców na marne.

- Wcale nie na marne - odparł z pełnymi ustami. - Tak się składa, że uwielbiam wołowinę po mongolsku.

Rocky rozpakowała pałeczki i nałożyła sobie odrobinę smażonego ryżu, rozmyślając o tym, co się stało. Kiedy tydzień temu wpadła tutaj i znalazła go z głową ukrytą w dłoniach, to Sydney była przyczyną bólu, który malował się na jego twarzy. Biedny Jack Bosse, kolejna ofiara, rozjechana na autostradzie miłości. I prawdopodobnie był jedynym człowiekiem, który tego nie przewidział.

- Kolejne szczęśliwe zakończenie historii miłosnej. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Spora dawka cynizmu, jak na kogoś w twoim wieku.

- Moja matka stawiała na ślubnym kobiercu cztery razy. Ojciec trzy. Dawno przestałam wierzyć w bajki. A poza tym mam już dwadzieścia osiem lat - skłamała, bez namysłu dodając sobie pięć lat. Zdenerwował ją ten protekcyjny ton. „Jak na kogoś w twoim wieku”. - Obchodzimy urodziny tego samego dnia. Wiedziałeś o tym?

- zapytała, otwierając karton mrożonej herbaty. - Piętnasty września, zgadza się?

Uśmiechnęła się pod nosem. Tak naprawdę szóstego lutego skończyła dwadzieścia trzy lata.

- Masz urodziny piętnastego września? - Jack odchylił się w fotelu i skrzyżował ramiona na piersi. Przez moment myślała, że każe jej to udowodnić. To było głupie kłamstwo. Zwyczajnie się popisywała, chcąc przyciągnąć jego uwagę. Idiotka z ciebie, Rocky.

- Tak. - Rocky uznała, że nie może się teraz wycofywać. - To chyba Sydney mi o tym powiedziała. Zabawny zbieg okoliczności.

Kolejne kłamstwo. Sama sprawdziła w firmowym komputerze parę rzeczy na temat wielkiego Jacksona Bossego.

- Jesteś dokładnie sześć lat starszy. Co do dnia. - Grzebała w ryżu pałeczkami, usiłując ukryć uśmiech. - Trochę dziwne, bo czasem wydajesz mi się... no wiesz, taki wiekowy. A potem myślę sobie: o rany, przecież Sydney jest jeszcze starsza. Jak wam się to udaje? - Zmarszczyła brwi, udając zmieszaną. - Oj. Chyba się jednak nie udało.

Ale Jack tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Co? - zapytała Rocky.

- Muszę pamiętać, żeby nie siadać z tobą do stołu.

- Przepraszam - powiedziała. Ale nie było jej przykro. Lubiła się z nim drażnić. Podobało jej się, że potrafił to znosić z pogodą.

- Wrrr. Wspaniale udaję wściekłego psa - przyznała, tym razem pozwalając sobie na uśmiech. Upiła łyk mrożonej herbaty. - Wiem, że to brzydki zwyczaj, ale myślę, że może mi się przydać, kiedy skończę szkołę prawniczą.

- Ciągłe się tego trzymasz?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Twój ojciec ma chyba co do ciebie bardziej ambitne plany. Chce cię widzieć w swojej firmie.

- No cóż, dyplom prawniczy wcale się z tym nie kłóci. Myślę, że dam sobie świetnie radę - powiedziała wesoło, choć przez ostatnich kilka tygodni był to główny powód jej zmartwień.

Wcześniej nawet nie przemknęło jej przez myśl, że ojciec chciałby ją skłonić do rzucenia studiów prawniczych. Miała pracować dla Reck Enterprises jako radca prawny. Ale ten jego nowy pomysł -

wykupienie Sydney razem z galerią i zrobienie z Rocky wicedyrektora czegoś tam? Nigdy nie sądziła, że sprawy tak się potoczą.

Zorientowała się, że chyba za długo siedzi cicho, mówiła więc dalej:

- Przecież dyplom prawnika zawsze mi się przyda, nieważne, co ostatecznie będę robić. Takie studia uczą pewnego sposobu myślenia. Rozwiązywania problemów.

- I wyrabiają charakter wściekłego psa?

- Oczywiście - uśmiechnęła się, wracając do jedzenia. Skubnęła odrobinę ryżu. Odczekała chwilę, mając nadzieję, że ta przerwa w rozmowie wypadnie naturalnie. - Więc wróciła do Aleca? - spytała od niechcienia.

Zwykła, przyjacielska pogawędka przy jedzeniu. Jack nie odpowiedział, dodała zatem:

- Chyba trudno ci się z tym pogodzić. To wyjątkowo paskudna sytuacja.

- Przykro mi. O szczegóły będziesz musiała zapytać Sydney. Rocky skinęła głową.

- Pewnie. Ja zapytam, a Potwora powie mi wszystko.

Jack przestał na chwilę grzebać w swoim jedzeniu. Rzucił jej jedno z tych spojrzeń, których najbardziej nienawidziła. Kiedy tak na nią patrzył, zawsze prowokował ją do robienia i mówienia niewłaściwych rzeczy. Bo było mu jej żal, a ona nie mogła znieść jego litości.

- Tak, właśnie tak ją nazywam. Potwora - wyjaśniła, choć o nic nie pytał. - Znam ją o wiele dłużej niż ty, Jack. To jej stały numer.

- Ach tak? - Jack potrząsnął głową i znów zajął się jedzeniem. - Ona nie jest z Alekiem - dodał po chwili, jego głos jednak dowodził, że to dla niego bolesny temat.

- A, w takim razie wszystko w porządku. Złamała ci serce bez powodu - powiedziała Rocky. Nienawidziła go za jego słabość. - Ale wiesz co, Jack? Na twoim miejscu nie wyrzuciłabym tak od razu tego pierścionka. Nigdy nie wiadomo, czy nie zechce go z powrotem. Sądzę, że kiedy Centrum odzyska całą swoją świetność, Sydney wróci prosto w twoje ramiona. Szczęściarz z ciebie.

Wiedziała doskonale, że Sydney niczym nie mogłaby zasłużyć na potępienie Jacka. Galerii na razie nie groziło zamknięcie; prawnicy Jacka zdołali uzyskać przynajmniej tyle. I chociaż z powodu

rządowych roszczeń przyszłość wciąż była niepewna, Jack i Sydney wciąż mieli zamiar walczyć o urzeczywistnienie swojego marzenia.

Niesamowite, myślała Rocky, wpatrując się w ryż na swoim talerzu. Stara Syd nawet z tego wyjdzie nietknięta. Nie liczyło się zupełnie, że wyrwała mu serce z piersi i podała na talerzu na obiad. Jack pozostanie wiernym psem, a Sydney zawsze będzie jego królową z bajki.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

Rocky uniosła głowę. Zobaczyła, że Jack odłożył pałeczki i przygląda się jej z uwagą.

- Skoro zostaliśmy kumplami, no wiesz, urządziłaś mi piknik i tak dalej... O ile pamiętam, obiecałaś, że opowiesz mi przy lunchu, dlaczego tak jej nienawidzisz. Z tego, co widzę, nie traktujesz jej jak kochająca córeczka.

Rocky skrzywiła się.

- Może teraz ja powinnam odesłać cię do niej po szczegóły - odgryzła się, wykorzystując jego własne słowa.

- No tak.

Zapadła przygnębiająca cisza; Rocky poczuła dziwną pustkę w sercu. Zrozumiała, że straciła świetną okazję. Jack zadał jej pytanie, a ona przegapiła szansę nawiązania z nim porozumienia. Ale nie miała ochoty rozmawiać o Sydney. Nie z sir Galahadem.

- To skomplikowane - powiedziała w końcu, spuszczać trochę z tonu.

- Pewnie tak - odparł, nie odrywając oczu od talerza, jakby nie był już zainteresowany ani rozmową, ani Rocky.

Rocky wpadła w panikę, widząc ten jego nagły chłód. Poczowała, że znowu się trzęsie i bała się, że Jack ją wyrzuci. Przez krótką chwilę dał jej odczuć swoją życzliwość. Ale teraz ta ulotna więź znikła, tak samo nagle, jak się pojawiła.

- Ona jest dla mnie miła - wypaliła. Jack uniół głowę, brnęła więc dalej: - To dość dziwne, nie uważasz?

Poczowała, że czerwieni się jak burak. Wbiła wzrok w jedzenie, dziobiąc ryż pałeczkami.

- To fałsz. Ta jej ciągła życzliwość - rzuciła, jakby to było rozsądne wytłumaczenie, choć każdy, kto znał Sydney, wiedział, że jest najszczerzą osobą na świecie. - Przejrzałam ją na wylot. Sam

widzisz, jak się do niej odnoszę, a ona wciąż udaje, że jej na mnie zależy. Przecież nie może być aż tak głupia, nie?

Rocky spojrzała na Jacka. Ale to, co zobaczyła w jego twarzy, nie miało nic wspólnego z Sydney. W jego oczach odbijały się tylko jej własne lęki. Nikt mnie nie kocha. Jestem sama. Najbardziej żenujące było jego zrozumienie; wiedział, dlaczego tu przyszła, ubrana w swój najbardziej obcisły kostium, uśmiechnięta i zjedzeniem w charakterze pretekstu.

- Rany - powiedziała, odkładając pałeczki. - Ależ idiotyzmy opowiadam. - To wszystko, co mu przed chwilą powiedziała, było sto razy gorsze niż kłamstwo na temat urodzin.

Zanim Jack zdążył cokolwiek powiedzieć, otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadła Sydney z zatroskaną twarzą, zupełnie nie zauważając sceny przy biurku. Ale w końcu dlaczego miałoby ją obchodzić to, że Rocky i Jack jedzą sobie razem lunch. Przecież nie ma się czym przejmować, prawda? To nic ważnego.

Sydney skupiła uwagę wyłącznie na Jacku.

- Mamy problem - powiedziała do niego. - W pracowni plastycznej.

Jack rzucił wszystko i wybiegł za Sydney, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nie powiedział ani słowa.

Zostawił Rocky samą, nad talerzem smażonego ryżu.

Rocky wstała i zaczęła sprzątać pudełka, które tak starannie poustawiała na biurku. Problem w pracowni plastycznej? Niby co? Skończyły im się kredki? Ale nie potrafiła się nawet rozżłościć, że tak ją zostawił, że pobiegł jak wierny pies za swoją lady Ginewrą. Wciąż była zbyt oszołomiona własnymi uczuciami, które nagle dostrzegła z nowej perspektywy. Pograżona w rozmyślaniach zamykała pudełka i ustawiała je w torbie, jak kawałki układanki. Jeśli to odwrócę na bok, tamto akurat zmieści się w rogu...

Tydzień temu wpadła na wspaniałą myśl. Postanowiła zbliżyć się do sir Galahada, sprawić, by ją polubił. Wiedziała, że potrafi tego dokonać. Gdy jej na czymś zależało, umiała się odpowiednio zachować. A kiedy już zostaliby przyjaciółmi, mogłaby go skłonić, żeby wywarł nacisk na Sydney. Żeby na nią wpłynął, by zyczliwiej spojrzała na plany Tatusia.

Ale dziś, rozmawiając z Jackiem, zrozumiała, że tu nie chodziło wcale o Tatusia, Sydney, Reck Enterprises czy ratowanie galerii.

Godziny spędzone przy komputerze na poszukiwaniach... złośliwe przytyki... zachowywała się jak licealistka, która chce tylko jednego - być blisko. Zwrócić na siebie jego uwagę.

Piętnaście minut później siedziała już w swoim pokoiku. Pomięta torba zjedzeniem stała na rogu biurka jak jakaś abstrakcyjna rzeźba. Rocky zrozumiała wreszcie, co czuła, kiedy Jack jej powiedział o zerwaniu zaręczyn. To była radość.

Teraz Galahad pewnie złoży Sydney raport. Opowie jej, jaka żałosna jest Rocky, powie, że jej biedna, mała pasierbica nazywa ją potworem. Och, Sydney, to takie urocze. Ona się we mnie podkochuje. A Sydney się nie rozzłości, nie będzie chciała się mścić. Postąpi właściwie. Jak zawsze.

- Bo ani trochę nie przypomina żalosnej, popieprzonej idiotki, jaką jestem ja - powiedziała na głos.

Niewiele myśląc, podniosła słuchawkę i wystukała numer. Poczekała, aż sekretarka ją połączy.

- Tatuś? - Starła się, by głos nie zdradził jej emocji. - Mam parę interesujących wiadomości.

Alec słyszał dzwonek telefonu, ale czekał, aż włączy się automatyczna sekretarka. Głównie dlatego, że domyślał się, kto dzwoni.

- To znowu ja, Travis. No cóż, myślę, że znam już twoją odpowiedź. - Dało się słyszeć głośne westchnienie. Alec się uśmiechnął. Facet uwielbia przedstawienia. - Miałem nadzieję, że znajdziesz w sobie odwagę, by przez to przejść. Ale rozumiem cię. Zatrzymaj wizytówkę. Może kiedyś się zdecydujesz, co? Nie będę już dzwonił. Trzymaj się, Alec. I pamiętaj. Po prostu pamiętaj.

Alec wstał i skasował wiadomość. Dokładnie to samo zrobił ze wszystkimi pozostałymi.

„Pamiętaj”.

- Niezły tekst. Teraz rozumiem, dlaczego jesteś dziennikarzem - mruknął. Ale nie miał zamiaru dopisywać szczęśliwego zakończenia do bajki, którą wymyślił sobie Travis. Nie zamierzał odgrywać zaginionego członka rodziny. Miał już kiedyś rodzinę. Geenę i Conora. I nie chciał innej.

Zaczął spacerować po mieszkaniu, usiłując złagodzić ból w ramieniu. To cholerstwo go wykańczało. Jego mieszkanie znajdowało się obok plaży i to się w nim Alecowi najbardziej podobało. Chłodna

wilgoć na prześcieradłach nad ranem, dźwięk rozbijającej się o brzeg fali. Przeciągnął się i wykrzywił twarz, kiedy ból przeszył jego rękę.

Przez wiele godzin pracował przy komputerze, aż bolesne miejsce na łopatkę zaczęło go parzyć, jak przypalane gorącym pogrzebaczem. Dwa lata temu dostał kulkę w to samo ramię, ale to było nic w porównaniu z tym wściekłym pieczeniem. Wypukłość na obojczyku, gdzie zrastała się kość, znajdowała się dokładnie pod szwami, w miejscu, z którego wyjęto mu odłamek deski rozdzielczej.

- Do diabła, przy odrobinie szczęścia będę mógł przepowiadać pogodę.

Poszedł do łazienki i spojrzął na fiolkę tabletek przeciwbólowych stojącą w szafce z lekarstwami. Czuł się jak dzieciak, który zajrzał w zakazane miejsce. Trzęsącą się dłonią chwycił buteleczkę i spróbował ją otworzyć, trzymając się instrukcji na wieczku. „Przycisnąć dłonią, jednocześnie obracając...”

Kątem oka zobaczył w lustrze swoją twarz. W jarzeniowym świetle jego skóra miała kolor surowego ciasta. Na czoło wystąpił mu pot. Upuścił buteleczkę z lekarstwem i patrzył, jak turla się w zlewie, zatrzymując się w końcu na sitku odpływu. Dotknął lustra.

Alec był jak dwie krople wody podobny do swojego starego. W tej chwili z lustra równie dobrze mógł patrzeć na niego Eddy, wiecznie żywy w jego twarzy.

Odstawił fiolkę na miejsce i włożył do ust cztery ibuprofeny, schylając się, by popić je wodą z kranu. Kiedy uniósł głowę, znów zobaczył nieodrodnego syna Eddy'ego, ze skłonnością do nałogów, odziedziczoną po ojcu. I choć nie był od niczego uzależniony, miał na tym punkcie obsesję.

Dotknął palcami blizny na podbródku - najnowszy ślad, pozostały po jego ostatniej randce ze śmiercią. Nagle w lustrze zjawiała się zupełnie inna twarz, przywołana wspomnieniami. Conor. Alec powiódł palcami po innej bliźnie, znaczącej twarz Conora. Był to ślad po głębokiej ranie, przecinający lewą brew.

Poznał Conora, kiedy miał osiem lat. Conor miał czternaście. Po wielu latach tułaczki po różnych rodzinach zastępczych, Conor i jego siostra Geena wylądowali w stanowym domu dziecka. Byli dwojgiem wspaniałych dzieciaków, które przegapili przeciążeni pracą urzędnicy opieki społecznej. Alec trafił tutaj nieprzypadkowo - ten dom był ostatnią przystanią dla nieprzystosowanych.

Pierwszego dnia dwóch chłopaków stłukło Aleca na kwaśne jabłko. Był kościsty i słabowity, głównie dlatego, że nigdy nie odżywiał się odpowiednio. Płakał wniebogłosy, wymachując chudymi rękami. Zmoczył się w spodnie.

I nagle, jak na filmie, zjawił się ogromny chłopak i ściągnął z niego tych gnojników. Alec pamiętał to jak scenę ze snu. Arnold Schwarzenegger wyłonił się z mgły i stanął w pełnym świetle. Conor chwycił tamtych za ubrania na grzbietach i uniósł do góry. Wisieli po jego obu stronach, wierzgając i młóćąc pięściami powietrze.

Jeden z tych małych śmieci miał nóż. Chlasnął Conora po twarzy i omal nie wyłupił mu oka. W tamtych czasach Conor brał już lekcje pilotażu w miejscowym aeroklubie, dzięki jakiemuś programowi, który miał pomagać takim jak on. „Dajcie dzieciom skrzydła” czy jakaś inna bzdura w tym rodzaju. W szpitalu lekarze bali się przez jakiś czas, że Conor może stracić oko.

Alec pamiętał, jak poszedł go odwiedzić. Był potwornie przerażony. Eddy uważał bicie go za coś w rodzaju sportu, a przecież Alec nigdy nic ojcu nie zrobił. Conor miał powód, żeby go nienawidzić. Dyrektor domu dziecka mówił mu, że Conor chciał zostać astronautą. Nie mógłby tego dokonać bez idealnego wzroku.

Alec wszedł do sali szpitalnej i przy łóżku Conora zastał Geenę. Stojąc przy drzwiach, obserwując brata i siostrę, pomyślał sobie: zaraz się zacznie. Spodziewał się, że go znienawidzą. Tak, jak Eddy i Daisey. Tak, jak zastępcze rodziny, które go tu odesłały.

Ale Conor powiedział Alecowi, że oko to nic wielkiego. Zapytał, czy jemu nic nie jest. Powiedział, że może powinni się zakumplować. Inne dzieciaki nie tknęłyby Aleca, gdyby się trzymał z Conorem. Tylko o tym mówił wtedy w szpitalu. Pół głowy miał owinięte bandażem, a chciał wiedzieć, czy Alec sobie daje radę.

Boże, Alec kochał tego faceta.

Wtedy po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma coś, o czym zawsze marzył. Kogoś, na kim można było polegać. Bo Conor Mitchell był prawdziwym przyjacielem. Jeśli raz stanął po twojej stronie, już nigdy cię nie zawiódł.

W wieku siedemnastu lat Conor wywarł na sędzi tak dobre wrażenie, że pozwolono mu żyć samodzielnie, mimo że był nieletni. Niedługo potem, kiedy uzyskał stypendium w college'u, znów zdołał na tyle zaimponować decydentom, że przyznano mu pełne prawo do

opieki nad Geeną, jego młodszą siostrą, a także nad Alekiem. Został ich prawnym opiekunem. Alec miał wtedy dwanaście lat.

W końcu jednak Alec przekonał się, że miłość ma swoje granice. Nawet miłość Conora.

Odkręcił kurek i ochlapał sobie twarz wodą. Sydney uważała, że powinien się spotkać z Travisem, rozprawić się ze swoją przeszłością. Geena zawsze popełniała ten sam błąd, co Sydney, zwalając winę na jego rodziców. Miała jakąś dziwną teorię na temat Daisey, która ćpała w czasie ciąży, przez co rzekomo Alecowi nie wykształciło się sumienie. Problem polegał na tym, że on właśnie miał sumienie. Potężne i bardzo uciążliwe.

Alec przez cały czas uważał, że to jedno wielkie oszustwo - życie z Geeną i Conorem, wstąpienie do Wojskowej Akademii Lotniczej... Został pilotem, idąc w ślady Conora, swojego bohatera. Zachowywał się, jakby mógł dorównać Conorowi, przez cały czas myśląc: Jeśli Conor kiedykolwiek dowie się, jaki jestem naprawdę...

Jego mózg przypominał bombę zegarową. Chodziło już nie tyle o to, czy Conor się dowie, jaki Alec jest pokręcony, ale kiedy. Geena była szczęśliwa i miała wspaniałe życie; była jedną z pierwszych kobiet, które latały na F - 14, znalazła sobie męża, Marca, i otworzyła z Conorem szkołę pilotażu. Conor też zmierzał prościutką drogą do sukcesu. Zrobił doktorat, został pilotem - oblatywaczem i ostrzył sobie zęby na korpus astronautów. A Alec wciąż słyszał w swojej głowie to cholerne tykanie.

To wtedy zaczął iść na łatwiznę. Chciał dostać od życia wszystko, co się da, zanim bomba wybuchnie i Conor dowie się, jakim Alec jest oszustem. I wtedy zjawił się Russell Reck, który popchnął go na drogę do piekła.

Sydney myślała, że kiedy się stawi czoło przeszłości, można spokojnie żyć dalej. Alec jednak dobrze wiedział, że są na świecie rzeczy, których nie da się zapomnieć, których nikt nie wybaczy.

Usłyszał dobiegający z kuchni dźwięk pistoletu startowego. Komputer. Dawał mu znać, że pora zajrzeć na ekran. Alec wytarł twarz rękawiczką, wracając do terażniejszości.

Pomysł napisania własnego programu do pilotażu zaświtał mu w głowie razem z myślą, że mogłoby spróbować odkupić swoje winy. Pracował wtedy dla Sydney, jako ochroniarz, ale po godzinach siadał do komputera. Oprogramowanie, które ratuje życie. Teraz wiedział, że

to do niczego nie prowadzi. Był przekonany, że jedyne, co mu pozostało do zrobienia zanim wysiądzie z tego pociągu, to uratowanie tyłka Sydney.

Przyciągnął bliżej laptopa i poruszył ramieniem. Lada moment powinien zadziałać ibuprofen. Dźwięk pistoletu startowego był sygnałem, który dawał mu znać, że uruchomiony przez niego program zakończył swoje zadanie. Po tym, jak Reck zawiadomił go, że przyjmuje go do pracy, Alec postanowił się dowiedzieć, czy ktokolwiek szukał w sieci informacji na temat Jamesa Flinta.

Program, który obmyślił do tego celu, był po prostu genialny. Ostatecznie to z komputerami Alec radził sobie najlepiej. Dzięki jego programowi serwer sieciowy zapamiętywał wszystkie numery identyfikacyjne użytkowników, łączących się ze stronami www, na których Alec umieścił dane o Flincie.

- Leniwy sukinsyn - mruknął, widząc, że numer identyfikacyjny rzeczywiście należy do Reck Enterprises. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby pozacierać za sobą ślady. To było zbyt proste. Alec wątpił, by człowiekowi, któremu Reck zlecił dochodzenie, chciało się kopać głębiej. Zadowolił się powierzchownymi informacjami, które Alec sam im podsunął.

Włamując się na odpowiednie strony internetowe, Alec stworzył historię Flinta, którą miał poznać Reck. Facet stracił pięć posad w ciągu czterech lat. Jak wielu innych próbował działać na własną rękę, zakładając firmę internetową, ale zbankrutował. Był zbyt napalony, za mało wytrzymały. Flint miał do zaoferowania wyłącznie swoje zdolności. I osobowość, z którą większość ludzi wolałaby nie mieć do czynienia.

Alec wiedział, że Reck będzie zachwycony takim wyzwaniem.

Przyszedł mu do głowy Wehikuł czasu. H. G. Wells twierdził, że maszyny doprowadzą do degeneracji rodzaju ludzkiego, zatrzymają naturalny bieg ewolucji, aż ludzie sami staną się jak maszyny albo jak bydło, którym maszyny się żywią. Tak samo było z Reckiem. Pozwolił, by maszyna wykonała za niego pracę, byle tylko on nie musiał się zanadto wysilać.

Alec patrzył na to zupełnie inaczej. Dla niego Internet stanowił wielką niezbadaną przestrzeń. Tak jak kiedyś na Dzikim Zachodzie, w Sieci gdzie wszystko było możliwe.

Może Syd ma słabość do komputerowych geniuszy, pomyślał z goryczą, przewijając informacje na ekranie. Bo przecież Jack Bosse też nieźle sobie radził w tym elektronicznym świecie. To było denerwujące. Wyglądało to tak, jakby Sydney odeszła i znalazła sobie innego, nowiutkiego Aleca. Bez usterek. Niestety, Sydney nie wiedziała, że Alec to tak naprawdę ulepszony model.

Ale teraz to już nie miało żadnego znaczenia. On i Sydney... ten sen nigdy nie miał się spełnić. Chociaż był czas, kiedy Alec wmówił sobie, że nawet on zasługuje na drugą szansę.

Problem polegał na tym, że Alec posunął się za daleko - przekroczył pewną granicę, spoza której nie było już powrotu. Jak z Conorem. Pewnych rzeczy nie można wybaczyć.

Alec zapatrzył się w ekran komputera. Postanowił sobie, że załatwi jeszcze tylko to jedno: zapewni jej bezpieczeństwo. A potem - czas uciekać.

Zanim to wszystko wybuchnie mu prosto w twarz.

Rozdział 13

Jack gapił się przez chwilę na ściany gabinetu. Usiadł ciężko w fotelu, z głową odchyloną do tyłu i zapatrzył się w sufit. Gipsowe płyty powolutku zmieniły się w gigantyczny biały ekran; na jego tle ukazał się obraz wyryty w pamięci Jacka. Twarz Sydney.

„Charlene wiedziała. Próbowała mnie ostrzec. Wiedziała, że nie powinniśmy używać tych farb”.

To było najgorsze - widzieć tak wyraźnie jej ból. Gdyby tylko posłuchała Charlene. Artyści mają intuicję. Charlene nie była w stanie wytłumaczyć powodów; wiedziała po prostu, że coś jest nie tak.

A teraz groził im kolejny pozew do sądu.

Chwała Bogu, biała farba, w której stwierdzono toksyczny poziom ołowiu, tylko podrażniła skórę chłopczyka. Lekarze zdołali podać mu antidotum, zanim trucizna wyrządziła jakieś trwałe szkody. Tylko jedna butelka była skażona. Nikt więcej nie ucierpiał.

Jack wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Najpierw ten dupek Porter. Potem były mąż Sydney spada im na głowy jak bomba. A teraz jakiś dziwny wypadek w pracowni plastycznej...

Na dodatek była jeszcze Rocky Reck.

Klapnął z powrotem na fotel, przypominając sobie, jak siedziała po drugiej stronie biurka. Przez wszystkie miesiące, kiedy knuła swoje intrygi, Jackowi nigdy nie przyszło do głowy, że ta mała może coś do niego czuć.

Kolejne szczęśliwe zakończenie historii miłosnej.

Zabrzmiało to jak słowa stuletniej staruszki.

Jack nigdy nie potrafił zrozumieć ludzi, którzy celowo niszczyli sobie życie. Było już i tak wystarczająco trudno utrzymać wszystko w garści, zadbać o siebie i swoich bliskich. Dla niego ta codzienna harówka była ekscytująca. Poszukiwanie szczęścia było prawdziwym wyzwaniem. A wyśnioną nagrodą za wysiłki zawsze była dla Jacka kobieta, która by go kochała, choćby zostawiał bokserki z siłowni na podłodze łazienki, choćby stracił ostatni kosmyk włosów na głowie. Bratnia dusza, dzieci... o tym marzył.

„Moja matka stawiała na ślubnym kobiercu cztery razy. Ojciec trzy”.

Życie Jacka nie było tak skomplikowane. Miał zupełnie zwyczajnych rodziców, którzy go kochali. Młodsze brata, którego uwielbiał. Ale miał też wielu przyjaciół z liceum i ze studiów, którzy

zdradzali swoje żony albo zostawiali dochodowe posady, tylko dlatego, że nie potrafili znieść myśli o zwyczajnej egzystencji. Jakby to było jakieś przekleństwo. Musieli sobie komplikować życie. Upajali się dramataми.

Wyobrażał sobie, że życie Rocky ani trochę nie przypominało normalnej egzystencji.

Najbardziej zdumiewało go to, że była tak podatna na ciosy. Nie spodziewał się tego. Nawet jej imię brzmiało twardo. I nagle przyszła do niego, ze swoją przeklętą chińszczyzną, usiadła naprzeciwko, patrząc mu w oczy i wyrzucając z siebie swoje nedorzeczne poglądy. Dlaczego Sydney miałaby mnie kochać...

I to, czego nie powiedziała wyraźnie: Dlaczego ktokolwiek miałby mnie kochać...

Sydney powiedziała mu kiedyś, że nie da się spojrzeć na człowieka, zsumować jego zalet i wad i postanowić, że się go pokocha. Miłość to nie zadanie matematyczne. Wspólne marzenia i zainteresowania nie rozbudzają namiętności. To ma działać tak, jak piszą w książkach: spontaniczny wybuch uczuć.

Lepiej zrobić coś szalonego, rzucić się w przygodę głową naprzód. Widzisz kogoś, kogo pragniesz, i przestajesz zważać na konsekwencje.

Na przykład Rocky. Przecież mógłby przyjąć wszystko, co miała do zaoferowania. Co z tego, że Sydney już go nie chciała. Rocky go chciała.

Sięgnął po telefon i już miał zadzwonić do jej gabinetu, ale nagle z impetem odłożył słuchawkę na widełki.

- Co ja, do diabła, wyprawiam?

Pomyślał, że gdyby to zrobił, nie różniłby się niczym od tych wszystkich ludzi, którzy sami szukają kłopotów. I znajdują je.

Wstając, złapał swoją aktówkę i wrzucił do środka jakieś dokumenty, które nawinęły mu się pod rękę. Problem polegał na tym, że nie był taki znów niewinny. Taaak. Tamtego dnia w kopiarni omal nie przekroczył granicy.

Zatrzasnął teczkę, nie mając pojęcia, co do niej włożył. Pewnie było tego dość, żeby mieć się czym zająć przez cały wieczór. Do towarzystwa miał tylko Freda i Ethel, swoje psy. Nie potrzebował tych wszystkich komplikacji, na które naraziłaby go Rocky.

Uwielbienie, które zobaczył w jej oczach, było bardzo miłe, ale słono by za nie zapłacił.

Poza tym ciągle jeszcze musiał brać pod uwagę Sydney. Potrzebowała go. Nawet jeśli miał tylko stać z boku i czekać, zawsze było to coś. A kiedy już wszystko się zawali, kiedy ta farsa z jej pilotem dobiegnie tragicznego końca, Jack będzie przy niej. Pomoże jej poskładać wszystko do kupy, tak jak dzisiaj, na warsztatach plastycznych.

Zamknął za sobą drzwi, schował klucze do kieszeni i ruszył do wyjścia. Był po prostu porządnym facetem, który stara się pomóc ukochanej kobiecie w kłopotach. Powinien się tego trzymać. Powinien się trzymać Sydney. Zapomnieć o Rocky i o tym, co poczuł wtedy, w kopiarni.

Lepiej się zadowolić zwykłą porcją kłopotów, pomyślał. Ostatnio nawet tego było aż nadto.

Od jakiegoś czasu Russell Reck często rozmyślał o swojej córce. A Rocky wybitnie mu to ułatwiała, zabiegając o jego uwagę, bez przerwy dzwoniąc, okazując zainteresowanie. Czasami przysyłała mu miły e - mail albo artykuł, który według niej mógł mu sprawić radość.

Sydney najchętniej wbiłaby mu nóż w serce, gdyby tylko miała okazję. Ale Rocky...

„Tatusiu, jeśli chcesz, mogę dla ciebie szpiegować”. O tak. To by się przydało.

Pod wieloma względami była podobna do samego Russella. Inteligentna, piękna... a także niezadowolona ze swojego życia. Rocky zawsze chciała więcej, niż miała, zupełnie jak on. Russell wiedział, że może jej pomóc zaspokoić te pragnienia. I cieszyć się razem z nią jej sukcesami. Sam nigdy nie zaznał tej przyjemności.

Osobiście uważał, że ma tylko tę jedną córkę. Pozostałe dwie były kompletnym marnotrawstwem DNA.

I dlatego teraz, siedząc naprzeciw niej w restauracji, zaniepokoił się tym, co ujrzał w jej oczach. Jego wspaniała córka była bardzo niezadowolona. I to najwyraźniej z jego powodu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego myślisz, że chcę z ciebie zrobić mojego szpiega. Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Ale twoja macocha powiedziała mi przy lunchu coś zupełnie szalonego. Nie jestem pewien, czy zeszły rok nie wpłynął źle na jej zdrowy rozsądek. I bardzo się niepokoję.

Rocky zadzwoniła do niego z biura i umówili się w Four Seasons na drinka. Miała dziwny głos, jakby czymś się martwiła, i nie rozluźniła się ani trochę, choć zamówiła sobie margaritę.

- Rocky?

Uniosła głowę. Russell zorientował się, że nie słyszała ani słowa z tego, co mówił.

- Kochanie, wszystko w porządku?

Zamrugnęła powoli, jakby się nad czymś zastanawiała. Była spięta.

- Myślałam o tym chłopcu, który miał wypadek w muzeum - powiedziała. - O tej farbie skażonej ołowiem. Tatusiu, ty nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda?

Russell nie przestał się uśmiechać.

- O czym ty mówisz?

- Nie pytałabym nawet, tylko że... zawsze chciałeś wiedzieć wszystko na temat wystaw. Co planujemy w przyszłym miesiącu, jakie będą potem warsztaty. Poprosiłeś mnie o kopię katalogu, prosto z drukarni. Tak bardzo interesowały cię wszystkie szczegóły...

- Rocky, przestań... - zawiesił głos, jakby trudno mu było mówić dalej. - Siedziałem w więzieniu, poszedłem na ugodę i przyznałem się do winy. Czasami trzeba zrobić to, co konieczne w danej chwili. - Pochylił się do przodu. Całe jego ciało mówiło: Nie trać we mnie wiary. - Popełniłem kilka błędów. I w Bogu moja nadzieja, że przez to wszystko nie uwierzyłaś, że byłbym zdolny skrzywdzić dziecko.

Rocky podniosła swojego drinka.

- Przepraszam. Masz rację. To podłe z mojej strony. Tylko że ostatnio cały świat stanął na głowie.

- Kochanie, nic nie szkodzi. To normalne, każdy miewa wątpliwości.

- Nie, nieprawda. Nigdy nie powinnam była mówić czegoś takiego. Szczególnie o tym wypadku z farbą. I proszę cię, nie krępuj się, jeśli chcesz mnie o coś pytać. Bardzo chętnie będę cię na bieżąco o wszystkim informować. Wiem, że to żadne szpiegowanie. A nawet jeśli, to przecież ci powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu.

- Po prostu nie chcę, żebyś robiła coś, przez co czujesz się niezręcznie. Dziobnął wykałaczką oliwkę w swoim martini. Oczywiście, że chciał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Do tej pory wszystkie informacje, które uzyskał od swojej córki, były nieocenione. Ale potrzebował od niej więcej. O wiele więcej.

Zauważył, że nawet nie tknęła swojego drinka.

- Wydaje mi się, że schudłaś. Czy ty w ogóle jesz?

- Miałam nawet chińszczyznę na lunch - powiedziała, uśmiechając się pod nosem.

- A co w tym śmiesznego?

- Musiałbyś tam być. Tatusiu, martwisz się o Sydney, tak? Myślisz, że sfiksowała... odjechała, czy jak to tam nazwać? Ale nawet jeśli masz rację, co ja mogłabym w tej sprawie zrobić?

- Nie powiedziałem, że zwariowała... - odparł z wahaniem.

Miał dużo czasu na przemyślenie, co chce osiągnąć. Ponad rok w więzieniu. Postanowił, że da Sydney szansę. Możliwość wyboru. No cóż, dokonała wyboru, rzucając mu w twarz wszystko, co jej oferował. Przyszła kolej na jego ruch.

- Po prostu myślę, że twoja macocha popełnia ostatnio zbyt wiele błędów. Na przykład ten wypadek na warsztatach, za który, obawiam się, ponosi całkowitą odpowiedzialność. To się stało pod jej bokiem, Rocky. Teraz sama mówisz, że zerwała te zaimprovizowane zaręczyny? To dowodzi braku konsekwencji. Myślisz, że może mieć jakiś problem?

- Sydney ma wszystko poukładane pod sufitem, uwierz mi. - Rocky zlizła odrobinę soli z brzegu swojego kieliszka. - Dlaczego ją tak nazywasz? Moją macochą? Tak naprawdę to nią nie jest. Nie bardziej, niż Megan.

- Megan i ja mieliśmy dzieci. Sydney - Russell wzruszył ramionami - zawsze chciała mieć dzieci. Wiesz, że mam podwiązane nasieniowody. Chciała, żebym się poddał operacji, cofnął to... ale odmówiłem. Myślę, że między innymi przez to mnie zostawiła.

- Zostawiła cię, bo myśli, że zabiłeś jej pierwszego męża. Spojrzał na nią skonsternowany. Od wielu miesięcy Rocky była jego ukochaną córeczką, swoim zachowaniem starała się zatrzeć lata bezczelności, którą przedtem musiał znosić. I nagle spojrzenie jej oczu, ton głosu - wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

Ale był zbyt mądry, by się rozgniewać. To by się na nic nie zdało. Gniew nie pomógłby mu w osiągnięciu celu.

Russell uśmiechnął się.

- Sam bym tego lepiej nie ujął.

- O Boże, przepraszam, Tatusiu. - Rocky odsunęła kieliszek i potrząsnęła głową. - Nie powinnam była tu przychodzić. Jestem w paskudnym nastroju i wyładowuję się na tobie.

Położył dłoń na jej dłoni.

- Może się po prostu prześpij. I zjedz coś. Nie chcę się zacząć martwić jeszcze i o ciebie. Co cię tak wytrąciło z równowagi?

- Zawaliłam jedną sprawę. Straszliwie. W pracy.

- A ja tu w kółko mówię o Sydney. Nie chciałem, żebyś się poczuła niezauważana...

- Nie poczułam się. Poza tym nie chcę mówić o tym, co się stało. Wolałabym o tym zapomnieć. Lepiej powiedz, co planujesz? Ciągłe chcesz, żebym próbowała przepchnąć ten kontrakt między Reck Enterprises i galerią? Bo teraz mogę cię z czystym sumieniem zapewnić, że to stracona sprawa.

- Niewykluczone, że masz rację - przyznał. Zorientował się, że to nie jest odpowiednia chwila, by zbyt mocno naciskać. - Bądź tylko szczęśliwa, dobrze? Nie martw się na zapas. I słuchaj taty. - Roześmiał się. - To zabrzmiało jak jakaś porada z kalendarza; zrywasz kartkę i sprawdzasz, jaka mądrość przypada na kolejny dzień.

Roześmiała się razem z nim i nastrój trochę się poprawił. Russell widział teraz, że wszystko będzie dobrze. Rocky wciąż była jego małą córeczką.

- To chyba przez ten pobyt w więzieniu - powiedział. - Ma się za dużo wolnego czasu na czytanie pseudopsychologicznych książek. - Zerknął na zegarek. - Muszę się zbierać. Dzięki, że przyszłaś. To bardzo miło z twojej strony.

- Ale ja myślałam, że zjemy razem kolację?

- Przykro mi. Już się umówiłem. - Russell wstał i rozejrzał się po sali. Zobaczył Angelę, która szła uśmiechnięta w jego kierunku. - A oto i ona.

Rocky odwróciła się, by zobaczyć, z kim umówił się ojciec. Angela wyglądała olśniewająco w klasycznej małej czarnej, która była jednocześnie seksowna i elegancka.

Kiedy Russell umówił się z Angelą, w jego głowie jakby wszystko się nagle poukładało. Owszem, miał swoje plany co do Sydney, ale to nie oznaczało przecież, że musi być sam.

- Poznałem ją dzisiaj. Jest aktorką. Jak myślisz? Za młoda dla takiego staruszka?

Nie widział wyrazu twarzy Rocky. Nie musiał. Angela była doskonała. Umówili się w Four Seasons na drinka przed kolacją.

- Oczywiście, że nie - Rocky odwróciła się do niego z uśmiechem, ale w jej spojrzeniu nie było radości. - Zastanawiam się tylko, czy jest dla ciebie dość dobra.

Russell uśmiechnął się. Widział wyraźnie, że Rocky wciąż jeszcze chce mieć tatusia wyłącznie dla siebie.

- Może umówimy się znowu jutro albo pojutrze?

- Oczywiście, Tatusiu. - Wstała i uściskała go serdecznie. Odsuwając się, dodała: - Wiem, że się troszczysz o Sydney, chociaż czasem zastanawiam się, dlaczego. Przecież potraktowała cię okropnie.

Moja mała córeczka.

- Kolacja, jutro. Co ty na to?

- U mnie w domu. Ugotuję ci twoją ulubioną sarsuelę. Podeszedł bliżej i pocałował ją w policzek.

- Dzięki tobie jestem szczęśliwy, wiesz? Jesteś teraz wszystkim, co mam.

Uśmiechnął się i ruszył w kierunku swojej uroczej towarzyszki, uspokoiony, że Rocky wciąż go kocha. Na razie to mu wystarczało.

Rocky patrzyła za oddalającym się ojcem. Wyszedł na spotkanie tej wysokiej blondynki. Aktorka. Widziała, że pocałował ją w rękę. Bardzo romantycznie.

Usiadła z powrotem przy stoliku i zmarszczyła czoło. Pomyślała nagle, że margarita chyba dobrze jej robi. Wypiła połowę drinka jednym haustem. Lodowaty płyn zmroził jej podniebienie.

Poczuła się nagle bardzo samotna. I niepewna swoich uczuć.

Jack. Ojciec.

„Jesteś wszystkim, co mam”, powiedział.

- Akurat - mruknęła, patrząc, jak wychodzi z baru z inną kobietą.

,

Rozdział 14

Sydney szamotała się z kluczami do mieszkania, usiłując jednocześnie nie wypuścić pół tuzina teczek, które miała pod pachą. Czowała, jak powoli wariuje. Wróciła właśnie ze szpitala, gdzie poinformowano ją, że zatruty farbą chłopczyk został wypisany do domu i jest całkiem zdrowy.

I choć nie zdołała się z nim zobaczyć ani porozmawiać z jego rodzicami, ta wiadomość przyniosła jej ogromną ulgę. Oboje z Jackiem mieli się spotkać z rodzicami dziecka w przyszły weekend.

Wyjaśniła już Jackowi, jak ona to wszystko widzi. Chciała załagodzić sprawę, choćby nawet miała zamknąć warsztaty. Postanowiła, że Centrum spełni wszystkie postawione warunki. Jack miał trochę inne zdanie. Według niego nie można było podejmować takich decyzji, opierając się wyłącznie na emocjach. Przypomniawszy jej o podobnych wypadkach. W miejscowej szkole używano sprowadzonych z zagranicy kredek, w których poziom ołowiu przekraczał wszelkie dopuszczalne normy. Media donosiły bez przerwy o budynkach, w których wykryto azbest. „Takie rzeczy się zdarzają” - powiedział.

Ale nie pod moim zarządem, powtarzała sobie Sydney.

Zamek w drzwiach wreszcie zaskoczył. Sydney odetchnęła z ulgą, ale nagle kątem oka zauważyła jakiś cień, który rzucił się w jej stronę. Pojawił się znikąd, jak duch. Teczki posypały się na podłogę, kiedy odwróciła się gwałtownie, celując w oczy napastnika pieprzowym sprayem.

- Nie strzelaj! - Alec podniósł ręce do góry. Widząc papiery porozrzucane na chodniku, dodał: - Chyba jesteś przepracowana, zupełnie straciłaś poczucie humoru.

- Alec. - Sydney opuściła pojemnik z pieprzem. - Co ty tu robisz? Kiedy się schyliła, by pozbierać te czki, klęknął obok niej, jednak wcale nie po to, by pomóc. Uniósł jej twarz, wpatrując się w usta, jak jakiś amant filmowy.

- Myślałaś, że możesz mnie pocałować, tak jak wtedy, i zwyczajnie sobie pójść?

Strząsnęła z siebie jego dłonie i zaczęła z wściekłością zbierać papiery.

- Chcesz krótką odpowiedź? Tak. - Nie miała ochoty na tę rozmowę. W każdym razie nie teraz, kiedy czuła się taka bezbronna. - I jeśli będzie trzeba, pójdę sobie znowu.

- No cóż, Syd, przyszedłem ci powiedzieć, że nie pozwolę się więcej wykorzystywać. Nie możesz używać mojego ciała dla zaspokojenia swoich potrzeb seksualnych, a potem wyrzucać mnie jak jakiegoś śmiecia. - Stał obok, udając, że się zastanawia nad tym, co powiedział. - No dobrze, możesz używać mojego ciała, jeśli tak nalegasz. Ale mam jedną prośbę.

Ruchem estradowego magika wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki sznurkowe majtki w lamparci wzorek. Abrakadabra. Sydney natychmiast rozpoznała swoją bieliznę.

Uśmiechnął się słodko i niewinnie.

- Włożysz to, jeśli będziesz chciała się ze mną kochać? Wyciągnęła rękę, próbując zabrać mu majtki. Alec odsunął się tanecznym krokiem, trzymając szmatkę tuż poza jej zasięgiem.

- Nie ma mowy. Nie powiedziałaś magicznego słowa.

- Wydrę ci serce i po kawałeczku wepchnę do gardła, jeśli natychmiast mi tego nie oddasz!

- Może być - powiedział.

Sydney złapała majtki i wetknęła do jednej z teczek. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Jak to zdobyłeś?

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Gdzie ty wynalazłaś tych durnych ochroniarzy? Wszedłem do twojego mieszkania i wziąłem to, nawet nie przerywając im drzemki.

Ostatnią rzeczą, o jakiej teraz chciała myśleć, było to, że coś jej zagraża. Przez cały zeszły tydzień usiłowała zneutralizować podle plany Russella. Poczucie normalności, o które ostatnio walczyła, znikło zupełnie; zniweczył je człowiek, którego nazywali Wrakarzem. W tej chwili umysł Sydney był zaprzątnięty wyłącznie katastrofą w pracowni plastycznej.

Wepchnęła majteczki między papiery.

- Myślałam, że już dawno to wyrzuciłam.

- Trzecia szuflada od góry. Były schowane pod zupełnie nieciekawą parą spodenek gimnastycznych. - Mrugnął okiem, otwierając przed nią drzwi, gotów wejść do środka razem z nią. - Mam bardzo bystry wzrok. To prawdziwy dar niebios.

Sydney oparła rękę o futrynę, zatrzymując go, zanim przekroczył próg. Teraz dopiero zastanowiło ją, dlaczego właściwie Alec zjawiał się pod jej drzwiami, na dodatek z wykradzioną bielizną.

- Jakoś ci nie wierzę. Po co naprawdę przyszedłeś?

- Stęskniłem się za twoją kawą.

- Rozpuszczalna nesca. Kupuję ją w spożywczym. To ta z etykietką po hiszpańsku. Ma intensywniejszy aromat. Musisz się bardziej postarać.

Jego szeroki uśmiech chwycił ją za serce. Alec miał wiele uroczych cech, a jedną z nich był jego chłopięcy uśmiech. Miał trzydzieści cztery lata, ale równie dobrze mógł udawać, że jest po dwudziestce. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, ona też się pomyliła. Uznała, że jest dużo młodszy. Nie chodziło tylko o jego twarz; raczej o to, że potrafił zmieniać się jak kameleon. Dla Aleca życie było grą. Żył z dnia na dzień, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. I lubił się bawić - jeśli było to możliwe, cudzym kosztem.

- Słyszałem o tym dzieciaku - powiedział.

Nie miała pojęcia, dlaczego nagle tak się zawstydziła, skąd wziął się ten gorący rumieniec na jej twarzy. Przecież Alec nigdy by jej nie osądzał.

- Zawaliłam sprawę - odparła, unosząc głowę. - Przyszedłeś, żebym się mogła wypłakać na twoim ramieniu?

- Prawdę mówiąc, miałem na myśli coś całkiem innego. - Obszedł ją powoli i zatrzymał się dokładnie za jej plecami. Zaczął mówić, jakby opowiadał jej jakąś historyjkę: - Oczywiście, nie potrafię niczego udowodnić, ale mam podejrzenia co do tej farby. Jak się tam znalazła. Sama się zastanów, kto mógł ci podrzucić na próg tego małego konika trojańskiego. - Ostatnie zdanie wyszeptał jej miękko prosto do ucha.

- Chcesz powiedzieć, że to był sabotaż?

- Niech zgadnę. Farba pochodziła od innego dostawcy? Nie wiadomo skąd i dlaczego?

Zdumiewające, że sama o tym nie pomyślała. Nie przyszło jej do głowy, że to niekoniecznie był zwyczajny wypadek. Że Russell mógł być w to zamieszany.

- Warto się nad tym zastanowić - powiedział Alec.

Russell Reck był mordercą, tyle wiedziała sama. Nie miało znaczenia, że prokurator wycofał ten zarzut, a Sydney nie potrafiła mu

nic udowodnić. Ale Russell cały czas wiedział, że samolot z Henrym na pokładzie runie na ziemię. Zabił Henry'ego. W zasadzie się do tego przyznał tamtej nocy, kiedy zadzwoniła do FBI.

Od kiedy tylko Russell zawarł ugodę z oskarżycielem, Sydney bez wytchnienia poszukiwała dowodu jego zbrodni, czegoś niepodważalnego, czego superekipa prawnicza Russella nie byłaby w stanie obalić przed sądem. Mając taki niezbity dowód, mogłaby skłonić prokuratora do ponownego rozpatrzenia wycofanych oskarżeń.

A w międzyczasie Russell zaglądał jej przez ramię i przeszkadzał, jak tylko mógł.

- To nie ma znaczenia - powiedziała Alecowi. - Nie zdołałby mi zaszkodzić, gdybym była ostrożniejsza. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

- O, tak. Panujesz nad wszystkim.

Spróbowała go ominąć, mając nadzieję, że zdoła się od niego odgrodzić drzwiami. Alec oczywiście przewidział jej ruch. Tym razem to jego ramię zamykało jej drogę do mieszkania.

- Dobra, dam ci spokój. Tak czy siak, nie przyszedłem tu rozmawiać o Russellu. Słuchaj, miałem nadzieję, że pogawędzimy sobie na rozgrzewkę, zanim przejdę do rzeczy, ale niech już będzie po twojemu.

Oparł się o futrynę i skrzyżował ramiona na piersi, jedną nogę dla równowagi opierając o ścianę. Idealna imitacja Jamesa Deana.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że się mylisz - powiedział.

- Myle się w bardzo wielu sprawach. O której z nich chcesz rozmawiać dzisiaj?

- O mnie i mojej utraconej rodzinie. Wymyśliłaś sobie na ten temat piękną bajeczkę. Nie wiadomo czemu wbiłaś sobie do głowy, że zadzwonię do tego Travisa, spotkam się z moim zaginionym bratem i wspólnie odegramy scenę jak z filmu rodzinnego. I że potem będę jak nowy. Gotów do małżeństwa i podjęcia obowiązków, które ze sobą niesie.

Odepchnął się od ściany i podszedł bliżej, przypierając Sydney do drzwi.

- Problem w tym, Syd, że ja nie jestem zepsuty. Nie ma czego naprawiać. To, jak przeżyłem swoje życie, wynikało z moich własnych decyzji. Nie prześladowają mnie jakieś wspomnienia z tragicznej przeszłości, nie nawiedzają żadne duchy. Wybrałem

egzystencję bez planów na niepewną przyszłość, bez domu obciążonego hipoteką i książeczki oszczędnościowej. I co z tego? Nie widzę jakoś, żeby mój sposób na życie był gorszy od innych.

- I przyszedłeś, żeby mi o tym powiedzieć?

Jego roztańczone palce wędrowały wzdłuż jej kręgosłupa. Sydney czuła, że oddycha z coraz większym trudem. Kiedy jego dłonie dosięgły szyi, usiłowała zachować spokój, nie reagować.

- W życiu nie chodzi tylko o to, żeby doprowadzić do szczęśliwego zakończenia - wyszeptał. - Ale i o to, żeby mieć po drodze trochę frajdy.

- Chcesz znać moje zdanie? - zapytała. - Myślę, że się po prostu boisz.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, zjawiał się na niej tylko znajomy, niemiły uśmiech.

- Ależ, skarbie. W tej chwili to nie ja jestem wystraszony. Ustami musnął skórę tuż za jej uchem. Wsunął rękę za jej plecy. Przyciągnął Sydney bliżej, przyciskając do siebie.

- Dlaczego nie możemy być razem przez jedną noc, jeden miesiąc czy rok? Odwróciłaś się ode mnie i związałaś z Jackiem, który nakładł ci do głowy jakichś bzdur o związku na zawsze. Pieprzyć związku na zawsze.

Jego usta prześliznęły się po jej policzku. Czuła na wargach jego oddech. Alec był w tym dobry. Najlepszy. Grę uwodzenia doprowadził do perfekcji. I w tej chwili wykorzystywał cały swój kunszt.

- Myślisz, że coś może przetrwać tylko dlatego, że podpiszesz się na kawałku papieru?

Sydney zamknęła oczy.

- Naprawdę byłbyś w stanie mi to zrobić, Alec? Uwieść mnie, żebym zerwała zaręczyny z Jackiem? Doprowadzić do tego, żebym obudziła się jutro ze świadomością, że zdradziłam człowieka, który mnie kocha?

- Czy to podchwytliwe pytanie? - ucałował kącik jej ust. - Zrobiłbym to bez zmrużenia oka.

- Ależ z ciebie szuja. - Uniosła głowę, by zobaczyć, że teraz ona uśmiecha się złośliwie. - Niestety, tak się składa, że się spóźniłeś.

Mimo półmroku dostrzegła, że oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia. Stali teraz o krok od siebie, nie dotykając się już, ale Sydney czuła, że samo powietrze pulsuje między nimi.

- Jack i ja zerwaliśmy zaręczyny. W zeszłym tygodniu. - Czekala na reakcję, obserwując go uważnie. - I kto się teraz przestraszył, Alec?

- Mam się martwić, że odprawiłaś Głupią Gębę? A to niby dlaczego?

- Bo teraz to, co rzekomo jest między nami, przestało istnieć tylko w teorii. Znow jestem wolną kobietą. Mogę robić wszystko. Nie jestem już dla ciebie wyzwaniem.

Alec uśmiechnął się szeroko.

- I sądzisz, że to mnie przeraża?

- Myślę, że jesteś gotów zwać gdzie pieprz rośnie.

Potrząsnął głową. W słabym świetle wyglądał bardzo młodo z rozjaśnionymi włosami i w skórzanej marynarce do kolan. Nie każdemu pasowałby taki styl; Alec prezentował się świetnie.

Ale w jego oczach Sydney dostrzegala zmęczenie, ich wyraz mówił, że ten człowiek widział w życiu zbyt wiele. Nieczęsto widywała na jego twarzy taką powagę. Kiedy patrzył na nią, wyglądał jak ktoś, kto urodził się stary.

- Biedna Sydney - powiedział. - Chcesz, żebym sobie poszedł? Nie potrzebujesz mnie do ochrony? Przecież zawsze można skorzystać z książki telefonicznej. Przyznaj się, że właśnie tam znalazłaś tych idiotów, których wynajęłaś. - Podeszedł bliżej, mówiąc coraz szybciej. - Ale jeśli w głębi duszy jesteś przekonana, że do szczęścia potrzeba ci w życiu właśnie mnie? Właśnie tego popieprzonego Aleca? - Obszedł ją powoli, zatrzymując się z jedną nogą na stopniach prowadzących na chodnik. - Co będzie, jeśli pewnego dnia odwrócisz się i mnie tam nie będzie? Ciekawe, co wtedy zrobisz. - Umilkł na chwilę, by słowa zapadły jej w pamięć. Uśmiechnął się łagodnie. - Pomyśl o tym, zanim następnym razem każesz mi zniknąć.

Sydney zamknęła oczy, słuchając jego kroków na chodniku. Z całych sił próbowała zachować spokój, ale nie była w stanie milczeć.

- Mam zapomnieć o wszystkim, co się stało? Tak po prostu rzucić się w twoje ramiona? Drugi raz popełnić ten sam błąd?

Włożył rękę do kieszeni marynarki.

- Ach prawda - powiedział. - Twoje złamane serduszko. - Pokręcił głową, jakby nagle coś sobie przypomniał. - Kurczę, zapomniałem. Ale w końcu dlaczego miałbym myśleć o czymś takim. Wszyscy przecież wiedzą, że ja nie mam serca.

Zacisnęła zęby, żeby nie przywołać go z powrotem. Musisz być silna... musisz być mądra.

Pozwoliła mu odejść. Teraz to już nie miało znaczenia. Oboje wiedzieli, że wygrał tę rundę.

Otworzyła drzwi i zmusiła się, by wejść do środka. Zasmuciła ją ta złośliwa uwaga, rzucona na odchodnym. „Wszyscy przecież wiedzą, że ja nie mam serca”.

Kiedy kochał się z nią tamtej nocy, dawno temu, jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, było właśnie bicie jego serca.

Westchnęła głęboko. Czowała pustkę, nie potrafiła sprecyzować swoich uczuć. Jakby nie było dość, że Russell chciał ją zabić, że mógł spowodować wypadek w pracowni - miała na głowie Aleca z jego maniackim uporem.

Spojrzała w dół, na teczki, które trzymała w objęciach. Naprawdę żałowała, że Russell Reck nie jest jej jedynym problemem.

Dopiero wtedy zauważyła, że majtki, które wetknęła do jednej z teczek, zniknęły.

Jakimś cudem Alec musiał je zabrać ze sobą.

Rozdział 15

Jadąc do domu, Jack Bosse czuł się zmęczony. O wiele za bardzo jak na kogoś, kto ma przed sobą całe życie.

Był zmęczony tym, że zabiera ze sobą papiery z firmy. Znudzony swoim pustym domem i jedzeniem na wynos. Był wykończony pracą w galerii i faktem, że przez okrągłą dobę martwi się o Sydney.

Ale przede wszystkim miał serdecznie dość tego, że tak się nad sobą użala.

Dziś wieczorem, zanim wyszedł z galerii, omal nie zadzwonił do swoich rodziców. Pomyślał, że mógłby do nich wpaść i ubłagać mamę, żeby ugotowała mu kolację. Mógłby pograć w kosza ze swoim siostrzeńcem Kyle'em. Dzieciak powinien potrenować rzuty.

Ale rodzice zapytaliby go o Sydney. I musiałyby powiedzieć im prawdę. Że odwołali ślub. Jakoś nie miał ochoty się do tego przyznawać, choć minął już tydzień, odkąd doszli z Sydney do porozumienia. Prędzej czy później będziesz musiał im powiedzieć.

Nie bał się tego, że będą rozczarowani. Wnuka już mieli. Brian pojawił się, zanim rodzice w ogóle pomyśleli, że mogą zostać dziadkami. Ale Jack wiedział, że martwiliby się o jego szczęście. Przecież tak bardzo pragnął być z Sydney.

Postanowił, że dziś wieczorem musi się zadowolić swoim pustym mieszkaniem. Włączy telewizor, byle tylko coś gadało, posłucha rozmów i śmiechu aktorów. Przejrzy raporty, które zabrał ze sobą. Zamówi pizzę. Ostatnio wszystkie jego dni były do siebie podobne, powtarzały się jak refren znanej piosenki... przedstawienie musi trwać.

Kiedy przejeżdżał przez most nad głównym kanałem, światła samochodu zatańczyły na czarnej wodzie jak świetliki. Ruszył w kierunku bramy zamykającej wjazd na wyspę, na której mieszkał. Może powinienem zapisać się na kurs gotowania? Coś niebanalnego, na przykład kuchnia tajska. Wyglądało na to, że przez długi czas będzie skazany wyłącznie na własne towarzystwo.

To zabawne: zawsze myślał, że w tym wieku będzie już dawno żonaty. To była część „scenariusza”, o którego układanie oskarżyła go Sydney. Może i miała rację... Możliwe, że trochę za bardzo skupił się na poszukiwaniu Pani Odpowiedniej. I jeszcze do niedawna był pewien, że ją znalazł.

Prawda była jednak taka, że on i Sydney nigdy nie pasowali do siebie tak idealnie, jak by tego chciał. Przez cały czas wiedział, że ich

wspólne plany wiszą na włosku. A to, co zaszło w kopiarni między nim a Rocky. .. może to być dowód, że Sydney miała rację. Stop, poprawka. To, co prawie zaszło.

Ale i tak musiał przyznać, że doświadczył bardzo silnych emocji. Mężczyzna, który kocha swoją narzeczoną, na pewno tak się nie zachowuje.

Rozważając różne możliwości, Jack podjechał pod bramę. Nastrój mu się pogarszał z minuty na minutę. Miał właśnie pomachać strażnikowi w budce i wjechać do środka, kiedy ktoś wyskoczył prosto przed maskę jego terenowego forda.

- Cholera! - Jack wdepnął hamulec.

Nie do wiary. W świetle reflektorów samochodu stała Rocky Reck.

Miała na sobie krótką sukienkę i sandały. Wieczorna bryza oblepiała różowy materiał wokół jej ud. Bajeczne włosy, związane w koński ogon, aż powiewały na wietrze i wydawała się za młoda na tę ciemnoczerwoną szminkę, jaką malowała usta.

Poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny, kiedy patrzył, jak Rocky wychodzi ze smugi światła i zbliża się do drzwi samochodu. Podeszła do okna pasażera i zapukwała w szybę. Jack zdał sobie sprawę, że nawet nie drgnął od chwili, kiedy omal jej nie przejechał. Chyba nawet nie oddychał.

Opuścił szybę, wpuszczając ciepłe powietrze letniego wieczoru. Rocky stanęła na stopniu pod drzwiami samochodu i oparła się łokciami o dolną krawędź okna. Jack poczuł upajający zapach fiołków. Machnął na strażnika, dając mu znać, że jego interwencja nie będzie konieczna.

- Mogę wsiąść? - zapytała Rocky. Widząc, że Jack się waha, dodała: - Chcę z tobą porozmawiać o tym, co się dziś stało w twoim gabinecie.

Nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Kiepski pomysł, mała. Z całą pewnością nie chciał zostawać z nią sam na sam. Szczególnie teraz, kiedy ciągle miał w pamięci spojrzenia, które rzucała mu przy lunchu. Uznał, że lepiej wykręcić się z niezręcznej sytuacji i odesłać dziewczynę do domu.

Ale po dzisiejszym dniu tak naprawdę miał ochotę powiedzieć: Dlaczego nie, do diabła? Wiedział, że kusi los.

- Pomyślałam sobie, że nie będziesz zbyt zajęty po pracy - powiedziała Rocky. - Skoro księżniczka Sydney poszła w siną dal... - dorzuciła, nie mogąc się powstrzymać od złośliwości.

- Och, oczywiście. Mój karnecik jest pusty.

Rocky była piękną kobietą. Przeważnie Jack starał się nie zwracać na to uwagi, skupiając całą uwagę na swoim związku z Sydney. Ale dziś był wykończony i nie miał ochoty bawić się w dżentelmena. Pozwolił sobie bezczelnie spojrzeć na jej piersi, podkreślone obcisłą sukienką, na jej wspaniałe, jasne włosy.

Wiedział, że jeśli zabierze ją do domu, będzie miał przez to same kłopoty.

Nikt nie jest doskonały...

Sięgnął nad fotelem i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

- Wsiadaj.

Zanim dojechali do jego domu, z pięćdziesiąt razy powtarzał sobie w duchu, że chyba zgłupiał do reszty. Jack Bosse podejmował tylko skalkulowane ryzyko. Nigdy nie szedł na żywioł. Badał problem z każdej strony, podchodził do niego logicznie. Trzymał się z daleka od kłopotów. Do diabła, wszystko i tak jest wystarczająco skomplikowane.

Mógł przynajmniej zawrócić do miasta i zabrać ją w jakieś publiczne miejsce, do baru czy kawiarni. Ale jego mózg nie pracował dziś sprawnie. Mogło się zdarzyć, że dziś wieczorem popełni błąd.

Ale kiedy wjechał na podjazd i wyłączył silnik, zrozumiał, że nie zrobi nic głupiego. To jest test... Próba charakteru. W wieku trzydziestu czterech lat Jack nie miał sobie nic do zarzucenia.

Rocky nie powiedziała ani słowa. Była zabójczo wystrojona, ale widział wyraźnie, że się denerwowała. Uśmiechnął się. Bardzo dobrze. Miał nadzieję, że porządnie ją wystraszył.

Wziął z tylnego siedzenia torbę z laptopem.

- Poczekaj pod drzwiami, dopóki nie przedstawię cię ferajnie. - Sięgnął nad jej kolanami i otworzył drzwiczki.

„Ferajną” były jego dwa rodezyjskie ridgebacki. Kazał psom stanąć obok siebie i trochę je uspokoił, zanim pozwolił Rocky wejść do środka.

- Poznaj Freda i Ethel.

Rocky podeszła bliżej, ale trzymała się za jego plecami.

- Nic mi nie zrobią?

- Groźnie wyglądają, co? Wyhodowano tę rasę do polowania na lwy. Pracują w zespołach: trzy suki i pies. Suki odwracają uwagę lwa, podczas kiedy samiec zakrada się od tyłu i atakuje, starając się złamać lwu nogę, by go unieszkodliwić, zanim nadejdą myśliwi. Te psy nie znają strachu.

Fred i Ethel naprawdę były dwiema kilkudziesięciokilogramowymi, pluszowymi zabawkami. Gdyby Gail, gosposia Jacka, nie wyprowadzała ich dwa razy dziennie na spacer, spędziłyby całe życie wyciągnięte na kanapie, głośno chrapiąc. Co oczywiście nie znaczyło, że nie spełniają swojego zadania jako psy obronne. Na szczęście były mądre; każdemu, kogo Jack im przedstawił, groziło co najwyżej zalizanie na śmierć.

- Podejź tutaj. - Wziął Rocky za rękę i przytrzymał ją blisko siebie, pokazując psom, że to mile widziany gość. Palce dziewczyny zacisnęły się wokół jego ręki. Jej dłoń drżała. Jack odczekał o wiele dłużej, niż to było konieczne, zanim powiedział: - Teraz daj im do powąchania swoją rękę

Bardzo powoli zrobiła to, o co prosił. Ale Jack nie patrzył na psy. Niewiele przeżył z Rocky Reck takich chwil - kiedy dokładnie wiedział, co myśli i czuje.

- W porządku - powiedział cicho, puszczając psy. Natychmiast zaczęły obskakiwać ją ze wszystkich stron, machając ogonami z taką siłą, że o mało nie przewróciły stolika do kawy. I choć Fred prawdopodobnie ważył więcej od Rocky, uklękła roześmiana na podłodze, pozwalając psom lizać się po twarzy.

- Zawsze chciałam mieć psa - powiedziała. - Moja matka nie znosiła zwierząt. Nie wolno nam było mieć żadnych zwierzątek.

Jack zagwizdał. Psy natychmiast karnie usiadły po jego obu stronach. Rocky ciągle klęczała na podłodze.

Przypomniawszy sobie, że dziewczyna ma dwadzieścia osiem lat. Była niewiele młodsza od niego. Potrafiła sama się o siebie zatroszczyć.

- Rety - powiedziała, wstając z podłogi. - Imponujące. Są świetnie wytresowane.

- Czasami. To psy myśliwskie. Są bardzo niezależne. Trzeba sobie zasłużyć na ich szacunek, bez przerwy cię testują. Zawsze przyjmują to jako komplement, kiedy mnie usłuchają. Chodź.

Poprowadził ją do kuchni. Otworzył lodówkę; Rocky usadowiła się przy stole z drewnianych kłoców, stojącym pośrodku pomieszczenia.

- Mam wino, piwo, colę. - Odsunął się od lodówki, pozwalając Rocky zajrzeć do środka. - Wybierz sobie truciznę.

Wyglądała wręcz nieśmiało, kiedy tak zaglądała do jego lodówki. Wskazała palcem butelkę chardonnay. Jack poczuł bolesny skurcz w żołądku. Kupił tę butelkę dla Sydney, która знаła się na winie o niebo lepiej, niż on. W końcu była kiedyś damą z towarzystwa. Dla siebie wyjął butelkę Corony i nalał kieliszek wina dla Rocky. Podszedł do niej i usiadł obok, na drugim stołku.

- No, co tam słyhać? - zapytał, popijając piwo z butelki. Rocky obracała palcami kieliszek.

- Ładny dom.

- Mnie też się podoba.

- Ale chyba trochę mały. To znaczy, jak na miliardera.

- Tak myślisz?

Upił kolejny łyk, nie mając zamiaru wdawać się w wyjaśnienia. Owszem, miał pieniądze, ale ta księżniczka, jako córka Russella Recka, miała do czynienia z o wiele większą fortuną. Miliarder. Pewnie. Ludzie zawsze myślą, że wszyscy faceci z branży komputerowej mają worki pieniędzy.

Rzeczywiście był dość bogaty, ale i cholernie ciężko pracował na każdego centa. Przede wszystkim urządził się tak, by mieć pewność, że nie będzie musiał przepracować ani dnia, jeśli nie będzie miał ochoty.

Tak jak i jego rodzice, brat i bratanek. Potem pomyślał, że za to, co mu zostało, może zrobić coś dobrego dla świata. Na przykład założyć centrum sztuki.

- Myślę że wiesz, dlaczego tu jestem - powiedziała Rocky, wpatrując się w kieliszek - Chyba dziś, przy lunchu, dałam ci to do zrozumienia wystarczająco jasno.

- Doprawdy? - Pomyślał chwilę i uznał, że nie ma zamiaru niczego jej ułatwiać. - A więc chcesz przeprosić za swoje zachowanie przez te wszystkie miesiące?

Uśmiechnęła się i upiła łyczek wina.

- Nie zgadłeś.

Była ładna, kiedy się tak uśmiechała. Gdyby chciał być szczery, musiałby przyznać, że Rocky miała wiele niesamowitych cech. Ale nie przywiózł jej tutaj, by prawić jej komplementy.

- Takie przeprosiny mogłyby być dobre na początek.

- Kiedy mnie nie jest przykro.

Pociągnął następny łyk piwa, usiłując ukryć uśmiech. Pomyślał, że dobrze byłoby zmienić temat.

- Rocky. Skąd masz takie imię?

- To przezwisko. Ze szkoły.

- A prawdziwe imię brzmi? Orkiestra, tusz...

- Petroula. - Skrzywiła się. - Pochodzi od greckiego słowa petros, czyli skała. I stąd moje przezwisko.

- Auć.

- Właśnie.

- No, dobrze. - Jack odstawił piwo. - Imię Petroula sprawiło, że jesteś twarda. A skąd się wzięło twoje zamiłowanie do sprawiania kłopotów?

Wzruszyła ramionami.

- Jestem trzecią córką, najmłodszą. Pewnie chciałam zwrócić na siebie uwagę. Kiedy się urodziłam, Tatusz zdradzał już Mamusię na prawo i lewo, a ona była kompletnie znudzona całym tym zamieszaniem z dziećmi. Pewnie by mnie nawet nie rozpoznała, gdyby mnie ustawić w rzędzie z innymi.

- Nic, tylko sięść i płakać.

- To nie jest usprawiedliwienie. Nie użalam się nad sobą, Jack. - Uśmiech powrócił na jej twarz. - Może to, że jestem zła, mam w genach?

Przyglądał jej się przez dość długą chwilę. Miała ładne oczy i ponętne usta. Klasyczna uroda blond seksbomby. Naprawdę, trudno się było spodziewać, że te usta mogą prawić tyle złośliwości.

- A jak jest z tobą? Jacyś bracia i siostry przesłaniają ci horyzont?

- zapytała. - Badania dowodzą, że większość milionerów to jedynacy albo pierworodni synowie.

- Wszystko się zgadza. Mam młodszego brata. Obrał podobną drogę życiową jak ty.

- Przeszkadzania dobremu, grzecznemu Jackowi?

- Można to ująć i w ten sposób. Na szczęście trochę się opamiętał. Mieszka razem z synem u moich rodziców.

- Masz bratanka? - Nagle oczy jej zaświeciły. - To najlepszy układ, nie sądzisz? Ktoś inny odwała całą harówkę, a tobie pozostaje tylko dobra zabawa. Dla dzieci mojej siostry jestem wspaniałą cicią Rocky.

Kiedy to mówiła, jej twarz wręcz promieniała. Jack był zaskoczony, że lubiła dzieci. Wymagały dużo cierpliwości, nawet kiedy były grzeczne.

- Ciocia Rocky? Równie dobrze ja mógłbym udawać Myszkę Miki. Rzuciła mu swoje najbardziej seksowne spojrzenie, unosząc powoli oczy i uśmiechając się nieśmiało. Poczł to spojrzenie w żołądku.

- Ja czasem udaję - mruknęła.

Minęła dobra chwila, zanim zdołał złapać oddech. Przyszło mu do głowy, że to nie jest dobry znak. Przypomniał sobie incydent w kopiarni, kiedy jego rozsądek wyłączył się całkowicie. Był w stanie myśleć już tylko o jej ustach i tych niesamowitych oczach. Zwolnij, stary.

- No więc, przyszłaś tutaj. - Dokończył piwo, choć Rocky prawie nie tknęła wina. - A ja mam się domyślić tajemniczej przyczyny twoich odwiedzin?

- Dobrze, może to ci ułatwi sprawę: przepraszam, że zachowywałam się jak zadurzona licealistka - powiedziała Rocky. - Przez ostatnie miesiące byłam dla ciebie naprawdę wstrętą. Ale wiesz co? Ja naprawdę myślałam, że chodzi mi o Sydney. Dopiero dzisiaj zdałam sobie sprawę, że chodzi wyłącznie o nas.

- Nas? - Kiwnął głową, jakby wszystko zrozumiał. Ale to, co mówiła, było tak szalone... nie mógł uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę ma miejsce. - Teraz chodzi o „nas”?

- Tak jak już mówiłam, dałam ci to jasno do zrozumienia.

- Kotku, chyba nie aż tak jasno.

- Naprawdę, nawet próbowałam sobie wmówić, że jesteś gejem. Jack pomyślał, że chyba właśnie to jest w Rocky najlepsze. Kiedy już jesteś przekonany, że wiesz, czego oczekiwać - niespodzianka.

- Może to przez te szkiełka - powiedziała, sięgając po jego okulary od Armaniego i odkładając je na drewniany stół. - A może przez ubranie. Zdajesz sobie chyba sprawę, że świetnie się ubierasz.

Bez okularów świat stał się przyjemnie zamglony. Jak we śnie.

- Wiesz co, Rocky? Jesteś ryzykantką. I zdaje mi się, że czerpiesz z tego frajdę.

- Nie musisz się martwić. Nie zamierzam zrobić nic, czego sam byś nie chciał.

Jack zastanowił się nad tym przez chwilę i postanowił, że musi natychmiast przerwać te jej gierki. Do diabła, miał już tego serdecznie dość. A może po prostu bał się, że mógłby posunąć się za daleko. Wziął okulary i założył je z powrotem.

- Chcesz wiedzieć, co mnie tak naprawdę martwi, kotku? Że przysłaś tu tylko po to, żeby mi narobić kłopotu. Po prostu. Może ci się zdaje, że byłoby fajnie przespać się z facetem, który był zaręczony z twoją własną macochą, ale to takie chore, że boję się o tym myśleć. A może sądziłaś, że skłonisz mnie, bym przycisnął Sydney w sprawie kontraktu z Reck Enterprises. To nawet bardziej prawdopodobne, choć oczywiście ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Naprawdę mnie martwi, dziecino, że jesteś tak pokrecona...

- I boisz się, że się zarazisz moim szaleństwem?

- Nie - spojrzał na nią ze śmiertelna powagą. - Nic z tego. - Ale tak naprawdę właśnie tego się obawiał.

Rocky podniosła się ze stołka.

- A jeśli nie chodzi mi o żadną z tych rzeczy, Jack? - Sięgnęła za plecy, do zamka sukienki. - A jeśli chodzi mi wyłącznie o seks?

Nic z tego. Te słowa zabrzmiały tak stanowczo. Żadnych podtekstów. Ale w końcu to były tylko słowa. Nie ruszając się z miejsca, Jack patrzył, jak powoli rozsuwa zamek na plecach.

- To bardzo zły pomysł - powiedział, ale znów nie poparł swoich słów czynem.

Oczywiście nie zwróciła na to najmniejszej uwagi; w dalszym ciągu rozpiniała sukienkę. Jack zdał sobie nagle sprawę, że bardzo się przeliczył. Popelnił wielki błąd, przyprawdzając ją tutaj, dopuszczając do tej sytuacji.

Rocky przytrzymała sukienkę na piersiach.

- Ona odeszła, Jack. I już nie wróci. Zostałeś na lodzie, całkiem sam. Będziesz tak siedział i użalał się nad sobą?

On i Sydney nigdy ze sobą nie spali. Och, Jack oczywiście próbował, ale Sydney... nie była na to gotowa. W końcu zrzucił to na karb jej złych doświadczeń z mężczyznami. Postanowił działać powoli - zbyt powoli, jak się okazało.

Teraz zastanawiał się, czy Sydney przez cały czas wiedziała, jak się to wszystko skończy. Zostawiła sobie wygodną furtkę.

Upłynęło bardzo wiele czasu, od kiedy ostatnio spał z kobietą.

- Myliłam się w bardzo wielu sprawach. - Rocky opuściła ręce, pozwalając sukience opaść na podłogę. - Proszę cię, Jack. Udowodnij mi, że tym razem się nie mylę.

Patrząc na nią, myślał przez cały czas, że jeszcze nigdy nie robił czegoś takiego. Taka sytuacja przydarzała mu się po raz pierwszy. Ten mężczyzna, siedzący bez ruchu, kuszący los, prowokujący katastrofę, to nie był on.

Rocky stała przed nim w samej bieliźnie; miała na sobie seksowny biustonosz i pasujące do niego majteczki. Nawet „Playboy” nie powstydziliby się jej zdjęcia na rozkładówce.

Odwrócił oczy. Kiedy ją tutaj przywiózł, myślał, że to on panuje nad sytuacją. Próba charakteru. Nie był przecież jednym z tych facetów, którzy sami szukali komplikacji w życiu. Wierzył, że sobie poradzi z tym, co działo się między nimi.

Ale może to była tylko wymówka? Może przez cały czas wiedział, dokąd to wszystko zmierza. Wiedział, że nie zniesie kolejnego samotnego wieczoru przy zimnej pizzy, z Fredem i Ethel do towarzystwa.

- Jack?

Odsunął butelkę po piwie i wstał. Wystarczyły dwa kroki, by znalazł się przy niej. Najpierw rozpuścił jej włosy, związane w koński ogon. Spłynęły miękko na jej plecy.

- To nie musi być nic więcej - zaczęła mówić z desperacją w oczach. - Po prostu dwoje samotnych ludzi, pocieszających się nawzajem. Na mnie też nikt nie czeka w domu. Tylko ta jedna noc, dobrze? Zostawię cię w spokoju...

- Zamknij się - powiedział, chwytając jej twarz w obie dłonie i przyciskając usta do jej ust.

Russell wstał z łóżka, zupełnie nagi. Spojrzał na kobietę na wpół przykrytą prześcieradłem. Była szczupła jak modelka i miała bardzo jasną skórę. Zupełnie jak Sydney. Nie podobały mu się opalone kobiety. Za dużo zmarszczek. Najbardziej lubił dotyk gładkiego ciała na swojej skórze.

Spędzili razem wspaniały wieczór. Angela zaprowadziła go do nowej restauracji, specjalizującej się w kuchni polinezyjskiej, a potem

do Rhino Room, na dyskotekę. Na parkiecie był tłum młodzieży, więc Russell trzymał się z boku, przyglądając się jej, jak tańczy. To było bardzo przyjemne. Jak przystawka przed daniem głównym.

Ten wieczór przypominał mu dawne czasy, kiedy Sydney odkrywała przed nim nowe atrakcje. Zawsze próbowała go czymś zaskoczyć - restauracją, która miała świetne recenzje, albo nowo otwartą galerią.

Pocałował Angelę po raz ostatni i patrzył, jak uśmiecha się przez sen. Brakowało mi tego. Zanim poszedł do więzienia, seks stanowił bardzo ważną sferę jego życia.

Wychodząc z sypialni, wziął ze sobą szlafrok. Założył go i przewiązał paskiem, zanim dotarł do kuchni, gdzie na stole leżał raport na temat Jamesa Flinta. Faceci z działu badawczego wręcz piali z zachwytem nad programem, który dostarczył.

Russ podniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer. Był taki czas, że ten raport zupełnie by go zadowolił. Ale od tamtej pory Russell nauczył się paru rzeczy. Warto było pogrzebać trochę głębiej.

Sigmunda poznał w więzieniu. Byli w kontakcie. Sigmund miał opinię człowieka, który może być przydatny właśnie w takich sytuacjach.

- Mam dla ciebie robotę - powiedział, usłyszawszy głos po drugiej stronie. - I od razu mówię, że płacę niesamowicie dobrze.

Podał Sigmundowi wszystkie informacje, jakie miał na temat Jamesa, i wrócił do łóżka z butelką szampana, którą wyjął z lodówki. Miał ogromną satysfakcję, że jego plan rozwija się tak gładko, bez żadnych zakłóceń.

Angel obudziło dotknięcie lodowatej butelki na brzuchu. Mruknęła i odwróciła się twarzą do Russella. Nalał jej kieliszek.

- Czy ty nigdy nie sypiasz? - zapytała, rozchylając mu szlafrok i przytulając się do niego.

- Już się wyspałem.

Zdumiewające było to, jak bardzo przypominała mu Sydney, szczególnie teraz, w przymglonym świetle kinkietów. Odgarnął do tyłu jej włosy, zastanawiając się, co by było, gdyby nie zdradzał Sydney. Może w decydującym momencie pozostałaby lojalną żoną? Ale potem pomyślał, że to niemożliwe. Między nimi już zawsze byłby Henry. Jego śmierć. A poza tym Russell znał dobrze swoje pragnienia - potrzebował więcej niż jednej kobiety. Nawet gdyby Sydney była

cały czas w jego życiu, on szukałby nowych doświadczeń, rozglądał się za nową Angelą.

Pocałował ją w ucho i szepnął:

- Wiesz co, kochanie? Świetnie wyglądałabyś z rudymi włosami.
Czy ktoś ci to już kiedyś mówił?

Rozdział 16

Sydney leżała w łóżku, zastanawiając się, czy nie powinna kupić nowej kołdry. Oczywiście, ta w stylu prowansalskim była bardzo ładna. .. ale to złoto i zieleń, te wszechobecne róże, dziko rozrośnięte kiście winogron... nagle wydały jej się zbyt sztywne. Zbyt wymuszone. Nie pasowały do zielonej szafy i dywanu w kolorze czerwonego wina. Kiedy zrobiła się taka konwencjonalna?

Odwróciła głowę. Zegarek na nocnej szafce wskazywał dziesięć po dziesiątej wieczorem. Ostatnio spoglądała na niego piętnaście minut wcześniej. W międzyczasie zdążyła przeanalizować wystrój sypialni. Co za wieczór.

- Do diabła z tobą, Alec.

Wiedziała, że dziś w nocy nie będzie mogła zasnąć.

Ubrała się w dżinsy i koszulę, mówiąc sobie, że przecież jest jeszcze wcześnie. Może to był właśnie jej błąd. Zmuszała się do snu, kładła do łóżka zbyt wcześnie, myśląc, że wstanie o wschodzie słońca i zacznie nowy, wspaniały dzień - po czym przez większą część nocy przewracała się z boku na bok, spoglądając na zegarek: dziesiąta... jedenasta... północ. Wspominała tamte dobre czasy, kiedy sen przychodził, gdy tylko zamknęła oczy. Bez pigułek, zegarków i zastanawiania się nad znaczeniem winogron wyhaftowanych na kołdrze.

Złapała lekką bluzę i wyszła z sypialni. Pokiwała głową na widok ochroniarza, chrapiącego smacznie pod jej drzwiami.

- To miło, że chociaż on się dobrze wysypia. - Poszła dalej. - Może powinnam zadzwonić do Aleca. Niech mi kogoś poleci.

Dwadzieścia minut później siedziała już w swoim ulubionym miejscu nocnych wycieczek, Cafe Zinc nad Zatoką. Kiedy robiła na Harvardzie dyplom z historii sztuki, zawsze myślała, że jeśli nie położy się spać przez całą noc, może jeść bez ograniczeń. Że i tak spali wszystkie kalorie, pracując intensywnie po godzinach. Dziś zamówiła kawę i kawałek ciasta marchewkowego. Ta kombinacja zapewniała jej idealny poziom cukru i kofeiny we krwi, dając gwarancję, że w rekordowym czasie skończy korektę nowego katalogu galerii.

Czterdzieści minut później Sydney rzeczywiście czuła się, jakby coś zażyła. Ostatnio praca była dla niej najlepszym lekarstwem na wszelkie zmartwienia. Marzyła, by choć przez chwilę móc odpocząć

od tego nieustannego niepokoju: co wymyśli Russell następnym razem?

Pocieszała się, że załatwiła przynajmniej sprawę z Jackiem. Przez ostatni tydzień zachowywał się wspaniale. Wciąż przypominał jej, że ich przyjaźń jest dla niego ważna, nawet jeśli nie prowadzi do małżeństwa. Rzeczywiście, teraz, kiedy sprawy tak się skomplikowały, Sydney potrzebowała przyjaciół. Ale martwiła się też, że Jack po prostu mówi jej to, co chciałaby usłyszeć, a po cichu trzyma się swojego planu i czeka, aż atmosfera trochę się oczyści.

Niestety, co do Aleca nie miała żadnych wątpliwości. Było dla niej oczywiste, że prędzej czy później upora się ze swoimi uczuciami do tego drania, ale wiedziała też, że nie powinna była wiązać się z Jackiem. Powinna poczekać, aż Alec naprawdę jej przejdzie. Musiała się z niego wyleczyć, jak z nałogu.

Wracając do ważniejszych spraw, Sydney wyjęła z torby notes i zaczęła przeglądać swoje zapiski. Utkwiło jej w pamięci ostrzeżenie Aleca. Jego teoria, że Russell zdołał w jakiś sposób spowodować wypadek na warsztatach brzmiała jednocześnie groźnie i bardzo przekonująco.

Puknęła ołówkiem w kartkę w miejscu, gdzie zanotowała dwa punkty: „nienaruszalność umów” i „złamanie warunków ugody”. Russell zawarł umowę z prokuratorem, że będzie zeznawał przeciwko Josephowi Kinnardowi, swojemu wspólnikowi, w sprawie defraudacji rządowych funduszy. W zamian za to przyznał się do kilku pomniejszych oszustw. Sydney nie była prawnikiem; długie tygodnie zajęło jej zrozumienie wszystkich szczegółów i wciąż ślęczała nad różnymi teoriami, w jaki sposób doprowadzić do ponownego rozpatrzenia zarzutów wobec Russella.

Rozmawiała już z zaprzyjaźnionym adwokatem, przeczytała kilka książek prawniczych. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na pochopne działanie. Mogła go przyszpilić dopiero wtedy, kiedy będzie miała niepodważalne dowody. Chciała posłać go z powrotem za kratki, jeśli to możliwe - do końca życia.

Schowała swoje notatki i wyszła z kawiarni w pachnące, wieczorne powietrze. Postanowiła, że zamiast iść do domu, zajrzy do kilku galerii. W pierwszy czwartek każdego miesiąca chodniki ulic nad zatoką wypełniały się turystami i miejscowymi, więc galerie można było zwiedzać nawet o tak późnej porze.

Sydney poczuła, że robi jej się lżej na sercu. Jasne światła i przyjazny tłum na ulicach przywróciłyby do życia nawet umarłego. Ożywienie, wywołane kawą zaczęło nieco przygasać, kiedy weszła do drugiej z rzędu galerii. Był to maleńki lokal; wystawiono tu prace naprawdę utalentowanego artysty, rysującego ołówkiem na płótnie. Sydney zanotowała jego nazwisko z myślą, że może tu jeszcze wróci i kupi coś dla siebie.

Kawałek dalej, z sąsiedniej galerii, wysypał się tłum młodych mężczyzn. Była już prawie północ, tu czy tam spacerowało zaledwie kilka par, więc hałaśliwa grupa tym bardziej rzucała się w oczy. Śmiali się głośno i podtrzymywali nawzajem, najwyraźniej podpici. Sydney pochyliła głowę, wchodząc między ich potężne ciała. Jedną rękę trzymała na torbie, którą przewiesiła na skos przez ramię, jak listonosz. Próbowwała prześliznąć się między nimi.

- Przepraszam - powiedziała zirytowana, kiedy jeden z mężczyzn potrącił ją. Drugi pchnął ją od tyłu. Poczowała się jak kula bilardowa, odbijająca się od band. - Hej!

Ktoś szarpnął jej torebkę. Przycisnęła ją do piersi, usiłując przepchnąć się między ciałami tłoczącymi się wokół niej. Nic nie widziała, nie mogła się nawet zatrzymać. Poruszała się wbrew swojej woli, porwana przez ten ludzki prąd, który parł na oślep przed siebie.

Krzyknęła ze złością i spróbowała łokciami utorować sobie drogę. Jakaś dłoń chwyciła ją za nadgarstek, szarpnęła do tyłu. Sydney odwróciła się, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

Człowiek, którego twarzy nie widziała wyraźnie, obrócił ją gwałtownie. Zanim zdążyła krzyknąć, zatkał jej usta.

Alejka! Dobry Boże, włókł ją prosto w ten ciemny zaułek.

Jedną ręką przytrzymywał ją w pasie, drugą zakrywał usta. Grupka pijaków rozproszyła się nagle, ich zadanie było skończone. Pochłonęła ich ciemność.

To się dzieje naprawdę. Jej lęki przybrały realną postać. Usiłowała trafić napastnika obcasem, kopnąć go w nogę, sięgnąć do jego twarzy albo ramienia. Nie mogła krzyczeć, nie mogła nawet oddychać, facet przyciskał dłoń do jej ust i nosa. Machnęła łokciem do tyłu, usiłując uderzyć w cokolwiek - żebra czy żołądek.

Poczowała, że mężczyzna ją podnosi. W tej samej chwili wepchnął jej knebel do ust. Omal się nie udusiła, nozdrza wypełnił jej zapach jakiejś substancji chemicznej. Poczowała, że została przerzucona nad

ogrodzeniem. Rękaw bluzy zahaczył o coś, wykręcając jej ramię. Sydney poczuła w ręce palący ból.

Upadła z impetem na mokrą trawę, powietrze uciekło jej z płuc z głośnym świstem. Leżała ogłuszona, krztusząc się kneblem. Nad sobą widziała tylko czarne niebo, opary jakiegoś chemicznego świństwa piekły ją w nosie. Rusz się! Ale ciało nie chciało jej słuchać. Leciała w dół, spadała... jak Alicja w głąb króliczej nory.

Uniosła rękę, ciężką, jakby odlaną z ołowiu. Poruszała się jak na zwolnionym filmie. Dotknęła swoich warg i poczuła, że kompletnie zdrętwiały. Wyczuła gałgan, który wciąż tkwił w jej ustach. Wyciągnęła go, jak magik na scenie, wypluła na trawę. Zwijając się w kłębek, z trudem chwyciła powietrze.

Nad ziemią rozpełzała się mgła, nierealny opar, tym bardziej niesamowity, że Sydney była oszołomiona narkotykiem. Jęknęła, czując palący ból ramienia. Nie wiedziała, jak długo tak leży; minuty czy godziny. Ocknęła się, słysząc basowy warkot.

Usiadła, orientując się, że została wrzucona do czyjegoś ogródka. Włosy stały jej dęba. Opar wiszący nad trawnikiem falował powoli, przesłaniając postać, stojącą kilkanaście kroków dalej. Mężczyzna wyszedł z mgły i dopiero teraz Sydney zauważyła, że twarz zasłania mu kominiarka. U jego boku szarpał się na smyczy ogromny pies z wyszczerzonymi zębami.

Zamrugła, ale postać nie chciała zniknąć. Sydney podciągnęła nogi pod siebie, wciąż poruszając się zbyt wolno. Sięgnęła po torebkę i zorientowała się, że w dalszym ciągu ma ją przewieszoną przez ramię.

Zanim zdążyła wstać, zamaskowany mężczyzna wypuścił psa, szepcząc mu jakąś komendę.

Pies skoczył przez mgłę w jej kierunku. Sydney zatoczyła się do tyłu, gorączkowo szukając jakiegoś oparcia, by nie upaść. Utrzymaj się na nogach... nie oglądaj się! Biegając, słyszała psa, który szybko ją doganiał. Rzuciła się w stronę ogrodzenia, które majaczyło przed nią, ale i tak wiedziała, że nie zdąży.

Poczuła cios w sam środek pleców. Poleciała twarzą na trawę, próbując zamortyzować upadek łokciami. Złapała torebkę i przeturlała się na bok, trzymając torbę przed sobą jak tarczę, osłaniając nią twarz. Pies złapał zębami rękaw jej bluzy, przytrzymując ją na ziemi. Sięgał zębami do jej szyi.

Sydney zaczęła grzebać gorączkowo w torebce. Chwyła kurczowo niewielki pojemnik. Wycelowała. Pieprzowy spray wystrzelił prosto w psie ślepie.

Bestia zaskomlała i stoczyła się z niej. Sydney zerwała się na nogi. Przy akompaniamencie psiego skowytu wspięła się na ogrodzenie, używając tylko jednej ręki. Spadła na asfalt uliczki, kuląc się, by złagodzić upadek. W tej chwili usłyszała że coś z głośnym tąpnięciem uderzyło o siatkę za jej plecami. Rozległ się wściekły warkot.

Sydney wstała i odsunęła się, patrząc nieprzytomnie, niemal zafascynowana, jak siatka ugina się pod dzikimi ciosami psa. O mój Boże! W końcu odwróciła się i pognąła w kierunku oświetlonej ulicy. Biegiem skręciła za róg, kierując się do wejścia najbliższej galerii.

W drzwiach galerii stała młoda kobieta. Słyszając hałas, obejrzała się. Wystarczyło jedno spojrzenie na Sydney, by uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Pomóż mi - powiedziała Sydney. - Dzwon na policję.

- Ja nie mam psa. I nikt w sąsiedztwie nie ma. Na pewno nie takiego, jakiego ona opisuje.

Pół godziny później Sydney siedziała wciąż w tej samej galerii, podczas gdy policjant usiłował ustalić fakty. Jak się okazało, w domu przylegającym do budynku, w którym się znajdowali, mieszkała młoda właścicielka galerii. Następna posesja, z otoczonym siatką ogrodem, gdzie koszmarny pies omal nie rozerwał Sydney gardła, była niezamieszkała. Obecność psa pozostawała tajemnicą.

- Chyba że liczyć Łosia. - Dziewczyna spojrzała niepewnie na Sydney. - To pies mojego sąsiada. Ale on jest maleńki. Szkocki terrier, wie pani. Taki śliczny, mały i puchaty.

- Proszę pani - policjant podszedł bliżej. - Czy może pani przynajmniej opisać tę grupę mężczyzn? Może podać rysopis choć jednego z nich?

Sydney od dwudziestu minut nie robiła nic innego; w każdym razie tak jej się zdawało. Wzięła torebkę z zabytkowego biurka przy wejściu do galerii, po raz pierwszy tego wieczoru poczuła gniew zamiast strachu.

- To była jedna wielka pomyłka - powiedziała policjantowi.

- Ale raport...

- Nieważne - ucięła, machając ręką. - Proszę napisać, że byłam pijana. Albo naćpana. Cokolwiek.

Kilka dobrych minut zajęło jej przekonanie policjanta i jego partnera że nic jej nie jest. Że może sama pojechać do domu. Nie spodziewała się, by z jej zeznań cokolwiek wynikło. Zbiegła ze schodków galerii, nie oglądając się za siebie. Policjant zapisał sobie jej nazwisko i numer telefonu. Gdyby czegoś chcieli, wiedzieli, gdzie można ją znaleźć. Zrozumiała, że popełniła błąd, dzwoniąc na policję. Nie powinna była dawać Russellowi i jego pomagierom tej satysfakcji.

Według właścicielki sąsiedniej posesji wszystko, co Sydney opowiedziała policji, było po prostu niemożliwe. W okolicy nie było czarnych agresywnych psów. Nikt nawet nie słyszał szczekania. Grupa pijanych awanturników okazała się jeszcze jednym wytworem jej wyobraźni. Nikt nic nie widział, a już na pewno nie bandy hałaśliwych chłopaków.

Ktokolwiek zaplanował ten napad, dobrze zatarł za sobą ślady. Nie było psa, człowieka w czerni, nawet knebel, który porzuciła na trawie, zniknął w tajemniczy sposób. Jedynym świadkiem zajścia była Sydney, tak roztrzęsiona, że jej zeznania brzmiały jak bredzenie wariata.

Z piskiem opon skręciła na autostradę, wymuszając pierwszeństwo na jakimś kabriolecie. Kierowca zatrafił na nią wściekle, ale ledwie to zauważyła.

Dziesięć minut później zorientowała się, że jedzie prosto do mieszkania Aleca.

Zrobiła to bez zastanowienia. Odruchowo. Miała kłopoty i potrzebowała pomocy. Szukanie jej u Aleca stało się jej drugą naturą.

„Co będzie, jeśli pewnego dnia odwrócisz się i mnie tam nie będzie? Ciekawe, co wtedy zrobisz, kochanie”.

Dokładnie to, co robiła w tej chwili. Pędziła do niego na złamanie karku.

Kiedy tylko nadarzyła jej się możliwość, zjechała na pobocze. Nie miała zielonego pojęcia, co powinna teraz zrobić. Wiedziała tylko, że nie poprosi Aleca o pomoc.

Powoli wjechała z powrotem na jezdnię, odrobinę spokojniejsza. Było dla niej oczywiste, że to robota Russella. Chciał ją przestraszyć. Chciał z niej zrobić przerażoną małą myszkę w labiryncie, kierowaną

jego sztuczkami. To, że mu się tak dobrze udało, rozdrażniło ją tym bardziej.

Pół godziny później otworzyła bramę własnym kluczem elektronicznym i podjechała powoli pod dom Jacka. Był środek nocy, w normalnych warunkach nie zdobyłaby się na takie najście. Ale знаła Jacka. Wiedziała, że się nie obrazi. Wręcz odwrotnie, uzna za naturalne, że przyszła szukać pomocy u niego. Pomyślała, że prześpi się na jego kanapie; było to jedyne miejsce na świecie, gdzie mogła tej nocy spokojnie wypocząć.

Zadzwoiła do drzwi, słuchając, jak Ethel i Fred szczekają wniebogłosy. Pocieszająca była świadomość, że są tu te wielkie jak kucyki kochane psiska. Gdyby teraz jakiś czarny, wściekły diabeł wszedł jej w drogę, miałby do czynienia z ridgebackami.

Ale kiedy Jack otworzył drzwi, poczuła się zbита z tropu. Widać było, że wyciągnęła go z łóżka... i że nie był w nim sam.

Szyję poniżej ucha miał usmarowaną krwistoczerwoną szminką. Sydney poczuła zapach perfum.

- Ethel i Fred - powiedziała, trochę od rzeczy. - Zostawiłeś je w salonie.

Zwykle ridgebacki sypiały w nogach jego łóżka. Ale skoro miał towarzystwo, oczywiście było, że wyrzucił je z pokoju.

A Jack stał w drzwiach osłupiały, jak jeleni schwyty w światła samochodu.

- Sydney... ja...

- Nie przejmuj się - powiedziała, odsuwając się od drzwi. Czuła się zupełnie nieprzygotowana na taką sytuację, było jej okropnie głupio. Ona i Jack nigdy nie poszli ze sobą do łóżka. Chciała jeszcze poczekać. Zdołała nawet przekonać samą siebie, że podjęli tę decyzję wspólnie.

- Chciałbym ci wyjaśnić - powiedział, wychodząc za próg i zatraskując za sobą drzwi. Widziała, że był zdenerwowany. Wyraźnie bał się, że kobieta z sypialni - ktokolwiek to był - pojawi się nagle na scenie.

- Nie. Wszystko w porządku - powiedziała. - Ja... chodzi tylko o to... Cholera. Nie powinnam była tu przychodzić.

Złapał ją za ramię.

- Cała się trzęsiesz - stwierdził. Ale nie zaprosił jej do środka.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Zdołała się nawet uśmiechnąć.

- Która to godzina, druga w nocy? A tu nagle zjawia się twoja... eks, jak grom z jasnego nieba. Gdzie moje maniery!

- Nie jesteś moją eks.

Sydney widziała wyraźnie, że był skrepowany. Ta sytuacja była dla niego przykra, nie mniej niż dla niej. Poczwała, że tym bardziej musi stąd iść. A czego się spodziewałaś? Nie chodziło nawet o to, że była zazdrosna czy urażona. Nie czwała nic takiego... i to było jeszcze gorsze.

Tak naprawdę czwała się tylko potwornie samotna.

Jack przerwał wreszcie tę niezręczną ciszę.

- Niezależnie od wszystkiego - powiedział - jesteś dla mnie najważniejsza. Proszę, powiedz, w czym ci mogę pomóc.

- Przyszłam żeby... żeby porozmawiać. Chciałam mieć pewność, że radzisz sobie z tym wszystkim, co się stało przez ostatni tydzień. To bardzo głupio z mojej strony, że przyszłam tak późno. Nie mogłam spać i nie przyszło mi do głowy... Może po prostu mam wyrzuty sumienia. Nie wiem. Ale widzę, że radzisz sobie świetnie. - Śmiejąc się, machnęła ręką w stronę drzwi.

- To bzdura i dobrze o tym wiesz.

Zamknęła oczy. Poczwała się nagle zmęczona, wykończona tym wszystkim, co się działo między nimi dwojgiem.

- Jack, nie jesteś mi nic winien. A już na pewno nie musisz mi niczego wyjaśniać. Słuchaj, pogadamy jutro. Ale nie chcę, żebyś się przejmował. Naprawdę. Wszystko w porządku.

Odeszła, zanim zdążył cokolwiek dodać. A on jej nie zatrzymywał. Wszystko wokół wydawało jej się jakieś nierealne; ogrody, palmy, przystrojone lampkami jak choinki na święta. Światła zaczęły się rozmazywać i Sydney zauważyła nagle, że płacze.

Wsiadła do samochodu i poczwała, aż łzy przestaną płynąć. Miała dziś po prostu za dużo wrażeń. Pies, ciemny zaułek... Alec. I zaskakujący fakt, że nawet Jack ruszył naprzód ze swoim życiem, kiedy ją wciąż prześladowają stare koszmary.

No cóż. Wiedziała, że da sobie z tym wszystkim radę. Zawróciła samochód i pojechała osiedlowymi uliczkami w stronę bramy. Ostatnie lata ją zahartowały. Śmierć Henry'ego, przestępstwa Russella... Alec i jego pokrętne sposoby działania. Przetrwała to wszystko, poradzi sobie i teraz.

Cokolwiek się stanie, nie pozwoli, by Russell zniszczył jeszcze komuś życie. Tym bardziej jej.

Rozdział 17

Jack wszedł do domu i zatrzasnął drzwi, gapiąc się na nie jak idiota. Był w dżinsach i koszulce, które założył na siebie, słysząc pukanie Sydney. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że tu przyszła. Nie zaglądała do niego od wielu tygodni.

- Co jej powiedziałaś?

Odwrócił się na dźwięk głosu Rocky. Stała w korytarzu owinięta narzutą z łóżka, która ciągnęła się za nią po podłodze. Ale Jack wciąż miał przed oczami zupełnie inny obraz: twarz Sydney i jej gasnący uśmiech, kiedy zorientowała się, co jest grane.

- Rany - powiedziała Rocky sarkastycznym tonem. - Zdaje się, że poszedłeś na całość i opowiedziałeś jej wszystko.

- Na to liczyłaś?

Natychmiast pożałował tych słów. Zranił ją, widział to wyraźnie. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni.

Po chwili wahania Jack poszedł za nią. Zrozumiał, że jego życie bardzo się skomplikowało. W głębi duszy żywił naiwne przekonanie, że jakimś cudem - kiedy skończą się już te wszystkie kłopoty z Russellem i Alekiem - on i Sydney znów się zejdą.

Teraz wiedział, że to nigdy nie nastąpi. Idąc do łóżka z Rocky, spalił za sobą mosty.

Była w sypialni; próbowała odszukać swoje ubranie. Zrzuciła z siebie kapę i zdążyła już założyć koronkową bieliznę. Jack wiedział, że popełnił gruby błąd, pozwalając sobie na chwilę słabości tylko dlatego, że czuł się samotny i nieszczęśliwy. Ale ta świadomość nie zmieniała w niczym faktu, że Rocky wyglądała wspaniale, nawet łażąc na czworaka po podłodze w poszukiwaniu ubrań.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym jaśniej uświadamiał sobie, że niczego nie żałuje. Przespał się z Rocky - i dobrze. Chociaż raz ktoś był z nim tak naprawdę. Nawet jeśli był to tylko seks, przyjemnie było zasypiać, czując jej ciało obok siebie.

Boże, lata minęły, od kiedy ostatnio czuł coś podobnego.

- Co ty robisz? - zapytał.

Rocky usiłowała wydostać spod łóżka jeden ze swoich sandałów.

- Rany, Jack. Cóż za głupie pytanie.

- Nie musisz iść.

Usiadła na piętach, z sandałem na kolanach. Nie patrzyła na Jacka.

- Ale może powinnam - powiedziała, wpatrzona w słupek łóżka.

Kiedy tak klęczała w samej bieliźnie, wydała się nagle Jackowi niemal bezcielesna... co było zupełnie szalone. Rocky była klasyczną blond seksbombą z krwi i kości. Nie było w niej absolutnie nic bezcielesnego.

Jack podszedł do niej i uklęknął za jej plecami. Odsunął na bok jej włosy i pocałował w kark, kładąc ręce na jej ramionach. Odpowiadając na jego dotyk, pochyliła się do tyłu, kocim ruchem ocierając policzek o jego pierś. Odwrócił ją i przysunął się bliżej, by mogła go objąć. Pachniała słodko. Fiołki.

- Ona nie miała zamiaru do ciebie wracać. Powiedziała to z taką zaciekłością, że aż się uśmiechnął.

- Wpadłem na to już jakiś czas temu. Rocky przestała go całować.

- Co nie zmienia faktu, że ciągle chcesz ją odzyskać.

Westchnął. Cóż mógł powiedzieć? Zawsze marzył o tym, by poprowadzić Sydney do ołtarza, mieć z nią czwórkę albo piątkę dzieci i żyć długo i szczęśliwie. Nie miał pojęcia, skąd nagle wzięła się ta noc, nie wiedział nawet, dlaczego teraz siedzi na podłodze z półnągą Rocky i nabiera ochoty na drugą rundę.

Wstał i pociągnął Rocky za sobą. Miała śliczną twarz, niebieskie oczy, jasne włosy. Była tak piękna, że patrząc na nią, czuł niemal ból w sercu.

- Przyszłam tutaj, bo chciałam, żebyś się ze mną kochał - powiedziała. - Niech ci nie będzie przykro, proszę cię.

- To prawdziwa katastrofa - odparł z uśmiechem.

- Tak uważasz?

- Właśnie przespalem się z pasierbicą mojej byłej narzeczonej.

- Z byłą pasierbicą. - Przytuliła się do jego piersi i objęła go mocno, jak przy wolnym tańcu. - Czy ja tego nie widziałam w jakimś serialu?

Jack oparł się o słupek łóżka, obejmując Rocky w pasie. Jej włosy łaskotały go w ręce. Tak przyjemnie było trzymać ją w objęciach, że aż zmarszczył czoło. Cóż, musiałby chyba być martwy. Każdy pożałowałby takiej kobiety jak ona.

- Czy nigdy ci się nie zdawało, że ktoś jest ci przeznaczony? - zapytała.

- Aha - odparł ucziwie. Rocky uniosła głowę.

- No cóż, spieprzyłeś sprawę, Jack. Cały czas zabierałeś się za nieodpowiednią kobietę.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- A według ciebie, jak to jest?

- Przyszło mi do głowy, że może... - Oblizła nerwowo dolną wargę; wyglądało to prześlicznie. - Może Sydney była tylko etapem przejściowym? Może cały twój związek z nią był tylko po to... - Narysowała mu palcem kółko na piersi, drażniąc go przez koszulkę. - Może był po to, żebyś znalazł... mnie.

- To by dopiero było. Uderzyła go lekko pięścią.

- Mówię poważnie.

- Przecież ty zawsze żartujesz.

- Nie - powiedziała, stając na palcach, aż jej usta zbliżyły się kusząco do jego twarzy. - Nie tym razem.

Pocałował ją. Takim pocałunkiem mogła sprawić, że uwierzyłyby we wszystko. Kiedy Rocky całowała, wkładała w to całą duszę. Jack poczuł, że ma ochotę pociągnąć ją na łóżko i zacząć wszystko od nowa.

- Nigdy jeszcze nie robiłem czegoś takiego - powiedział zmieszany. Zabrzmiało to tak, jakby spodziewał się, że Rocky potrafi mu to wszystko wytłumaczyć. Ale taka była prawda. Wszystko, co dzisiaj robił, było sprzeczne z jego naturą. Sprzeczne ze „scenariuszem”, jak to nazywała Sydney.

- Nawet na studiach - powiedział. - Była raz taka jedna. Wypiła za dużo na imprezie i wylądowaliśmy w moim pokoju. Ciągnęła mnie do łóżka. No i...

Rocky zatkała mu usta ręką.

- Tylko mi nie mów, że ją ubrałeś i odprowadziłeś do domu.

- Aha.

- To żalosne. Uśmiechnął się.

- Uratowanie kogoś przed nim samym? Szkoda, że mnie dzisiaj nikt nie powstrzymał przed popełnieniem głupstwa.

Rocky potrząsnęła głową.

- Jesteś po prostu żaloszny.

Popchnęła go na łóżko. Jack złapał ją i pociągnął za sobą. Mocowali się tak, mnąc prześcieradła, aż przycisnął ją, zadyszana, do materaca. Spojrzał w jej oczy. Na początku nie wiedział, czego się po niej spodziewał, ale z pewnością nie tego. Rocky była zabawna i zmysłowa; oczekiwał po niej gorącego seksu bez zahamowań. Rzeczywistość dosyć się różniła od jego wyobrażeń.

Podchodziła do całej sprawy niesamowicie poważnie, chwilami była wręcz nieśmiała. Oddała mu prowadzenie. A kiedy posadził ją na sobie, by mieć pewność, że ją zadowolił... no cóż, można powiedzieć, że bardzo podniosła jego samoocenę. Otworzyła oczy i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby właśnie przed chwilą wynalazł orgazm.

- Chcę do ciebie przychodzić - powiedziała. - Mogę się tu nawet zakradać w tajemnicy, nie przeszkadza mi to. Sydney nie musi o niczym wiedzieć.

Jack przeturlał się na bok i przyciągnął ją do siebie, obejmując jej ramię. Zamknął oczy.

- Pomyślę o tym jutro.

- Pomyśl, Scarlett.

Wyśliznęła się z jego objęć, a kiedy przycisnął ją z powrotem do siebie, wbiła mu łokieć w żebra.

- Muszę iść siusiu.

Wypuścił ją, z głośnym westchnieniem przewracając się z powrotem na plecy. Pomyślał, że sam sobie zgotował taki los. Ileż nocy przeleżał bezsennie w łóżku, oglądając telewizję w nadziei, że Sydney zadzwoni do jego drzwi? A dzisiaj, kiedy przyszła naprawdę, wstydził się ją wpuścić.

Powinno mu to dać do myślenia. Ten związek z Rocky nie mógł się dobrze skończyć.

- Hej - powiedział zaskoczony, kiedy zobaczył nagle plamkę krwi na prześcieradle, w miejscu, gdzie leżała Rocky. Przyjrzał się uważniej i zobaczył, że takich czerwonych kropek jest więcej. Usiadł na łóżku, rozpamiętując szczegóły. Nagle wszystko stało się jasne.

Rocky wyszła z łazienki. Pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem, na poplamione prześcieradło.

- Czy ty krwawisz? - zapytał. Podniosła sukienkę i zaczęła się ubierać.

- Na to wygląda. Widocznie okres mi się zaczął. - Złapała sandały, ale nie traciła czasu na ich wkładanie. - Słuchaj,

przypomniałam sobie właśnie, że wrzuciłam za mało pieniędzy do parkometru...

Jack wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek. Poczł nagły przyplływ paniki. Serce ścisnęło mu się w piersi.

- Nie zaczął ci się żaden okres.

- Przestań, Jack. - Wyrwała rękę i pobiegła do drzwi. Wskoczył z łóżka i pognął za nią. Złapał ją, zanim zdążyła dopaść drzwi wejściowych.

Kiedy się kochali, był taki szczęśliwy, że wreszcie trzyma kogoś w ramionach. Nie zwracał uwagi na drobiazgi.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

Rocky parsknęła pogardliwie, zakładając sandały.

- Tak, pewnie. Przecież nie przespałbyś się ze mną, gdybyś wiedział, że jestem dziewicą.

- Rzeczywiście, nie przespałbym się.

- Co dowodzi, że miałam rację.

- Do diabła. Do diabła! - Stał i patrzył na nią. Czuł, że nie może złapać oddechu. Ale przede wszystkim był przerażony. Jak cholera.

- Nie masz dwudziestu ośmiu lat - powiedział. Otworzyła drzwi.

- I nie mam urodzin piętnastego września. Kłamałam. W wielu sprawach. Ale tanto o przeznaczeniu nie było kłamstwem. To było zbyt ważne.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Po raz drugi tej nocy Jack stał pod nimi jak skamieniały, nie mając pojęcia, co zrobić.

Mogło się nawet okazać, że nie miała dwudziestu lat. Poszedł do łóżka z małolatą. Na dodatek dziewicą.

Z dziewczyną, która posłużyła się nim bez skrupułów i w końcu rzuciła mu to prosto w twarz.

- Cholera! - Walnął pięścią w drzwi. Katastrofa. Prawdziwa katastrofa.

Upadek

Rozdział 18

Alec poczuł się tak, jakby nagle znalazł się w obrazie Normana Rockwella.

Siedział przy ciężkim wiejskim stole, z rodzaju tych, jakie reklamują w pismach o dekoracji wnętrz. Zielone podkładki idealnie pasowały do talerzy w kwiaty i wazy ze słonecznikami stojącej na środku. Naprzeciwko niego siedziała przemądrzała sześciolatka, piegowata i z warkoczykami; najbardziej urocza osobka, z jaką Alec kiedykolwiek jadł kolację. Siedzący obok siostry dziesięcioletni chłopiec trajkotał o bejsbolu; dziś po raz pierwszy zdobył punkt. Travis i Linda Bentley, dumni rodzice, z uśmiechem patrzyli na swoje pociechy.

Alec zadzwonił do Trávisa tydzień po tym, jak Sydney nazwała go tchórzem.

Większość z tego, co powiedział tamtego wieczoru pod jej drzwiami, to były kompletne bzdury. Łącznie z powodami, dla których rzekomo włamał się do jej mieszkania. Śliczne majteczki, które wziął sobie na pamiątkę, też nie miały z tym nic wspólnego. Niestety, od tamtej pory nie rozmawiał z Sydney, więc nie miał okazji się wytłumaczyć.

Sporo myślał nad tym, co powiedziała, kiedy wręczyła mu wizytówkę Trávisa jak odbezpieczony granat, i doszedł w końcu do wniosku, że zrobiłby dla niej wszystko. Dla jej przyjemności mógł nawet odwiedzić tę wzorcową amerykańską rodzinę.

Ale kiedy siedział przy tym stole z człowiekiem, który nazywał siebie jego bratem... doznał zupełnie nieoczekiwanych uczuć. Do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przerażała go możliwość, że jego ojciec zdoła nawet zza grobu wpłynąć na jego życie. A te wszystkie bzdury na temat pogodzenia się z przeszłością, przy których upierała się Sydney?

Zgadza się, Alec zawiódł ludzi, których kochał. Na całej linii. I żałował tego. Ale według niego lepiej było przyznać, że się jest po prostu samolubnym gnojkiem. Zwalając winę na Eddy'ego, sam wyszedłby na jakiegoś świra, który nie panuje nad własnym życiem. Nie chciał dawać Edwardowi i Daisey tej satysfakcji.

Kiedy zadzwonił do Trávisa, facet tak się ucieszył, że natychmiast zaprosił Aleca na standardowe rodzinne spotkanie: kolacja i

wieczorek zapoznawczy. Alec pomyślał, że przecież go nie zjedzą. Plan był prosty. Sydney dostanie, czego chciała; posłuży mu to jako pretekst, by skłonić Syd do jednej z tych szczerych rozmów, które kobiety tak uwielbiają.

Ale już w chwili, kiedy Travis otworzył drzwi i powitał go wylewnie, Alec wiedział, że popełnił błąd.

I kiedy tak siedział teraz, przyglądając się Travisowi, widział żywy obraz Eddy'ego. Cholera. Zupełnie jak ja. Niestety, to nie było lustro, od którego można się było odwrócić. Facet nie znikał, kiedy się mrugnęło.

Nawet głos miał taki sam jak Eddy. To miękkie gruchanie, rozbrzmiewające w pokoju, jego uśmiechy, gesty - Alec dostawał od tego dreszczy. Miał ochotę potrząsnąć głową i przegonić tę zjawę.

Kiedy był mały, miewał często jeden koszmarny sen: że nie może oddychać. Budził się z krzykiem, nawet moczył się w łóżku. Nie pamiętał o tym. Przypomniawszy sobie dopiero teraz.

- Lubisz fasolkę szparagową? - Z tonu Katie, córki Trávisa, można było wywnioskować, że tylko kosmici mogą lubić takie świństwa.

Alec uśmiechnął się, wracając do rzeczywistości. Odepchnął na bok tłuczone ziemniaki, którymi przykrył kilka fasolek.

- Uwielbiam. - Puścił Katie oczko, co rozśmieszyło ją do łez.

Linda i Travis obserwowali całe to przedstawienie. Spojrzeli na siebie i wymienili uśmiechy, porozumiewając się bez słów, jak każda dobrze zgrana para. Alec pocił się od samego patrzenia na nich.

Złapał szklanekę z wodą. Myślał, że przyjdzie tutaj, zje kolację i złoży raport Sydney. Nie spodziewał się, że będzie cokolwiek czuł.

Najgorsze było to, że dzieciaki były zachwycone, kiedy dowiedziały się, że jest pilotem. Zadawały mnóstwo pytań. Zupełnie jak Christopher, synek Geeny. Chris zawsze uwielbiał wojenne opowieści. Ile razy Alec przychodził na kolację, obaj z Conorem podpuszczali się nawzajem, prześcigając się w opowiadaniach i pozując przed siostrzeńcem na bohaterów.

Teraz Alec siedział nad fasolką przykrytą ziemniakami, próbując złapać oddech. Czuł, że za chwilę się udusi, tylko dlatego, że jakiś facet przypominał jego popieprzonego ojca. Wspominał Geenę i Conora, którzy pomogli mu uwolnić się od koszmarów. Potwornie za nimi tęsknił.

- Kochanie, może podasz dzieciom lody na ganku? Alec i ja pójdziemy do gabinetu.

- Ale ja chciałam mu pokazać mojego węża - zaprotestowała mała Katie, przyszły herpetolog. - Tatusiu, obiecałeś, że po kolacji będę mogła wyjąć Szafirkę.

Alec wstał i uklęknął przed dziewczynką, zadowolony, że ma się czym zająć. Oddychaj, stary spokojnie.

- Hej, przecież nie zniknę. Pozwól mi porozmawiać z twoim marudnym tatą. Załatwię z nim, co mam do załatwienia, i będziemy to mieli z głowy. Wtedy mi pokażesz, co potrafi Szafirka. Zgoda?

Wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie ten niezrozumiały gniew. Zjawił się znikąd, po prostu zaczął w nim wzbierać. Zapowiadało się na to, że czekają go ciężkie chwile. Nie rozumiał, dlaczego się tak czuje, nie miał przecież powodu do gniewu. Buuu, spieprzyłem sobie życie. I co z tego?

- Prowadź - powiedział do Trávisa, klepiąc go po plecach. Postanowił, że znajdzie jakąś wymówkę, by się stąd jak najszybciej wydostać. Przychodząc tutaj, próbował zrobić przyjemność Sydney, ale po prostu nie był w stanie tego znieść. Z całego serca pragnął mieć już ten wieczór za sobą.

Idąc za Travisem do gabinetu, Alec uznał, że Linda ma talent do dekoracji wnętrz. W każdym kącie stał jakiś bibelocik. Ściany pokrywały fotografie, jak w jakiejś galerii sztuki.

Travis zasiadł w zbyt miękkim fotelu, którego obicie również było upstrzone kwiatami. Alec, idąc w jego ślady, klapnął na kanapę, stojącą naprzeciwko. W głowie odliczał już minuty do wyjścia.

- Miłe dzieciaki - powiedział, wcale nie dlatego, że tak wypadało. Naprawdę tak uważał.

- Tak, szczęściarz ze mnie. - Travis potrząsnął głową. - Przepraszam, że im nie powiedziałem, kim jesteś. Ale pomyślałem, że lepiej będzie zaczekać.

Na wypadek, gdyby coś nie wyszło, pomyślał Alec. Rozumiem cię, stary.

- To chyba rozsądne.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - powiedział Travis. - Co cię skłoniło do zmiany zdania?

Alec założył nogę na nogę, opierając kostkę na kolanie. Najwyżej pięć minut i idę.

- No cóż, pomyślałem, że powinienem dojść do ładu ze swoją przeszłością. - To były słowa Sydney.

- Naprawdę? Bo pomyślałem, że może to ma coś wspólnego z tą damą, która była u ciebie w szpitalu. - Alec patrzył na niego skonsternowany, więc Travis dodał: - Popatrzyliście na siebie w taki szczególny sposób. - Wzruszył ramionami. - To Linda skłoniła mnie, bym odnalazł mamę. Kazała mi się rozprawić z własnymi emocjami, jak zwykle. Pomyślałem, że w twoim przypadku mogło być podobnie.

- Taki szósty zmysł chyba ci się przydaje jako dziennikarzowi?

- Czasami. - Travis roześmiał się. - Ale czasami moja intuicja kompletnie mnie zawodzi.

Alec posłał mu swój najszczęśliwszy uśmiech, ale tak naprawdę czuł się jak Kojot z kreskówki, któremu Struś Pędziwiatr właśnie podrzucił bombę na talerzu - wybuchła mu w żołądku, a z uszu buchnął czarny dym. Travis nazwał sprawę po imieniu: Alec przyszedł tutaj tylko po to, by sprawić przyjemność Sydney.

To był błąd, stary, powiedział sobie w duchu. Teraz już na to za późno. Musiał wreszcie pogodzić się z faktem, że nie ucieknie od swoich dawnych grzechów. Że dogonią go, gdziekolwiek pójdzie. Stracił Sydney na długo przedtem, zanim ją w ogóle poznał.

- Masz jakieś zdjęcia mojej mamy? - zapytał Travis. — Ja wiem tylko, jak wyglądała jako dziecko. Tylko takie zdjęcia mieliśmy w domu. Myślę, że naszej babce było w ten sposób wygodniej. Chciała mamę zapamiętać taką, jaka była, zanim się zepsuła. Babka właśnie tak to nazywała: że mama się zepsuła. Jak jakiś owoc.

- Żartujesz? - powiedział Alec, ale słuchał tego wszystkiego jednym uchem. Gównu mnie to obchodzi. Jeszcze kilka minut. Potem się stąd wynosi.

Travis pokręcił głową.

- Ile razy ją prosiłem, wywlekała jakieś zdjęcia mamy z podstawówki. To było dosyć dziwaczne, wiesz? Trudno było mi sobie wyobrazić mamę. Szczególnie kiedy trochę podrosłem.

Alec uniósł głowę. Mówiąc o kobiecie, która go wychowała, Travis nazywał ją „naszą” babką. Daisey była dla niego po prostu „mamą” albo „moją matką”.

Niezła jazda, pomyślał. Niby miły normalny facet, a taki pokręcony.

- Nie mam żadnych zdjęć - powiedział. Ed i Daisey nie bardzo mieli co uwieczniać na fotografiach.

- Boję się, że byłeś wtedy za mały. Stary, mam do ciebie tyle pytań.

- Taaak. Tak myślałem. - Alec czuł, że dłużej nie wytrzyma. Stuknął palcem w swój zegarek z Myszką Miki. - Ale właśnie sobie przypomniałem, że muszę się zobaczyć z jednym facetem w ważnej sprawie.

Nie miał najmniejszego zamiaru rozprawiać z Travisem o dawnych, dobrych czasach. Cholerna pomyłka, nie powinienem był tu przychodzić. W zeszłym tygodniu zaczął pracę w Reck Enterprises. Tam naprawdę mógł zrobić coś pożytecznego dla Sydney. A ta miła pogawędka z podobizną Eddy'ego była kompletną stratą czasu.

- Rany, zupełnie mi wyleciało z głowy. A to na drugim końcu miasta - powiedział, wstając z kanapy. Czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć. - Nie lubię tak uciekać zaraz po jedzeniu...

- Jasne. Rozumiem. Może innym razem.

- Umówimy się we dwójkę, stary. Na piwko. Grasz w bilard? Byłoby świetnie. Zadzwoń.

Alec miał nadzieję, że nigdy w życiu nie zobaczy już Trávisa Bentleya. Był w połowie drogi do drzwi, kiedy tamten powiedział:

- Miałeś szczęście, wiesz?

Alec odwrócił się. Jedyne szczęście, jakie go kiedykolwiek spotkało, polegało na tym, że był jeszcze żywy. Gdyby spojrzeć na to w ten sposób, rzeczywiście miał farta. Ale chyba nie takie szczęście miał na myśli jego brat.

Travis przeszedł obok niego i otworzył drzwi.

- Znałeś ją - powiedział. Alec się uśmiechnął.

- Doprawdy?

- Oddałbym wszystko, by ją znać.

Alec poczuł, że gumowy uśmiech przylepił mu się na stałe do zeszywniałej twarzy.

- Chyba zaczynam rozumieć twój punkt widzenia... Idiota. Dupek. Niemożliwe, żeby myślał...

Nasza babka - moja mama.

- A zresztą, co mi tam. - Alec wzruszył ramionami, po raz kolejny udając, że patrzy na zegarek. - Chyba mogę się trochę

spóźnić. - Poklepał Trávisa po plecach. - Wygląda na to, że naprawdę potrzebujesz pogadać.

Kiedy wrócili do gabinetu, Alec znów usiadł na kanapie. Wszystko ułożyło mu się w głowie, tworząc jasny obraz sytuacji. Mógłby teraz wyjść i dać sobie spokój, ale chciał to usłyszeć na własne uszy. Przekonać się, że ten facet rzeczywiście jest aż tak głupi.

- Babcia była dla ciebie trochę surowa, co? - zagaił Alec.

- Nawet nie masz pojęcia.

Biedny Travis. Chował się, nie znając swojej mamusi. Nie miał nikogo, tylko wielką niedobłą babkę.

- Jak powiedziałem, mam jeszcze parę minut. - Alec pochylił się do przodu, spoglądając na Trávisa z przejęciem. - Opowiadaj.

- Słuchaj, nie chcę, żebyś myślał, że się nad sobą użalam, skoro ci to mówię...

Nie, pomyślał Alec. Nie jesteś przecież takim gnojkiem...

- Po prostu uważam, że powinieneś wiedzieć. Bo może zastanawiałaś się, jakby to było, gdybyś został. Tak jak ja.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- Hazel była okropna. Tak mi kazała na siebie mówić. Hazel. Po imieniu. Nigdy babciu, nic w tym rodzaju. Czasami myślę, że może próbowała się w ten sposób jakoś odciąć od pokrewieństwa ze mną. Z powodu mamy.

Dla Aleca Ed i Daisey zawsze byli Edem i Daisey. Po prostu. I nie z powodu jakiegoś odcinania.

- Mama uznała, że wszystko będzie lepsze niż życie z Hazel i mówię ci, stary, wcale jej się nie dziwię. Hazel nie mogła się pogodzić z tym, że mama była taka buntownicza. Była surową luteranką z Minnesoty. Nic nie było dla niej dość dobre.

Edward i Daisey przynosili się z motelu do motelu, uciekając, kiedy kończyły im się pieniądze. Nie zawsze mieli co jeść, najważniejsze były narkotyki. Czasami wyjadali resztki z pojemników na śmieci przy supermarketach. Kiedy Eddy nie miał sobie za co kupić działki, kradł; gdy tylko Alec podrośł, ojciec używał go jako czujki.

- Rany - powiedział Alec. - To musiało być dla ciebie okropne.

- Chciałem tylko... no cóż, Hazel robiła to wszystko w dobrej wierze. Była twardą kobietą i chciała mieć pewność, że nie stanę się taki jak Daisey. To wszystko. Nie powinienem się skarżyć. Po prostu

chciałem, żebyś o tym wiedział. Nie wiem, czy ma to dla ciebie znaczenie.

- Cholera. Ale nie biła cię chyba, co?

- Nie, nic z tych rzeczy. Ale, chłopie, potrafiła spojrzeć takim wzrokiem, że człowiek się czuł mały jak mrówka. I nic nie było w stanie jej zadowolić. Nic nie było dość dobre, ani same piątki, ani stypendium sportowe.

- To się chyba nazywa emocjonalne znęcanie się - powiedział Alec, starając się jak najlepiej udawać kogoś, kto nie miał z tym do czynienia.

- Cóż, jak mówiłem, to było w dobrej wierze. I wcale się nie skarzę. Zapewniła mi dach nad głową i zastawiony stół. I nauczyła mnie, ile warta jest ciężka praca. - Travis roześmiał się. - Bardzo chciałem się stamtąd wydostać. Studia były dla mnie przepustką z więzienia. Harowałem jak wół.

- Taaak. Tata pomógł mi podjąć decyzję w sprawie wojska. - Edward umarł oczywiście o wiele wcześniej, ale Alec lubił tę historyjkę. - Mama była naprawdę dumna. Szczególnie kiedy dostałem się do szkoły lotniczej.

- Jak umarli?

- Wypadek samochodowy. To była prawdziwa tragedia.

Poczuł, że nieźle mu idzie. Do diabła, potrafił wymyślać te bzdury na poczekaniu. Niech się stary Travis nacieszy tą swoją wymarzoną rodziną, za którą tak tęsknił. A niedobra babcia, co go biła po łapach, niech ma za swoje.

- Czy mama coś o mnie mówiła?

- Tylko raz. - Alec potrząsnął głową i spojrzał w przestrzeń. - To było niesamowicie smutne. Walczyła, żeby cię zabrać ze sobą. Ale, jak sam wiesz, Hazel wmówiła jej, że jest nic niewarta. Mama zawsze myślała, że zostawiając cię, zrobiła to, co dla ciebie najlepsze.

Daisey żyła z dnia na dzień, patrząc, jak Ed bez opamiętania tłucze Aleca, sama zbyt wystraszona o własny tyłek, żeby interweniować. Nigdy nie mówiła nic o żadnej rodzinie. Gdyby cokolwiek wspomniała, Alec na pewno próbowałby ich odnaleźć, byle tylko wyrwać się z tego piekła.

Do gabinetu weszła Linda, niosąc tacę z kawą. Alec wstał. Miał już serdecznie dość.

- Przykro mi - powiedział do Trávisa.

- W porządku. Idź. Nie chcę, żebyś się jeszcze bardziej spóźnił na twoje... ważne spotkanie - odparł Travis, uśmiechając się.

- Tak. - Alec uściśnął Travisowi rękę, czując, że od razu mu lepiej. Od tej chwili nie będzie już nigdy musiał patrzeć w twarz Eddy'ego. Koniec ze zjawami. - Dokończymy następnym razem.

- Nie ma sprawy.

Ale w drzwiach poczuł dłoń na swoim ramieniu. Odwrócił się i zobaczył, że Travis patrzy na niego przenikliwie. Może to była gra świateł, a może chodziło o wyraz jego twarzy... Eddy nigdy nie patrzył w ten sposób na Aleca. Jakby naprawdę go widział.

- Mam nadzieję, że będzie następny raz - powiedział. - Dobrze? Alec myślał przez chwilę, że ten facet go rozpracował. Że zadziałał jego szósty zmysł. Domyślił się, że wszystko, co mu Alec powiedział, było stekiem bzdur i że nie ma zamiaru więcej się z nim zobaczyć. Ale Travis tylko się uśmiechnął i poklepał go po plecach, rozpraszając to niesamowite wrażenie.

- Świetnie, że przyszedłeś - dodał. Z jego tonu Alec zorientował się, że wszystko jest w najlepszym porządku. - Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Zaczął się żegnać, dziękując Lindzie za wspaniałą kolację, uśmiechając się i pozdrawiając dzieciaki. Przed wyjściem zerknął nawet na Szafirkę w jej terrarium. Kiedy znalazł się wreszcie za drzwiami, był zlany potem.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Hazel zamieniła życie Trávisa w piekło? Bo kazała mu ciężko pracować i zmusiła go, żeby do czegoś do - szedł?

Kiedyś Eddy tak się wkurzył na Aleca, że poprzypalał mu papierosem klatkę piersiową. To wtedy po raz pierwszy zabrali Aleca od starych, Innym razem Ed złamał mu nadgarstek w trzech miejscach, kiedy Alec coś mu odpysknął. Miał własną wizję surowej, ojcowskiej miłości.

Daisey nigdy nie zrobiła nic, by go powstrzymać.

O tak. Mamusia była kochana.

Aleca ogarnęła fala wściekłości, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył. Zabawne, że do tej pory nie zwracał uwagi na gniew, który odczuwał. Bo i po co? Miał lepsze rzeczy do roboty, niż folgować emocjom. Ale teraz wdepnął wściekle hamulce. Chevrolet zawirował, wycinając piruet; Alec pewnie by zginął, gdyby na drodze

był jakiś inny samochód, Pałac opony o asfalt, zredukował bieg i popruł w przeciwnym kierunku,

Do Chino Hills. Do domu Conora.

Dojechał tam pół godziny później. Podwójna działka była na tyle duża by pomieścić duży dom Geeny i Marca i zapewnić święty spokój Conorowi, który mieszkał w domku od tyłu. Forteca Conora. Bo dla Conora najważniejsza na świecie była rodzina.

Alec oparł się o maskę chevroleta, oddychając ciężko, jakby biegł tu na własnych nogach, a nie jechał samochodem. Czarne jak smoła niebo było usiane gwiazdami. Tutaj, na wzgórzach, nie było tylu świateł, które tłumilyby blask gwiazd.

Alec doskonale rozumiał, dlaczego Conor nie porzucił tej podwójnej rezydencji, kiedy się ożenił, dlaczego zamieszkał z żoną w małym domku. To był piękny kawałek ziemi. Poza tym było wygodne, że Geena i Marc, którzy prowadzili razem z nim szkołę pilotażu, mieszkali tuż obok. No i był jeszcze Christopher i bliźniaki. Kto chciałby się przeprowadzać, mając takie sąsiedztwo?

Kto chciałby to wszystko porzucić? Jak Alec...

Mógł sobie wyobrazić, co pomyślały sobie dzieciaki rok temu, kiedy wujek Alec został gwiazdą wieczornych wiadomości, wcielając się w postać strasznego, złego terrorysty.

Zdumiały go te uczucia. Był na to zupełnie nieprzygotowany. Nie sądził, że obchodzi go, co myśli o nim jego siostrzeniec. To nie miało sensu. Przecież gdyby go to obchodziło, gdyby mu naprawdę zależało, nie narobiłby tych wszystkich głupstw, dzięki którym stał się taki sławny.

Uśmiechnął się pod nosem. Odepchnął się od karoserii Chevroleta. Do diabła, nawet jego głos wewnętrzny zaczynał przypominać głos Sydney.

Ruszył w górę po podjeździe, słuchając, jak żwir zgrzyta mu pod butami. Zastanawiał się, gdzie ma większą szansę na ciepłe powitanie - u Geeny czy u Conora. O dziwo, nie potrafił wybrać. Prawda była taka, że w ogóle nie miał prawa tu przychodzić.

Westchnął, kopiąc czubkiem buta jakiś kamyk. Zastanawiał się, kiedy wyhodował w sobie te wyrzuty sumienia. A może po prostu zaczynał się starzeć, może był zmęczony tą wieczną ucieczką i samotnością?

Problem polegał na tym, że aby zasłużyć na czyjąś troskę, trzeba było odpłacić tym samym. Inaczej się nie dało. W końcu wszyscy zaczęli mieć dość tego, że odwalają całą robotę. I odchodzili.

Z głębi domu Geena dobiegł go dźwięk telewizora. Żołądek podszedł Alecowi do góry, jak podczas lotu. Denerwował się tak za każdym razem, kiedy wsiadał do kabiny pilota.

Nie widział dzieciaków już ponad rok.

Powoli podszedł do jednego z okien. Ciągnęło go tam, wbrew wszystkiemu, co właśnie sobie powiedział. Wybrał okno, które dawało widok na salon. Zajrzał do środka i uśmiechnął się szeroko na widok Christophera, który spał na kanapie.

Do diabła, ależ ten chłopak urósł. To na pewno sprawka genów Geena, bo Marc musiał zadzierać głowę, żeby spojrzeć żonie w oczy. Ile Christopher mógł mieć teraz lat? Może dwanaście? Bliźniaki gapily się jak zaczarowane w telewizor na jakąś japońską kreskówkę.

Widocznie Geena i Marc gdzieś wyszli, zostawiając Christophera na straży. Inaczej chłopak na pewno nie oglądałby kreskówek z bratem i siostrą.

Alec pomyślał, że oddałby duszę diabłu, byle tylko móc wejść tam i udawać, że nic się nie stało. Cześć, Chris. Jak się masz, wielkoludzie? Ale nie miał pojęcia, co Geena powiedziała dzieciom. Jeśli zjawi się wujek Alec, natychmiast dzwońcie na policję i powiedzcie, że mają zaraz przyjeżdżać, bo w domu jest bandyta.

Alec zeskoczył spod okna i spojrzał w stronę chatki na tyłach domu. Front ozdabiała krata porośnięta pnącym jaśminem. Zobaczył zaczątki dobudówki. Conorowi powiększyła się rodzina. Alec ruszył podjazdem, aż dotarł do domku.

Nie namyślając się długo, zajrzał przez okno. W maleńkim pokoju od frontu, który służył Conorowi jako salon, zobaczył Cherish, żonę Conora, z dzieckiem na ręku.

Syn Conora. Alec wiedział o tym. Przez ostatnie lata starał się śledzić wszystko na bieżąco i był zorientowany, co się dzieje we wspaniałym klanie Mitchellów, jego przybranej rodzinie. Uśmiechnął się, widząc, że wargi Cherish poruszają się, kiedy śpiewała chłopczykowi, kołysząc się w przód i w tył. Pokój był zapchany wszelkimi możliwymi zabawkami. Była tu nawet huśtawka w kształcie samolotu, zawieszona w drzwiach na grubej linie bungee.

- Dzielna dziewczynka - szepnął bezgłośnie do Cherish.

Mógł sobie wyobrazić, jak bardzo uszczęśliwiła Conora. Jego przybrany brat był stworzony do takiego właśnie życia i Alec szczerze się cieszył, że spełniły się wszystkie jego marzenia. Conor poświęcił wszystko, by Geena i Alec odnaleźli w życiu szczęście. Miło było wiedzieć, że i on dostał wreszcie swoją szansę.

Alec odsunął się od okna. Był czas, kiedy wydawało mu się nawet, że jest zakochany w Cherish. Ale jak we wszystkich innych sprawach życiowych okazało się, że chodzi tu raczej o związek emocjonalny z Conorem.

Odwrócił się i miał już odejść, myśląc: Udało im się. Dzieciak. Przyszłość. Prawdziwa miłość.

Ale nagle poczuł mrowienie w karku. Znał doskonale to uczucie, wiedział, co oznacza. Ktoś tu był. Obserwował go.

Odwrócił głowę, wpatrując się w ciemność.

I zobaczył go.

Conor stał w cieniu domu.

Nie wiedział, od jak dawna brat go obserwował - nie usłyszał najmniejszego szmeru. No cóż, w końcu to Conor. Było oczywiste, że Alec go nie usłyszał.

Teraz podszedł do Aleca z pochyloną głową, jakby nie mógł znieść jego widoku.

- Do diabła, co ty tu robisz, Alec? - Kiwnął lekko ręką, w której trzymał swój stary pistolet. Celował nim prosto w pierś Aleca.

Rozdział 19

Masz zamiar mnie zastrzelić, Conman? Alec powiedział to z uśmiechem, ale przyszło mu do głowy, że może nie jest to aż tak nieprawdopodobne. Do diabła, to by nawet było niezłe zakończenie ich historii. Ostatni raz, kiedy widział Conora Mitchella, to on trzymał pistolet. Zatoczyliśmy pełny krąg...

- A ty byś się wahał? - zapytał Conor.

- O ile dobrze pamiętam, tak właśnie było.

- Rzeczywiście, nie zastrzeliłeś mnie. Dusza człowiek z ciebie, Alec - powiedział. Obserwował go ze zmarszczonymi brwiami, co uwydatniało jeszcze bliznę nad okiem; tę, którą zarobił z powodu Aleca. - W końcu i tak omal nie zginąłem przez twoje konszachty z Reckiem. Ale kto by pamiętał takie szczegóły?

Alec nie zamierzał się bronić przed tymi oskarżeniami. Conor wiedział o wszystkim, znał prawdę, którą Alec ukrywał przed Syd - że posłużył się bratem, zrobił z niego nieświadomego współnika swojego planu, by ocalić własną skórę. Wystawił na niebezpieczeństwo Geenę i Conora, dwoje ludzi, którzy go kochali. I w przeciwieństwie do Sydney, Conor wiedział z pierwszej ręki, jakiego rodzaju człowiekiem jest w rzeczywistości Alec. Taki sam, jak kochany tatuś...

- No cóż - Alec rozłożył ramiona, wystawiając się na strzał. - Jak to mówi piosenka: Celuj w samo serce.

Conor jednak wyjął magazynek i wysypał naboje na trawę, po czym odrzucił pistolet. Podeszedł bliżej, zatrzymując się w odległości wyciągniętego ramienia.

Wziął błyskawiczny szeroki zamach i łubudu! trzasnął Aleca sierpowym w szczękę. Alec zatoczył się i walnął w ogrodzenie, które miał za plecami.

- Nieźle - wymamrotał, kiedy ból pozwolił mu już mówić. - Miło wiedzieć, że ciągle jesteś w formie, stary.

Natarł na Conora z całą wściekłością i rozpaczą, która w nim wzbierała. Po jego ciosie Conor pośliznął się na mokrej trawie. Następny cios był chybiony; Conor zrobił unik i rzucił się bykiem naprzód, celując prosto w brzuch Aleca, który uczepił się jego głowy i przewracając się, pociągnął go ze sobą na ziemię.

- Dlaczego tu przyszedłeś, Alec? Bo Reck wyszedł z więzienia? Znowu coś wspólnie kombinujecie? Z jakim świństwem tym razem przyszedłeś pod moje drzwi?

Alec wsunął nogę pod ciało Conora i używając zapaśniczego chwytu, przerzucił go za siebie, nad swoją głową.

- Przyszedłem tylko złożyć wyrazy uszanowania.

Drzwi się otworzyły. Obaj mężczyźni wstali, widząc, że biegnie do nich Cherish. O dziwo, zatrzymała się przed Alekiem.

- Conor, nie bądź idiotą! - powiedziała, kiedy Conor ominął ją i rzucił Aleca na płot. Odciągnęła męża na bok.

- Przestańcie, na litość boską! - powiedziała, odpychając Conora obiema rękami. - Mam was obu zaciągnąć za uszy do domu i zbesztać jak niezdolne dzieciaki?

- On nie wejdzie do naszego domu, Cher.

Odszedł kilka kroków. Oddychał ciężko, najwyraźniej ciągle jeszcze był zdenerwowany. Schylił się, by pozbierać naboje i podnieść pistolet. Cherish poszła za nim. Żadne z nich nie spojrzało na Aleca. Kobieta niesamowicie czułym gestem wzięła twarz Conora w obie dłonie. Dotknęli się czołami, Cherish zaczęła coś szeptać do męża.

Patrząc na to, Alec poczuł w piersi ból, a jednocześnie ogromną radość. Conman zasłużył sobie na to wszystko. Na kobietę, która go kochała. Dzieci. Na ludzi, którzy się o niego troszczyli i ochraniali go.

Tak trzymaj, stary.

Conor spojrzał na Aleca.

- Wynoś się stąd, zanim Christopher albo bliźniaki wyjdą z domu.

- Chris śpi na kanapie - powiedział Alec. - Zajrzałem przez okno. Bliźniaki gapią się twardo na jakiś film, który im włączył. Dzięki, Cherish, że mnie obroniłaś.

- Nie, Alec. Nie przyszedłem tutaj, żeby ci pomóc. - Potrząsnęła głową. - Powinieneś się być zjawić o wiele wcześniej. Za długo zwlekałeś. - Na jej twarzy malowało się rozczarowanie. - Nie potrafiłeś wziąć na siebie konsekwencji. Tego jednego nie potrafię ci wybaczyć. Ale mój mąż, twój brat, nie robi już nic, czego mógłby potem żałować. Nie pozwolę, żebyś znów go zranił, Alec.

Conor przyłączył się do żony.

- Nie wiem, przed czym uciekasz tym razem, ale ci nie pomogę. Sam będziesz musiał wydobyć się z tego bagna. Powinienem zadzwonić na policję. Powiedzieć im, co wiem. Myślisz, że tego nie zrobię, bo ostatnim razem pozwoliłem ci zwiać?

- A gdybym ci powiedział, że wolałbym, żebyś zadzwonił? Że chciałbym już mieć tę przekłętą historię z głowy? - zapytał Alec, ku własnemu zaskoczeniu.

- Bzdury! Pieprzysz bzdury, jak zawsze. Do diabła... Alec! - Conor odwrócił głowę. - Przecież nie mógłbym cię wydać. Na litość boską, nie rozumiesz tego? Jesteś moim bratem. - Przy ostatnim słowie głos mu się załamał. - Wynoś się stąd, do cholery, i zostaw nas w spokoju.

Cholera, pomyślał Alec. Cholera jasna.

Wyraz twarzy Conora był nie do zniesienia.

Wolałbym, żeby pociągnął za spust, myślał Alec. Wolałbym, żeby mnie zastrzelił.

- Dałem ci wszystko - powiedział Conor - wszystko, co miałem do dania przez te lata. A jednak nie mogłem... nie zdołałem cię naprawić. Nie wiem, co ci zrobili Daisey i Edward. Cokolwiek to było, nie potrafiłem... nie umiałem tego wyprostować. I choć wiem to wszystko, choć tak strasznie wszystko spieprzyłeś... do diabła, tęsknię za tobą.

Alec milczał. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, nie mógł nawet złapać oddechu. Nie był przygotowany na to, że w głosie Conora usłyszy tyle uczucia.

Przed jego oczami zaczęły przesuwać się obrazy z przeszłości. Dzień, kiedy Conor obronił go przed tymi małymi bandytami w domu dziecka. To, jak w szpitalu zapewniał Aleca, że nic mu nie będzie. Jak przysięgał na wszystkie świętości przed sędzią, że będzie się nim opiekował. Jak uczył Aleca latać... pierwszy raz, kiedy pozwolił mu wziąć stery.

- Ale nie pozwolę, żebyś nas skrzywdził jeszcze raz - mówił dalej Conor, odzyskawszy oddech. - Nie pozwolę, żebyś przychodził tutaj i przekonywał Cher i Geenę, że się zmieniłeś. Spaliłeś za sobą wszystkie mosty, Alec. Na zawsze.

Podszedł do Cherish i objął ją, dając Alecowi do zrozumienia, że w tej sprawie mają jednakowe zdanie.

- Jeśli natychmiast stąd nie pójdiesz, zadzwonię na policję - powiedział. - Tym razem mam zbyt wiele do stracenia.

Alec odszedł. I to nie z powodu grózb Conora. Do diabła, chciałby mieć tyle odwagi, by zgłosić się na policję i odpowiedzieć za to, co zrobił. Conor wyświadczyłby mu przysługę. Ale Cherish miała

rację; gdyby Conor wykonał ten telefon, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Idąc w stronę chevroleta, usłyszał jeszcze słowa Conora.

- Nie daj się nabrać, Cher. To samolubny sukinsyn. I nigdy się nie zmieni.

„Nigdy się nie zmieni”.

Alec wciąż słyszał te słowa, jadąc zatłoczonymi ulicami do centrum.

Przez ostatni rok rozpaczliwie czepiał się nadziei, że może jednak się zmieni. Pomysł, że każdy zasługuje na drugą szansę, zdążył mu się już nawet spodobać.

Głęboko wierzył, że jeśli będzie pragnął czegoś wystarczająco mocno, jego marzenie się spełni. Nie chciał utknąć w miejscu, jak w jakiejś greckiej tragedii, tocząc pod górę wciąż ten sam cholerny kamień, popełniając te same błędy. W pewnym momencie swojego życia zrozumiał, że chce się zmienić dla Sydney. Chce zrobić coś, by stać się dla niej lepszym człowiekiem.

Nieprzyjemnie było usłyszeć te słowa od Conora. A jeszcze trudniej było widzieć tyle smutku w jego oczach. Jakby żałował wszystkiego, co się stało.

Chodziło o to, że Conman był jego bohaterem. Wszystko potrafił. I wszystko wiedział.

Skoro Conor twierdził, że Alec się nie zmieni...

Alec zaparkował samochód, ale nie wysiadał z niego jeszcze przez chwilę. Pomyślał, że może powinien pójść na mały spacer. Łyknąć trochę powietrza. Molo. Takie samo dobre miejsce, jak każde inne, żeby pomyśleć chwilę w spokoju.

O tej porze, choć było późno, na molo ciągle trzeba było lawirować w tłumie. Zmęczony tym w końcu, Alec znalazł sobie miejsce, z którego mógł obserwować fale przetaczające się po powierzchni oceanu i znikające między palami pomostu. Latarnie przeświecały przez wodę, przez co fale wyglądały jakby świeciły własnym światłem; wydawały się niemal nierealne.

„Nigdy się nie zmieni”.

Przecież dokładnie to samo myślał o Russellu Recku. Czy pracując w Reck Enterprises, nie szukał dowodów, że Wrakarz pozostał Wrakarzem?

Alec wiedział, że mimo wszystkich wydarzeń ostatnich lat, Russell Reck nie pozwoliłby sobie na utratę choćby drobnej części majątku. A jedynym sposobem działania, jaki znał, było oszustwo. Dzięki niemu się dorobił i dzięki niemu funkcjonował dalej.

Ludzie się nie zmieniają. Alec był o tym święcie przekonany i dlatego ryzykował życie, by ostatecznie załatwić Recka.

Wszystko to dowodziło tym dobitniej, że Conor miał rację.

Alec odepchnął się od poręczy. Niezależnie, jak bardzo tego pragnął, nie mógł zostać bohaterem, na jakiego zasługiwała Sydney. Nie powinien był tu wracać, włączyć jej w oczy, nie powinien był niszczyć jej układu z tym chłopcem od Internetu. Co mu się, niestety, udało.

Widzisz coś, czego pragniesz, i bierzesz to sobie, nie zważając na konsekwencje.

Właśnie tak robią czarne charaktery. Niszczą ludziom życie.

Conor, pozytywny bohater, był gotów poświęcić wszystko. Wiedział, co się w życiu liczy. Miał honor. Dla Geeny i Aleca zrezygnował ze stypendium w college'u. Odpychał od siebie Cherish, przekonany, że się dla niej nie nadaje. Odmówił sobie nawet satysfakcji posłania Aleca za kratki.

Kto raz oszukał, zawsze będzie oszustem. Alec zawsze tak myślał o Russellu Recku. Problem polegał na tym, że teraz zaczynał tak myśleć o sobie.

Rozdział 20

Do uszu Sydney dobiegło drapanie, tak cichutkie, że przez chwilę zastanawiała się, czy aby się nie przesłyszała. Odłożyła książkę i odsunęła krzesło od stołu, nasłuchując w napięciu. Znowu.

Brzmiało to tak, jakby ktoś się włamywał.

Kuchenny stół zasłany był kserokopiami, notatkami i książkami prawniczymi. Po ataku mężczyzny z psem Sydney zwolniła swoją ekipę ochroniarską. Od tamtej pory minął już tydzień. Nie szukała zastępców, godząc się powoli z faktem, że w końcu będzie musiała schować dumę do kieszeni i zadzwonić do Aleca. Codziennie powtarzała sobie, że zadzwoni... i tak mijał kolejny dzień.

Teraz była w domu sama, nasłuchując odgłosów włamania.

Dźwięk nie ustawał, Sydney wstała więc z krzesła i zaczęła rozglądać się za jakąś bronią. Nie kupiła pistoletu, święcie przekonana, że nie byłaby zdolna strzelić. Tamtej nocy, kiedy trzymała Russella na muszce, była zdesperowana i pełna gniewu, ale dawno wyleczyła się już z tych uczuć. Nie była już ofiarą szukającą zemsty.

Ale teraz przyszło jej do głowy, że może jak struś wetknęła głowę w piasek, udając, że nic jej nie grozi. Po tamtej sztuczce z psem myślała, że Russell da jej jeszcze kilka dni spokoju, zanim wykona następny ruch.

Znów ten cichy szelest.

Skradając się, weszła do salonu, uzbrojona jedynie w młotek. Z sercem w gardle słuchała, jak ktoś bezczelnie, z głośnym zgrzytem otwiera okno. Męski głos zaklął w ciemności.

Sydney upuściła młotek.

- Alec?

Wbiegła do pokoju w samą porę, by zobaczyć, jak wczółguje się przez parapet i stacza na podłogę, przeklinając na czym świat stoi. Rozciągnął się na dywanie, usiłując złapać oddech, Podeszła bliżej i stanęła nad nim.

Zauważyła ze zdziwieniem, że jest pijany. Bił od niego mocny zapach alkoholu.

Alec otworzył oczy i natychmiast je zmrużył, choć pokój oświetlała jedynie stołowa lampa, rzucająca miękki blask.

- Syd? Cholera. Nie chciałem cię obudzić. Obudziłem cię, kochanie? - Przytknął wskazujący palec do ust i powiedział cicho „szzz”. - Wracaj do łóżka, kotku.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Wlazłeś przez okno.

- Zapomniałem klucza.

- Może dlatego, że nigdy ci go nie dałam? Pstryknął palcami, jakby właśnie sobie przypomniał.

- Racja.

Miło było na niego popatrzeć, nawet kiedy leżał pijany na podłodze. Przystojny mężczyzna, ze wszystkimi swoimi słabostkami. Tęskniła za nim, mimo tego, że jego obecność oznaczała kłopoty.

Przynajmniej nie masz na twarzy kominiarki, powiedziała sobie w duchu, klękając u jego boku.

Było jasne, że coś jest nie tak. Natychmiast zauważyła skaleczenie na jego ustach, a na podbródku zaczątki porządnego siniaka. No i ten alkohol. Widywała Aleca w różnych sytuacjach, w dobrych i złych czasach. Nigdy nie wypił więcej niż kilka łyków piwa.

- Wdałeś się w bijatykę w jakimś barze? Alec zachichotał.

- Hej, szkoda że nie widziałaś tego drugiego faceta.

- I co zamierzałeś zrobić dalej? - zapytała, zarzucając sobie jego rękę na ramię, by pomóc mu wstać. - To znaczy po tym, jak już wturlałeś się przez okno.

Rzucił jej uwodzicielski uśmiech.

- Chciałem się zakraść do twojego łóżka i słodko się z tobą kochać. Oczywiście tylko gdybyś spała, bo pewnie gdybyś nie spała, w życiu nie pozwoliłabyś się dotknąć.

- Hmm.

- A potem chciałem się wypowiedzieć. Roześmiała się.

- To by mogło być ciekawe.

Ale on się nie śmiał. Pociągnął ją na dół, na siebie, i ujął jej twarz w dłonie. Minę miał bardzo poważną.

- Chodzi o to, że Jack to porządny facet.

Sydney poczuła ukłucie w sercu. Nie była pewna, czy właśnie to chciała usłyszeć.

- Sprawdziłem go dokładnie, wiesz? Kiedy tylko się dowiedziałem, że się z nim spiknęłaś. Chciałem się upewnić, że jest dla ciebie dość dobry... i może trochę po to, żeby się poumartwić. Do

licha, kto to wie. Wszystko mi się zaczyna mieszać. - Ciągnął swoje wyznanie ze śmiertelną powagą. - Sknocilem ci życie, Syd. Celowo. Tylko dlatego, że cię chciałem dla siebie. A on mógł dać ci szczęście.

Sydney potrząsnęła głową.

- Stanowczo się przeceniasz. To, co zaszło między mną i Jackiem, nie miało nic wspólnego z tobą.

Machnął ręką, nie zważając na jej słowa.

- Nic nie rozumiesz. Nie wiesz, jak bardzo cię pragnę. Zrobiłbym wszystko. Niektórzy już po prostu tacy są, wiesz? Z ich mózgami jest coś nie tak, może dlatego, że ich mama brała prochy i inne gówna, kiedy była w ciąży. Geena mówi, że ich neurony nie działają jak trzeba. Na tym polega problem, wiesz?

- To jest absolutnie bez sensu.

- Nieważne. Chodzi o to, że jeśli czegoś chcę, rzucam się za tym na łeb, na szyję, nie patrząc na skutki. - Jego ciemne oczy patrzyły na nią z uwielbieniem; nie mogła na to znaleźć innego określenia. - A chciałem ciebie, Syd. Bardziej, niż czegokolwiek na świecie.

To się wszystko nie trzymało kupy. Jak mógł opowiadać takie bzdury, jednocześnie patrząc tak szczerze?

- Alec, próbujesz mi zamącić w głowie...

- Poza tym, jest jeszcze jedna sprawa. - Przysunął się bliżej, znów trzymając palec przy ustach. Wyszeptał jej prosto do ucha. - Tajemnica. Okropna, straszna tajemnica. Conor wie o tym. Dlatego mnie nienawidzi.

Próbowała zbyć jego słowa śmiechem.

- Alec...

- Ale nie mogę ci powiedzieć. To znaczy, owszem, przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć. Wyznać wszystko. - Wciąż trzymał jej twarz w dłoniach. - Ale nie zniósłbym, gdybyś mnie znienawidziła, Syd.

- Alec, przerażasz mnie.

- Nie. - Zakrył jej usta końcami palców, kręcąc głową. - To już przeszłość. Stało się. Nie mogę cię już bardziej skrzywdzić. Już w porządku. Nie potrafię tylko ponieść konsekwencji.

Zaczął się powoli podnosić. Sięgnął do kanapy, ale chybił. Zwalił się na podłogę i przetoczył na plecy. Jęknął głośno, próbując się wyprostować.

- Cholera - powiedział. - Chyba sobie coś stłukłem.

Złapała go za rękę i pomogła wdrapać się na kanapę.

- Myślałam, że nigdy nie bierzesz do ust substancji odurzających? Upadł na kanapę, aż jęknęły sprężyny, i zaskakująco zwinnie pociągnął Sydney na swoje kolana.

- Dlatego, że nie wiedziałem, że to czarodziejski eliksir. Magiczny eliksir miłości. - Pchnął Sydney na kanapę i przykrył jej ciało swoim. - I zrobiłem się od tego diabelnie napalony.

Brzmiało to tak idiotycznie, że nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- I taki napalony musiałeś przyjść właśnie tutaj?

- Żeby wypróbować czy działa. - Pochylił głowę, by pocałować Sydney, ale nie trafił; cmoknął ją tylko niezręcznie w policzek. - Dzięki magicznemu eliksirowi nie będziesz mogła mi się oprzeć. Spełnisz każde moje żądanie.

- Alec - Sydney odpychała go ze śmiechem - przestań.

Ale nie chciał przestać. Wciąż ją całując, położył się na niej i przycisnął do kanapy całym ciężarem. Próbowwała go odepchnąć.

- Alec, daj spokój. Powiedziałam, przestań.

Rozpiął jej dzinsy, po czym sięgnął pod bluzkę i podciągnął biustonosz.

- Alec! - Zaczęła bić go pięściami po plecach, usiłując zepchnąć z siebie przy użyciu kolana, ale był zbyt silny. Szarpnął w dół jej dzinsy i sięgnął pod bieliznę.

Sydney poczuła, że ogarnia ją panika. Zaczęła się szamotać.

- Alec, nie w ten sposób. Proszę cię.

Znieruchomiał na niej, jakby nagle zdał sobie sprawę, co się dzieje. Zamknął oczy i przeturlał się na bok. Kiedy Sydney wydostała się wreszcie spod niego, zwinął się w kłębek na kanapie i odwrócił głowę.

Ramiona zaczęły mu się trząść, ale minęła chwila, nim Sydney zorientowała się, że płacze.

Z początku nie miała pojęcia, co robić... czy powinna go uspokoić, czy zostawić samego. To było niesamowite, widzieć Aleca w takim stanie. To było tak, jakby grawitacja przestała nagle działać, albo jakby słońce weszło na zachódzie. Usiadła obok niego, przeczesując mu włosy palcami. Wciąż cicho płakał.

- Hej - powiedziała, kiedy chwycił ją kurczowo i przycisnął do siebie. - Wszystko w porządku.

Nigdy nie widziała, by Alec płakał. Widziała, jak z zaciśniętymi zębami znosił największy fizyczny ból. Nawet największe życiowe rozczarowania przyjmował wzruszeniem ramion, jakby nic go nie obchodziły.

A teraz leżał na jej kanapie, pijany w sztok. Wyglądał tak rozpaczliwie, że serce jej się ścisnęło. Cierpiała, widząc kochanego mężczyznę pogrążonego w takim bólu.

Zawsze była przekonana, że pod maską jego żartobliwej nonszalancji kryje się udręczona dusza. Podejrzewała, że najbardziej obawiał się pofolgować sobie, uwolnić emocje, które skrywał tak głęboko.

Podczas tamtych spędzonych razem dni, kiedy Sydney powoli się w nim zakochiwała, Alec nie zdradził się nigdy z żadnym uczuciem. Dzielił z nią tylko radość i dreszczyk emocji, które dawała przygoda. Unikał poważniejszych tematów jak diabeł święconej wody. Czułość okazał jej tylko raz, w łóżku.

I dlatego tak bardzo za tym tęskniła. Kiedy kochali się tamtej nocy, pokazał się jej z zupełnie innej strony. Wytworzyła się między nimi więź, której Sydney nie chciała utracić.

Nie pytała, co mu się przydarzyło, jakie druzgocące przeżycie w końcu wydobyło na światło dzienne jego uczucia. To zbyt bolesne. Wiedziała, że nie tego w tej chwili potrzebował.

Położyła się przy nim na kanapie. Patrząc mu prosto w oczy, objęła go i przytuliła, wydając śmieszne kojące dźwięki, jakby pocieszała małe dziecko. Jestem przy tobie. Nie odejdę. Nie płacz, nie mogę tego znieść.

Nie zdawała sobie sprawy, że zasnęła, dopóki nie poczuła pocałunku Aleca. Siedział na kanapie, trzymając głowę Sydney na kolanach. Nie pamiętała, kiedy zmienił pozycję. Widocznie zrobił to bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Teraz trzymał w dłoni jej dłoń, patrząc w oczy, kiedy raz za razem całował jej palce.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. Nie wyglądał już na zrozpaczonego ani pijanego.

- Przepraszam - powiedział. - Nigdy bym nie... Przykryła mu usta dłonią.

- Nic się nie stało. Uwierz mi, robiłeś gorsze rzeczy. Uśmiechnął się na te słowa.

- Możliwe.

Była ciekawa, jak długo spali, ale nie zapytała. Alec nigdy nie okazywał słabości. Zawsze myślała, że miało to coś wspólnego ze szkoleniem w wojsku. Człowiek, który z uśmiechem na ustach wsiadał do eksperymentalnego samolotu i wypróbowywał jego możliwości, musiał nad sobą panować. Wszystkie uczucia, łącznie ze strachem, potrafił schować w jakimś ciemnym zakamarku umysłu.

Teraz na pewno nie miał ochoty rozmawiać o tym, co zaszło. Nawet Sydney potrzebowała trochę czasu, by móc o tym mówić.

- Chciałbym cię pocałować - powiedział cicho.

W odpowiedzi uniosła twarz ku jego twarzy. Kiedy ją pocałował, poczuła się trochę tak, jakby tonęła. Alec potrafił pozbawić ją oddechu i porwać ją w jakieś mroczne miejsca, tak, że nie mogła się bronić i nie zależało jej na niczym; chciała tylko zapadać się coraz głębiej. Po prostu otworzyła usta i przyjęła jego pocałunek, rozkoszując się ciepłem, rozchodzącym się po całym ciele, szaleństwem, które powoli zaczynało ją ogarniać. Świat stał się nagle zupełnie innym miejscem, gdzie liczył się już tylko następny dotyk. I kolejny.

Tym razem to Sydney zaczęła szarpać na nim ubranie; pomogła Alecowi ściągnąć koszulkę, nie przestając go całować. Miał najbardziej niesamowite ciało, jakie w życiu widziała. Było jak wyrzeźbione w kamieniu. Pod palcami wyczuwała wyraźnie twarde mięśnie jego brzucha... przyglądała się, jak mięśnie napinają się, kiedy całowała jego pierś, obwiodła językiem wyraźną bliznę na ramieniu. Kiedy już nic ich nie dzieliło, usiadła mu na kolanach, objęła udami jego biodra i przyjęła go głęboko do swego wnętrza, dopasowując się do rytmu jego pocałunków.

Najpierw kochali się na kanapie, potem na podłodze. Przeszli do sypialni i kochali się dalej, na łóżku. Nic nie było w stanie ich już powstrzymać. Pieszczotami i pocałunkami Alec dowiódł Sydney, że jest mu droższa niż reszta świata - jego usta i dłonie wyraziły to lepiej, niż słowa, których i tak by pewnie nigdy nie wypowiedział.

Kiedy w końcu zasnął w jej ramionach, tym razem to ona miała okazję przyjrzeć mu się w spokoju. Był naprawdę pięknym mężczyzną i nawet najbardziej wariackie fryzury nie były w stanie tego zmienić. Nie miały wpływu na kształt jego ust ani policzków z dołeczkami, nie zasłaniały piegów na jego wydatnym, zgrabnym nosie.

Podjeżdżała, że dał jej z siebie więcej, niż komukolwiek innemu. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jakie znaczenie będzie to miało dla niego rano. Znając go, będzie się pewnie bronił przed jakąkolwiek zmianą w swoim życiu. Zawsze walczył ze zmianami, a szczególnie tak poważnymi.

Była ciekawa, co mu się przydarzyło tego wieczoru. I zastanawiała się, czy kiedykolwiek zaufa jej na tyle, by jej o tym opowiedzieć.

„Okropna, straszna tajemnica”.

Zadrżała i przytuliła się do niego mocniej.

Godzinę później wciąż jeszcze czuwała. Alec wyglądał tak spokojnie, kiedy spał. Uśmiechał się nawet do swoich snów. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło, przypominając sobie dzień, w którym go poznała. Nie potrafiła wtedy zgadnąć, ile ma lat. Piegi i chłopięcy uśmiech sprawiały, że nie dało się określić jego wieku. Ale jego oczy przywodziły na myśl oczy starego człowieka. Była w nich mądrość, jaką dają zwykle ciężkie doświadczenia. Z opuszczonymi powiekami wyglądał niemal jak anioł.

- W porządku. Zatrzymaj sobie swoją tajemnicę - powiedziała cicho. - Kocham cię.

Teraz, w ciemnej sypialni, mogła bez obaw zdradzić swój sekret.

Rozdział 21

Kiedy Alec się obudził, Sydney leżała wtulona w niego, naga jak ją Pan Bóg stworzył. Przez zasłony przebijała smuga światła. Alec zorientował się, że jest już późny ranek. I nagle z przerażającą jasnością przypomniał sobie wszystko, co zaszło poprzedniego wieczoru.

Skronie zaczęły mu pulsować w przypiływie paniki. Zaszło mu w ustach. Uderzenie adrenaliny sprawiło, że poczuł się jak na haju.

Nie pozwolę, żebyś nas skrzywdził jeszcze raz... przypomniał sobie ostrzeżenie Conora.

Niestety, Sydney nie miała żadnego Conora, który by ją przed nim obronił.

Alec pamiętał, jak postanowił się upić; po prostu wszedł do baru i wypił kilka drinków, jeden po drugim. Sprawiało mu nawet przyjemność, że się tak pograża. Wzniósł toast za Eddy'ego. To dla ciebie, gnoju Raz czy drugi uniósł szklaneczkę w intencji Trávisa, choć nie wiedział, czego mu życzyć.

Ale wciąż nie mógł przestać myśleć o Conorze. Wydarzenia wieczoru migwały mu przed oczami jak film w zwolnionym tempie. Conor zaciskający zęby, żeby się nie rozpląkać, Cherish z dzieckiem na rękę... śpiący na kanapie Christopher... wszyscy tacy odlegli.

Kiedy alkohol nie pomógł, przyjechał tutaj. Do Sydney. Kochał się z nią. Po pijanemu.

Nie, stary, byłeś zupełnie trzeźwy.

Co tylko pogarszało sprawę.

Ponętnie naga Sydney, śpiąca w jego ramionach, przysunęła się bliżej, jakby coś przeczuwała. Poczuł, że jej ciepły tyłeczek przyciska się do jego brzucha, i jego ciało zareagowało natychmiast. Leżał zupełnie nieruchomo, usiłując złapać oddech.

Musiał się zastanowić. Musiał wymyślić coś sensownego, co mógłby jej powiedzieć, kiedy się obudzi.

Słuchaj, Syd, przykro mi, że pozwoliłem sobie na zbyt wiele... znowu. To dlatego, że czułem się tak okropnie, jakbym nie miał nikogo na świecie. Wtedy przypomniałem sobie ciebie i przyszedłem tutaj... poczułem się tak dobrze, całując cię, trzymając w ramionach...

O Boże. Równie dobrze mógł od razu dać jej do ręki nabity pistolet.

Tak delikatnie, jak tylko zdołał, wysliznął się z łóżka, próbując jej nie obudzić. Rozejrzał się po sypialni w poszukiwaniu slipków i przypomniał sobie, że przecież rozebrali się w salonie. Dopiero potem wylądowali tutaj i rozegrali kolejną rundę.

Od strony łóżka dobiegło go głębokie westchnienie. Odwrócił się i zobaczył, że Sydney przekręciła się na dragi bok. Leżała teraz twarzą do niego. Ramię na prześcieradle, na twarzy smuga światła... Kwiecista narzuta udrapowała się wokół jej nóg jak na jakimś renesansowym obrazie. Z zaróżowionymi policzkami i rozchyłonymi wargami wyglądała jak anioł.

Otworzyła oczy i posłała Alecowi zaspany uśmiech.

- Dzień dobry.

Była tak niesamowicie piękna, że słowa utknęły mu w gardle. Pomyślał o Conorze i jego ostrzeżeniu. Wykorzystywał ludzi. I ostatniej nocy wykorzystał Sydney. Było to równie oczywiste, jak to, że będzie się kiedyś smażył w piekle.

Sydney uniosła się na łokciach i zmarszczyła czoło.

- Alec?

- Taaak, mała. Właśnie chciałem pozbierać swoje rzeczy... - Machnął niepewnie ręką w kierunku salonu. Poszedł po swoje gatki i wrócił z nimi do sypialni. - Jestem trochę spóźniony, mam coś do załatwienia w mieście - powiedział, używając tej samej kiepskiej wymówki, którą wcisnął Travisowi poprzedniego dnia.

Sydney zamknęła oczy z taką miną, jakby nagle dostała migreny. Potrząsnęła głową, jej rade włosy opadły na jedno ramię. Kiedy usiadła na łóżku, prześcieradło opadło jej na biodra, odsłaniając niesamowite piersi.

- O mój Boże - powiedziała. Jej słowa był niewiele głośniejsze od szeptu. - Ty szczurze.

Sięgnęła za plecy i złapała poduszkę. Rzuciła nią w Aleca, trafiając go prosto w twarz.

- Nie wierzę, że mogłam być tak naiwna... i że ty jesteś aż takim gnojkiem! Nie do wiary. - Złapała kolejną poduszkę i rzuciła w ślad za pierwszą. - Nie płacz za mną, Argentyno, część druga!

- Daj spokój, Syd. To nie tak...

- Aaaa! - Wrzasnęła, zatykając uszy. Rzuciła się plecami na łóżko i zaczęła bić piętami w materac. - Po prostu nie wierzę, że mogłam być aż tak głupia!

Na widok Sydney, nagiej, wierzgającej nogami i zatykającej uszy, Alec poczuł, że jego strach odrobinę zelżał. Ku własnemu zdziwieniu, podszedł powoli do łóżka.

- Spokojnie, nie ma powodu do paniki. - Pomyślał, że może jednak sobie poradzi, przecież nie z takich tarapatów wychodził cało. Nawet szczerak może mieć lepszy dzień. Jeśli się skoncentruje, jeśli naprawdę dobrze przemyśli każdy następny krok, to może zdoła załatwić tę sprawę jak trzeba. W końcu to była Sydney. Znała na pamięć wszystkie jego kłamstwa i sztuczki. Ucieczka tylko pogorszyłaby sytuację.

Przysiadł na brzegu materaca i poklepał ją po ręce.

- Może to nie jest takie najgorsze, co? W końcu to tylko stary, dobry Alec, który zawsze wszystko spieprzy...

Wymierzyła mu głośny policzek.

- Nie pozwolę ci obrócić tego w żart - powiedziała.

- Słusznie. Więc pogadajmy poważnie. A szczególnie poważnie podejźmy do sprawy antykoncepcji, czy też może raczej jej braku.

Powinien postąpić odpowiedzialnie, tak? To o to wszystkim chodziło: o przyjęcie na siebie odpowiedzialności. Musiał stawić czoło konsekwencjom, tak, jak chciała tego Cherish.

Cholera, że też mogłem zrobić Syd coś takiego.

- Chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stanie, będę przy tobie...

- Och, zamknij się, Alec. - Sydney nakryła głowę prześcieradłem.

- Nie zajdę w ciążę.

W duszy Aleca nagle doszły do głosu pewne bardzo interesujące uczucia. Naprawdę poczuł się zbity z tropu. Siedział tutaj, usiłując udawać szlachetnego rycerza, aż tu nagle... coś zupełnie zaskakującego. Wprost nie mógł uwierzyć, że przyszło mu to do głowy. Wszystko inne stało się nagle mało ważne; nagle zaczęła się liczyć tylko ta jedna sprawa.

Gdyby Sydney była w ciąży, wytworzyłaby się między nimi więź, niezależnie od wszystkiego, co Alec zrobił w przeszłości. I choć był ostatnim gnojkiem, dostrzegł jasną stronę takiego rozwiązania.

Ale Sydney nie była w ciąży. I mogła być tylko jedna przyczyna.

- Bo bierzesz pigułki, tak? - Ściągnął prześcieradło z jej twarzy i spojrzał na nią z nieprzyjemnym uśmiechem. - Dla Głupola, twojego narzeczonego, który przeminął z wiatrem?

Sydney spojrzała na niego zdezorientowana.

- Czy chodzi o tego samego człowieka, o którym mówiłeś mi wczoraj, że jest dla mnie taki idealny?

- Po prostu nie rozumiem, jak to działa, Syd. Skąd wiesz, że nie jesteś w ciąży, masz kryształową kulę? Bo ja nie pamiętam, żebyśmy wczoraj zatrzymali się choć na chwilę i pomyśleli o jakichkolwiek środkach zapobiegawczych.

Gdyby miał z nią dziecko, mogłaby go nawet zniechęcić, ale nie usunęłaby go całkowicie ze swojego życia. Nie Sydney. Niezależnie od wszystkiego chciałyby, żeby jej dziecko miało ojca. Ale z jej słów wynikało jasno, że to niemożliwe. A Alec chciał dokładnie wiedzieć, dlaczego.

- Na pewno zgadłem, bierzesz pigułki, tak? Oczywiście, na pewno sypiałaś z tym facetem. Przecież miałaś za niego wyjść. - No i proszę, sam w końcu znalazł odpowiedź. Każde kolejne zdanie wynikało logicznie z poprzedniego. Krok po kroku, jak przy sprawdzaniu samolotu przed startem. Sprawdzić stery pionowe, stery poziome...

Ale nagle cała logika jego rozumowania zniknęła. Znieruchomiał na moment; za to w jego głowie wszystko kotłowało się bez żadnego sensu.

- No cóż, wspomnienie tamtej niezapomnianej nocy w Argentynie nic dla ciebie nie znaczyło. I nie zaprzeczaj, że była niezapomniana, bo dziś znów udowodniłem, że seks ze mną jest niepowtarzalny. Ale oczywiście to ci w niczym nie przeszkodziło sypiać z kimś innym!

- Nie biorę żadnych pigułek - powiedziała cicho. - Nie zaszłam w ciążę, bo to nie jest odpowiedni moment. Lada dzień spodziewam się miesiączki. A poza tym, jakim prawem się na mnie wściekasz? - Zaczęła mówić podniesionym głosem, dopasowując się do tonu Aleca. Uklękła na materacu. - Złości cię, że po tamtej historii chciałam sobie ułożyć życie? A co, nie wolno mi było? Miałam się zadowolić wspomnieniami?

- Oczywiście, że tak. Ja się zadowolilem.

Oślupiała, słysząc jego słowa. Alec zaszokował nawet sam siebie. A wcale jeszcze nie skończył.

- Sypiałaś z nim?

Stał nieruchomo, czekając na odpowiedź.

- Zawsze musisz wygrywać. - Pokręciła głową. Alec nie potrafił określić, czy to było zaprzeczenie, czy po prostu objaw zniecierpliwienia.

W końcu odpowiedziała:

- Nie, Alec. Nie sypiałam z Jackiem.

Usiadł z powrotem na łóżku. W duchu podsumował szybko to wszystko, co się przed chwilą stało. Ale tym razem spojrzał na sprawę z zewnątrz, analizując krok po kroku, w jaki sposób doszli do tej sytuacji. Sydney najwidoczniej myślała, że on prowadzi jakąś grę i że usiłuje za wszelką cenę wygrać. Ostatnio wiele osób tak o mnie myśli.

- Wiesz co, Syd, pewnie sobie pomyślisz, że to śmieszne. Naprawdę, uśmiejesz się do łez - powiedział, choć zdawał sobie sprawę, że wyraz jego twarzy kompletnie przeczy słowom. - Kiedy czekałem na twoją odpowiedź, zupełnie nie mogłem złapać oddechu. Jakby w pokoju zabrakło tlenu. Ale kiedy powiedziałaś „nie”, znów mogłem oddychać. Oparł się plecami o zagłówek. Miał o wiele więcej do powiedzenia, ale chciał to wyrazić właściwie. Chciał, żeby go dobrze rozumiała.

- Widzisz, w głębi duszy zawsze byłem przekonany, że coś między nami jest. Oczywiście, ty byłaś zaręczona z tym gościem i uwierz, nie było mi łatwo. Ale do dzisiejszej nocy, kiedy się kochaliśmy, ta cała historia z Jacksonem była dla mnie czysto teoretycznym zagadnieniem. To było jak pytanie na egzaminie, przed uzyskaniem licencji pilota. „Co robisz najpierw, kiedy zgaśnie silnik: a) sprawdzasz poziom paliwa, b) sprawdzasz wysokość c) odmawiasz paciorek i żegnasz się z życiem”.

Spojrzał na nią i przekonał się, że rozumiała, o co mu chodzi.

- Ale dopóki coś takiego cię nie spotka, nic dla ciebie nie znaczy. To tylko ćwiczenie na papierze, które ma cię przygotować do rzeczywistej sytuacji. Ale teraz jest tak, jakby silnik naprawdę zgasł. Rozumiesz mnie, Syd?

Przysunęła się do niego.

- Och, Alec, chcesz mi zabrać wszystko, co? Ciało i duszę. Tym razem, kiedy odejdziesz, nie zostanie mi nic.

Odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

- Nigdzie nie idę. Tylko przestań mnie wyrzucać, dobra?

Oparła głowę o jego ramię. Kiedy objęła go w pasie, zamknęła oczy i przytulił ją do siebie, starając się zapamiętać tę chwilę jak

najdokładniej. Zapach włosów, ciepło bijące od jej ciała... chłód prześcieradeł na skórze. Pocałował ją w czubek głowy.

Pomyślał, że chyba nigdy nie był taki szczęśliwy. Może nie byłoby to takie najgorsze, gdyby z nią został. A może chodziło tylko o kontrast, tak jak rozgrzane ciało i chłodna pościel. Wczorajszy wieczór był piekłem, a teraz to...

Z całego serca zapragnął, by ta chwila trwała wiecznie.

Po kilku minutach zaczął się śmiać.

- Co znowu? - zapytała Sydney podejrzliwie.

Pocałował ją mocno w usta. Potrząsnął z uśmiechem głową i sturlał się z łóżka. Ruszył do drzwi.

- Nic. - Roześmiał się znowu. Nie mógł się jednak powstrzymać, powiedział więc: - To ciekawa sprawa, z tobą i Zakutą Pałą. Czyżbyście chcieli poczekać do nocy poślubnej?

- Coś w tym rodzaju. Skinął głową.

- A może po prostu uznałaś, że po mnie nawet nie warto próbować?

- Nie mogę cię zabić - powiedziała. - Ale mogę cię zranić. Bardzo boleśnie.

Alec poszedł do pokoju obok i pozbierał swoje rzeczy. Założył spodnie

i wciągnął podkoszulkę. Czuł się fatalnie. Jak ostatnia szuja. Biedna Syd.

Nucąc pod nosem jakąś starą piosenkę Sinatry, skończył się ubierać.

- Na litość boską, Alec. Ależ z ciebie strojniś.

Odwrócił się. Sydney stała w drzwiach, ubrana w szlafrok, obejmując się ramionami, jakby jej było zimno. Ale uśmiechała się. Alec usiadł na kanapie, by założyć buty.

- No dobra, przyślę ci kogoś do ochrony. - Wstał i odegrał małe przedstawienie, udając, że ogląda mieszkanie, sprawdza każde okno i wszystkie drzwi. Tak naprawdę miał całe mieszkanie w pamięci. - Zainstaluj tu jakiś przyzwoity alarm. Po południu wprowadzisz mnie w sytuację, chcę wiedzieć, co się dzieje. No, to jesteśmy umówieni.

Sydney nic nie powiedziała. Cóż mogła powiedzieć? Wszystko było załatwione, jakby podpisała z nim kontrakt. Alec 007 znów na posterunku.

Może i Conman miał rację, mówiąc, że Alec jest gnojkiem, który wykorzystuje wszystkich dookoła. Ale nauczył się też w życiu paru rzeczy. I zamierzał wykorzystać całą swoją wiedzę, żeby Sydney pozostała cała i zdrowa.

Kiedy był już w drzwiach, zatrzymał się. Przeszedł z powrotem przez salon i wziął ją w ramiona, jak żołnierz żegnający swoją dziewczynę przed wyruszeniem na wojnę. Pocałował ją tak, by wiedziała, że jeszcze z nią nie skończył.

- Zadzwoń - powiedział. - Może przyniosę parę gratów.

Kiedy był już za drzwiami, na ulicy, wołał nie zastanawiać się zbyt dokładnie nad swoimi uczuciami. Wiedział, że to nie potrwa długo. Bomba zegarowa w jego głowie chwilowo była nieszkodliwa - dopóki Syd nie dowie się, jakim Alec jest draniem. A on miał zamiar cieszyć się każdą sekundą, która dzieliła go od wybuchu.

Pogwizdując, otworzył drzwiczki i wskoczył do chevroleta. Wyłowił z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer z książki telefonicznej.

- Hej, Steve, tu Alec. Pamiętasz tę robotę, o której ci mówiłem? No więc jest aktualna.

Podał Steve'owi adres i w skrócie wprowadził go w sytuację Sydney. Steve był chłopakiem, który miał jakieś pojęcie o robocie ochroniarza.

- Tylko jej powiedz, że to ja cię przysłałem. Aha, Steve, zostawiłem tam parę rzeczy. Rozpoznasz moje zabawki. - Tamtej nocy, kiedy świsnął majteczki, założył w skromnym mieszkanku Sydney parę pluskiew. To właśnie był główny powód jego włamania. - I nie wciskaj mi tu żadnych bredni o etyce zawodowej, bo dobrze wiesz, że nie znam czegoś takiego. Ta dama jest... kimś wyjątkowym. Jestem twoim dłużnikiem, stary. Dzięki.

Rozłączył się.

Przysłowie mówi, że najciemniej jest zawsze przed świtem.

No cóż, dla Aleca właśnie zaczęło świtać.

Rozdział 22

Tydzień po tym, jak Rocky uwiodła Jacka, musiała przyznać, że zrobił się naprawdę niezdolny.

Te spojrzenia, które jej rzucał, mijając ją w korytarzu czy w galerii, albo na zebraniach. Wpijał się w jej oczy jak jakiś marny hipnotyzer i nie popuszczał. Czasami miała przez to ochotę zerwać się na równe nogi i wrzasnąć, ile sił w płucach. Zrobić mu scenę. Zawstydić go tak, żeby się nie pozbierał.

Nie miał prawa tak się zachowywać. Przecież to, co między nimi zaszło, nic dla niego nie znaczyło. Zobaczyła to wyraźnie na jego twarzy tamtego wieczoru, kiedy Sydney sobie poszła. Wyraz jego twarzy podziałał na nią jak antidotum na zauroczenie. Obudź się, dziewczyno. Grzejesz jej tylko miejsce.

Tamtego wieczoru, kiedy poszła do Jacka, myślała, że cokolwiek się stanie, ona to wytrzyma. Nie miała żadnych złudzeń. Tylko seks. Oboje byli dorośli, a on nie robił jej żadnej łaski.

Pomyśleć tylko, że naprawdę była o tym przekonana. Zabawne, co ludzie potrafią sobie wmówić, jak doskonale potrafią sami się oszukiwać.

Po wyjściu Sydney, Rocky zrobiła z siebie żalostną idiotkę. Niemal błagała go o uczucie. A Jack miał na tyle tupetu, żeby robić jej wymówki z powodu kilku głupich kłamstw. Pewnie do tej pory czekał na przeprosiny.

Myślenie o nim sprawiało jej tyle bólu, że zastanawiała się, jakim cudem to jej obolałe serce jeszcze bije.

Gapiała się na umowy porozkładane na biurku. Dostała je do zatwierdzenia dwa dni temu, a nie dotarła nawet do trzeciego paragrafu. Przez jej głowę przewijało się zbyt wiele naiwnych scenek, które nie pozwalały jej się skupić. Na przykład taka: Sydney stoi w progu, rzucając Jackowi swoje najbardziej seksowne spojrzenie. Ale w tej wersji Jack nie wychodzi na zewnątrz i nie zamyka za sobą drzwi.

- Sydney, nie wiem, jak ci to powiedzieć... Zdałem sobie właśnie sprawę, że to nie ciebie cały czas kochałem...

Rocky oparła czoło na rękach i jęknęła.

- Jestem beznadziejnym przypadkiem.

Odsunęła krzesło od biurka i wstała. Pomyślała, że lepiej spakować manatki i skończyć na dzisiaj pracę - zanim zaczną bazgrać

„Kocham Jacka" na brzegach dokumentów. I tak już wszyscy poszli do domu. Czas się stąd ruszyć. Chciała już mieć ten dzień z głowy.

Wczoraj wyszła wcześniej i prawie wpadła na Jacka na parking. Na jego widok złapała pod ramię Weronikę z księgowości i wymięła go jakoś. Wiedziała, że nie będzie chciał rozmawiać z nią przy ludziach. Nie, Jack Bosse był zbyt uczciwy, zbyt doskonały. Nigdy by się nie przyznał, że jak w Melrose Place przespał się z pasierbicą swojej narzeczonej.

Dziś przeszedł koło jej gabinetu chyba z pięć razy, wymyślając sobie różne głupie wymówki. Pięć razy. Tyle czasu zajęło mu, zanim wszedł wreszcie za jej przepierzenie i zapytał, czy ma kilka minut, bo chciałby z nią coś omówić w swoim gabinecie.

- Przykro mi, Jack, jestem zajęta - odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała.

Bardzo zajęta. Przez najbliższe dwadzieścia lat, stary.

Kiedy się kochali, było jak w bajce. Zaczarowany książę obudził się do życia.

Jack odczekał całe dwadzieścia cztery godziny, zanim wyrzuty sumienia kazały mu w końcu zadzwonić. Rocky była naprawdę zaskoczona, że trwało to tak długo. Mogła sobie wyobrazić, co mu się tłukło po głowie. O Boże. Przespałem się z Rocky! Z dziewczyną! Na pewno był spanikowany.

Wiadomości, które jej zostawiał na sekretarce, były dość żałosne. „Zadzwoń do mnie... Musimy porozmawiać, zadzwoń... Wiem, że tam jesteś. Odbierz".

„Zadzwoń do mnie. Proszę".

Jego upór nie poprawiał ani trochę jej samopoczucia. Zawsze wiedziała, że Jack usiłował postępować „właściwie". Mały katolicki chłopiec, który w nim siedział, nie potrafił się powstrzymać. Jack należał do tych facetów, co to nie poszliby do łóżka z kobietą, gdyby podejrzewali, że jest, nie daj Boże, pijana. Nie sypiał nawet z Sydney i Rocky domyślała się, czyj to mógł być pomysł. Jaki facet zareczy się z kobietą która nie chce z nim iść do łóżka? Ż - a - ł - o - s - n - e.

Idąc na parking, pomyślała, że może powinna przestać przychodzić do pracy. Mogła wymyślić jakąś wymówkę. Pomachać białą flagą i zejść z pola walki. Widywanie go było dla niej coraz bardziej bolesne.

Dziesięć minut później wyjechała na ulicę i skręciła w stronę domu. Coraz trudniej było jej ignorować jego wiadomości, ale wiedziała, że jakoś wytrzyma. Opracowała sobie schemat i trzymała się go. Pracowała do późna, wracała do domu i była zbyt zmęczona na cokolwiek. Nalewała sobie kieliszek wina i oglądała na wideo jakiś film, w którym dziewczyna zdobywa w końcu swojego mężczyznę.

Najlepsze było, kiedy zaczynała ronić łzy do kieliszka. Większość tych filmów właśnie po to była kręcona. Żeby człowiek mógł sobie zdrowo popłakać nad utraconą miłością.

Martwiła się, czy nie jest w ciąży, więc rano łykała multiwitaminę i popijała ją szklanką mleka. Wiedziała, że to niewiele pomoże; przez cały dzień i tak jadła tylko słodczyce, wlewała w siebie kawę i alkohol. Kiedy poszła do niego, zupełnie o tym nie pomyślała... nawet nie policzyła, który to dzień cyklu.

Przez cały zeszły tydzień żyła jak na jakiejś szalonej kolejce górskiej. Telefon od ojca poprzedniego wieczoru jeszcze pogorszył jej samopoczucie.

- Dowiesz się tego dla mnie, skarbie? - zapytał. Między wierszami można było wyczytać niezbyt subtelny podtekst: Będiesz dla mnie szpiegować?

Zadzwoił, bo chciał wiedzieć, czy Sydney bierze jakieś lekarstwa. To pytanie zaskoczyło Rocky. Skąd mam to wiedzieć i dlaczego cię to obchodzi? To było zupełnie nieoczekiwane.

Ale ojciec twierdził, że Sydney zadzwoniła do jego biura i mówiła jak „osoba nieźrównoważona”. Biorąc pod uwagę tę „plagę kłopotów”, jak to nazwał, i zerwane zaręczyny, zastanawiał się, czy stres nie zaczyna zbytnio dawać jej się we znaki. Sugerował, że on i Rocky mogliby w jakiś sposób zainterweniować. Pomóc jej.

- Jeśli się martwisz, Tatusiu, że jest taka bliska załamania, to zostaw ją w spokoju, do diabła. - powiedziała. Nie była to najlepsza taktyka w rozmowach z ojcem. Nie powinna mu bez przerwy wypominać, że to on jest złym duchem, który nęka Sydney.

Ojciec był zdania, że nie można go obwiniać za decyzję rządu, który postanowił zeznać odszkodowanie z Sydney. Wręcz odwrotnie, dzięki niemu mogła wszystko ocalić. W końcu sama podjęła decyzję, by odrzucić jego ofertę.

- Teraz oczywiście jest już za późno. Nie potrafię uratować Centrum Sztuki. Nie po tym, jak w zeszłym tygodniu rząd złożył

wniosek o zajęcie majątku - wyjaśnił. - Ale nie opuszczę Sydney. Chcę jej tylko pomóc, Rocky.

Komu wierzyć? Komu zaufać?

Rocky powinna była wiedzieć, że prędzej czy później musi dojść do konfrontacji. A już na pewno powinna była przewidzieć następny ruch Jacka.

Zupełnie ją jednak zaskoczył.

Wdepnęła hamulce dosłownie w ostatniej chwili. Samochód zatrzymał się gwałtownie zaledwie kilka centymetrów od nóg Jacka.

Rocky poczuła, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Nie wiedziała, czy to strach, czy radość; a może jedno i drugie?

Miał okulary przeciwsłoneczne, więc nie widziała jego oczu. Ubrany był w garnitur europejskiego kroju, jasnobłękitną koszulę i krawat. Wiedziała, że gdyby nie zasłonił swoich błękitnych oczu, efekt byłby oszałamiający, ale jakoś nie miała ochoty w nie patrzeć.

W wieku dwudziestu trzech lat Rocky za swoje największe osiągnięcie uważała fakt, że nie stała się kopią własnej matki. Seks nie stanowił dla niej żadnej pokusy, pod tym względem nie mogła się nawet porównywać z mamusią i jej bogatym doświadczeniem. Nie spodziewała, że Jack może w niej wzbudzać takie uczucia.

Seks z Jackiem dorównywał wszystkim jej wyobrażeniom na ten temat. A nawet o całe niebo je przewyższał.

Opuściła szybę. Jack schylił się i zajrzał do środka.

- O mało cię nie przejechałam - powiedziała z kwaśnym uśmiechem.

- Masz całkiem niezły refleks.

Był tak cholernie seksowny, że Rocky aż westchnęła.

- Jak to zrobiłeś? Wyśledziłeś, jaką trasą jeżdżę do domu?

- Może po prostu miałem szczęście. Taaak, akurat.

- Czego chcesz?

- Pomyślałem, że skoro zachowujesz się tak dziecinnie, muszę zniżyć się do twojego poziomu.

- Przykro mi, że ja, biedna sierotka, tak ci się okropnie narzucałam, Jackson. Ale czy musimy to przerabiać jeszcze raz? - zapytała słodkim głosem.

Odwrócił głowę, wyraźnie niezadowolony z tego, w jakim świetle przedstawiła ich wspólną noc.

- Dlaczego musisz wszystko utrudniać?

Wpatrywała się w deskę rozdzielczą, przyznając w głębi duszy, że Jack ma rację. A jednocześnie pragnęła, żeby dał jej po prostu spokój. Chcę jechać do domu. Napić się wina i pooglądać filmy. Przeżyć cudzy happy end.

Ale Jack nie odchodził. Zdjął tylko okulary i czekał. Obserwował.

Rocky powtarzała sobie w duchu, że jej decyzja nie ma nic wspólnego z tymi pięknymi, niebieskimi oczami.

Otworzyła drzwi od strony pasażera.

Zaledwie zatrzaskał drzwi, ruszyła z piskiem, wciskając gaz do dechy. Widziała, że zaparł się ramionami o tapicerkę i oparcie, by utrzymać się na siedzeniu.

- To miało na mnie zrobić wrażenie? - zapytał.

- Och, przestałam próbować robić na tobie wrażenie jakieś... - udawała, że liczy po cichu - sześć dni temu? - Skręciła ostro na najbliższym rogu, wjeżdżając jednym kołem na chodnik.

- Zachowujesz się jak zupełna gówniara.

- Szkoda, że ty się nie zachowujesz jak dorosły, staruszk - odgryzła się.

Jack złapał kierownicę i wdepnął hamulec. Nie przeszkadzała mu, pozwoliła zaparkować na brzegu jezdni. Wyrwał kluczyki ze stacyjki.

- Myślisz, że jesteś pierwszą kobietą, która leci na moją forszę? - zapytał. - Myślisz, że nie miałem w swoim życiu paru ciekawych propozycji?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Jack. Sądziłam, że jesteś raczej sflukany, skoro polujesz na bogate, stare torby.

Odwrócił ją twarzą do siebie.

- I mam niby uwierzyć, że tak po prostu nie mogłaś mi się oprzeć?

- Świetnie. Najpierw byłam niezrównoważoną intrygantką, gotową pójść z tobą do łóżka tylko po to, żeby wbić Sydney nóż w plecy. Teraz twierdzisz, że pieprzyłam się z tobą dla pieniędzy? Jakież to pokrzepiające.

- Chcesz mi wmówić, że to miłość?

Rocky zastanowiła się, jakie ma w tej chwili możliwości. Mogła mu powiedzieć tu i teraz, że sama nie ma pojęcia, co czuje. Że kiedy stanęła na jego progu, gubiła się w wątpliwościach. Że w jej życiu po raz pierwszy działo się coś wyjątkowego, a ona bała się to przegapić.

Że kiedy się z nim kochała, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się bezpieczna.

Jak wszystko inne w jej życiu, i to okazało się iluzją.

Komu zaufać?

- No cóż - powiedział. - Poznają po twojej minie, że jestem na właściwym tropie. - Potrząsnął głową. - Rocky, ja nie wiem, co robić. To zupełne szaleństwo. Kilka dni temu... możliwe, że coś między nami zaiskrzyło. Nieważne, w jaki sposób do tego doszło, ale może powinniśmy się temu przyjrzeć bliżej. Może nie chcę, żeby to się tak skończyło. Mam mętlik w głowie. Czy mogłabyś mi to choć odrobinę ułatwić?

- Mam świetny pomysł - powiedziała, wpatrując się w niego. Jeśli nie mrugnę, nie rozplaczę się. - Zbierzemy do kupy te wszystkie twoje „może” i wpadniemy do Sydney. Obgadamy sobie wszystko we trójkę. Co ty na to, Jack? Czyż ja nie jestem genialna?

Rzuciła mu promienny uśmiech, by nie dać po sobie poznać, jak bliska jest płaczu. Nie miała zamiaru być dziewczyną numer dwa.

- I co, ułatwiłam ci cokolwiek?

Jack wpatrywał się przed siebie z zaciśniętymi ustami, nie mówiąc nic.

- Potrafisz nieźle gadać - powiedziała, kiedy uznała, że głos nie odmówi jej posłuszeństwa - ale założę się, że prędzej wysiądziesz z tego samochodu, niż zdecydujesz się powiedzieć o wszystkim Sydney. Jeszcze nie zrezygnowałeś ze swojej księżniczki, Jack. Nie wmówisz mi, że już zacząłeś sobie szukać zastępstwa.

Wyjęła mu kluczyki z dłoni i zapaliła samochód. Nie wrzucając biegu, ryknęła głośno silnikiem.

- Ostatnia szansa - powiedziała.

Po długiej chwili Jack otworzył drzwiczki i wysiadł. Rocky odjechała z piskiem opon. Serce jej krwawiło.

- Ty mały gnojku - powiedziała, patrząc na niego we wstecznym lusterku. - Ty cholerny* tchórze.

Wiedziała, że tak będzie. Po prostu wiedziała.

Sydney zawsze była przekonana, że w życiu przychodzą takie chwile, kiedy bogowie w niebiosach decydują: Już czas. Człowiek kręci się jak głupi, uwięziony w błędnym kole wydarzeń, i nagle wszystko naraz zwała mu się na głowę. Nie ma czasu się na to

przygotować, nie ma czasu nawet złapać oddechu. Nie ma pojęcia, czy to już koniec, czy dopiero początek.

To właśnie stało się teraz. Kiedy zjawił się Alec.

Zeszłej nocy wkradł się w jej życie jak złodziej. Sydney nie potrafiła się bronić przed uczuciami, które tak niespodziewanie przed nią odsonił. Mogła tylko bezwolnie zaakceptować to, co nieuniknione - poddać się działaniu potężnych sił, które otaczały Aleca i przyciągały ją do niego z nieodpartą siłą.

Kiedy wyszedł, przez większość dnia czekała na telefon. Wpatrywała się jak głupia w aparat, zaklinając go niemal, by zadzwonił. Po wielu tygodniach planowania jej pierwsza skuteczna broń przeciwko Russellowi wydawała się niemal w zasięgu ręki.

Już niedaleko... już prawie po wszystkim.

Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, była przekonana, że to Alec. Jednak ku swojemu ogromnemu zdziwieniu za drzwiami zobaczyła nie jego, a Rocky. Na dodatek całą we łzach.

- Hej. - Sydney odruchowo objęła dziewczynę i wprowadziła ją do środka. Te niespodziewane odwiedziny wydały jej się dość dziwne. Nie pamiętała, kiedy ostatnio Rocky pozwoliła jej się pocieszać.

- Co się stało? - zapytała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. Ta sytuacja zupełnie ją zaskoczyła. Tak jak wczoraj Alec.

Zaprowadziła Rocky na kanapę. Dziewczyna nie mogła złapać oddechu; szlochała rozdzierająco, co zupełnie do niej nie pasowało.

Sydney знаła Rocky i jej siostry od wielu lat. Afrodyta, najstarsza, wyrażała emocje z łatwością; Carmela uczyniła z płaczu sztukę, a specjalnością Rocky były złośliwe ataki, jakby myślała, że jeśli odepchnie wszystkich wystarczająco daleko, nikt nie odkryje jej słabości.

Instykt podpowiadał Sydney, że Rocky pewnie się wstydzi tego wybuchu emocji. Odsunęła się kilka kroków, patrząc, jak jej pasierbica siada powoli na kanapie, jakby zapadała się w siebie. Sydney odwróciła się i poszła do kuchni. Szklanka wody. Chciała dać Rocky chwilę czasu, by dziewczyna mogła się pozbierać.

Był piątkowy wieczór. Zgodnie z obietnicą, Alec podrzucił marynarski worek pełen ubrań i zniknął z tajemniczą miną, prosząc, by Syd nie czekała na niego z kolacją. Sydney spędziła cały dzień, dopracowując szczegóły swojego planu i czekając na telefon od pełnomocnika z Nowego Jorku. Teraz odłożyła papiery na szafkę i

przysiadła na chwilę na niewielkim wbudowanym w ścianę stole kuchennym, zanim wróciła do Rocky ze szklanką wody.

- Nie jestem pewna, czy ci to w czymś pomoże, ale masz - powiedziała, wręczając Rocky szklankę.

- Woda. - Rocky roześmiała się, ale upiła łyk. - Spodziewałam się raczej czegoś mocniejszego. - Zaśmiała się jeszcze raz i czknęła głośno.

W końcu złapała oddech. - Przepraszam. - Uśmiechnęła się słabo do Sydney. - Uwierzysz, jak ci powiem, że byłam w okolicy?

Sydney usiadła obok niej na kanapie. Był czas, kiedy myślała, że mogłaby zastąpić Rocky matkę, a przynajmniej zostać jej powiernicą. Wtedy jeszcze była przekonana, że Rocky to jej jedyna szansa, by doświadczyć macierzyństwa, stworzyć rodzinę.

Oczywiście nic z tego nie wyszło. Wręcz przeciwnie. Okazało się, że wychodząc za Russella, odebrała dziewczynie „Tatusia”. Od tamtej pory Rocky trzymała ją na dystans.

Odgarnęła jej włosy z twarzy gestem, który obie doskonale pamiętały. Rocky złapała ją za rękę.

- Dawniej to często robiłaś - powiedziała. Sydney skinęła głową.

- Zawsze podobały mi się twoje włosy. Uwielbiałam je czesać. Rocky znowu się roześmiała.

- Kiedy ci pozwalałam.

Sydney zawtórowała jej, przypominając sobie tamte czasy.

- Dawno temu, kiedy nie byłam jeszcze Potworą. Dziewczyna skrzywiła się.

- Jack ci powiedział?

Sydney zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co to miało znaczyć.

- Nie. Afrodyta.

- Ach, tak. - Rocky wyglądała na zakłopotaną. - Przecież się przyjaźnicie.

Rzeczywiście, Sydney zawsze utrzymywała kontakty z wszystkimi trzema córkami Carli, choć tylko Rocky mieszkała przez krótki czas z nią i z Russellem. Były to tylko jedne wakacje, kiedy już była w college'u. Sydney przypominała sobie, że dziewczyna robiła przez te trzy miesiące wszystko, by zamienić jej życie w piekło. Sydney nieźle się bawiła, obserwując jej wysiłki.

Zawsze myślała, że Rocky nie lubi jej z powodu uwagi, jaką poświęcał jej Russell. Były po prostu dwiema kobietami, rywalizującymi o tego samego mężczyznę. Ale w ciągu ostatniego roku zaczęła postrzegać zachowanie pasierbicy w zupełnie innym świetle.

W trakcie trwania małżeństwa z Russellem Sydney była zbyt słaba, zbyt bezradna, pozwalała mu sobą manipulować. Mogła tylko zgadywać, co czuła Rocky, obserwując to wszystko - Rocky, jedyna kobieta poza Sydney, którą Russell poniżał i wykorzystywał.

Nic dziwnego, że ją znienawidziła.

- Co się stało? - zapytała Sydney, zastanawiając się, co Russell wymyślił tym razem. Kiedyś powiedziała Jackowi, że ona i Rocky należą do elitarnego klubu: kobiet, które przetrwały Russella Recka. Teraz przychodził jej do głowy tylko jeden powód tych nagłych odwiedzin. Rocky szukała pocieszenia u towarzyszki niedoli. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Facet. A cóżby innego?

Sydney próbowała ukryć zaskoczenie. Rocky widocznie nie zamierzała wdawać się w wyjaśnienia, zaproponowała więc:

- Słuchaj, a może coś zjesz? Właśnie miałam sobie robić kolację. Przyłączysz się?

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała Rocky.

Przeszły do kuchni. Sydney wręczyła Rocky dwie miski i ruchem głowy wskazała jej stół.

Rocky zapatrzyła się na naczynia.

- Jak za dawnych czasów - powiedziała, rozkładając nakrycia. Kiedy na stole były już dwie miski pełne zupy i chrupiące francuskie pieczywo, siadły do kolacji. Rocky z apetytem zabrała się do jedzenia; Sydney nalala im po kieliszku rieslinga.

- Zapomniałam, jaka z ciebie świetna kucharka - powiedziała Rocky.

- O, tak. Świetnie sobie radzę z otwieraczem do puszek. - Roześmiały się obie. Po kilku minutach ciszy Sydney, próbując utrzymać pogodny ton rozmowy, dorzuciła: - Mogę ci udzielić paru lekcji. Mam na myśli otwieranie puszek. Chyba że ciągle jeszcze chcesz zostać supermodelką? Ostatnio strasznie schudłaś.

Rocky o mało nie zakrztusiła się zupą. Spojrzała na kieliszek z winem, jakby zamierzała się napić, ale zmieniła zdanie.

- Czasami zupełnie wylatuje mi z głowy, że powinnam coś zjeść.
- Czyżbyś miała u nas aż tyle roboty?

Zauważyła, że przez cały zeszły tydzień Rocky wyglądała na zupełnie wykończoną. Facet? Sydney zawsze uważała, że jedynym facetem, który mógłby złamać Rocky serce, jest jej własny ojciec.

Dziewczyna bawiła się przez chwilę kieliszkiem, w końcu popatrzyła jej w oczy.

Zaczyna się pomyślała Sydney.

- Wiem, że to dziwne, że tu przyszłam. Ale chciałam tylko...

I znów ta pauza, jakby szukała odpowiednich słów albo zbierała się na odwagę.

- Co się stało, Sydney? - zapytała w końcu. - Chodzi mi o ciebie i o Jacka. Dlaczego zerwaliście?

Sydney już drugi raz tego wieczoru poczuła się kompletnie zaskoczona obrotem spraw.

Myśl, że Rocky mogłaby się naprawdę interesować jej związkiem z Jackiem, wydała jej się dziwna. Szczerze mówiąc, zupełnie nieprawdopodobna. Może jednak nie chodzi o Russella...

- Przepraszam. - Rocky wróciła do swojej zupy, zniechęcona milczeniem Sydney. - Jestem wścibska.

- Nie, nic nie szkodzi. Po prostu mnie zaskoczyłaś, to wszystko. To znaczy... cóż, nie mogę sobie jakoś wyobrazić, że przyszłaś tu rozmawiać o mnie. - Zastanawiała się, jak daleko może się posunąć. - Słuchaj, to widać, że nie jesz i nie sypiasz najlepiej. Coś jest nie tak i cieszę się, że przyszłaś do mnie. - Uznała, że powinna mówić otwarcie. - Ale nie mogę ci pomóc, dopóki mi nie powiesz, o co ci naprawdę chodzi.

Rocky skinęła głową. Wyglądała tak, jakby zbierała się do powiedzenia czegoś ważnego. Kiedy się wreszcie zdecydowała, to nie było zupełnie to, czego spodziewała się Sydney.

- Przespałam się z kimś - oznajmiła w końcu. - To był mój pierwszy raz.

Jej słowa zupełnie zaskoczyły Sydney. Nie miała pojęcia, co ma powiedzieć, jak zareagować. Znów zaczęła się zastanawiać, dlaczego Rocky przyszła do niej z czymś takim. Ale w końcu pomyślała: a dlaczego nie? Dziewczyna nie mogła przecież zadzwonić do swojej matki. A Afrodyta była tak zaabsorbowana dziećmi, że nie potrafiła poświęcić zbyt wiele uwagi nikomu innemu.

- Pierwszy raz może być trudny - powiedziała.

- Wiem, że to trochę dziwne, że czekałam tak długo. Sydney potrząsnęła głową.

- Nie. Tylko trochę mnie to zaskoczyło. - Wcale nie chodziło o Russella. - Zawsze byłaś taka... no, nie wiem. Powiedzmy, że zawsze byłaś dość śmiała.

- On kocha kogoś innego. - Rocky wpatrywała się w swoją zupę, już nawet nie udając, że je. - Wiedziałam o tym. Tylko myślałam... - zmarszczyła czoło. - Sama nie wiem, co myślałam. Poszliśmy do łóżka i było cudownie, i...

- Miałaś nadzieję, że to coś zmieni? - dokończyła za nią Sydney, doskonale wiedząc, co dziewczyna czuje. Nie ty jedna...

Patrzyła na Rocky, która marszczyła czoło, usiłując powstrzymać się od płaczu.

- Zdaje się, że tak.

Rocky odzyskała w końcu panowanie nad sobą i uniosła głowę. Sydney widziała wyraźnie, że jej pasierbica nie powiedziała jeszcze wszystkiego.

Ale Rocky tylko pokręciła głową i odsunęła od siebie miskę.

- Powinam już iść. Sydney wstała razem z nią.

- Rocky, nie idź. Nie uciekaj. Pozwól sobie pomóc. Proszę.

Obie wzdrygnęły się, słysząc dzwonek telefonu. Sydney miała zamiar poczekać, by włączyła się automatyczna sekretarka, ale widocznie wyraz twarzy zdradził jej niepokój, gdyż Rocky powiedziała:

- Lepiej odbierz.

Nie można było chyba wybrać gorszego momentu.

- Wracam za minutkę.

Telefon odebrała w sypialni. Okazało się, że dobrze zrobiła. Dzwonił jej znajomy z Nowego Jorku. Uradowana zanotowała informację i odłożyła słuchawkę, wzdychając z ulgą.

Jutro miała lecieć do Nowego Jorku pierwszym porannym samolotem. Podniosła kawałek papieru, na którym zapisała wiadomość. Nie robiła sobie wielkich nadziei, ale mogło się okazać, że miała już wszystko, co potrzeba, by zakończyć tę historię.

Zatrzymała się w drodze do kuchni i jeszcze raz zerknęła na kartkę. Postanowiła, że nie powie niczego Rocky. To nie byłby najlepszy pomysł. Było oczywiste, co Rocky pomyśli sobie o jej

planach. Będzie przekonana, że ją zdradziła. Znowu. Po jutrzejszej podróży Sydney stanie się prawdopodobnie ostatnią osobą, której Rocky będzie chciała się zwierzać.

Ale kiedy weszła do kuchni, zobaczyła, że jej pasierbica stoi koło kuchenki mikrofalowej i grzebie w lekarstwach, które Sydney trzymała na jednej z szafek.

- Hej, coś ty taka ciekawska? - zapytała żartem.

Ale Rocky zachowywała się tak, jakby nie robiła absolutnie nic złego. Podniosła jedną z buteleczek.

- Na co to wszystko? Xanax? Naldecon? Paxil?

Sydney podeszła bliżej, mówiąc sobie, że nie powinna być taka podejrzliwa. Troska w głosie Rocky była niemal wzruszająca.

- Xanax jest na uspokojenie. Naldecon - uniosła z uśmiechem fiolkę - na moją alergię.

- Po co ci to wszystko?

- Ostatnie lata były dla mnie dość trudne. Najpierw Henry. Potem twój ojciec. - Sydney nigdy się nie wstydziła, że bierze leki. Należała do osób, które nie wahają się szukać pomocy, kiedy jest to konieczne.

Wzruszyła ramionami.

- Miałam napady paniki. I kłopoty z zaśnięciem. Leki mi pomogły.

- Chodzisz do kogoś?

- Masz na myśli psychoterapeutę? Chodziłam przez jakiś czas. Teraz już nie. - Wyjęła z dłoni Rocky buteleczkę Paxilu. - Miałam zamiar to wyrzucić. To antydepresan, przestałam go brać wieki temu. Nie używam już większości tych leków. Czuję się o wiele lepiej. Naprawdę.

- Tak, pewnie. - Rocky odwróciła się gwałtownie, z dziwnym błyskiem w oczach. Potrząsnęła głową i machnęła ręką w stronę lekarstw. - Nie mogę wprost uwierzyć, że przyszłam cię prosić o pomoc. Przecież ty sama jesteś zdrowo walnięta!

Zanim Sydney otrząsnęła się z osłupienia, Rocky ruszyła do drzwi. Sydney pobiegła za nią.

Zatrzymała dziewczynę w progu.

- Rocky, o co ci chodzi? - zapytała zdezorientowana. - Martwisz się, że biorę leki? Sprawdź daty ważności; nic mi nie jest. - Podeszła bliżej, usiłując zrozumieć, co kryje się za tym nagłym wybuchem.

- Rocky, kochanie. Popeliłam w życiu kilka błędów - ciągnęła. - Twój ojciec był chyba największym z nich. Przykro mi to mówić i nie spodziewam się, że to zrozumiesz. Wiem, że go kochasz, i nie chciałabym tego zmieniać. Czasami musimy próbować kochać kogoś, nawet jeśli sprawia nam ból...

- Chyba mówisz o tym drugim facecie - przerwała jej Rocky lodowatym tonem. - O tym pilocie.

Sydney odsunęła się o krok, kompletnie osłupiała. Próbowwała powiedzieć coś, co pomogłoby Rocky przetrwać jej własny kryzys. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, było to, że Rocky wypomni jej Aleca.

Była zaszokowana, że Rocky w ogóle poruszyła ten temat. Zupełnie jakby chciała wytknąć Sydney, że dopuściła się zdrady. I owszem, była to prawda. Ale Sydney zdradziła Jacka, nie Rocky.

Dziewczyna skorzystała z okazji, by przemknąć obok Sydney. Wyszła, zatrzaskując jej drzwi przed nosem.

Sydney oparła się o ścianę, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- O co chodzi, do licha? - zapytała na głos.

Było dziwne, że Rocky tu w ogóle przyszła. Ale sposób, w jaki wyszła...

„Przecież ty sama jesteś zdrowo walnięta”.

W jej głosie brzmiała złość, ale wyraz jej twarzy... wydawała się taka nieszczęśliwa.

Sydney poszła do kuchni i zagapiła się na miski z zupą: namacalny dowód sceny, która się tu przed chwilą rozegrała. Spojrzała na stertę papierów na blacie, przypominając sobie o swoich wątpliwościach.

Już samo to, że Rocky tu przyszła, było jak wołanie o pomoc. Kiedy Sydney sobie to uświadomiła, poczuła się jeszcze gorzej, że pozwoliła jej tak wyjść.

No i ten telefon z Nowego Jorku. Myśl o jutrzejszej podróży jeszcze powiększyła jej niepokój. Może powinna była jednak coś powiedzieć. Powinna była jakoś ostrzec Rocky.

Przygotować ją na najgorsze...

Rocky zapaliła silnik, ale nie zjechała od razu z krawężnika. Ciągle jeszcze miała przed oczami stertę papierów, leżących na kuchennej szafce.

„Apelacja w sprawie ugody z rządem”.

Zjechała na jezdnię. Było dość późno, ulica była raczej pustawa, samochody zaparkowane przy krawężnikach. Okna domów były oświetlone, Rocky wyobrażała sobie rodziny siadające właśnie do kolacji. Normalni ludzie. Normalne życie.

Pojechała do Sydney, bo bała się, że Jack mógłby pojechać za nią do domu, że nie wystraszyła go dość skutecznie swoją groźbą. Ale kiedy Sydney otworzyła drzwi, wszystkie uczucia, które Rocky tłumiała tak długo, wypłynęły na powierzchnię. Sydney wzięła ją w ramiona i Rocky poczuła, że właśnie tego było jej potrzeba.

Przez chwilę było nawet całkiem miło. Jak za dawnych lat. Kiedy Sydney pogłaskała ją po włosach, wróciły wspomnienia lepszych czasów.

A potem zobaczyła te dokumenty. Apelacja...

Sydney planowała coś niedobrego. Coś, co znów mogło zaszkodzić Tatusiowi.

Chyba że Rocky go uprzedzi.

O mały włos

Rozdział 23

Sydney patrzyła na bladego człowieka, który siedział po drugiej stronie bariery z pleksiglasu. Rozmawiała z nim przez słuchawkę.

- Russell pana tu wsadził, panie Kinnard. Nie powie mi pan chyba, że nie chciałby pan odplacić mu pięknym za nadobne.

Joseph Kinnard niewiele się zmienił od czasu, kiedy pracował dla rządu. Przy braku mediolańskich garniturów ucierpiał może nienaganny styl, który zawsze tak pielęgnował, jednak dzięki wojskowej sylwetce Kinnard prezentował się całkiem nieźle, nawet ubrany w przypominający piżamę więzienny kombinezon.

Sydney przyszło do głowy, że tak długo odgrywał rolę upiora, którego wszyscy się boją, że w końcu naprawdę zaczął przypominać straszdyło. Był wysokim mężczyzną z białymi włosami i bezbarwnymi oczami. Teraz, w świetle więziennych lamp wyglądał, jakby pod jego ziemistą skórą w ogóle nie było krwi.

- Proszę mi mówić Joseph. - Słowa, płynące ze słuchawki były jakby niezależne od ruchu jego warg za szybą, jak źle zsynchronizowany dubbing. - Pani Reck...

- Sydney - poprawiła go. - Poza tym wolę nazwisko Shanks.

- Oczywiście. - Pozwolił sobie na słaby uśmiech. - Co też może mi pani mieć do zaoferowania?

- Pogrzebałam trochę w książkach i zdaje mi się, że w ugodzie Russella z rządem jest pewna luka. Ale potrzebuję pańskiej współpracy, by...

Kinnard pokręcił głową, ucinając wywód Sydney.

- Wsadzili mnie tu na wystarczająco długo, dziękuję bardzo. Nie zaryzykuję zwiększenia wyroku, choć towarzystwo Russella sprawiłoby mi ogromną przyjemność. Na próżno przeleciała pani taki kawał drogi.

- Ależ właśnie o to chodzi, Josephie - powiedziała, gotowa wyjaśnić istotę teorii, którą tak pracowicie przestudiowała. - Został pan osądzony i skazany. Zgodnie z literą prawa, jakiegokolwiek zarzuty wynikające z pańskich czynów, powinny być zostać wysunięte podczas procesu. W tej chwili jest pan kryty, nic więcej panu nie zagraża. Jednak sytuacja Russella nie jest tak klarowna.

- Słucham dalej.

- Jest pewien drobiazg, który nazywa się „nieznane okoliczności”, a dotyczy warunków zawarcia ugody - ciągnęła

Sydney. - Jeśli Russell skłamał na temat swojego udziału w przestępstwie albo jeśli zataił przed prokuratorem pewne fakty, które może pan mógłby pomóc wydobyć na światło dzienne - równa się to naruszeniu warunków ugody. Rząd mógłby go ponownie podać do sądu.

Nachyliła się bliżej do szyby, dając Kinnardowi chwilę czasu. Zobaczyła wyraźnie moment, w którym dotarły do niego jej rewelacje. W jego oczach zapaliło się światelko: Zemsta.

- Jest pan pomysłowym człowiekiem. Przez wiele lat prowadził pan tajne operacje. Na pewno zdołał pan ukryć to i owo.

- Niewiele mi to pomogło - powiedział z łagodnym uśmiechem, którym usiłował pokryć szczerze zainteresowanie, malujące się na jego twarzy.

- Ale może przyda się teraz - podsunęła Sydney.

Kinnard odchylił się na stołku, obserwując ją swoimi nieodgadzionymi wyblakłymi oczyma.

- Mogliby go ponownie osądzić?

- Czyż to nie byłoby miłe? - powiedziała, uśmiechając się słodko.

Nad ich głowami rozległ się bezosobowy głos strażnika, ostrzegający, że do końca wizyty pozostało tylko pięć minut. Ale Sydney osiągnęła to, czego chciała. Joseph Kinnard był po jej stronie.

- Dała mi pani wiele do myślenia - powiedział, nie chcąc na razie obiecywać nic więcej. - Zawiadomię panią.

Patrzyła, jak odwiesił słuchawkę i zawołał strażnika. Począł, aż zostanie rozkuty i opuścił rozmównicę. Joseph Kinnard nie był już młody. Dostał tak długi wyrok, że nie miał wielkich szans na wyjście z więzienia, a nawet jeśli, to jako stary człowiek. Było mało prawdopodobne, by którakolwiek z jego apelacji została rozpatrzona pozytywnie. A wszystko dzięki zeznaniom Russella.

Teraz Sydney pokazała mu nowe możliwości; coś, o czym mógł myśleć podczas bezsennych nocy. Zrobi to, powtarzała sobie.

Jadąc windą na parter, rozmyślała, że ludzie tacy jak Kinnard dobrze się czują tylko wtedy, gdy mają nad kimś kontrolę. Dziś dała mu posmakować utraconej władzy, jaką miał kiedyś nad życiem innych ludzi.

Kiedy wyszła na światło dzienne, osłaniając oczy, po raz pierwszy od wielu tygodni zrobiło jej się lżej na duszy. Założyła okulary przeciwsłoneczne i z uśmiechem na ustach machnęła na

taksówkę. Nie mogła wprost uwierzyć, że tego dokonała. To było wspaniałe uczucie. Przechytrzyłam cię, Russell.

Kiedy była już na lotnisku, wezwano ją do telefonu.

Tylko jej sekretarka wiedziała, dokąd Sydney wyjechała na cały dzień. Na wszelki wypadek. Teraz, na lotnisku Kennedy'ego usłyszała swoje nazwisko wywoływane przez głośnik.

- Ja jestem Sydney Shanks - powiedziała do kobiety za kontuarem. Urzędniczka linii lotniczych ze zmęczonym sztucznym uśmiechem podała jej świstek papieru, na którym zanotowano wiadomość. Sydney rozłożyła karteczkę i z niepokojem przeczytała kilka słów: „Zadzwoń do mnie jak najszybciej. J.”.

Wyjmując telefon komórkowy, Sydney usiłowała wmówić sobie, że to pewnie nic ważnego. Skrzywiła się na widok mrugającej ikonki, oznaczającej, że bateria jest wyczerpana. Powtarzała sobie, że nie powinna się tak niepokoić. Że denerwuje się, bo kilka ostatnich dni dało jej się we znaki, to wszystko. Nie powinna cały czas spodziewać się najgorszego.

Ale w głębi duszy wiedziała, że Jack nie wzywałby jej z powodu jakiejś bzdury.

Stojąc przy rzędzie automatów, wysłuchiwała jego sprawozdania. Była potrzebna w galerii. Miała rację, że się martwiła.

Kolejny kryzys.

Jack obserwował Sydney, która rzuciła dokumenty na biurko i zaczęła masować sobie skronie. Zdążył już pożałować, że wezwał ją do biura. „Wracaj jak najszybciej, kochanie... wszystko się wali”. Teraz patrzył, jak usiłuje opanować ból głowy spowodowany lotem. Pewnie nie jadła nawet kolacji. A on nie miał dla niej dobrych wieści.

- Nic nie rozumiem - powiedziała. - Przecież wszystko dokładnie sprawdzaliśmy. Jak mogliśmy złamać przepisy w tak wielu punktach? - zapytała, wskazując listę, która leżała na jej kolanach.

Kiedy Sydney udała się w swoją tajemniczą podróż do Nowego Jorku, w galerii zjawiał się miejski inspektor. Rozpętało się istne piekło. Odnotował tyle naruszonych przepisów, że można by nimi wypełnić książkę telefoniczną.

- Ważniejsze jest to - dodał Jack - dlaczego w ogóle nas sprawdzali? Przecież nie spodziewaliśmy się kontroli co najmniej do przyszłego roku.

Sydney wpatrywała się w dokumenty, jakby czytała między wierszami. Z tego, co Jack wiedział na temat Russella Recka, była to na pewno jedna z jego brudnych sztuczek.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytała, rozkładając bezradnie ręce. - Nie mamy żadnego dowodu, że to sabotaż, a tym bardziej nie możemy dowieść, że Russell był w to zamieszany. Nawet dostawa farb do pracowni była zgodna z zamówieniem. Sama podpisywałam papiery.

Ale Jack jej nie słuchał. Wpatrywał się w ścianę za plecami Sydney, zastanawiając się, w którym momencie zaczął panikować.

Ściganie Sydney w Nowym Jorku i zostawianie jej wiadomości na lotnisku było najlepszym dowodem na to, że stracił głowę. Gdyby choć przez chwilę zastanowił się, co robi - jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy jego mózg działał sprawnie - nie śpieszyłby się tak i nie wszczynął od razu alarmu. Co niby miała zrobić Sydney? Wyciągnąć królika z kapelusza?

Może po prostu wyszedłem z wprawy w radzeniu sobie z kryzysami. Od tak dawna wszystko szło gładko, że teraz, przy pierwszym niepokojącym sygnale stracił nad sobą kontrolę. Po raz pierwszy w życiu czuł, że nie potrafi wrócić na właściwe tory.

- Jack?

Uniósł głowę, budząc się z zamyślenia. Zorientował się, że Sydney czeka na jego odpowiedź. Pokręcił głową.

- Nie powinienem był cię tu ściągać. Do diabła, to wszystko mogło poczekać do jutra. A tak w ogóle, to po co latałaś do Nowego Jorku?

Sydney wahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- W sprawie nowej wystawy, nad którą się zastanawiam. I nie bądź niemądry. Oczywiście, że powinieneś był mnie ściągać. Muszę tu być. - Pchnęła po stole protokół z kontroli. - Gdybym sądziła, że to w czymś pomoże, pojechałabym natychmiast do Russella i powiedziałabym mu, co o nim sędzę.

- A co z Rocky?

Kiedy już zadał to pytanie, zdał sobie sprawę, że to z jej powodu był taki roztrzęsiony. Bał się przyznać, że Rocky musiała maczać w tym pałce.

Sydney spojrzała na Jacka, zbita z tropu.

- Jak to, co z Rocky? O co ci chodzi?

- Nie powiesz mi chyba, że nie przyszło ci to do głowy? - Jack obszedł biurko. Krew pulsowała mu w skroniach. - Że jest w to zamieszana?

- Oczywiście, że Rocky nie jest w to zamieszana.

- Mówisz tak, jakbyś ślepo wierzyła w jej lojalność. Na litość boską, Sydney, przecież to jej ojciec. Słuchaj, może ja powinienem z nią porozmawiać?

Równie dobrze mógł zapytać, czy nie powinien polecieć na Księżyc. Jego rozmowa z Rocky nie miała żadnego sensu. Byli jak ogień i woda. Wszyscy w galerii wiedzieli, że ci dwoje zupełnie się nie dogadują. Skarżył się na nią bez przerwy, od pierwszego dnia jej pracy.

I czy to nie powinno dać ci do myślenia, stary?

Jack był przez całe życie zrównoważonym facetem. Fakt, że Rocky potrafiła tak szybko i tak skutecznie zaleźć mu za skórę... O, tak. To powinno dać do myślenia.

- Czy ja o czymś nie wiem? - zapytała Sydney. Właśnie tego Jack obawiał się najbardziej.

Wygadałeś się, stary... tak, jakbyś się przyznał.

Znów obszedł biurko dookoła, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Powinien jej powiedzieć. Do diabła, widział po jej oczach, że zaczyna się domyślać. Dobij ją do reszty...

Ale Sydney odsunęła od siebie tę myśl. Pomysł, że Jack i Rocky mogą mieć ze sobą coś wspólnego widocznie wydawał jej się zbyt dziwny, by w ogóle się nad nim zastanawiać.

- Cokolwiek to jest, Jack - powiedziała uroczyście - damy sobie z tym radę. Razem. Ale nie wciągaj w to Rocky. Ona ma teraz własne problemy.

Próbowała poprawić mu samopoczucie - co odniosło zupełnie odwrotny skutek. Zauważył nagle, że chodzi niespokojnie po gabinecie, zataczając kręgi. Co nie prowadziło do niczego, jak cała ta rozmowa.

Zatrzymał się i oparł o biurko, usiłując oddychać spokojnie. Tak naprawdę dobrze wiedział, co powinien zrobić. Wiedział to od momentu, kiedy zadzwonił na lotnisko Kennedy'ego.

- Pozwolisz, że sprawdzę parę rzeczy - powiedział w końcu, usiłując nadać swoim słowom niewymuszone brzmienie. Ruszył do drzwi możliwie spokojnym krokiem. - Tak czy siak, na dzisiaj dajmy

sobie z tym spokój. Idź do domu. Odpocznij trochę. Może rano to wszystko nie wyda nam się takie straszne.

Ale zanim dotarł do drzwi, zawołała za nim:

- Jack!

Odwrócił się, oczekując najgorszego. Chyba nie sypiasz z moją pasierbicą, co?

Ale Sydney zapytała tylko:

- Dobrze się czujesz?

Odetchnął z ulgą, zdobył się nawet na uśmiech.

- Biorąc pod uwagę okoliczności? Czuję się kwitnąco. Kwitnąco, akurat. Przez cały ostatni tydzień czuł się tak, jakby dostał pięścią w żołądek. Jakby miał się za chwilę udusić.

Ruszył korytarzem, wpatrując się we własne stopy. Prawa, lewa. Tak trzymać, stary. Kręciło mu się w głowie i było mu gorąco. Czuł, że się spocił.

Tym razem, kiedy dotarł do jej gabinetu, nie pozwolił sobie na niepewność; po prostu wszedł do środka. Nie mógł krążyć wokół niej na paluszkach, jak w zeszłym tygodniu, zastanawiając się, co dalej. Tym razem musiał działać.

Wiedział, że zwykle zostawała w pracy do późna, więc nie zdziwił się, widząc ją przy biurku, pogrążoną w marzeniach. Ostatnio dała mu jasno do zrozumienia, że nie chce go więcej widzieć i unikała go, jak mogła. Przykro mi, kotku. Nie dzisiaj.

Uniosła głowę, wyraźnie zastraszona jego wtargnięciem. Wyglądała bardzo mizernie. Można się było domyślić, że nie sypia zbyt dobrze. Wiem, jak to jest, skarbie.

Myślał o niej każdej nocy. Przychodziła do niego w marzeniach, słodka kusicielka, pachnąca kwiatami, z jasnymi włosami, które rozsypywały się na poduszce, seksowna jak diabli. Nie potrafił odpędzić tych obrazów, nie potrafił przestać jej pożądać.

„Oczywiście, że Rocky nie jest w to zamieszana”.

No cóż, Jack nie był tego taki pewien. Ukrywał przed Sydney prawdę i wiedział, że to się może kiedyś na nim zemścić, ale w tej chwili chciał się dowiedzieć tylko jednego.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Rocky gapiała się na „Time'a" leżącego na biurku, przerzucając powoli kartki. Znów przybrała tę swoją leniwa pozę, jakby nic ją nie obchodziło.

- Zdawało mi się, że ostatnio omówiliśmy już wszystko - powiedziała, odwracając kolejną stronę.

- Niezupełnie.

Jack zamknął magazyn i złapał jej torebkę, śmieszny drobiazg dopasowany do jej butów na wysokich obcasach. Podał ją Rocky. Miał nadzieję, że ten gest stanowił wystarczająco jasną wskazówkę.

Dziewczyna uniosła z westchnieniem głowę, jakby się zastanawiała, co zrobić. I nagle uśmiechnęła się, zupełnie zmieniając wydźwięk całej sceny. Jack poczuł się tak, jakby siedział w kolejce górskiej, która zaraz runie w otchłań. Uśmiech Rocky nie zapowiadał niczego dobrego.

Spojrzała na niego z przebiegłą miną.

- Stawiasz?

- Kolację? Pewnie. - Powiedział sobie, że zrobi wszystko, byle uzyskać odpowiedź. - Dlaczego nie?

Wstała bez pośpiechu. Kiedy przeszła obok niego, zauważył jej spódnicę, tak obcisłą, że widać było pod nią skąpe majteczki.

Przy drzwiach obejrzała się przez ramię, przybierając wystudiowaną pozę.

- W jakieś drogie miejsce, Jack. Nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że jestem tania.

Zabrał ją do Dwóch Palm, restauracji Kevina Costnera w Newport. Kiedy skończyli jeść, rachunek przekroczył dwieście dolarów, chociaż Rocky skubnęła ledwie odrobinę.

Nie była specjalnie chuda. Nie o to chodziło. Była zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach, jak jakaś gwiazda filmowa z dawnych czasów albo jak jeden z kociaków ze Słonecznego patrolu. Ale po jej twarzy było widać, że coś jest nie tak. Jej kości policzkowe stały się jakby bardziej wyraźne, a pod oczami miała ciemne sińce, których nie mógł zamaskować nawet makijaż.

Uśmiechnęła się znad swojego kieliszka wina.

- No, dziś nie czuję się tania.

- Dlaczego mówisz takie wstrętne rzeczy?

Odchyliła się na krześle, przewieszając rękę przez oparcie.

- Czy to nie oczywiste? Chcę, żebyś się poczuł jak stary, obleśny świntuch, którym tak naprawdę jesteś.

- Naprawdę uważasz, że myślę tylko o jednym? Nie przyszło ci do głowy, że dzisiaj może chodzić o coś innego?

Odkąd usiedli do stołu, nie zamienili ze sobą nawet dwóch słów, choć oboje byli naładowani energią jak nakręcane zabawki, którym zaraz pękną sprężyny. Dzisiejszy wieczór zupełnie nie przypominał ich spotkania w domu Jacka, kiedy oboje dali się ponieść uczuciom.

- Myślisz, że przyszliśmy tutaj, bo chcę się z tobą przespać?
Rzuciła mu wszechwiedzący uśmiech i pochyliła się nad stołem tak, że koronkowy rąbek biustonosza wychylił się spod lnianej bluzki.

- Myślę, że nie potrafisz się opanować.

- Jasne.

Zapłacił rachunek, ale żadne z nich nie wstało od stolika. Rocky przez cały wieczór bawiła się kieliszkiem. Wyglądała niemal na znudzoną, jak rasowa uwodzicielka, która czeka na właściwy moment. Rozglądała się leniwie po sali jadalnej, zbudowanej wokół dwóch strzelających w niebo palm.

Po raz setny tego wieczoru Jack zastanawiał się, co też może jej chodzić po głowie.

- Masz jakieś kłopoty? - zapytał w końcu, przerywając milczenie. Myślał o tym, od kiedy usiedli do kolacji, usiłując poukładać sobie

jakoś wszystkie fakty. Jeśli jej ojciec był odpowiedzialny za problemy, które ostatnio nękały muzeum. Jeśli Rocky była w to zamieszana... musiało być coś, co ją do tego popchnęło. Coś o wiele potężniejszego, niż jej własne demony, które od czasu do czasu dawały o sobie znać. Bo przecież nie mogła udawać uczuć, które Jack widział w jej oczach tamtej nocy, kiedy się kochali. Żadna kobieta nie była aż tak dobrą aktorką.

- Myślisz, że mam kłopoty? Z twojego powodu? - zapytała.

Odbiła piłeczkę, powtarzając jego własne słowa. Nic z tego nie wynikało. Jack nie miał pojęcia, jak przejść do rzeczy, więc postanowił zagrać według jej reguł.

- No dobra - uśmiechnął się do niej. - Spróbujmy innego pytania. Co u twojego ojca? Może o nim chwilę porozmawiamy?

Wyraz jej twarzy zmienił się minimalnie, pełne usta zacisnęły się, tworząc prostą kreskę.

- Niby dlaczego?

- Myślisz, że bym mu się spodobał? Doszedłem do wszystkiego sam, tak jak on. Może powinienem się z nim spotkać?

- Nie spotkasz się z moim ojcem.

Wstała i porwała torebkę. Ruszyła szybko do drzwi, szybciej, niż wydawało się to możliwe na tych przeklętych obcasach. Złapał ją tuż za drzwiami.

- Posłuchaj mnie - powiedział, ściskając boleśnie jej ramię. - Nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

- To w ten sposób chcesz odpokutować swoją winę, Jack? Łazisz za mną, zabierasz mnie na kolację, wypełniając swój skautowski obowiązek? Tak strasznie się poświęcasz, żeby chronić Sydney?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie, stając przodem do niego. Wyciągnęła ręce i chwyciła mocno jego twarz w dłonie.

Pocałowała go. Kiedy poczuł na ustach jej pełne wargi, wpadł w panikę. A jednak nie mógł się powstrzymać. Wplątał ręce w te jej nieprawdopodobne włosy, przyciągając ją do siebie, gubiąc się kompletnie w tym pocałunku.

Kiedy odsunęła się od niego z obrzmiałymi wargami, zasłoniła usta dłońmi. Robiąc jeszcze jeden chwiejny krok w tył omal się nie potknęła.

- I co teraz, Sherlocku? - zapytała.

Najbardziej niesamowity w całej tej scenie był wyraz jej twarzy. Jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. Jakby była na granicy załamania.

- Nieważne - powiedziała, zanim zdążył cokolwiek z siebie wykrztusić. Zupełnie jakby wyczytała coś z jego osłupiałej twarzy i nie miała zamiaru czekać, aż wypowie to na głos. Podbiegła do krawężnika i machnęła na taksówkę.

- Zostaw mnie wreszcie w spokoju! - krzyknęła przez ramię, nie przejmując się zupełnie, czy ktoś jeszcze to usłyszy.

Pobiegł za nią i odwrócił przodem do siebie. Uznał, że czyny przemówią do niej wyraźniej niż słowa: złapał ją za rękę i pociągnął w stronę chłopca parkingowego, który czekał przed wejściem. Wszyscy się na nich gapili. Żegnaj, zwyczajne życie. Zrobili z siebie widowisko.

Wepchnął ją do samochodu i odjechał, usiłując się skoncentrować. Czerwone światło... ostry zakręt. Postanowił, że podrzuci ją pod dom i pojedzie do siebie. Sydney miała rację. Nie nadawał się do tego wszystkiego. Nie wolno mu było tak się

zapominać. Ta kobieta potrafiła go doprowadzić do tego, że popełniał czyny, których mógł bardzo żałować.

Ale kiedy wjechał na jej podjazd, wciąż siedziała nieruchomo na siedzeniu obok. Ramiona skrzyżowała na piersi, wpatrując się w przestrzeń. Jack nawet nie wyłączył silnika. Czekał.

- Teraz mnie nienawidzisz - wyszeptała. Zamknął oczy. Boże, chciałbym, żeby tak było.

- To nie jest takie proste.

Spojrzała na niego. Światło latarni padające zza pleców Jacka wyławiało z mroku jej twarz. Jej oczy dziwnie lśniły - miał nadzieję, że nie od łez. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Nagle wydała mu się boleśnie młoda.

To było właśnie w Rocky najbardziej niesamowite. Cały wieczór zachowywała się jak diabeł wcielony, teraz nagle sięgnęła po rękę Jacka i ścisnęła ją mocno, jak zagubiona dziewczynka. W tej chwili była tak słodka, że poczuł ukłucie w sercu.

- Przez całe wieczór miałam na to ochotę - szepnęła, jakby zdradzała mu jakąś tajemnicę.

- Potrzytać mnie za rękę? - Kiwnął głową, chociaż zupełnie nie rozumiał, o co chodzi. - Jezu, jesteś taka młoda.

- Za to ty jesteś stary od urodzenia.

Uniosła jego rękę do światła, oglądając ją ze wszystkich stron. Powoli przyłożyła dłoń wewnętrzną stroną do jego dłoni. Widocznie uznała, że pasują, bo splotła palce z jego palcami.

- Masz piękne dłonie, Jack.

To wszystko nie miało sensu. Nie wiedział, dlaczego tu siedzi, słuchając jej słów, powoli zamykając dłoń na jej dłoni, która wydała mu się nagle taka maleńka... prawie niematerialna.

Ona nie ma z tym nic wspólnego, powiedział sobie w duchu. Ten skurczybyk pewnie ją wykorzystuje.

- Mam parę filmów na wideo - powiedziała. - Takie głupie miłosne historyjki. Oglądam je wieczorami. Chcesz wejść do środka? Może pooglądasz ze mną?

Przygryzła dolną wargę. Tak łatwo było odczytać wszystkie jej uczucia.

- Myślę, że nie powinienem.

Skinęła głową. Po chwili puściła jego rękę i pocałowała go w policzek.

- Dobranoc, słodki książę. Dzięki za kolację.

Począł, aż podeszła pod dom i otworzyła drzwi. Pomachała mu ręką, jakby chciała dać mu znać, że wszystko w porządku. Bezpieczna we własnym, przytulnym domku. Zamknęła za sobą drzwi i zgasiła światło na ganku.

I tyle.

Jedna wielka strata czasu, powiedział sobie Jack. Nie był wcale mądrzejszy niż kilka godzin wcześniej. Ciągle nic mu nie powiedziała, a on sterczał tutaj, usiłując zrozumieć, co miało znaczyć ostatnie pięć minut.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział w samochodzie, ani nawet w którym momencie zgasił silnik, żeby nie marnować benzyny. Po prostu posiedzę tu jeszcze chwilę. Dojdę do siebie.

Oczywiście po chwili był już pod jej drzwiami. Chciał zapukać, ale w końcu strach go obleciał. Odwrócił się. Cholera. Cholera!

Nagle drzwi się otworzyły. Stał nieruchomo, jak przyłapany na gorącym uczynku. Rocky przebrała się; miała na sobie podkoszulek i męskie bokserki. Oparła się o futrynę, nie mówiąc ani słowa.

Jack widział wyraźnie, że płakała.

- Pomyślałem... - machnął niepewnie ręką w stronę samochodu. - To znaczy, zastanawiałem się...

Przykryła mu usta końcami palców i pociągnęła go do środka. Kiedy zatrzasnęła drzwi, oparła się o nie plecami.

- Tylko żebyś się nie poczuła za tania, Jack - powiedziała, zanim pozwoliła wziąć się w ramiona.

Rozdział 24

Tydzień po zamieszkaniu z Sydney Alec zaczął toczyć sam ze sobą dyskusję filozoficzną. Czuł się zupełnie tak, jakby w głowie zagnieździł mu się jakiś wymyślony przeciwnik. Debata trwała dniami i nocami. Nawet we śnie. Zło kontra Dobro.

Na przykład jego układ z Sydney: jakim cudem coś tak wspaniałego mogło się jednocześnie wydawać tak nie w porządku? To pytanie tłukło mu się po głowie, kiedy kochał się z nią pod prysznicem albo kiedy patrzył na nią znad filiżanki kawy, starając się zapamiętać, jak wygląda w tej właśnie chwili, z włosami związanymi w koński ogon, w okularach zamiast szkieł kontaktowych, bez makijażu... piękniejsza niż wszystkie kobiety świata.

Nigdy w życiu nie spotkało go nic wspanialszego - i może właśnie to przerażało go najbardziej. Mógł tylko czekać, aż wszystko diabli wezmą.

Ale kiedy byli razem... to były cudowne chwile. Hałas w jego głowie uciszał się i Aleca ogarniał niesamowity spokój, jak dar niebios. W takich chwilach nie był już gnojkiem bez serca, okłamującym Sydney, byle tylko dotrzymać jakiejś żalosnej obietnicy, którą dał samemu sobie: że ją ochroni. Te chwile były magiczne, mógł być wtedy kimkolwiek, mógł zrobić wszystko. Dla niej potrafił być bohaterem.

Po raz pierwszy pragnął tego samego, co osiągnęli Conor i Cherish, Travis i Linda. Pragnął szczęśliwego zakończenia.

Kiedy się kochali, kiedy patrzył jej w oczy, był w stanie uwierzyć we wszystko. Myślał, że jeśli będzie pracował dość ciężko, jeśli będzie się przejmował, jeśli będzie wystarczająco gorąco pragnął, to może zdoła zatrzymać Sydney przy sobie.

Niewiele brakowało, żeby przekonał sam siebie.

I wtedy odzywał się ten cichy głosik: Musisz tylko okłamywać ją do końca życia i zadbać, by nigdy nie dowiedziała się prawdy. By nie dowiedziała się, że sypia ze zdrajcą. To by złamało jej serce.

I cała dyskusja zaczynała się od nowa: Zło kontra Dobro.

Ale w tej chwili, stojąc pod ostatnimi drzwiami w korytarzu, prowadzącymi do gabinetu głównego informatyka Reck Enterprises, Alec miał co innego na głowie. Zastanawiało go, że ostatnio wszystko idzie mu zbyt gładko. Na przykład w tej chwili obserwował Donalda, maszerującego żwawo w kierunku drugiego końca korytarza. Alec

wiedział, że Donald spieszy do południowej bramy, gdzie strażnik wręczy mu paczkę. Wychodząc ze swojego gabinetu, Donald wyglądał jak dzieciak, który dostał dolara i pędzi z nim na lody.

Alec dowiedział się ostatnio, że Donald ma hopla na punkcie zdalnie sterowanych modeli samolotów. Był nawet przewodniczącym miejscowego klubu facetów, którzy zbierali się w soboty i bawili się joystickami jak mali chłopcy, każąc swoim samolocikom wykręcać beczki i ósemki. Donald opowiadał o tym wszystkim Alecowi podczas lunchu, kiedy to Alec zupełnie przypadkiem usiadł obok niego w stołówce. Donald zamówił sobie pewną specjalną część do samolotu. Nie było co; ta zabawka miała zrewolucjonizować konstrukcję zdalnie sterowanych modeli. Tylko że na realizację zamówienia trzeba było bardzo długo czekać.

Alec zadbał o to, żeby święty Mikołaj zapukał w tym roku do Donalda trochę wcześniej.

Dlatego teraz Donald biegł korytarzem, niemal podskakując z radości. Wszystkie przesyłki czekały u strażnika przy południowej bramie. Dzięki temu firma nie musiała zawracać sobie głowy wydawaniem przepustek dla kurierów. Był to dość długi spacer; Alec wszystko wyliczył. Ale nawet biorąc pod uwagę fakt, że Donald był pięćdziesięciodwuletnim mężczyzną z protezą stawu biodrowego, Alecowi nie zostawało zbyt dużo czasu.

Wśliznął się do gabinetu Donalda, wyjął z kieszeni dyskietkę i wsunął do stacji w komputerze stojącym na biurku.

- Przekonajmy się, co on ukrywa - mruknął, wpisując hasło dostępu Donalda.

Tak, jak powiedział Syd. Russell Reck nie przyczał się na długo.

Alec znalazł hasło zapisane w terminarzu Donalda jako numer konta. Genialna kryjówka. Ale kiedy Alec przeglądał terminarz, cyfry błysnęły mu w oczy jakby były podświetlone. Większość ludzi ma dwa rachunki bankowe: bieżący i oszczędnościowy. Donald zanotował trzy numery; cyfry tego trzeciego nie były podzielone na sekwencje.

Jako główny informatyk, Donald miał dostęp do wszystkiego: plików systemowych, serwera pocztowego, a nawet do prywatnych danych. Używał „Timbaktu”, oprogramowania, które pozwalało obejrzeć na jego monitorze dosłownie wszystko, co znajdowało się na jakimkolwiek twardym dysku w całym budynku.

Alec przywołał na ekran odpowiednie okienko, pokazujące pulpit Recka. Przejrzał go pobieżnie, nie spodziewając się znaleźć niczego szczególnego. Jezu, ten facet opróżnił nawet kosz na śmieci ze starych e - maili. Zupełna paranoja.

- Co ty próbujesz ukryć, Russell? - powiedział do siebie.

Uruchomił „szperacza”, program, który ze sobą przyniósł, który miał za zadanie przypisać odpowiednie konta mailowe poszczególnym pracownikom Recka.

Alec wiedział od samego Russella, że jego obecny układ z Reck Enterprises nie pozwalał mu robić żadnych interesów w branży lotniczej przez najbliższe pięć lat - mówiła o tym jedna z klauzul umowy z rządem, który chciał dać mu w ten sposób po łapach za defraudację pieniędzy podatników. Oficjalnie Reck nie zajmował miejsca w zarządzie, choć pozwolono mu zatrzymać gabinet. W tej chwili jego jedynym zadaniem było rzekomo sprawdzanie nowych pomysłów, takich jak na przykład program Aleca. Szukanie możliwości na przyszłość.

Alec uważał jednak, że stary Russ w dalszym ciągu dźierży stery. I zamierzał to udowodnić.

W tym celu wczuł się na chwilę w sposób myślenia grubej ryby. Gdybym był magnatem przemysłu lotniczego, który właśnie wyszedł z więzienia, i gdybym chciał, żeby moja firma znów znalazła się w czołówce... Doszedł do wniosku, że pierwszym krokiem byłoby założenie lipnego konta mailowego.

Bingo.

Na ekranie pojawiło się nazwisko Douglas Miller. Wyglądało na to, że Douglas ma konto na serwerze Reck Enterprises. Tyle że nigdzie nie było śladu, by jakiś Douglas Miller pracował dla Recka.

Alec spojrział na zegarek. Zostało jeszcze trochę czasu. Otworzył konto Douglasa, skopiował zawartość na dyskietkę, którą schował z powrotem do kieszeni.

Wrakarza zobaczył dopiero, kiedy skręcił za róg. Prawie na niego wpadł.

Alec uśmiechnął się promiennie, usuwając się na bok, by uniknąć zderzenia. Wiedział, że nikt go nie zauważył, kiedy wychodził z gabinetu Donalda, co nie zmieniało faktu, że jego obecność tutaj wydała się Reckowi podejrzana. Alec pracował dwa piętra niżej.

- James, co pana sprowadza na piąte piętro? - zapytał Reck, zdziwiony.

Alec uniósł kubek z kawą.

- Automat na trzecim się spieprzył, - Była to prawda. Z samego rana Alec osobiście wetknął w mechanizm długopis.

Pochylił się do Recka, jakby chciał mu zdradzić jakiś sekret.

- Poza tym chciałem zajrzeć do Mitcha.

Mitch był sekretarzem na piątym piętrze. I gejem. Alec puścił do Recka oczko.

- Ostatnio coraz mniej wolnych przystojnych facetów, wie pan.

- Pan jest homoseksualistą? - zapytał Reck.

Alec zmarszczył brwi i odsunął się o krok, robiąc, co w jego mocy, by wyglądać na obrażonego.

- Ma pan coś przeciwko temu?

- Nie, oczywiście, że nie.

Mijając Recka, Alec rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, jakby nie do końca mu uwierzył - jakby wolał mieć się na baczności, bo nie wiadomo, czy Russell nie jest jednym z tych wstrętnych homofobów. Potrząsnął głową i upił łyček kompletnie zimnej kawy. Mniem. Miał nadzieję, że bajeczka na temat Mitcha odrzuci Recka przynajmniej na tak długo, by Alec zdążył dojść do windy.

Ale Reck jeszcze z nim nie skończył.

- James, kiedy będzie miał pan do pokazania coś nowego na temat pańskiego programu? Miałem nadzieję trochę przyspieszyć sprawę i w przyszłym tygodniu urządzić prezentację.

- Nie ma sprawy - odparł Alec, nie zatrzymując się. - Skontaktuję się z panem do środy.

Wsiadł do windy i nacisnął guzik z trójką. Przyszło mu do głowy, że miał rację, niepokojąc się - nie było dobrze, kiedy coś przychodziło mu zbyt łatwo. To oznaczało, że przegapił coś ważnego, coś, co mogło się na nim fatalnie zemścić.

Miał intuicję, która ostrzegała go w takich sytuacjach. Nie raz i nie dwa ten szósty zmysł ocalił mu życie. W tej chwili cichy głosik w głowie mówił mu, że powinien przyspieszyć sprawę; słowa Recka tylko zawtórowały jego myślom.

Tik - tak, tik - tak. Było coraz mniej czasu.

Russell patrzył w ślad za Jamesem, który wsiadł do windy. Zamykające się drzwi zasłoniły go powoli. Dziś miał w oczach szkła

kontaktowe, które zakrywały zupełnie źrenicę i tęczówkę - na ich miejscu widniały dwie żółte, uśmiechnięte buźki.

Przepisy firmy pozwalały pracownikom ubierać się nieoficjalnie wyłącznie w piątki. Dziś był poniedziałkowy rano, a James paradował w koszulce imitującej ciało dorodnej kobiety z piersiami wylewającymi się z bikini. Na dodatek snuł się po korytarzach w poszukiwaniu randki.

Russell uśmiechnął się do własnych myśli. Wczoraj spotkał się z detektywem, którego zatrudnił, by sprawdził Jamesa. Sigmund miał do powiedzenia na temat pana Flinta kilka bardzo interesujących rzeczy.

- On nie istnieje - powiedział Russellowi. - Sprawdziłem dokładnie. Wszystkie informacje, które mi podałeś, co do jednej, powtórzyło tu i ówdzie na strony internetowe, by uwiarygodnić jego historię. Kiedy się zapuściłem głębiej, natknąłem się na bardzo wyrafinowane zabezpieczenia. Ktokolwiek to zrobił, musi być prawdziwym specem. Zatrudniłeś u siebie ducha, Russ.

Niestety, Russell wiedział doskonale, co to oznacza. James Flint i jego czarodziejskie oprogramowanie byli fikcją. Oszustwem.

A teraz na dodatek przyłapał go, jak myszkuje na piątym piętrze, na którym mieścił się zarząd. I gdzie Russell trzymał wszystkie swoje tajemnice.

Kiedy Russell wrócił do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem i obrócił fotel przodem do okna, by mieć widok na zatokę. Jego plany wobec Sydney zaczynały się klarować; szczególnie zainteresowała go jej podróż do Nowego Jorku. Reck Enterprises zaczynało odzyskiwać swoją dawną wysoką pozycję w świecie biznesu. Russell nie mógł pozwolić, by James wysadził go z siodła.

Na biurku za jego plecami odezwał się brzęczyk interkomu. Russell odwrócił się i wcisnął guzik. Sekretarka zaanonsowała Angelę. Niespodzianka.

Russell uśmiechnął się na wspomnienie minionej nocy. Spędzili uroczy wieczór w jej mieszkaniu. Angela ugotowała przepyszną bouillabaisse. Karmiła go srebrną łyżeczką, ubrana jedynie w fartuszek.

- Wpuść panią - powiedział do sekretarki.

Angela pchnęła ciężkie drzwi. Była ubrana w kitel manicurzystki, założony na skromną, prostą sukienkę. Kiedy podeszła i stanęła przed

Russellem, jej oczy rzucały błyskawice. Stanowczym gestem oparła obie ręce na biurku.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, Russ?

Patrzył na nią z pogodnym wyrazem twarzy.

- Nie lubię, kiedy moje kobiety używają wulgarnego języka, Angelo. Czy już ci tego nie mówiłem?

Uśmiechnęła się i odsunęła o krok.

- Zdaje się, że właśnie na tym polega nasz problem. Nie jestem jedną z twoich kobiet. - Umilkła na chwilę. - Dostałam dziś bardzo interesującą przesyłkę.

- Wiem...

- Ubrania. Od najlepszych projektantów. Bardzo piękne... i warte masę pieniędzy. - Podeszła do biurka i oparła ręce na blacie, starając się onieśmielić go swoją postawą. - Bardzo kuszące. - Pokręciła głową. - Ale nie dla mnie.

Zrozumiał, w czym tkwił jego błąd. Oczywiście. Kiwnął głową i wstał z fotela.

Kobieta taka jak Angela, samodzielna, ciężko pracująca. Oczywiście...

Wychodząc zza biurka, ujął jej dłoń. Poprowadził dziewczynę do kanapy i usiadł, łagodnie zachęcając ją, by siadła obok niego. Udała, że nie ma na to ochoty, ale w końcu się poddała. Doskonale rozumiał ten gest; musiała mu pokazać swoją niezależność.

- Obraziłem cię - powiedział.

- Te ubrania, buty... wszystko. Próbujesz mnie przerobić na jakąś inną kobietę, Russell. Nie mam pojęcia, dlaczego. Ale owszem, to dla mnie bardzo obraźliwe.

Otoczył ją ramieniem, bo dobrze wiedział, czego chciała. Wiedział, co ją tutaj przygnało. Każda kobieta pragnęła czuć się wyjątkowa. Niepowtarzalna. Naprawdę nie chciał, by przez jego prezenty odniosła inne wrażenie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie potrzebuję żadnej innej kobiety, chcę tylko ciebie, Angelo. Zdawało mi się, że dałem ci to dość jasno do zrozumienia. Chciałem ci tylko zrobić przyjemność.

Pocałował ją, popychając na kanapę, z zamiarem udowodnienia jej jeszcze raz, że jest wyjątkowa. Nie potrzebował wiele czasu, by zsunąć jej kitel z ramion i przycisnąć ją do kanapy, nie przestając całować. Wsunął język do jej ust, delikatnie ssął jej wargi. Przesunął

dłoń w górę, po jej nodze; pod sukienką miała seksowne pończochy, które kończyły się w połowie uda. Była tak wilgotna, że nie trwało to długo.

- Teraz lepiej? - zapytał, całując ją leciutko w czubek nosa, kiedy szczytowała pod jego dłonią.

Wyglądała przepięknie, kiedy tak leżała na kanapie, całkowicie ujarzmiona, z białym kitlem wciąż jeszcze zsuniętym ze smukłych ramion.

Russell uśmiechnął się. Nie chciała przyjąć ubrań, by mu pokazać, że nie podda się jego władzy, ale wiedział, że dziewczyna w końcu i tak zrobi dokładnie to, o co ją poprosi. Angela mogła jeszcze nie zdawać sobie z tego sprawy, ale pragnęła tego, co miał jej do zaoferowania. One wszystkie tego pragnęły.

Kilka minut później odprowadził ją do drzwi. Stała na palcach, by go pocałować na pożegnanie.

- Ale ubrania wracają do sklepów - powiedziała cicho, niemal przeprasząc. - Dobrze?

- Wszystkie z wyjątkiem sukienki od Donny Karan - szepnął jej do ucha. - Załóż ją dla mnie dziś wieczorem. Proszę.

Spojrzała na niego karcąco.

- Jesteś niepoprawny. - Ale odchodząc, uśmiechała się. Na pożegnanie rzuciła jeszcze przez ramię: - Przyjdź po mnie o ósmej. Wtedy zobaczysz, co założyłam.

Uśmiechnął się, kiedy posłała mu całusa. Pomyślał, że ludzie nigdy nie zauważają nitek, które kierują ich postępowaniem. Te więzy oplatają każdego niepostrzeżenie i krępują coraz mocniej, jak marionetkę. Sydney było stosunkowo trudno przekonać do pewnych rzeczy, ale z Angellą nie miał najmniejszego kłopotu.

W zeszłym tygodniu ufarbowała włosy. Tak z ciekawości, powiedziała Russellowi.

Jego zdaniem, Angela była wyjątkowo pięknym rudzielcem.

Kiedy Sydney przyszła do domu, Alec siedział na kanapie, przerzucając kanały w telewizorze.

- Hej - przywitał ją, wyjmując z ust winogronowego lizaka. Wcisnął guzik pilota i włączył magnetowid. - Mówili o tobie w wiadomościach o piątej. Nagrałem ci to.

Sydney znieruchomiała z kluczami w dłoni. Osłupiała, kiedy ekran wypełniła jej własna fotografia z zestawu przygotowanego

kiedyś specjalnie dla potrzeb prasy. Jack nalegał, żeby zrobiła sobie to zdjęcie. Jesteś jednym z największych atutów galerii, Sydney. Musimy to wykorzystać. Stare, dobre czasy.

Na szczęście była to krótka relacja, choć Sydney i tak zdziwiła się, ile informacji można zmieścić w trzydziestu sekundach. Zdołali nie tylko opowiedzieć o złamanych przepisach BHP, ale i o paskudnej przeszłości Sydney - o jej rozwodzie z Russellem i o niedawnym zerwaniu zaręczyn z Jacksonem Bossem. Na zakończenie sprawozdawca spojrział prosto w kamerę, zadając retoryczne pytanie: „Ale cóż może zaszkodzić kobiecie, która związała się kolejno z trzema milionerami?”

- To moja ulubiona część - powiedział Alec, wyłączając telewizor. - Zrobili z ciebie taką cudowną - zatrzęsł się teatralnie - wiedźmę.

Wstał, przeciągnął się, i nagle jednym skokiem znalazł się przy niej, łapiąc ją obiema rękami za pośladki. Przycisnął ją do siebie.

- Hmm. Uwielbiam kobiety, które czyhają na moje pieniądze.

- Dlatego, że ich nie masz?

- O to właśnie chodzi. Dzięki temu wiem, że to prawdziwa miłość. Dla mnie porzuciłaś karierę czarnej wdowy.

Pocałowali się, długo i słodko; taki pocałunek aż prosił się o ciąg dalszy. Ale Sydney odepchnęła Aleca.

- Wstrzymaj konie, kowboju. Po takim dniu jak dzisiejszy muszę się napić.

Rzuciła klucze na stolik przy drzwiach. Zauważyła przy okazji, że Alec przyniósł jej pocztę. Nie pamiętała, żeby dawała mu kluczyk do skrzynki, ale dla Aleca nie stanowiło to problemu.

Potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że całkiem się tu zadomowił. Nie miała nic przeciwko temu. Był wspaniały i uwielbiała z nim sypiać. Poza tym było już za późno, by czegokolwiek żałować.

Idąc do sypialni, by się przebrać, rozmyślała o tym, jak szybko Alec stał się częścią jej życia. Zupełnie jak wtedy, podczas podróży po Ameryce Południowej, łatwo wpadli w rytm wspólnego życia. Czuła się tak, jakby była z nim od zawsze, co zupełnie nie miało sensu. Oto ona, najbardziej konserwatywna kobieta świata, przeżywa wielką przygodę, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie.

Dwadzieścia minut później, kiedy schylona nad kuchennym zlewem obierała ziemniaki na kolację, wciąż zdumiewała się, jakie

figle płata czasem los. Sama powiedziała przecież Jackowi, że miłość to nie zadanie matematyczne. Święta prawda. Czasami wystarczyło jedno spojrzenie... jak to, na którym w tej chwili przyłapała Aleca.

- Co? - próbowała obrócić wszystko w żart, choć czuła, że czerwieni się po uszy. Upiła łyk wina. - Skórka od ziemniaka przykleiła mi się do twarzy? A może mam wąsy od mleka?

- Dlaczego dla mnie gotujesz? - zapytał.

To pytanie zupełnie ją zaskoczyło. Wzruszyła ramionami, odwracając się do zlewu.

- Zawsze gotowałam. - Zaczęła szybciej obierać ziemniaka. - Dla Henry'ego. Lubił moją kuchnię.

Wpatrywała się w migający nożyk, próbując nie myśleć o Henrym. Próbując zapomnieć o tym wszystkim, co mówili w telewizji, kiedy weszła do domu... a w końcu starając się już tylko powstrzymać łzy. Kiedy poczuła, że Alec odwraca ją do siebie, nie podniosła głowy. Nie chciała, żeby to zobaczył. Ale on wyjął ziemniaka i nożyk z jej dłoni, odkładając jedno i drugie na szafkę.

- Hej - powiedział, unosząc jej głowę do góry. Otarł łzy z jej twarzy. - Kochanie, nie mów mi, że taki z ciebie mięczak.

Potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem. - Spróbowała się uśmiechnąć i opanować łamiący się głos. - Przegraliśmy dziś apelację w sprawie zawieszenia wyroku. Od dzisiaj pełnomocnicy rządowi mają prawo obejrzeć każdy papierek znajdujący się w galerii. W końcu dotrą do mnie i dowiodą, że mam „ukryty kapitał”, który będą mogli zająć. W przyszłym tygodniu nasi prawnicy złożą wniosek, by rząd nie wykorzystywał wszystkich moich pieniędzy do spłaty długów Russella, ale na pewno zostanie odrzucony, tak samo, jak apelacja. Będę mogła oficjalnie ogłosić bankructwo.

- Nie przejmuj się. Przecież masz jeszcze mnie, prawda? - Pocałował ją w czoło. - Do licha, w końcu ta twoja chałupka nie może być chyba wiele warta? - zapytał, rozglądając się po luksusowym apartamencie.

Ale nie zdołał jej rozweselić. Sama się zdziwiła, kiedy łzy znów wezbrały jej w oczach.

- To był naprawdę paskudny dzień.

Wziął ją w ramiona i tylko tego jednego uścisku było jej potrzeba, by zupełnie się rozkleić. Oparła głowę na jego ramieniu i rozplakała

się. Płakała nad Henrym, nad Jackiem i galerią... i nad wszystkim innym, co zaważyła w życiu. Żałowała, że nie potrafi tak jak Alec zamknąć oczu na wszystkie nieszczęścia. Głowa do góry! Powinna wierzyć, że wypali jej umowa z Kinnardem, że zdąży uratować ich wszystkich. Ale w tej chwili nic nie wydawało się jej możliwe.

- Nie pozwól, żeby cię zdołowało to gównno, które pokazywali w telewizji - powiedział Alec. - Przecież nie wierzysz w to, co o tobie mówili. Ich obchodzą tylko pikantne historyjki, które mają podnieść oglądalność.

- Ale przecież to prawda - powiedziała przez łzy. - Nie to, że wyszłam za Henry'ego dla pieniędzy. Nie. Ale zrobiłam coś równie podłego. Wyszłam za niego, bo on tak bardzo tego pragnął. Bo byłam młoda i głupia i nie miałam pojęcia, na czym polega związek między ludźmi.

- Teraz gadasz zupełnie bez sensu.

- I nie kochałam go. W każdym razie nie tak, jak powinno się kochać męża. Gdybym go kochała, Russell nigdy nie zdołałby...

Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Więc popełniłaś błąd. Może nawet duży. Ale daj spokój, Syd... byłaś zbyt wrażliwa... może czułaś się trochę samotna. Myślisz, że Russell tego nie zauważył? Podał ci na talerzu wszystko, czego w tamtej chwili oczekiwałaś od mężczyzny. Dlatego był dla ciebie taką pokusą. Mam rację? Na sto dziesięć procent. Tacy faceci jak on działają właśnie w ten sposób.

- Gdybym była silniejsza...

- On spełnił twoje marzenia, Syd. Sam to robiłem. Udawałem wymarzonego księcia z bajki, by dostać to, czego chciałem. Nie osądzaj się tak surowo tylko dlatego, że się na to nabrałaś. Marzeniom cholernie trudno się oprzeć.

- Jesteś okropny - powiedziała, tuląc się do niego. - Przyznajesz się do takich rzeczy i spodziewasz się, że dalej będę cię kochać.

Alec tylko się uśmiechnął.

- Z tobą nie udała mi się ta sztuczka. Jesteś teraz zupełnie inną kobietą, Syd. Bóg mi świadkiem, że gdyby tak nie było, pozwoliłabyś się oczarować dawno temu.

- Jesteś w tym taki dobry? - wyszeptała z ustami przy jego piersi.

- Nie można mi się oprzeć.

Zamknęła oczy, ocierając twarz o jego koszulkę, dziwnie podniesiona na duchu tym, co jej przed chwilą powiedział. Była inną kobietą, choć trudno było jej to osądzić na podstawie uczuć, jakie żywiła do Aleca. Wiedziała tylko, że rzeczywiście nie dała się nabrać na jego gierki, których widziała wiele w pierwszym okresie ich znajomości. Dopiero później, kiedy poznała prawdziwego Aleca, z jego wadami i słabościami, dała mu się zauroczyć.

Dziś sprawię, żeby został do rana, postanowiła sobie. Nie chciała pozwolić mu zniknąć, jak to się działo przez większość nocy w zeszłym tygodniu. Wymykał się od niej, mówiąc, że ma coś ważnego do załatwienia w swoim mieszkaniu.

- Uwielbiam cię, Syd - szepnął. - Nie zapominaj o tym. Uśmiechnęła się i przytuliła jeszcze mocniej. To, co powiedział, było bardzo miłe, ale w głębi duszy wiedziała, że się mylił. W związku dwojga ludzi zawsze bywa tak, że ktoś kocha mocniej. Sydney czuła, że tym razem to ona jest tym kimś. To ona uwielbiała jego. Z szeroko otwartymi oczami - mądrzejsza niż kiedyś - ciągle nie potrafiła mu się oprzeć.

Ale zatrzymała swoje przemyślenia dla siebie. Alec wziął ją na ręce. Nie mówiła nic, oddając mu pocałunki. Pozwoliła się zanieść do sypialni, by mógł jej pokazać, jak bardzo ją uwielbia.

Choćby tylko przez krótką chwilę.

Rozdział 25

Rocky zaparkowała zgrabnie na swoim miejscu i wsunęła na nos ciemne okulary. Wsiadła z samochodu i ruszyła w kierunku wejścia z opuszczoną głową, starając się unikać wzroku przechodniów. Nastroje w galerii były ostatnio raczej niezdrowe. Mało brakowało, a w korytarzach rozległyby się pieśni pogrzebowe. Wszyscy zachowywali się tak, jakby lada moment z sufitu miały się posypać różowe serpentyny albo jakby drzwi i okna miały zostać zabite deskami. Jack był całymi dniami zajęty szacowaniem strat, co oznaczało, że mogli się widywać tylko wieczorami.

Codziennie po pracy Rocky przychodziła do domu i zaczynała się zastanawiać, w co się wystroić, jak uczesać włosy. Czasami gnała po zakupy w przerwie na lunch, bo nie miała odpowiednich butów albo potrzebowała jakiejś wyjątkowej spinki. Kiedy jechała do Jacka, zawsze miała ze sobą jakąś niespodziankę. Butelkę dobrego wina. Tajskie jedzenie. Zeszłego wieczoru przyniosła mu nawet kwiaty, na których widok roześmiał się serdecznie.

Od dawna nie widziała, by się śmiał. Ostatnio przez cały czas chodził jak struty z powodu tego wszystkiego, co się działo w galerii. Próbowwała mu współczuć. Próbowwała odsunąć na bok swoje własne lęki. Próbowwała zapomnieć, że okres spóźniał jej się już o dwa dni.

Powtarzała sobie, że jeszcze za wcześnie, by zacząć panikować. Ale czy to nie byłby szczyt głupoty? Pierwszy raz w grze i od razu gol.

Boże, proszę, nie pozwól, żebym była w ciąży.

Przez te dwa tygodnie z Jackiem czuła się tak, jakby siedziała w kolejce górskiej, pędzącej raz w górę, raz w dół. Nie rozumiała większości uczuć, które Jack w niej wzbudzał. W jednej chwili najchętniej objęłaby go i uściskała, a w następnej miała ochotę wrzeszczeć na niego, że zrujnował jej życie.

Nigdy nie została u niego na całą noc. Przerazało ją trochę, jak cudownie mogłoby być, gdyby została.

Idąc ulicą w stronę centrum sztuki, zasłuchana w stukot własnych obcasów na chodniku, rozmyślała o tym, jak skomplikowane stało się jej życie. Nic już nie miało sensu, każdy dzień przynosił te same pytania: Komu zaufać? Co robić?

Dzisiejszy dzień zapowiadał się podobnie. Russell czekał na nią na schodach przed wejściem do galerii, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Rocky znieruchomiała, próbując z trudem chwycić oddech. Unikała ojca przez cały zeszły tydzień, nie będąc w stanie znieść sprzecznych uczuć, które w niej wzbudzał. Gdyby powiedziała mu o notatkach, które widziała w mieszkaniu Sydney, okazałaby się nielojalna w stosunku do Jacka, a on pewnie znienawidziłby ją na zawsze. Ale jeśli nie powie ojcu...

No właśnie.

Bała się, że mógłby wyczytać prawdę z jej twarzy, jakby miała wszystko wypisane na czole. Na pewno się domyśli, że coś przed nim ukrywa. A wtedy zacznie zadawać pytania.

Kiedy zadzwonił w zeszłym tygodniu, wykręciła się jakoś. „Przepraszam, Tatusiu, nie mam dzisiaj czasu”. Zamiast tego wśliznęła się do łóżka Jacka, w nadziei, że choć na chwilę zapomni o swoich rozterkach. Ale w głębi duszy wiedziała, że zwlekając z decyzją, tym samym ją podejmuje. Nie rób nic...

Teraz nie miała już takiej możliwości.

Ojciec zszedł ze schodów, by się z nią przywitać. Wyciągnął ramiona.

- Rocky, kochanie. Jak miło cię widzieć.

- Tatusiu. - Niezręcznie odwzajemniła jego uścisk, trzymając w jednej ręce torebkę, w drugiej aktówkę. - Co ty tu robisz?

Pocałował ją w policzek.

- A co, nie mogę tak po prostu wpaść, żeby się zobaczyć z moją córeczką? Muszę się umawiać? Kochanie, stęskniłem się za tobą. Nagle zrobiłaś się taka zajęta. Pomyślałem, że jeśli tu zajrzę, będę miał więcej szczęścia. Pozwól, że postawię ci filiżankę kawy. Oczywiście, jeśli masz chwilę czasu.

- Pewnie, Tatusiu.

- No widzisz. Może zostaw swoje rzeczy w biurze. Pójdziemy do Starbucka, to przy następnej przecznicy. Położył jej dłoń na plecach i popchnął delikatnie, jak zwykle nie dając jej wyboru.

Przeszli razem obok recepcjonisty, kierując się do gabinetu Rocky. Nie mogła wprost uwierzyć, że idzie tym korytarzem ze swoim ojcem, który tu, w galerii, był uważany za wroga numer jeden. Mogła sobie tylko wyobrazić, co by było, gdyby natknęli się na Jacka.

Cześć, Jack. Pomyślałam sobie, że przyprowadzę Tatusia. No wiesz, to ten człowiek, o którym myślisz, że chce ci zniszczyć życie.

Kiedy patrzyła na ojca, który siada na krześle przy jej biurku, uśmiecha się... ta scena wydała jej się zupełnie nierealna, jakby ożył nagle jeden z obrazów wiszących w galerii. Nie można się już wycofać. Ze zmarszczonymi brwiami odłożyła na bok umowy, które zostawiła poprzedniego dnia na wierzchu. Jakby Tatuś rzeczywiście przyszedł tu podejrzeć tajemnice firmowe.

Ale ojca nie interesowały umowy. Wziął do ręki jedyny osobisty przedmiot, jaki stał na jej biurku.

- Och, kochanie - powiedział. - Spójrz tylko na nas. Fotografia, którą trzymał w dłoni, przedstawiała ich dwoje na plaży.

Rocky ubrana była w bikini w kropeczki, włosy miała zaplecione w warkocze. Pamiętała ten dzień doskonale; miała wtedy dziesięć lat i przyjechała z siostrami na wakacje do ojca.

Ojciec zawsze wynajmował domek na plaży. Od rozvodu z matką zabierał każdego lata Rocky i jej siostry na tydzień nad morze. Ale nawet wtedy rzadko go widywała.

- Byłaś taką śliczną dziewczynką - powiedział, spoglądając na zdjęcie z rozmarzonym wyrazem twarzy.

Rocky zatrzasnęła szufladę z dokumentami.

- Ledwie mnie zauważyłaś.

Russell odstawił fotografię, potrząsając głową.

- Jesteś na mnie zła.

W tej chwili Rocky zdała sobie sprawę, że unikała tej konfrontacji, próbując uciec przed własnymi obawami. Jeśli Jack ma rację i Tatuś jest czarnym charakterem...

Kiedy była z Jackiem, nigdy o tym nie rozmawiali, jakby oboje rozumieli, że to zbyt drażliwy temat. Jakby oboje przyrzekli sobie, że nie będą o tym mówić. Ale cień jej ojca padał na nich przez cały czas.

Nie mogła tak po prostu, ni stąd, ni zowąd zapytać: Tatusiu, czy to wszystko, co się dzieje w galerii, to twoja sprawka? Próbujesz zrujnować Sydney? Raptem kilka tygodni wcześniej sama zaofiarowała się, że będzie dla niego szpiegować. Ale wtedy była przekonana, że to Sydney jest złą wiedźmą, która posłała za kratki niewinnego człowieka. Teraz Rocky nie była już tego taka pewna.

- Nie jestem na ciebie zła - powiedziała, siadając. - Po prostu nie wiem, co myśleć.

Sięgnął przez biurko i wziął ją za rękę.

- Więc może powinniśmy porozmawiać.

Ale kiedy spojrzała na swoją dłoń w jego dłoni i na fotografię, stojącą na biurku... w jej głowie nagle zjawilo się wspomnienie tamtego dnia. Skinęła głową i zapytała:

- Czy pamiętasz dzień, kiedy zrobiliśmy to zdjęcie? Nie przestał się uśmiechać.

- Oczywiście, że pamiętam. Nauczyłaś się wtedy pływać na desce surfingowej. Byłaś z siebie taka dumna.

- To była Afrodyta. To ona pływała na desce, Tatusiu. Nie ja. - Rocky nienawidziła wody, nawet przed tym, co się stało tamtego dnia. - Ja się zawsze bałam fal, pamiętasz? - odpowiedziała mu.

- Tak, oczywiście. Teraz pamiętam.

Kiedy patrzyła, jak kłamie, poczuła się tak, jakby coś w niej umarło. Natychmiast zorientowała się, że nie pamiętał niczego. Gdyby pamiętał, nie uśmiechałby się.

Pół godziny po tym, jak Afrodyta zrobiła to zdjęcie, fala wciągnęła Rocky pod wodę. Reanimował ją ratownik; ledwie mu się udało.

Ojciec nie pamiętał, bo nie było go przy tym. Poszedł sobie do domku, który wynajmowali, zostawiając Afrodytę na straży. Dopiero później, kiedy było już po wszystkim, Afrodyta posłała po niego.

- Mnie interesowały raczej zamki z piasku - powiedziała, spoglądając na fotografię, nie przyznając się ojcu do swoich uczuć.

Tamtego dnia była na niego wściekła, jeszcze zanim zrobili to zdjęcie, bo nie chciał jej pomóc przy budowie zamku. Powiedział, że to jego jedyne wolne chwile. Chciał w spokoju poczytać gazetę. I napić się czegoś w domku.

Wyraz jego twarzy na zdjęciu był tylko pozą przed obiektywem. Grą.

Uniosła głowę, patrząc jak ojciec uśmiecha się do niej. Zupełnie jak wtedy. I jak przez cały czas. Świetnie grał.

Uścisnęła jego dłoń i cofnęła rękę.

- To nasze jedyne wspólne, zdjęcie, jakie mam. - Dlatego trzymała je na biurku, mimo niemiłych wspomnień. - Natknęłam się na nie kilka miesięcy temu i kazałam je oprawić. - By upamiętnić nowy etap swojego związku z ojcem.

Odsunęła zdjęcie na bok i westchnęła głęboko. Dostała już swoją odpowiedź.

- Miałaś rację, Tatusiu. Byłam zła. Od bardzo dawna. Ale już mi przeszło. - Kiedy to powiedziała, poczuła, że naprawdę tak jest.

Nagle zrozumiała wiele spraw: dlaczego była tak wrogo nastawiona wobec Sydney, dlaczego była pewna, że Jack, choć robił karierę, w pewnych sytuacjach nigdy nie postąpiłby tak, jak postępował jej ojciec. Jack był zadowolony ze swojego wspaniałego domu, ze swoich wspaniałych psów i szukał sobie wspaniałej żony. Rocky pojęła, że wiedziała to od zawsze, odpowiedzi były cały czas w jej głowie, w podświadomości, czekały tylko na taki właśnie moment.

Zrozumiała też, że chce, by ojciec sobie stąd poszedł. Natychmiast. I to wcale nie dlatego, że mógłby go zobaczyć Jack.

- Chodźmy już na tę kawę - powiedział, uśmiechając się wesoło.

Nie opierała się, kiedy wziął jej rękę i otoczył się nią w pasie, jednocześnie kładąc dłoń na jej ramieniu, jakby chciał zaaranżować pokazową scenkę. Oto my. Szczęśliwa rodzina.

Kiedy była z Jackiem, każdy gest był naturalny. Nic na siłę. Ale wszystkie spotkania z ojcem - telefony z więzienia, jego wzruszenie, kiedy go odwiedzała - to wszystko zawsze wydawało się jej trochę wymuszone.

Sydney próbowała ci to powiedzieć.

Kiedy byli już w pobliżu głównego wejścia, ojciec nagle się zatrzymał. Odwrócił się w stronę sali wystawowej, którą mieli za plecami.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym zerknął? Byłbym zachwycony, gdybyś mnie oprowadziła.

Rocky zmarszczyła czoło, zaskoczona jego prośbą.

- To młoda malarka. Na pewno o niej nie słyszałeś...

- Tylko na chwileczkę - powiedział, idąc w kierunku wejścia do sali, znów nie zostawiając Rocky wyboru.

Poszła za nim, zastanawiając się, jak długo to może potrwać. Martwiła się, że ktoś ich w końcu zobaczy, chociaż było jeszcze wczesnie. Dla publiczności galerię otwierano dopiero za kilka godzin.

Wchodząc do sali, powiedziała sobie, że nie ma powodów do niepokoju. Ojciec na pewno szybko się znudzi. Poza tym mieli galerię tylko dla siebie. Nie panikuj. A jednak, kiedy szła za nim, dźwięk ich kroków, odbijający się echem od ścian, brzmiał jakoś niesamowicie.

Pomyślała, że gdyby to był film sensacyjny, pewnie oglądałaby tę scenę, zerkając między palcami, gotowa zakryć oczy, w każdej chwili spodziewając się katastrofy.

Gdyby Jack tu teraz wszedł, nie wiedziałby, co o tym myśleć.

Nawet stojąc tylko u boku ojca, czuła się jak jego współpracowniczka.

- To naprawdę imponujące, co zrobiła tutaj twoja macocha - powiedział Russell, rozglądając się dookoła siebie. Założył ręce do tyłu, podziwiając jeden z obrazów. - Zauważyłem, że tym razem mnie nie poprawiaś.

- Co? - zapytała Rocky. Czyżby słyszała za plecami jakieś kroki? Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Już ci nie przeszkadza, że nazywam ją twoją macochą - mówił, przechadzając się po galerii. - To miło, że się znów zaprzyjaźniłyście. Właśnie taką miałem nadzieję, kiedy cię przysłałem, żebyś u niej pracowała.

Rocky poczuła, że chyba zaraz zwariuje. Powinna bardziej uważać. Czytał w niej jak w książce; już się zorientował, że coś się zmieniło.

Nie popadaj w paranoję powiedziała sobie, usiłując skupić uwagę na obrazach. W tym tygodniu galeria wystawiała prace obiecującej młodej artystki o nazwisku Katherine Arnold. Jej specjalnością był styl, który Rocky określała mianem neoimpresjonizmu. Ogromne płótna, niektóre długie na całą ścianę, pokrywały serie krzyżujących się linii.

Ojciec zatrzymał się przed jednym z największych obrazów. Rocky poznała autorkę osobiście i wiedziała, że płótno przedstawia ogród namalowany za pomocą cienkich, kolorowych kresek, choć tytuł pracy stanowił tylko numer porządkowy. Opus numer 14.

Oglądany z bliska, obraz wydawał się kompletnie chaotyczny. Nie; można się było zorientować, o co chodzi, dopóki nie odeszło się kilka; kroków do tyłu. Jak życie, pomyślała Rocky. Trzeba było spojrzeć pod odpowiednim kątem, znaleźć inną perspektywę, by obraz stał się ostry i by można było dostrzec prawdę.

- Nie powiedziałaś mi nic o swojej macosze - odezwał się Russell. Rocky uniosła głowę.

- Co?

- Prosiłem cię, żebyś sprawdziła dla mnie parę rzeczy. - Odwrócił się twarzą do niej. - Pamiętasz?

- A, pigułki? - Rocky pokręciła głową. - Nie ma się czym przejmować. Pewnie, że coś tam bierze, przeciwalergiczne i nasenne. Ale właściwie nie musi. Tylko Xanax, to coś takiego, jak Valium. - Nie miała zamiaru mówić mu o dokumentach, które widziała w kuchni u Sydney. - Przecież każdy coś takiego łyka od czasu do czasu. Nie sądzę, żeby było się czym martwić.

- To świetnie - powiedział, wpatrując się w obraz. Otworzył usta, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale nagle wyraz jego twarzy zmienił się zupełnie.

- Do diabła. Zostawiłem telefon komórkowy na twoim biurku. Czy mogłabyś być tak miła i iść po niego?

Rocky nie zauważyła żadnego telefonu.

- Później ci go przyniosę. - Pomyślała, że może uda jej się po niego pobiec, kiedy ojciec będzie czekał przed wejściem, w samochodzie, gdzie nikt go nie zobaczy. - Najpierw chodźmy na kawę.

- Niestety, czekam na ważną rozmowę. Dlatego go wyjąłem. - Russell usiadł na jednej z ławek dla zwiedzających, na środku sali. - Przy okazji będę miał chwilę, by rozkoszować się tym - powiedział, wskazując obraz.

- No dobrze - odparła Rocky, ciągle się wahając. - Najlepszy widok jest stamtąd - powiedziała i skinęła głową w stronę drugiego końca sali.

- Dziękuję, kochanie.

Zostawiła go, obiecując sobie, że przyniesie mu telefon i wymyśli jakąś wymówkę. Wcale nie miała ochoty iść z nim na kawę. Nie dzisiaj. Może nawet już nigdy.

W wejściu do galerii zatrzymała się i odwróciła. Ojciec wciąż siedział rozparty na tej samej ławce. Przybrał królewską pozę, założywszy nogę na nogę, z kostką opartą na kolanie. W swoim najlepszym garniturze, prawdopodobnie od Armaniego, wyglądał jak udzielny książę.

Rocky pomyślała, że to zabawne. Tak długo nie wiedziała, co o nim myśleć. Ale nagle, kiedy spojrzała pod innym kątem, zobaczyła wszystko aż nazbyt wyraźnie.

Rozdział 26

Alec obudził się zlany potem, z pościelą skotłowaną w nogach łóżka. Krew pulsowała mu w skroniach, ciało było ciężkie jak z ołowiu. Nie mógł się ruszyć. Nawet jego płuca pracowały z trudem, chwytając krótkie, płytkie oddechy.

- Hej - Sydney położyła mu dłoń na piersi. Przyszło mu do głowy, że sprawdza, czy jego serce jeszcze bije. - Dobrze się czujesz?

Sięgnął po jej dłoń, myśląc mętnie, że ten gest stał się ostatnio naturalnym odruchem. Miał sen. Koszmar.

Pewnego razu Eddy stracił przytomność na jego łóżku. Alec miał wtedy cztery lata. Eddy nie zamierzał zrobić mu krzywdy, w każdym razie nie tamtej nocy. Po prostu przekreślił się we śnie, przygniatając swojego czteroletniego syna całym ciężarem. Alec nie mógł oddychać. Nie mógł się poruszyć. Nie mógł nawet krzyknąć.

Ile razy Alecowi śnił się ten koszmar, zawsze było tak samo, jak wtedy. Nawet, gdy był już dorosłym mężczyzną i gdy sypiał sam. Nie było nikogo, kto by go przygniatał, dusił. A jednak nie mógł się poruszyć na łóżku... nie mógł wstać, odezwać się ani złapać oddechu.

W końcu przestawał się szamotać, godząc się z sytuacją i czekając, co będzie dalej. Tuż przed przebudzeniem myślał zawsze: To tak wygląda śmierć...

- Serce ci wali ze sto na minutę - wyszeptała Sydney.

Alec zamknął oczy, zmuszając się do kilku głębokich oddechów. Kiedy już mógł się ruszyć, zwiesił nogi z łóżka i wstał, zdziwiony, że nie odmówiły mu posłuszeństwa. Zrobił kilka chwiejnych kroków i poszedł do kuchni, by napić się wody.

Wlał w siebie dwie szklanki, jedną po drugiej, i oparł się o zlew. Dobrze wiedział, co spowodowało tamten sen.

Strach... panika.

Wczoraj przejrzał e - maile, które skopiował na dyskietkę. Odkrył wreszcie sekrety Recka. Jeden z listów ujawniał jego plany wykupienia akcji konkurencyjnej firmy przez podstawionych kontrahentów, by uzyskać pakiet kontrolny. Przejąłby firmę niejako od wewnątrz. Od wyjścia z więzienia Reck stał się cichym wspólnikiem kilku przedsiębiorstw i teraz z ich pomocą wykupywał akcje swojego najbliższego konkurenta. Każda tego typu transakcja była pogwałceniem warunków jego ugody z rządem.

Ten skurczybyk łamał prawo. Niestety, Alec nie był w stanie niczego udowodnić. Te kilka e - maili, przesłanych na fałszywe nazwisko, nie gwarantowało mu nawet spotkania z prokuratorem stanowym.

Stąd wzięły się wątpliwości, które powoli przeradzały się w panikę. Wymyśl coś! Jak do tej pory działał zbyt powoli... nieefektywnie.

- Weź się w garść, chłopie - powiedział do siebie, potrząsając głową. Nie mógł sobie teraz pozwolić na strach. Nie spieprz tego.

Za jego plecami stanęła Sydney. Jej drobne ręce objęły go w pasie, policzek oparła o jego nagie plecy. Zadrżał i odwrócił się, by ją objąć. Dotyk jej ciepłego ciała był mu teraz tak niezbędny, że nie potrafił sobie wyobrazić, że mogłoby jej tu nie być.

Pocałował ją, z początku delikatnie, potem coraz bardziej namiętnie. Sydney, jego nowy nałóg.

Boże, nie pozwól, żebym ją skrzywdził... nie pozwól, żeby mnie znienawidziła.

Te wewnętrzne zmagania widocznie odbiły się na jego twarzy. Sydney uniosła głowę, zdziwiona. Dotknęła policzka Aleca, spoglądając na niego z troską... i nagle, zupełnie niespodziewanie, uśmiechnęła się.

- Może zrobię nam gorącej czekolady? - zapytała ni stąd, ni zowąd.

- Pewnie. - Odgarnął włosy z jej twarzy. Gorąca czekolada. Nie do wiary. - Świetny pomysł.

Piętnaście minut później siedzieli przy oświetlonym świeczkami, kuchennym stole i popijali gorący napój. Świeczki pachniały cytrynowo, ich aromat mieszał się ze słodkim zapachem czekolady. Alec pomyślał, że to wszystko jest jak sen. Cudowny, przytulny sen.

- Teraz się przynajmniej uśmiechasz.

- Pewnie cukier poprawił mi nastrój.

Ale jego myśli nie były wesole. Uważał, że nie zasługuje na gorącą czekoladę i uśmiechy Sydney. Do tej pory nigdy nie przejmował się tym wszystkim, co udało mu się wykraść za pomocą swojego uroku i sztuczek, ale w tej chwili wyrzuty sumienia sprawiały mu niemal fizyczny ból. Kiedy tak siedział w świetle świec i rozmyślał...

- Cholera, Syd. Nie zasługuję na ciebie.

Nie miał zamiaru powiedzieć tego na głos. Widział, że Sydney waha się, czy wypytywać go o głębsze znaczenie tych słów, czy dać mu święty spokój.

- Oczywiście, że na mnie nie zasługujesz - odparła w końcu, wybierając drugą możliwość.

Jedna ze świeczek zaskwierczała i zgasła. Alec upił łyk czekolady, zastanawiając się, czy naprawdę i tym razem chce od tego wszystkiego uciec.

- Miałeś ten sen już przedtem - powiedziała Sydney, znów go zaskakując. - Nie wiem, to wyglądało jakbyś... wciągał na siłę powietrze do płuc. Przestraszyłam się, że nie możesz oddychać. Dlatego cię obudziłam.

Odsunęła filiżankę i położyła splecione dłonie na stole.

- Czasami naprawdę mnie przerażasz, Alec - powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Skinął głową, znów rozmyślając o tym, jak wśliznął się do jej życia. .. do jej serca. To było takie samolubne z jego strony, że wciąż tu był, skoro doskonale wiedział, jakie to może mieć dla niej konsekwencje.

„Nigdy nie potrafiłeś ponieść konsekwencji...”

Przypomniał sobie, co powiedziała mu Cherish tamtego wieczoru, kiedy poszedł do domu Conora. Jedyna rzecz, jakiej nie potrafiła mu wybaczyć, to że nie potrafił ponieść konsekwencji własnych czynów.

On też odsunął od siebie filiżankę z czekoladą.

- Kiedy byłem dzieckiem, bardzo często miewałem ten głupi sen,. Nigdy nie wdawał się w szczegóły, kiedy mówił o Eddym i Daisey, ale był pewien, że Syd mniej więcej domyślała się, jak wyglądało jego życie. Nie lubił opowiadać historii z dzieciństwa, bo nie chciał niczyjej litości. Sam nie litował się nad sobą ani odrobinę. Przecież w końcu to on rządził własnym życiem, a nie te duchy z przeszłości, które tkwiły w jego głowie.

- Kiedyś Eddy stracił przytomność i zwałił się na mnie - Alec zaskoczył sam siebie, że opowiada jej tę historię. - Nie mogłem oddychać. Nie pamiętam, czy się w końcu obudził, czy sturlał ze mnie... czy może ja zdołałem się jakoś spod niego uwolnić. - Wzruszył ramionami, spoglądając na Sydney. - Kiedy się obudziłem, było już rano, jasny dzień. Ale czasami śni mi się to i wtedy on znów na mnie leży i mnie dusi.

- Mój Boże, Alec - powiedziała Sydney z przerażeniem w głosie.
- To tylko sen - odparł. - Nic mi potem nie było. No, może tylko tyle, że przez jakiś czas bałem się małych pomieszczeń.

- Klaustrofobia?

- Tak, przez parę lat. Ale Conor pomógł mi to przezwyciężyć. Oczywiście, Conor. Jak zawsze Conor.

Alec roześmiał się na tamto wspomnienie.

- Conor chciał, żebyśmy oboje z Geeną towarzyszyli mu w pierwszym samodzielnym locie. Latał wtedy takim maleńkim samolotem, z kółkiem na ogonie. Wiedziałem, że w życiu nie wsiądę do kabiny pilota. To wyglądało jak trumna ze skrzydłami.

Przysunął bezwiednie swoją filiżankę, przypominając sobie, co było potem. Opowiadał dalej, jakby to była zabawna historyjka.

- Jednego dnia zaniknąłem się w szafie w przedpokoju. Terapia na zasadzie skoku do głębokiej wody. Postanowiłem, że nie wyjdę, dopóki strach nie minie.

Pamiętał, że mało nie zwariował. Tak bardzo się bał, że darł się jak opętany.

- Conor mnie znalazł. Włazł do środka i siedział ze mną w tej szafie. Zaczął mi opowiadać różne historie. Jakaś własną wersję Baśni z tysiąca i jednej nocy. - Conor. Wspaniały starszy brat, który potrafił wszystko naprawić.

- Zasnąłem wtedy, siedząc koło niego - dokończył Alec.

- I potem się już nie bałeś?

- Nie. Nigdy.

- Ale teraz się boisz. Że możesz być taki jak on. - Delikatnie położyła dłoń na jego dłoni, trzymającej filiżankę. - Taki jak Eddy. To dlatego nie pijesz alkoholu. Dlatego przestałeś brać leki przeciwbólowe zaraz po operacji.

Spojrzał na nią, urażony.

- Nie przypominam go pod żadnym względem.

Po co kłamał? Przecież to właśnie tego obawiał się najbardziej. A teraz, siedząc tu, przy świecach, popijając czekoladę, bał się bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Bał się, że ją zawiódł. Że spieprzył wszystko, zupełnie tak samo jak Wielki Ed.

- Czasami, kiedy patrzę w lustro, widzę w nim jego twarz - powiedział.

- Och, Alec.

- I martwię się, że nie jestem dość dobry, by wykonać zadanie, które mnie czeka. Te wszystkie rzeczy, o których ci opowiadałem, te tajne operacje... pozwoliłem ci wierzyć, że jestem jakimś superszpiegiem. Teraz tobie się zdaje, że ze wszystkim sobie poradzę. Że zdołam pokonać tego gnoja, Recka.

Alec niemal słyszał bicie własnego serca. Chciał jej powiedzieć prawdę. Zupełnie jakby się upił tą czekoladą. Chciał jej powiedzieć, że kłamał przez cały czas. O wszystkim. O swojej sile, o swoich umiejętnościach. A przede wszystkim o tym, dlaczego ją odnalazł...

- Nie wszystko jest na twojej głowie - powiedziała.

Alec wstał i zaczął spacerować po kuchni. Czuł się tak, jakby chodził po linie. W każdej chwili mógł stracić równowagę, popełnić błąd.

- Alec - Sydney podeszła do niego i wzięła go w ramiona. - Cokolwiek to jest, powiedz mi. Proszę.

Pomyślał, że chyba zaraz się udusi, jakby w kuchni nie było dość powietrza. Zupełnie jak w moim śnie. Chciał już tylko mieć to z głowy, przyznać się do wszystkiego. Opowiedzieć jej tę całą przekłątą, żalosalną historię o Recku... i o Henrym. Sydney by go znienawidziła. Cholera, zasługiwał na to całkowicie.

Powiedz jej, gnojku. Niech pozna prawdę.

- Zrobiłem coś - wyszeptał ledwie dosłyszalnie. - Coś bardzo złego, Syd.

- Nieważne, co to było, Alec, kocham... Odwrócił się do niej i zasłonił jej usta.

- Nie. Nie rób tego. - Serce tłukło mu się w piersi jak szalone. - Nie składaj obietnic, których nie będziesz mogła dotrzymać.

Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich tyle miłości, że aż zabolowało. Zapiekło jak ogień.

Po długiej chwili zdjął dłoń z jej ust.

- Nie pozwolę ci, żebyś mnie od siebie odstraszył - powiedziała. - Nigdy więcej.

Trzymając jego dłonie w swoich poprowadziła go do sypialni. Zdjęła z niego spodnie i zrzuciła szlafrok z ramion. Całowała go po całym ciele, jakby nie mogła się nim nasycić. Wiedział, co do niego czuła. Wiedział, że kiedy Syd kogoś pokocha, to na dobre.

Później długo leżał z otwartymi oczyma. Sydney spała mocno w jego ramionach. Wyglądała jak anioł. Alec trzymał w dłoni kosmyk jej włosów, okręcając go wokół palca i rozmyślając.

Nie mogę tego zniszczyć.

Ale wiedział, że może być już za późno.

Pocałował Sydney w czoło, wiedząc doskonale, że to wszystko wygląda zbyt pięknie, zbyt doskonale.

Cisza przed burzą.

W nocy w muzeum nie paliły się żadne światła. A już na pewno nie w sali wystawowej, gdzie obrazy czekały na poranne słońce.

Ale tej nocy w ciemności zamigotało słabe czerwone światełko, rzucając łagodny blask na płótno ogromnego obrazu, noszącego tytuł Opus numer 14. Wyglądało tak, jakby samo stanowiło część malowidła.

Kwadrans po pierwszej światełko zgasło. Nastąpiła niewielka eksplozja. Niezbyt głośna. Ciche „puf”, i chmurka dymu.

Płomyk zaczął się wspinać po płótnie.

W końcu odezwał się alarm przeciwpożarowy. Zraszacze na suficie zaczęły zalewać salę wodą.

Sydney chodziła w kółko po nasiąkniętej wodą podłodze galerii. Nie spała zbyt długo, zaledwie parę godzin. Była tak zmęczona, że czuła się, jakby pływała. Chodzę po wodzie. Minęli ją strażacy obładowani sprzętem. Sprzątacze popychali przed sobą mopy i wiadra z wyciskaczami. Wszystko, na co pracowała przez ostatni rok, było zniszczone.

Najwięcej szkód pożar wyrządził w galerii, jako że zaczął się właśnie tutaj. Sydney zatrzymała się przed tym, co było kiedyś ogromnym obrazem przedstawiającym ogród. Zostały z niego tylko fragmenty drewnianej ramy; ściany wokół były poczerniałe od dymu. Rozmawiała już z jednym z detektywów. Nie było wykluczone, że pożar spowodował ładunek zapalający.

Powinna była się domyślić, że Russell nie zostawi jej niczego. Powinna była wiedzieć, że ma coraz mniej czasu.

- Tak mi przykro, Sydney.

Odwróciła się i zobaczyła Jacka, który stał za jej plecami, z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Na jego twarzy odbijały się jej własne uczucia.

- Nie miałem pojęcia, że on potrafi się do tego posunąć - powiedział.

Sydney pomyślała, że przeżyła niezwykle dwadzieścia cztery godziny. Najpierw Alec obudził się w środku nocy i popijając czekoladę, opowiadał jej o swoich tajemnicach. Jak we śnie. Kiedy zasypiała w jego ramionach, czuła się tak niesamowicie szczęśliwa. Potem zadzwonił Jack. „Mój Boże, Sydney, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Galeria...”

Wetknęła palce we włosy, czując że wszystko zaczyna jej wirować w głowie.

Wszystko przepadło. Zniszczone przez Russella.

- Poradzimy sobie - szepnął Jack, podchodząc do niej i odwracając ją twarzą do siebie. - Przyrzekam. On z nami nie wygra. Po prostu znowu nas zaskoczył, to wszystko. To nie musi być koniec. Możemy zacząć od nowa.

Ale Sydney wiedziała, że nie miał racji. Nie ma ucieczki! Russell dopiero się rozkręcał.

Kątem oka dostrzegła, że do galerii wszedł Alec. Zatrzymał się w wejściu jak wryty. Przyjechał razem z nią, po tym, jak Jack zawiadomił ją o pożarze. Teraz stał w progu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Wyraz jego twarzy był tak zimny... niemal przerażający.

Nie mówiąc ani słowa, Alec odwrócił się i wyszedł.

- Poczekaj tu - powiedziała Sydney do Jacka.

Wybiegła z sali i ruszyła za Alekiem. Na zewnątrz musiała przyspieszyć, by dorównać jego długim krokom. Było jeszcze ciemnawo, tuż przed świtem. Latarnie uliczne pogasły już jakiś czas temu.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała, usiłując dotrzymać mu kroku.

- A na co to wygląda? - szedł dalej w stronę swojego samochodu z kluczykami w dłoni. - Nie chciałem przerywać ci czułości z Zakutą Pałą, więc postanowiłem zejść wam z oczu.

Złapała go za ramię, zanim zdążył sięgnąć do drzwiczek chevroleta.

- Alec, proszę cię. Nie rób tego. Potrzebuję cię teraz.

Przez chwilę stał nieruchomo. Wyraz jego twarzy był niemal komiczny - jakby nie potrafił dojść do ładu z własnymi uczuciami. Czy może raczej, jakby go przerażały. Mogła sobie tylko wyobrazić,

co mu się tłukło po głowie. To śmieszne, że okazywał jej zazdrość w takich okolicznościach.

- Gdyby nie to, że mam w tej chwili poważne kłopoty - powiedziała - taki pokaz temperamentu pewnie by mnie rozczulił.

Oparł się plecami o samochód, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Nic nie rozumiem, Syd. Przecież byłem kiedyś zupełnie normalnym facetem.

- Nie - odpowiedziała, opierając się o karoserię obok niego. - Nigdy nie byłeś normalnym facetem.

Nie odpowiedział, jakby wyczuwał, że Sydney potrzebuje chwili, by przetrwać to wszystko. Po prostu stali tak, obserwując strażaków i ekipę sprzątającą. Po chwili Alec sięgnął po jej dłoń i mocno uściśnął.

Sydney zauważyła, że ostatnio często to robił. Korzystał z każdej okazji, by jej dotknąć. Westchnęła i oparła się o jego ramię. Pomyślała, że to zdumiewające: taki prosty gest, uścisk dłoni, potrafił sprawić, że czuła się tak dobrze.

Ale nagle zjawiała się myśl: Russell zniszczy wszystko... nawet to.

Z trudem opanowała dreszcz. Nigdy nie miewała przeczuć, nigdy nie przypisywała sobie jakiejś wyjątkowej intuicji. To śmieszne. Przecież to zupełnie naturalne, że ma ponure myśli, że boi się o swoje szczęście w chwili, kiedy galeria została zniszczona, a Russell się na nią zawztał.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o zatrudnieniu jeszcze jednego ochroniarza - odezwał się Alec.

- Russell próbuje mnie zniszczyć finansowo - odparła, jakby wypowiadając te słowa na głos chciała przekonać i jego, i siebie. - Nie zrobi mi krzywdy. Wyobrażasz sobie nagłówki w gazetach? „Reck zabija byłą żonę”. To zbyt prymitywne. Nawet jak dla Russella.

Ale jej wywody nie poprawiły Alecowi samopoczucia. Z podkrążonymi oczami, ze znużonym spojrzeniem wyglądał jak zmęczony żołnierz, który wie, że czeka go ostateczna bitwa... i który boi się, że nie zdoła zebrać sił do walki.

Rozdział 27

Rocky pobiegła do frontowych drzwi z aktówką i podróżnym kubkiem z kawą w dłoniach. Pod pachę wetknęła „Timesa”. Nie chciała się spóźnić. Zeszłego wieczoru zamarudziła u Jacka długo po północy. Do domu dotarła dopiero po pierwszej nad ranem. Kiedy pięć godzin później zadzwonił budzik, wyłączała go chyba z pięć razy pod rząd. Tym razem musiała zmobilizować całą swoją dość przeciętną siłę woli, by wyjść spod kołdry.

Otworzyła drzwi, popychając je plecami, by nie rozlać kawy... i omal nie potknęła się o Jacka, siedzącego na jej progu.

Upuściła gazetę, stronice rozsypały się na ganku. Kawa chlapnęła nad brzegiem kubka.

- Jack!

Domyśliła się, że nie spał całą noc. Przeważnie bywał wymuskany, czasem nawet aż za bardzo. Ale nie tego ranka. Wyglądał tak, jakby zerwał się ze snu i włożył na siebie to, co miał akurat pod ręką.

- Jack, co się stało? - Widziała wyraźnie, że coś jest nie tak.

- Siedziałem sobie tutaj - powiedział - i próbowałem wymyślić, co ci powiem, kiedy wyjdiesz przez te drzwi. - Potrząsnął głową. - I w dalszym ciągu nie mam zielonego pojęcia.

Rocky zeszła ze schodka i usiadła obok niego. Jego głos był tak zmęczony, że aż się przestraszyła.

- Co się dzieje?

- W galerii był pożar.

Poczuła, że nie może złapać oddechu.

- O Boże. Nikomu się nic nie stało?

- Nie. Ale wystawa jest kompletnie zniszczona. Rocky, policja ustaliła, że to nie był wypadek.

Jack miał przejrzyste niebieskie oczy. I w tych jego pięknych oczach Rocky zobaczyła teraz wszystkie oskarżenia, których nie odważył się wypowiedzieć na głos.

On myśli, że ja mam z tym coś wspólnego.

Chciała zaprotestować, szczerze oburzona, ale nagle przed oczyma zjawiał jej się obraz ojca, stojącego w drzwiach galerii z uśmiechem na ustach.

„Nie masz nic przeciwko temu, żebym zerknął?”

Wydało jej się wtedy dziwne, że nagle tak bardzo zapragnął obejrzyć prace młodej malarki. W przeszłości interesowały go tylko dzieła godne Luwru.

„Czy możesz mi przynieść mój telefon?”

Jej ojciec. Urządził wszystko tak, żeby zostawiła go samego w galerii.

- Obejrzałem film wideo z kamer systemu bezpieczeństwa - powiedział Jack. - Nie pokazują zbyt wiele. Są ustawione pod nieodpowiednim kątem. Ale widziałem, jak stałaś w środku ze swoim ojcem, przed otwarciem galerii.

- Tak, zgadza się. Pokazałam mu wystawę. - Czuję, że się czerwieni. Zachowuję się, jakbym była winna. - Przyszedł do mnie na kawę. Byliśmy w galerii najwyżej przez dziesięć minut.

Nie miała pojęcia, dlaczego się usprawiedliwia, dlaczego nie opowie o swoich podejrzeniach.

Ale jej związek z Jackiem był taki kruchy. Jeśli rzeczywiście ojciec był w to zamieszany, Jack wyciągnąłby z tego jak najgorsze wnioski.

Jack wstał i spojrzał na nią z góry.

- Nie wiem, czy jesteś tak naiwna, że sama się okłamujesz, czy może raczej okłamujesz mnie.

Patrząc jak odchodzi, Rocky zrozumiała, że popełniła błąd. Teraz sobie pomyśli, że jestem współwinna. Teraz mnie znienawidzi. Kiedy był już w połowie podjazdu, wstała ze schodka. W jej sercu zmagaly się ze sobą gniew i tęsknota.

- Masz rację - krzyknęła za nim, zdesperowana. - Przez cały czas snuję niegodziwe plany, jak zniszczyć mężczyznę, którego kocham.

Jack odwrócił się. Kiedy byli razem, rozmawiali tylko o błahych sprawach. Opowiadali sobie historyjki z dzieciństwa, o bracie Jacka, o Afrodycie i Carmeli. Nagle rzuciła mu w twarz swoje uczucia, chociaż do tej pory była tak ostrożna.

- Oczywiście mi nie wierzysz - powiedziała. - To na pewno część moich knowań: specjalnie upokarzam się przed tobą, wyznając ci miłość, kiedy ty dałeś mi jasno do zrozumienia, że wolisz kogoś innego.

- Dlaczego miałbym ci uwierzyć? - zapytał. - Ile razy już mnie okłamałaś, Rocky?.

- O tak, Jack. Kłamałam. Skłamałam na temat mojego wieku i na temat urodzin. Rzeczywiście nie wyobrażam sobie, jak mógłbyś mi teraz zaufać.

Wyglądał na oszołomionego. Nie spodziewał się, że Rocky tak łatwo obroni się przed zarzutami, które on uważał za nieodparte. Wyraz jego twarzy był wręcz komiczny. Dziewczyna zakryła usta dłonią, czując, że lada moment wybuchnie śmiechem. I nagle zrozumiała.

- Czy nie ułatwiłoby ci sprawy, Jack, gdyby się okazało, że stoję po przeciwnej stronie barykady?

- Co to miało znaczyć, do diabła?

- Wszystko byłoby wtedy czarno - białe. Nie musiałbyś wybierać. „Rocky to zła dziewczynka. Nie chodzę na randki ze złymi dziewczynkami”.

- Na randki? Ciągłe mówisz o nas, jakby to był romans w średniej szkole. Do licha, Rocky. Gdybym nie chciał cię w swoim życiu, nie byłoby cię w nim. Nie muszę wymyślać żadnych wymówek.

Usiadła na schodku. Zaczęła się śmiać i poczuła się o wiele lepiej. To lepsze niż płacz.

Padł na nią wysoki cień. Uniosła głowę i zobaczyła Jacka, który stał nad nią, szukając wzrokiem jej oczu.

- Przysięgam, Rocky, że nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać.

Ostłoniła oczy dłonią, by móc na niego spojrzeć. Zawsze wiedziała, że ta historia się źle skończy. Każdej nocy, kiedy wracała od Jacka do siebie, spodziewała się, że to był ostatni raz. To, co ich łączyło, przez cały czas wydawało jej się odrobinę nie w porządku.

- Tak się boisz, że zrujnuję twoje doskonałe życie - powiedziała.

- Jestem ciekawa, czy byłbyś bardzo szczęśliwy, gdyby wszystko skończyło się tak, jak sobie to wymarzyłeś.

Lepiej mieć to od razu z głowy, powiedziała sobie. Niech to się skończy już teraz.

Ale między nią i Jackiem nic nie było nigdy takie proste.

Rocky wstała i spojrzała mu prosto w twarz. Chciała, żeby wyczytał z jej oczu prawdę.

- Jeśli mój ojciec zrobił cokolwiek, żeby zaszkodzić tobie, Sydney czy galerii, ja nic o tym nie wiem. I z całą pewnością nie brałam w tym udziału.

Podniosła gazetę i kubek z kawą. Weszła po schodkach i otworzyła drzwi, zachowując się tak, jakby było oczywiste, że Jack za nią pójdzie. Nie ruszył się z miejsca, obejrzała się więc przez ramię i zapytała:

- Idziesz? Zostawiła otwarte drzwi.

Odetchnęła swobodniej dopiero, kiedy usłyszała, że Jack zatrzasnął je za sobą. Kiedy odwrócił ją przodem do siebie i pocałował, objęła go, poddając się pożądaniu równie łatwo jak on.

Wylądowali w sypialni, kochając się, jakby tylko tutaj, spleceni w uścisku wiedzieli, że mogą sobie zaufać. Jack zawsze kochał się z nią tak, jakby nic innego na świecie się nie liczyło. Z początku Rocky myślała, że to przez jej brak doświadczenia wszystko wydaje się takie wspaniałe. Ale teraz, wtulona w jego ramiona, zastanawiała się, czy rzeczywiście chodzi tylko o to.

- To jest coś wyjątkowego - wyszeptała. - Nie uważasz?

- Chciałbym to wiedzieć - odparł, nie przestając głaskać jej boku. Rocky oparła się na łokciu.

- Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć „tak”. I koniec. Następnym razem użyj ściągawki.

Jack westchnął i usiadł na brzegu łóżka. Założył spodnie i wziął do ręki koszulę. Rocky patrzyła, jak się ubierał; serce waliło jej w piersi jak szalone.

- Wychodzisz?

Jack przerwał na chwilę zapinanie guzików.

- Chciałem zaparzyć kawę.

Ale wrócił po minucie, ledwie Rocky zdążyła się wygodnie oprzeć o poduszki. Nie przyniósł kawy. Stał w drzwiach; na jego twarzy malował się wyraz niesamowitego skupienia.

Wstrzymała oddech, zastanawiając się: Co znowu tym razem?

Jack wszedł powoli do sypialni. Dopiero teraz uniósł rękę. Trzymał w niej test ciążowy, który Rocky zostawiła w papierowej torbie na kuchennym stole.

- Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć? - zapytał.

Odwróciła wzrok. Nie mogła teraz na niego patrzeć, jej twarz zdradziłyby zbyt wiele. Nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by zrobić test. Może jutro dostanę okresu.

- Nie było o czym, Jack. Okres nie spóźnił mi się jeszcze aż tak bardzo - wypowiedziała zdanie, które ćwiczyła od kilku dni.

Podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka.

- Może właśnie tego się boję. Że zajmiesz się tym sama. Beze mnie. Słuchaj, czy tego chcesz, czy nie, to jest pewne zobowiązanie... Rocky, ludzie czasem wiążą się ze sobą z bardziej błahych powodów.

- Czy ty mi się oświadczasz? - Sama nie wiedziała, czy jest przerażona, czy tylko oszołomiona. Owszem, powiedziała Jackowi, że go kocha, ale tego rodzaju uczucie nie mieściło się w jego planach. - Jakież to szlachetne z twojej strony, Jack.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Zdaje się, że spieprzyłem wszystko, co? Proszę cię, tylko nie rób niczego pochopnie, dopóki tego nie przedyskutujemy. Czy możesz mi obiecać chociaż tyle?

Rocky poczuła ukłucie w sercu. On myśli, że usunę tę ciążę.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo, Jack - powiedziała sarkastycznym tonem. - Zrobią ci się zmarszczki.

Spróbowała zeskoczyć z łóżka. Chciała wstać. Wyjść stąd. Ale Jack złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem.

- Rocky, to zbyt ważna sprawa. Ważniejsza niż galeria czy cokolwiek innego. Ważniejsza niż ty i ja.

Odwróciła się i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ty i ja, powiadasz. Widzisz, Jack, dla mnie to już od dawna „my”.

Właśnie na tym polegał problem. Na tej drobnej różnicy punktów widzenia.

Nie odezwał się ani słowem. Położył się na plecach, pociągając Rocky za sobą. Tym razem się nie opierała; posłusznie położyła się obok niego.

- Daj mi trochę czasu - powiedział.

Rocky zamknęła oczy. Chciałby, żeby wszystko było takie proste. Daj mi trochę czasu, żebym zdążył się pogodzić z faktami.

Ale sama dobrze wiedziała, jak to jest znaleźć się w pułapce miłości - poznała to uczucie dzięki ojcu. Wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie niechęć i gniew. Widziała to wszystko w twarzy

Jacka, kiedy wszedł przed chwilą do sypialni. Nie wyglądał już jak mściciel, szukający sprawiedliwości, ale raczej jak pokonany rycerz, który do końca chce być szlachetny.

To nie zmieniało jednak faktu, że czuł się schwytywany w pułapkę. I że jej nie kochał.

Russell wpatrywał się w fotografię leżącą na jego biurku. Dostarczono mu ją dziś rano przez specjalnego posłańca. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, co na niej zobaczył. We własnej osobie!

Sugestia Sigmunda, że James Flint może być niebezpieczny, skłoniła Russella, by dowiedzieć się czegoś więcej. Ale dopiero kiedy dotarła do niego ta fotografia, zdobyta przez Sigmunda i jego ludzi, poszczególne części układanki ułożyły się w całość.

Russell nigdy nie poznał osobiście Aleca Portera, choć widział wcześniej jego zdjęcia. I to nieraz. Pokazywał mu je Joseph Kinnard, który wynalazł Portera, pilota oblatywacza, byłego wojskowego.

Russell nie zwrócił na niego większej uwagi. Nie widział potrzeby. Porter był tylko pionkiem, kimś, kogo się używa i wyrzuca. Nawet za milion lat nie skojarzyłyby go z obecną sytuacją. To był tylko jeden ze sługusów Kinnarda.

Ale Russell go nie docenił.

Zdumiewające było to, jak facet potrafił zmieniać wygląd. To stąd ten zwariowany image. Szkła kontaktowe, włosy, dziwaczne ciuchy. Kamuflaż.

Russell wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się na łodzie kołyszące się na falach Zatoki. Powiniennem dziękować Bogu za Sigmunda, pomyślał. Miał nadzieję, że to wszystko potoczy się inaczej. Ale skoro na scenie pojawił się Porter, Russell musiał przyspieszyć bieg spraw. Zacząć działać. Był ciekaw, czy uda mu się w końcu zrealizować wszystkie swoje plany.

Westchnął głęboko, odrobinę przygnębiony całą sytuacją. Ostatnio wszyscy jakby sprzysięgli się, by mu sprawiać kłopoty. Tak, jak zeszłego wieczoru. Angela.

Zjedli razem cudowną kolację. Dziewczyna wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Sukienka, fryzura... wszystko było doskonałe.

Może tu właśnie tkwił błąd. Russell tak bardzo upodobił ją do Sydney, że w końcu, kiedy się kochali, zapomniał, kto pod nim leży.

Z początku Angela nie miała nic przeciwko temu, że był odrobinę brutalny. Szepnęła nawet: „kocham cię, Russell”. Upłynęło

dużo czasu, od kiedy ostatnio jakaś kobieta mu to powiedziała. Kocham cię...

I wtedy pomalutku, niemal wbrew jego woli, jego ręce zaczęły zaciskać się na tej ślicznej szyi. Sydney, jak mogłaś mnie zdradzić... powinnaś mnie kochać. Mocniej... jeszcze mocniej.

Nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, dopóki Angela nie zaczęła wrzeszczeć.

Ale on słyszał w swojej głowie tylko głos Sydney. To Sydney krzyczała na niego, nazywając go „gnojkiem”. Sydney mówiła mu, że ma od niej zabierać „swoje brudne łapy”. Że zadzwoni po policję.

„FBI jest już w drodze, Russell...”

Kiedy w końcu puścił Angelę, nie powiedziała ani słowa. Porwała swoje rzeczy i uciekła.

Dzisiaj, wcześniej rano, zadzwonił do kwiaciarni. Kazał wysłać jej co godzinę tuzin czerwonych róż, choć i tak nie sądził, by to w czymkolwiek pomogło.

Zawsze było tak samo. Sydney, Angela... nawet jego córka. Zawsze mnie zawodzą.

W zeszłym tygodniu wyczuł, że Rocky oddała się od niego, że ma przed nim tajemnice. Przez rok zachowywała się tak, jakby na świecie nie było nikogo innego, a teraz nagle zaczęła go unikać. „Nie dzisiaj, Tatusiu. Muszę pracować do późna. Może w przyszłym tygodniu gdzieś razem wyskoczymy”.

Sprawiała mu ból świadomość, że Rocky w końcu go zdradzi. Nie mógł liczyć na lojalność nawet ze strony własnego dziecka.

Odwrócił się od okna i zaczął krążyć po pokoju, przyglądając się meblom i dziełom sztuki. Wszystkie bezcenne, wszystkie wyjątkowe. Usiadł z powrotem przy biurku i skoncentrował się na fotografii Aleca Portera.

O, tak. Sigmund był wart każdego centa, którego Russell mu płacił.

Raport, który przyszedł razem z fotografią, wyjaśniał, na jakiej zasadzie Alec Porter pracował dla Sydney. Było tam również wspomniane, że są ze sobą związani uczuciowo... prawdopodobnie dlatego zerwała zaręczyny z Jacksonem Bossem. Wyglądało na to, że Porter jest niezłym Casanovą.

Ale Sydney nie miała zielonego pojęcia, z kim się zadaje. Niemożliwe, żeby wiedziała. Ponieważ Alec Porter popełnił tę jedną zbrodnię, której Sydney nie była w stanie wybaczyć.

Zabawne, pomyślał Russell. Zachowywała się wyniośle jak królowa, a przez cały czas sypiała z wrogiem. Z Alekiem Porterem. Z człowiekiem, który zabił Henry'ego.

- Serce mi pęka, ale muszę powiedzieć ci prawdę, najdroższa - powiedział na głos, jakby chciał przeciwwić tę kwestię.

Uśmiechnął się. Najwyższa pora kończyć tę zabawę.

Ostateczna rozgrywka

Rozdział 28

Przysłowie mówi: Nie wchodź do jaskini lwa. Wizyta w gabinecie Russella przypominała raczej Sydney skok bez spadochronu z samolotu.

A jednak nie bała się. Jej spokój wydawał się wręcz nienaturalny. A może była po prostu zmęczona i wierzyła, że z jego strony nic gorszego już jej nie spotka. Osiągnął swój cel. Sprawił, że przejęła się jego groźbami, że śniła o nich po nocach i budziła się przerażona, zastanawiając się, kogo Russell skrzywdzi w następnej kolejności.

Siadając na wprost jego biurka, czuła się tak, jakby byli dwójką wojowników, szykujących się do pojedynku. I co z tego, że jedno z nich miało bazookę, a drugie tylko procę? Wystarczyłoby, gdyby posłała mu jeden, dobrze wymierzony kamień między oczy.

- Miałam bardzo urozmaiconą noc - powiedziała, zakładając nogę na nogę i odwzajemniając jego uśmiech. - Chcesz posłuchać? - Zmarszczyła brwi, jakby nagle coś sobie przypomniała. - Co ja mówię. Przecież ty wiesz wszystko na ten temat.

Russell spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Niestety, słyszałem już tę smutną nowinę. Jakież to musiało być dla ciebie przykre, Sydney.

- Jakoś nieszczerze to zabrzmiało. - Jego ironia nie robiła na niej żadnego wrażenia.

Usiadł za biurkiem, wciąż się uśmiechając. Z pudełka, które swego czasu kupił mu Sydney, wyjął swoje ulubione cygaro, Opus X.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Sydney? - zapytał.

- Zastanawiam się, co jeszcze wymyślisz. Może wsadzisz mnie do armaty i wystrzelisz na Katalinę? Mogę ci podrzucić jeszcze kilka pomysłów, żeby podsyć twoją wyobraźnię. Jak do tej pory nieźle ci szło.

- O co mnie oskarżasz tym razem?

- Może jednak zdołalibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia. - Pochyliła się do przodu. - Co o tym myślisz, Russell? Zawrzyjmy umowę. Powiesz mi, czego chcesz, i dasz mi spokój. Czy nie byłoby miłe, gdybyśmy to załatwili wyłącznie między sobą, hmmm? Bez podpalania budynków i maltretowania twojej córki. Tylko ty i ja. Wydaje mi się, że to mogłoby ci sprawić nawet więcej satysfakcji.

Przecież tego zawsze chciałeś. Mieć mnie na muszce. - Uniosła ręce, jakby się poddawała. - Proszę bardzo, Russell, celuj dobrze.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym specjalnymi szczypcami odciął koniec cygara. Chyba nigdy nie wyglądał na bardziej pewnego siebie. Jak za dawnych czasów. I świetnie się bawił. Sydney sprężyła się, wiedząc z doświadczenia, że zaraz nastąpi cios.

- Sydney, kochanie. O wiele za późno zrozumiałaś zasady tej gry. Odłożył szczypce do cygar. Wziął zapalniczkę i roześmiał się, kręcąc głową, jakby coś zabawnego przyszło mu do głowy.

- Mam dla ciebie kilka niemiłych wieści - powiedział. Jego twarz nagle przybrała poważny wyraz. - Joseph Kinnard został wczoraj zabity w jednej z tych okropnych więziennych bójek.

Sydney zamknęła oczy, zaszokowana tą wiadomością. Joseph nie żyje! Jedyny człowiek, który znał prawdę, który mógł pomóc jej unieważnić ugodę Russella, składając nowe zeznanie. Russell musiał się dowiedzieć, że rozmawiałam z Josephem.

Musiał przez cały czas wiedzieć, co planowała. I zadziałał.

Kiedy otworzyła oczy, czuła się tak, jakby cała krew uciekła jej z mózgu. Zdała sobie sprawę, że patrzy na mordercę.

- Mój Boże, Russell. Zabiłeś go.

- To więzienie, Sydney, nie sanatorium. - Przypalił cygaro, obracając jego czubek nad płomieniem. - Otoczenie o podwyższonym ryzyku. I niby jaki mogłem mieć motyw?

Wyraźnie się z nią drażnił. To było dla niego jak gra.

- Obawiam się, że mam coś jeszcze. - Odstawił zapalniczkę, ustawiając ją w jednej linii z pudełkiem cygar, jak pionek na szachownicy. - Jesteś gotowa? To będzie o wiele gorsze.

Zniszczył muzeum i próbował ją zastraszyć. Przed chwilą praktycznie się przyznał, że zaaranżował morderstwo. Odejdź, ostrzegł Sydney wewnętrzny głos. Idź stąd, póki jeszcze możesz. Uciekaj! Cokolwiek Russell miał dla niej w zanadrzu, nie mogło być miłe. A jednak nie mogła się ruszyć.

Russell obracał w ustach dym z cygara.

- Rozumiesz chyba, że mogę mówić tylko hipotetycznie. Dla naszego wspólnego dobra.

Od czasu pożaru nie spała. Czasami brak snu sprawiał, że rzeczywistość wydawała się mglista, jakby zasnuta pajęczyną. Ale w

tej chwili wszystko było idealnie wyraźne. Sydney czuła się tak, jakby stapała po ostrzu brzytwy.

- Oskarżałaś mnie o zamordowanie Henry'ego. - Odłożył cygaro.
- Jak się zaraz przekonasz, nie zrobiłem tego... ale wiem, kto to zrobił. I ty też wiesz. Zdaje się, że nawet całkiem dobrze go znasz.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Pamiętasz tamten dzień? - powiedział, przywołując wspomnienia. - Rutynowy lot testowy podczas konferencji prasowej. Całkowicie bezpieczny.

A jednak nie był bezpieczny. Ani trochę. Awaria tego samolotu była potrzebna Russellowi. Inaczej musiałby zrezygnować z miliardowych kontraktów nagrywanych mu przez Josepha Kinnarda. Uszkodził samolot, wiedząc, że Henry - jego wspólnik i przyjaciel - będzie na pokładzie.

Russell pochylił się do przodu, gotów do wielkiego finału.

- Miałaś zupełną rację, Sydney. Kinnard zadbał o to, żeby tamtego dnia miała miejsce awaria. Ma się rozumieć, nie po to, by zabić Henry'ego. Ale to by wyglądało podejrzanie, gdyby Reck Enterprises nie miało przedstawiciela na pokładzie samolotu, który spadł na ziemię. Henry upierał się, że chce polecieć. O ile sobie przypominasz, to był jego ukochany projekt. A ja byłem jeszcze użyteczny dla Kinnarda.

Sydney zacisnęła kurczowo palce na poręczach fotela.

- Bardzo wygodna sytuacja.

Nie mogła pokazać po sobie strachu. Nie chciała dać Russellowi tej satysfakcji. Ale słuchała jego słów napięta do granic wytrzymałości. Nie zabiłem Henry'ego... ale wiem, kto to zrobił.

- Nie miałem pojęcia, co on planuje. Sydney. Przysięgam. Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, ale śmierć Henry'ego do tej pory sprawia mi ogromny ból. Potem zapytałem o to Kinnarda wprost. Ten wypadek wydał mi się odrobinę za bardzo na rękę. Jeden z ludzi, którzy zginęli tego dnia razem z Henrym, był dla Josepha wielkim zagrożeniem.

Russell zrobił dramatyczną pauzę. Wiem, kto zabił Henry'ego.

- Jak się okazało, pilot... odkryłem, że był to jeden z ludzi Kinnarda. Joseph nazywał ich, zdaje się, „specjalistami”. Ten pilot podmienił oprogramowanie, które testowaliśmy, powodując

katastrofę. Musiał być geniuszem komputerowym, a równocześnie utalentowanym pilotem - oblatywaczem.

Sydney wstrzymała oddech. Siedziała na krześle, ale podłoga usuwała jej się spod nóg. Zdawało jej się, że już nigdy nie zdoła chwycić powietrza. Jej płuca były tak skurczone, że aż bolały.

Geniusz komputerowy, pilot oblatywacz.

Sydney wstała.

- Nie.

Russell mówił o Alecu.

- Bardzo się cieszę, że tu dzisiaj przyszłaś, Sydney. Nieważne, z jakich powodów. Musiałem cię ostrzec. Zrobiłbym to wcześniej, ale sam dopiero teraz wszystko poukładałem w całość.

Sydney zrobiła jeszcze jeden krok w tył, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Obawiam się, że to prawda, kochanie. Alec Porter się tobą posługuje. Po katastrofie próbował szantażować Josepha. To był poważny błąd. Joseph oczywiście próbował go zabić. Porter się wystraszył i przyczaił się gdzieś przez ponad rok.

Sydney przypomniała sobie te wszystkie zdjęcia w szufladzie Aleca. Dżungla. Plaża. Zdjęcia egzotycznych zakątków rozsianych po całym świecie.

- Potem widocznie przyszedł do ciebie. Musiał zdobyć dowody, by unieszkodliwić Kinnarda i każdego, kto mógłby mu zagrazać, co oczywiście obejmowało również mnie. Zakładam, że to Porter nakłonił cię, żebyś zadzwoniła do FBI.

Sydney wciąż widziała przerażone oczy Aleca, kiedy powiedział jej: „Zrobiłem coś. Coś bardzo złego, Syd”.

- Porter wiedział, że wykańczając mnie, wykończy i Josepha. Nasze losy były ze sobą związane. Kiedy Joseph znalazł się za kratkami, Porter był bezpieczny.

Sydney mogła sobie wyobrazić, jak wygląda. Stała przed nim, wciąż kręcąc przecząco głową, z przerażeniem na twarzy. Musiała stąd wyjść, nie mogła tego dłużej słuchać. Musiała odszukać Aleca. Porozmawiać z nim. Usłyszeć od niego, że Russell kłamie.

Ale to wszystko, co mówił Russell miało, niestety, sens. Sama dobrze pamiętała: kiedy powiedziała Alecowi, że zawsze będzie go kochać, ostrzegł ją.

„Nie składaj obietnic, których nie będziesz mogła dotrzymać”. Kiedy wychodziła, Russell zawołał za nią:

- Bądź ostrożna, kochanie. On cię wciąż wykorzystuje.

Alec właśnie otworzył drzwi do swojego mieszkania, kiedy odezwał się telefon. Zrzucił kurtkę, ignorując sygnał i pozwalając, by włączyła się sekretarka. Nie poszedł dziś do Sydney; zamiast tego przyjechał tutaj, by popracować nad programem, który napisał w zeszłym tygodniu. Program miał mu zapewnić bezpośredni wgląd do prywatnych danych Recka. By wyeliminować tego skurczybyka, Alec musiał zdobyć dowody. Kłopot w tym, że do tego potrzebny był mu dostęp do jego komputera. Pożar w galerii uruchomił dzwon alarmowy w jego głowie. Musiał wsadzić Recka do paki. Im szybciej, tym lepiej.

Siadał właśnie do stołu i wyjmował laptopa, kiedy z głośnika sekretarki usłyszał głos Recka.

- Jeśli tam jesteś, Porter, to lepiej odbierz. Mówi Russell Reck. Alec skoczył do telefonu. Doskonale wiedział, co oznacza ta rozmowa. Koniec gry.

- Słucham - powiedział.

- Sydney właśnie wyszła z mojego gabinetu. - Nastąpiła pauza. Alec czekał w napięciu. - Jest bardzo zdenerwowana.

- Widocznie nie aż tak bardzo, skoro do mnie dzwonisz. Na jej miejscu wpakowałbym ci kulkę między oczy.

W słuchawce rozległ się śmiech Russella.

- Ale to nie przeze mnie się zdenerwowała.

Alec poczuł, że zaraz się udusi. Powiedział jej. Powiedział jej o wszystkim.

- Jesteś za kiepski, żeby się ze mną mierzyć, Porter. Zawsze byłeś - powiedział Reck i rozłączył się.

Alec upuścił słuchawkę, zeszywniały ze strachu. Strach tak silny, że czujesz się jak na haju. Kiedy stawał oko w oko z błękitnym niebem, trzymając stery samolotu, taki przyływ adrenaliny działał na niego jak narkotyk. Ale w tej chwili zrobiło mu się po prostu słabo.

Russell Reck zdradził Sydney jego tajemnicę.

Pewnych rzeczy nie da się wybaczyć.

Alec pognał w dół po schodach i wsiadł do samochodu. Ruszył z piskiem, zostawiając czarne ślady na asfalcie. Był pogodny piękny dzień w słonecznej Kalifornii... a on nie mógł oddychać.

Stracił albo odrzucił z własnej woli wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie w jego życiu. Może to było przeznaczenie, może nie dało się tego zmienić. Nieważne, co zrobił, by naprawić dawne błędy. I tak wracały do niego jak bumerang i mściły się na nim.

Wziął ostro zakręt, korzystając z tego, że ulice były puste. Zdawało mu się, że jest taki cholernie sprytny. Wkręcił się do przedsiębiorstwa Recka i uzyskał dostęp do danych. Myślał, że da radę zrobić to dla Sydney. Że będzie jej bohaterem. Wmówił sobie, że Reck nie zdoła go namierzyć. Teraz zastanawiał się, od jak dawna Wrakarz ma go na muszce.

Ona mnie teraz znienawidzi, pomyślał.

Tym razem nie było tak, jak w Argentynie, kiedy on okazał się dupkiem, a ona wyszła z pokoju. Wiedział, że tym razem nie zdoła tego naprawić, cokolwiek jej powie.

To było jak w jego koszmarnym śnie. Kiedy nie mógł oddychać i leżał, godząc się z tym, co nieuniknione.

To tak wygląda śmierć...

Kiedy Sydney wróciła do domu, Alec już na nią czekał. Próbowwała złapać go przez telefon komórkowy, dzwoniła też do domu i do jego mieszkania. Zostawiła mu nawet wiadomość na pagerze. Jadąc do domu, powtarzała sobie w kółko, że Russell kłamał. Dowiedział się o Alecu i chciał ją wyprowadzić z równowagi. To było tak samo, jak z tamtym strasznym psem i samochodem, który omal jej nie przejechał. Jeszcze jedna wstrętna sztuczka Russella.

Musiała tylko znaleźć Aleca. On powie jej prawdę.

Ale kiedy zobaczyła go, siedzącego na kanapie, nie była już taka pewna. Było coś dziwnego w wyrazie jego twarzy, w jego postawie. Pochylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach, wyglądał na pokonanego.

Zamknęła za sobą drzwi, coraz bardziej zaniepokojona.

- Russell do mnie dzwonił - powiedział.

Sydney upuściła klucze w przedpokoju. Nie miała pojęcia, jakim cudem zdołała wejść tak spokojnie do salonu. Jakby nic się nie stało. Jakby serce nie pękło jej w piersi.

Zatrzymała się przed kanapą, nie mając odwagi, by podejść bliżej. Jeszcze nie.

- Powiedział, że to ty zabiłeś Henry'ego.

Alec zamknął oczy, dając jej w ten sposób odpowiedź.

- Nie, Alec. Boże, proszę. Nie.

Alec wstał i wziął ją w ramiona. Tulił ją tak mocno, jakby się bał, że zaraz zniknie. Ręce Sydney zwisały bezwładnie u jej boków.

- Kocham cię, Sydney. Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Cokolwiek się stanie, nie będzie już w moim życiu nikogo takiego jak ty. Nigdy. Tak bardzo cię kocham. I będę cię kochał zawsze.

Odsunęła się od niego. Alec nie zrobił żadnego ruchu, by zatrzymać ją w swoich ramionach.

- Od tak dawna marzyłam, że usłyszę od ciebie te słowa - powiedziała. Przyszła jej do głowy przedziwna myśl; że powinien teraz wyglądać jakoś inaczej. Powinien być brzydszy, odsłonić w jakiś sposób swoją prawdziwą twarz. Kiedy dowiedziała się prawdy o Russellu Recku, wszystko się zmieniło.

Alec wyglądał cały czas tak samo.

- Ale wcześniej nie mogłeś mi tego wszystkiego powiedzieć, prawda? Nie mogłeś mi powiedzieć, że mnie kochasz. Myślałam, że odrzucała cię myśl o poważnym związku. Myślałam, że tego się bałeś. I bałeś się. Byłeś przerażony. Ale nie dziećmi i małżeństwem.

- Sydney, gdybym mógł to naprawić...

Ale nie mógł. Ten jeden, jedyny raz Russell nie skłamał.

- Och, Alec.

Potrząsnęła głową i zakryła dłonią usta, bo nie chciała już mówić, płakać, nawet oddychać. Zamknęła oczy. Padła na kanapę, usiłując wymyślić jakiś sposób, jak przeżyć tę straszną chwilę.

Kiedy się uspokoiła - kiedy mogła już złapać oddech - otworzyła oczy.

Aleca nie było.

Rozdział 29

Zeszłego wieczoru Rocky dostała miesiączki. Poszła do łóżka wcześniej. I sama.

Leżała godzinami, nie mogąc zasnąć, i próbując zrozumieć, dlaczego czuje się rozczarowana. To na pewno jakieś dziwne zawirowanie hormonalne sprawiło, że płakała jak głupia, aż oczy jej spuchły. Miała dopiero dwadzieścia trzy lata; było jeszcze mnóstwo czasu na zakładanie rodziny. Decydując się na urodzenie dziecka mężczyzny, który jej nie kochał, mogła się spodziewać tylko cierpienia. Powinna się cieszyć, że ten koszmar się już skończył.

Ale rano przekonała się, że tak naprawdę to dopiero początek.

Kubek z kawą wypadł jej z ręki i roztrzaskał się na podłodze, kiedy rzuciła okiem na gazetę. Na pierwszej stronie widniał tytuł: „Pedofil zatrudniony w dziecięcej galerii”.

Nigdy w życiu nie ubierała się w takim pośpiechu, nigdy nie jechała tak szybko przez miasto. Wciąż zadyszana, wpadła jak burza do gabinetu ojca i rzuciła mu gazetę na biurko.

Strażnik. Człowiek, którego poleciła zatrudnić za namową ojca. Ten, który rzekomo tak mu pomógł w więzieniu. „Zasługuje na szansę”.

- Posłużyłeś się mną!

Twarz ojca nie wyrażała absolutnie żadnych uczuć.

- Pomyliłem się co do niego.

- Och, daj spokój. Nie jestem aż taka naiwna. Już nie, Tatusiu. Teraz rozumiem, dlaczego dałeś mi całe lato na decyzję, co chcę robić w Reck Enterprises. Potrzebowałeś mnie w galerii. Wezwania sądowe, niebezpieczne pożary, a teraz to? - zapytała, wskazując palcem nagłówek. - Jaką niespodziankę jeszcze szykujesz dla Sydney? Dokąd to prowadzi?

Russell wstał. Nie był już tak obojętny, jak na początku.

- O co ty mnie właściwie oskarżasz?

Zastanowiła się przez chwilę, szukając odpowiednich słów. Chciała, by ojciec dobrze ją zrozumiał.

- W szkole prawniczej czytaliśmy o takich paskudnych procesach. Czasem naprawdę było trudno rozpoznać, kto jest czarnym charakterem. Ale wszystko polegało na tym, by wyłapać istotne fakty, zastosować odpowiedni przepis prawny i wyciągnąć końcowe

wnioski. Może kiedyś sprawiało mi to trudność. Ale w tej chwili wszystko jest doskonale jasne.

Russell wyszedł z za biurka.

- To musi być dla ciebie szalenie trudny okres, skarbie...

- Nie - powiedziała, zatrzymując go. - Nawet nie próbuj. Przyglądał jej się, oceniając sytuację.

- Powinienem był to przewidzieć - powiedział spokojnie. Zbyt spokojnie. - Powinienem był od początku bardziej stanowczo pokierować twoimi decyzjami.

- Dlaczego to zabrzmiało jak groźba?

- Powinnaś być po mojej stronie, Rocky.

- Nawet ja nie potrafię się zdobyć na tak ślepą wiarę. Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Przed oczami wciąż miała ten fatalny tytuł z gazety. Posłużył się mną!

Od progu wystrzeliła jeszcze ostatni pocisk.

- Firma jest na moje nazwisko. Potrzebujesz mnie przynajmniej do tego, by stworzyć sobie wygodny schowek dla twoich pieniędzy. Ale ja mam zamiar położyć kres twoim atakom na Sydney. Natychmiast.

- Rocky, nie rób sobie ze mnie wroga. Uśmiechnęła się do niego.

- Och, Tatusiu, nie wiedziałam, że jesteś taki sentymentalny. Widziała, że wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił. Wyglądał tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie jest nietykalny. Grożąc Rocky, wystawiał na niebezpieczeństwo swoją firmę. Ruszył w stronę córki z wyciągniętymi ramionami, jakby chciał ją objąć, ale Rocky zobaczyła w tym geście tylko zmianę taktyki.

- Rocky, kochanie, jesteśmy rodziną... Uniosła rękę, przerywając mu w pół zdania.

- Wiesz co, Tatusiu? Śmieszne, że dopiero teraz to zrozumiałeś. Wręcz żalotne. Bo w tej chwili to ja nie mam ochoty być twoją córką. Prawdę mówiąc, ciarki mi chodzą po plecach, kiedy na ciebie patrzę.

Wychodząc z biurowca Reck Enterprises, zdała sobie sprawę, że jej ojciec jest chorym człowiekiem. A ona przez cały czas pomagała mu i go chroniła.

Jadąc do galerii, wciąż o tym rozmyślała,. Chciała znaleźć Sydney. Nie miała pojęcia, co jej powie. Przeprze? Będzie błagać o wybaczenie? A może powie po prostu prawdę: po raz pierwszy w

życiu myślała, że ojciec ją kocha i ta fantazja uczyniła z niej marionetkę.

Kiedy parkowała przed wejściem do galerii, zauważyła, że budynek otacza spory tłumek dziennikarzy. Widocznie dziś nie mieli ciekawszych tematów. Rocky musiała przepychać się do drzwi. W środku ekipa sprzątaczy wciąż machała ścierkami; wszystkie ściany były zakopcone po pożarze. Nie było dziś stałego personelu. Opustoszała galeria robiła rozpaczliwie przygnębiające wrażenie. Rocky wydało się nagle, że to ponura zapowiedź przyszłości.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jej ramieniu, obracając ją w miejscu. Rocky znalazła się nagle oko w oko z Jackiem. Wyraz jego twarzy... Trzymaj się, ostrzegł ją wewnętrzny głos. To nie będzie przyjemne.

Ciągnąc ją korytarzem, nie odezwał się ani słowem. O mało się nie potknęła, kiedy wepchnął ją do swojego gabinetu. Sydney już tam była; ustawiała w kącie jakieś pudła. Uniosła głowę i uśmiechnęła się, ale uśmiech zniknął z jej twarzy, na widok Jacka, który wszedł do pokoju tuż za Rocky.

- Właśnie rozmawiałem z Margie Snell. Pamiętasz Margie, prawda, Rocky? To ona zwykle decydowała, kogo zatrudnimy. - Zwrócił się do Sydney. - Opowiedziała mi, jak to Rocky osobiście przyniosła jej podanie o pracę tego strażnika i przekonała ją, że człowiek, który odsiadywał wyrok za molestowanie swoich pasierbów, będzie doskonałym dodatkiem do naszej ekipy. Do diabła Rocky, wrobiłaś nas!

- Nie wiedziałam o tym. Russell się mną posłużył. Jack złapał ją obiema rękami za ramiona.

- Postaraj się bardziej!

- A co, Jack? Mam paść przed tobą na twarz i wyznać, jaką straszną zbrodnię popełniłam, wierząc własnemu ojcu?

- To nie będzie takie proste, skarbie. Jutro przy frontowym wejściu będzie stał nowy strażnik, a twojego nazwiska nie będzie na liście gości.

Sydney odepchnęła go do tyłu, rozdzielając ich siłą.

- Dość tego!

Ale Jack wciąż patrzył Rocky w oczy.

- Kłamiesz na każdym kroku. I wykorzystujesz ludzi, nie widząc w tym nic złego.

- Wykorzystuję ludzi? - Rocky omal się nie zakrztusiła tymi słowami. - Kto tu kogo wykorzystał, Jack?

- Nie wykręcisz się. To ty przez cały czas wszystkimi manipulowałaś.

- Jack! Przestań! - krzyknęła Sydney.

- Nie daj się jej omotać - powiedział Jack. - To właśnie był mój błąd. Dałem się omotać.

Chciałam tylko, żeby mój ojciec mnie kochał, pomyślała Rocky. Ale widziała, że u Jacka nie będzie miała taryfy ulgowej. Jack chciał, żeby Rocky okazała się złą dziewczynką. Mógłby ją wtedy usunąć ze swojego życia, a wspomnienie o niej wetknąć do szufladki z napisem „błędy młodości”. Tak łatwo wcielił się w rolę oszukanego. Mógł się zrzec wszelkiej odpowiedzialności, pod pretekstem że Rocky przez cały czas mydliła mu oczy.

Myśląc o tym wszystkim, zapragnęła się zemścić. Chciała sprawić, żeby cierpiał tak samo, jak ona.

- Nie martw się, Jack - Rocky nie potrafiła stłumić goryczy w swoim głosie. - Nie jest aż tak źle. Przynajmniej nie jestem w ciąży.

Sydney otworzyła szeroko oczy. Odwróciła się i spojrzała na Jacka z niedowierzaniem.

- Ojej - powiedziała Rocky, usiłując się powstrzymać od płaczu. Zrobiła chwiejny krok do tyłu. - Czyżbym się wygadała?

Przepchnęła się obok Jacka, nie zwracając uwagi na wołanie Sydney, która chciała ją zatrzymać. Przeraziło ją to, co zrobiła. Pozwoliła, by gniew wydobył z niej wszystko, co najgorsze; zraniła jednocześnie Jacka i Sydney.

Nie dał mi nawet szansy.

Jack oczywiście pobiegł za nią i dogonił ją przy głównym wejściu. Nie zatrzymała się, zmuszając go, by przepychał się razem z nią między ekipami dziennikarzy. Nie odważył się odezwać, dopóki nie dotarli na parking położony kilka domów dalej.

Próbowała odepchnąć go i wsiąść do samochodu, ale zatrzymał ją, stając między nią a drzwiczkami.

- Już po wszystkim, Jack. Masz mnie z głowy. Dostałam okresu, nie jestem w ciąży. Jesteś wolnym człowiekiem.

- Ale ty nie jesteś - powiedział. - Ten skurczybyk ciągle ma cię w garści. Naprawdę tak zamierzasz przeżyć swoje życie? Rzucić studia, zostać jego kukielką?

- Co cię to obchodzi? Nawet jej nie powiedziałaś. - Poczula ze zdziwieniem, że głos więźnie jej w gardle. - Nawet nie pomyślałaś o tym, żeby jej o nas powiedzieć. Miałam na zawsze zostać twoją małą brudną tajemnicą.

- A skąd ja mam wiedzieć, jak by to wyglądało? Nie dałaś nam szansy, żebyśmy się przekonali.

- Więc to moja wina? Nie wmówisz mi tego. Powiedzmy to sobie szczerze, Jack. Nigdy nie byłam dla ciebie dość dobra. Przecież nie byłam Sydney, prawda?

Wyraz jego twarzy zmienił się; Jack pokazał się nagle z zupełnie innej strony. Potrafił być bezwzględny.

- Ale muszę ci powiedzieć, że jesteś świetną aktorką, kochanie. Grasz doskonale, szczególnie w łóżku. Nie znam nikogo lepszego.

Rocky pokręciła głową, chowając prawdziwe uczucia pod maską uśmiechu. Ze też stać go na takie okrucieństwo.

- Wiesz co? Do tej chwili myślałam, że jestem ci coś winna. Ale teraz chyba jesteśmy kwita.

Tym razem Jack nie próbował jej zatrzymać. Ta scena mogła stać się tylko jeszcze bardziej obrzydliwa. Odsunął się na bok, patrząc zimno na Rocky.

Kiedy siedziała już w samochodzie, opuściła szybę.

- Żal mi ciebie, Jack - powiedziała. - Dałam ci coś wyjątkowego. Coś, czego nie dam już nikomu innemu. A ty to odrzuciłeś. I nie mówię tu o swoim dziewictwie, ty gnojku.

Ruszyła ostro z miejsca, o mało go nie przejeżdżając, kiedy nie zszedł jej z drogi dość szybko. Ale przynajmniej nie zalała się łzami. Pozwoliła sobie na to dopiero za rogiem, kiedy zatrzymała się na czerwonym świetle.

Chciała dopieć tylko Jackowi. Nie powinna była odzywać się przy Sydney. Miał rację, że zachowywała się jak dziecko. Biedna Sydney. Jedyne osoba, która się o nią troszczyła, niezależnie od okoliczności.

Był czas, że Rocky chciała skrzywdzić Sydney. Bardzo chciała. Może nie da się już cofnąć tych uczuć. Może, kiedy raz wyzwoliła swoją nienawiść, jej ból zyskał własne, niezależne życie.

A teraz z jej powodu Sydney była zrujnowana. Owszem, Rocky mogła uratować galerię za pomocą swoich pieniędzy, ale nie była w stanie odkupić jej dobrego imienia.

Kiedy zapaliło się zielone światło, Rocky nie ruszyła naprzód. Zjechała na krawężnik i wyłączyła silnik.

Nie miała pojęcia, co robić. Nie wiedziała, jak mogłaby to wszystko naprawić.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Nie wiedziała, jak stać się kimś innym, kimś, kto nie byłby podobny do ojca. Kobieta, która nie krzywdzi wszystkich, których kocha.

Rozdział 30

Wczoraj, po wyjściu Aleca, Sydney długo nie ruszyła się z kanapy. Nie myśl. Nie czuj. W końcu wczołgała się do łóżka i zwinęła w kłębek. Wciąż jeszcze czuła na pościeli zapach Aleca; poduszki były przesycone zapachem jego wody po goleniu. Gdy rankiem niebo się rozjaśniło, ona nie ruszyła się z miejsca. Leż. Nie ruszaj się. Zniknij...

Kiedy zadzwonił telefon, mało brakowało, aby go nie odebrała. Poprzedniego dnia wyłączyła automatyczną sekretarkę, by odciąć się od świata. Ale kiedy drażniący dzwonek nie milkł, pomyślała, że przeczolga się bliżej nocnego stolika, by przerwać ten hałas. Liczyła sygnały. Dziesięć, jedenaście.. . Zabrzmiało jeszcze kilka, zanim w końcu podniosła słuchawkę.

- Jezu, Sydney. Czytałaś dzisiejszą poranną gazetę? - To był Jack. W jego głosie brzmiała panika.

Nie odzywając się ani słowem, słuchała opowiadania Jacka, który wyjaśniał, co się stało. „Strażnik w muzeum odsiadywał wyrok za molestowanie dzieci. Sydney, to się dziś rano ukazało w gazecie"... I nagle nastąpiło coś zdumiewającego; zamiast wsunąć się głębiej pod kołdrę, słysząc te straszne wieści, Sydney usiadła na łóżku, zelektryzowana nowym wyzwaniem. Poczwała, że krew znowu krąży w jej żyłach.

Wczoraj czuła, że umiera. Teraz, kiedy odebrała telefon od Jacka, poczuła, że żyje na nowo.

Nigdy nie sądziła, że będzie za coś wdzięczna Russellowi. Ale zrozumiała, że potrzebowała tej potężnej dawki rzeczywistości dostarczonej przez poranną gazetę. Wyłaż z łóżka, Sydney! Rusz się! Przymknęła sobie, że stanie dziś do walki. Nie podda się i nie padnie pod ciosami Russella. I nawet później, po tej okropnej scenie, której była świadkiem w gabinecie - przytłoczona nieszczęściem Jacka i cierpieniem Rocky - próbowała nie tracić z oczu swojego celu. Potrafię powstrzymać Russella. Muszę go powstrzymać!

Przez cały dzień trzymała się kurczowo swojego postanowienia. Przedarła się jakoś przez czyhających na nią reporterów. Nie chciała poddać się wątpliwościom, które wkradały się do jej serca i szeptały uwodzicielsko: Poddaj się... daj sobie spokój. Nie miało dla niej znaczenia, że galeria była skazana, że Alec zniknął z jej życia. Postanowiła, że nie wróci do łóżka. Nie pozwoli Russellowi wygrać.

Ale życie wciąż miało dla Sydney kilka niespodzianek - musiała stanąć do walki o wiele wcześniej, niż się spodziewała.

Wchodząc na parking poczuła, że ktoś łapie ją od tyłu. Mając świeżo w pamięci poprzedni napad w ciemnej uliczce, z całej siły machnęła łokciem. Tym razem skutecznie. Słyszając, że napastnik stęknął głośno, obróciła się na pięcie, trzymając oburącz torebkę, by zadać nią cios. Mężczyzna zablokował jej zamach. Złapał torebkę za pasek i odwrócił Sydney tyłem do siebie, jak ktoś, kogo szkolono do walki. Posługując się torebką jak lassem, unieruchomił jej rękę. Dłonią zakrył jej usta.

- Do diabła, Syd - szepnął jej prosto do ucha. - Zdaje się, że złamałaś mi zebro.

Odwrócił ją do siebie, uśmiechając się szeroko. Sydney zdjęła dłoń Aleca ze swoich ust. Czowała, że serce tłucze jej się w piersi jak szalone. Znów czowała, że żyje.

- Co ty wyprawiasz?

- A jak to wygląda? Porywam cię. Trzymaj się. - Podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię jak worek ziemniaków. - To nie będzie bolało.

Alec zabrał Sydney w góry, do ośrodka wypoczynkowego nad Jeziorem Niedźwiedzim. Wynajął domek u stóp stoku narciarskiego. Droga dojazdowa była piękna... pod warunkiem, że nie miało się serca w gardle za każdym razem, kiedy opony piszczały na ostrych zakrętach.

Sydney siedziała na fotelu, pośrodku salonu urządzonego w wiejskim stylu. Nadgarstki miała przywiązane do poręczy. Minęło już piętnaście minut, a Alec nie odezwał się ani słowem. Po prostu stał naprzeciwko, wpatrując się w nią oczami pełnymi smutku.

Sydney wciąż zdumiewała się, że może być taki przystojny. Nie potrafiła zrozumieć, jak mógł jej się ciągle podobać. Jestem jak ćma lecąca w płomienie. Pamiętała, jaki odmieniony wydał jej się Russell, kiedy odkryła jego kłamstwa. Jakby przez cały czas nosił przebranie, a tamtego dnia maska spadła z jego twarzy. Na jej oczach zamienił się w zwierzę, w łajdaka, który oszukał ją za pomocą swoich sztuczek.

To, że nie mogła znienawidzić Aleca, w jakiś sposób powiększało jeszcze jej ból. Przychodziło jej do głowy, że byłaby w stanie zrozumieć, dlaczego ukrył przed nią prawdę. Potrafiłaby uwierzyć, że się zmienił; że pomagając jej w walce z Russellem, chciał

wynagrodzić zło z przeszłości. Potrafiłaby się ludzić, że przez cały czas chciał tylko dostać swoją drugą szansę.

Ale nie potrafiłaby zapomnieć o tym, co zrobił. Możliwe też, że nie znalazłaby w swoim sercu siły, by mu to wybaczyć. Och, Alec...

Westchnęła.

- Co niby chciałeś osiągnąć, przywożąc mnie tutaj i przywiązując do fotela?

Wyłonił się z cienia i podszedł do niej. Nigdy nie zdołała się przyzwyczać do tych jego jasnych włosów. Dla niej Alec zawsze był ciemnokim brunetem. Ale, niezależnie od przebrania, i tak był przystojny jak gwiazdor filmowy. Pożeracz serc.

Przystanął obok jej fotela.

- Pomyślałem sobie tylko, że skoro mam być czarnym charakterem - pogłaskał jej dłoń palcem - to chcę z tego mieć coś dla siebie.

- Szczerze wątpię, żebyś zdołał mnie namówić na seks, Alec. - Sydney uniosła dłonie na tyle, na ile było to możliwe.

Alec uklęknął przed nią, wpatrując się w jej źrenice. Miał takie piękne oczy; ciemne i figlarne. W tej chwili jednak spoglądały z niesamowitą powagą. Jakby chciał ją zahipnotyzować.

- Myślisz, że miałbym jakiś kłopot z uwiedzeniem cię tu, na tym fotelu?

Podciągnął w górę jej spódnicę, odsłaniając uda. Sydney poczuła, że jej skóra reaguje na jego dotyk.

- Ale tak się składa, Syd, że nie po to cię tutaj przywiozłem. Powoli opuścił głowę i oparł policzek na jej kolanach. Czują jego usta na skórze, jego dłonie, które przesuwały się w górę, po biodrach, by w końcu objąć ją w talii. Jego oddech na odsłoniętej nodze.

- Chciałem cię tylko przytulić Syd. Ten jeden, ostatni raz. Sydney pomyślała, że przecież nie powinna niczego czuć. A nawet jeśli, to tylko gniew. Alec okłamał ją. Wykorzystał. Uszkodził tamten samolot - zabił Henry'ego!

A jednak chciała z nim być. Chciała go poprosić, żeby ją rozwiązał; chciała się z nim kochać, zapomnieć o tym koszmarze, który zawładnął ich życiem. Chciała udawać, tak jak przez ostatni rok udawał Alec - że ich miłość jest jeszcze możliwa.

Jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Znam cię, Syd. To dla ciebie koniec. Kiedy stąd wyjdiesz, nie będę w stanie nigdy więcej cię dotknąć.

Uwolnił jej bluzkę spod paska spódnicy i podciągnął materiał w górę, odsłaniając brzuch. Z głębokim westchnieniem pochylił się do przodu i pocałował obnażoną skórę, tuż powyżej pępka. Spragniony czegoś więcej rozpiął guziki, od dołu aż do kołnierzyka.

Zsunął bluzkę z jej ramion i chwycił dłonią pierś, przez koronkę biustonosza pieszcząc kciukiem sutek. Raz, drugi. Patrzył, jak napina się pod jego dotknięciem.

Uniósł się, opierając ręce na poręczach fotela, i sięgnął ustami do jej ust.

- Alec...

- Cicho. Chcę cię tylko pocałować - szepnął.

Nie rób tego, powiedziała w duchu, mimo wszystko nie broniąc się, oddając mu pocałunek. Kiedy po jej policzkach potoczyły się łzy, poczuła ich smak w jego ustach.

- Kocham cię - wyszeptał. Uniósł ręce i przytrzymał jej twarz, kiedy próbowała ją odsunąć. - Boże, chciałem ci to powiedzieć od tak dawna - powiedział z ustami tuż przy jej ustach. - Kocham cię, Sydney.

Pocałował ją głębiej, tak słodko, tak kusząco... Przestała mu się opierać, oddając mu pocałunek coraz mocniej, gryząc jego wargi, coraz bardziej wściekła... by po chwili znów całować wszystkie obolałe miejsca.

Całowali się niemal rozpaczliwie, jak para dzieciaków, zbyt napalonych, by poczekać na lepszy czas i miejsce. Ale wkrótce jego pocałunki zmieniły się, stały jeszcze bardziej pożądliwe, sprawiając, że zapomniała o swoich związanych rękach, że wczepiła się w poręczę, wbiła paznokcie w obicie, przez cały czas wmawiając sobie, że gdyby nie była uwięziona w tym fotelu, nie pozwoliłaby sobie na to, by oddawać mu pocałunki. Ale teraz odpłacała mu pieszczotą za każdą pieszczotę... aż poczuła, że to za wiele... że to zbyt bolesne.

- Przestań, Alec - krzyknęła. - Proszę cię, przestań.

Oderwał się od niej, dysząc ciężko. To wyglądało niemal tak, jakby przed chwilą był gdzie indziej. Gdzieś, gdzie miał prawo się z nią kochać. Ale jej słowa sprowadziły ich oboje na ziemię. Oparł czoło o jej czoło, pokonany, z trudem chwytając oddech.

- Chciałbym... Boże, Sydney, chciałbym...

- Wiem - powiedziała, rozumiejąc aż za dobrze, czego pragnął. Chciałbym, żeby wszystko było inaczej.

Odgarnął włosy z jej twarzy dobrze znanym gestem. Dziwnie było patrzeć, jak rozwiązywał sznurki, które ją krępowały; widzieć, jak opadają na podłogę. Pomyślała, że powinna go nienawidzić. Gdzieś w głębi serca powinna odnaleźć w sobie choć odrobinę nienawiści.

Ale zamiast tego poprosiła tylko:

- Opowiedz mi wszystko.

Alec przysiadł na piętach. Pozbierał linki i zaczął je zwijać wokół dłoni, potrząsając głową, jakby bił się z myślami. Mogła sobie wyobrazić dyskusję toczącą się w jego mózgu: Nie, nie tak. To kiepska wymówka. Będziesz się musiał bardziej postarać, Porter.

Przeszedł przez pokój i usiadł z daleka od niej, na podwójnym fotelu dla zakochanych. Odległość między nimi wydawała się niemal symboliczna. Sydney uszanowała jego decyzję, zajmując miejsce na kanapie pod przeciwległą ścianą. Lampa na stoliku obok Aleca dawała niewiele światła, ale Sydney widziała, jak ciężko było mu znaleźć odpowiednie słowa, by się usprawiedliwić... a może nawet powiedzieć prawdę.

- Zrobiłaś kiedyś w życiu coś naprawdę złego? - zapytał. Sydney pomyślała o Russellu.

- Przychodzi mi na myśl moje ostatnie małżeństwo - odparła. Alec pokręcił głową.

- Nie chodzi mi o sytuację, kiedy wykorzystuje cię jakiś palant. - Rzucił sznurki na siedzenie obok siebie i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach tak, że jego twarz znalazła się w cieniu.

- Chodziło mi o rozmysłny zły uczynek. Z wyboru, ze świadomością konsekwencji... oszustwo, kradzież, czyjaś krzywda.

Nie to spodziewała się usłyszeć.

- Co ty mówisz, Alec? Chcesz powiedzieć, że z rozmysłem zabiłeś Henry'ego? Że zaplanowałeś jego śmierć?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, Syd. Ale może zrobiłem coś równie złego.

- Zabiłeś go, czy nie?

Słowa zdawały się odbijać echem od ścian pokoju. Sydney czekała, wiedząc, że wcale nie chce usłyszeć odpowiedzi.

- Zginął z mojego powodu, tak.

- Konsekwencje są trochę inne w przypadku...

- Konsekwencje są dokładnie takie same - powiedział, przerywając jej w pół zdania. Dodał cicho. - Henry nie żyje. Masz swoje konsekwencje. I żadne zawilości etyczne tego nie zmieniają, Syd.

- Jak to się stało? - zapytała. Musiała to wiedzieć. - W jaki sposób się w to wplątałaś?

Alec skinął głową.

- Joseph Kinnard zwerbował mnie do tej roboty. Potrzebował kogoś, kto zamieni oprogramowanie w prototypowym samolocie, który testowaliśmy tamtego dnia dla Reck Enterprises. Conor i ja stanowiliśmy załogę. On był pilotem dowodzącym, a ja jego zastępcą. Ale Conor nie miał pojęcia, co mam zamiar zrobić.

- Ale się dowiedział. - I to było powodem powstania przepaści, która oddzieliła Aleca od jego przybranej rodziny.

- O tak - powiedział Alec. - Dowiedział się. Ale dopiero potem, jak go wykopali z sił powietrznych. Widzisz, nikt nie wiedział o tym programie. Zwalili katastrofę na błąd pilota.

Słyszając jego słowa, Sydney zamknęła oczy. Poczula się tak, jakby uderzył ją w twarz. Ty tchórze. Złamałeś karierę własnemu bratu.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała, chcąc usłyszeć wszystkie ohydne szczegóły.

- Podmieniłem programy w nocy, przed lotem. Ochrona wpuściła mnie na pokład. Jako członek załogi miałem przepustkę. Nie było mowy, żebym coś zmajstrował przy samolocie, którym miałem lecieć, tak sobie myśleli. Więc po co uważać? Po piętnastu minutach od startu spadliśmy przez ten program. Zgodnie z planem.

Sydney nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Zawsze trudno jej było myśleć o Henrym. A teraz miała uwierzyć, że zabił go człowiek, którego kochała?

- Z Russellem było inaczej - powiedziała, chcąc mu wyjaśnić swoje uczucia. - Kiedy się dowiedziałam, co zrobił. Że mnie oszukiwał, kłamał. Że ukradł mnie Henry'emu, a potem go zabił, by przejąć kontrolę nad firmą. Tylko po to, żeby mieć więcej. Jeszcze więcej. Nienawidziłam go. I ta nienawiść była taka czysta, dawała mi taką siłę... - Z trudem złapała oddech. - Tak bardzo chciałabym cię znienawidzić, Alec.

Spojrzał na nią z głębokim zrozumieniem.

- Może powinnaś dać sobie jeszcze trochę czasu. Niech to do ciebie dotrze. Na pewno potrafisz mnie znienawidzić, Syd,

- Dlaczego, Alec? - krzyknęła. - Chodziło o pieniądze? A może zrobiłeś to dla kariery? Próbowałeś sobie otworzyć drogę do awansu w organizacji Kinnarda?

- To była paskudna posada, Syd.

Podszedł do kominka, twarzą zwrócony w stronę płomieni. Sydney nie była pewna, czy usłyszy od niego coś więcej. Ale ciągle nie mogła zrozumieć. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że zakochała się w potworze.

- Alec - powiedziała miękko - muszę wiedzieć więcej. Proszę.

- Taaak, wiem - odparł, zapatrzonego w ogień. - Tylko że ty chcesz, żeby to było coś szlachetnego. Na przykład, że nie miałem wyboru albo że nie wiedziałem, o co im chodzi. - Odwrócił się. Wyraz jego twarzy powiedział Sydney, że pewnie będzie rozczarowana.

Zaczął mówić:

- Czasami tak się czegoś boisz, że ten strach, który jest w tobie, robi się zbyt wielki. Przejmuje kontrolę. Jak chmura, która wisi nad głową i zmienia kolor całego otoczenia. „Jesteś zły, tak jak twój ojciec”. Człowiek robi się w końcu zmęczony czekaniem, kiedy to się wreszcie stanie; kiedy ludzie odkryją prawdę. Po prostu chce to mieć z głowy. To wszystko.

- Mówisz o Eddym? Próbujesz mi powiedzieć, że boisz się stać taki jak twój ojciec?

- Po jakimś czasie chcesz położyć temu kres. Pozbyć się strachu. Mówisz sobie „Tak, pewnie. Nie zasługuję na nic dobrego. No i już. Stało się. Jestem zły”. - Alec wzruszył ramionami. - Po czymś takim nie musisz się już przejmować.

- Dlatego, że stałeś się tym, czego się najbardziej obawiałeś?

- Nie wiedziałeś, że potrafisz być słaby? Daj spokój. Nie myślałaś chyba, że jestem jakimś wspaniałym, silnym bohaterem, co? - Spojrzał na nią twardo. - No więc, nie jestem. Nie potrafisz być taki, nawet dla ciebie. I nigdy tego nie żałowałem. Nawet przez minutę. Nie pozwoliłem sobie na żal. Kiedy zadałem się z tymi draniem, zraniłem Conora i Geenę, i wszystkich, których kochałem. I przez lata powtarzałem sobie: I co z tego?

Był zadyszany, jakby biegał wkoło pokoju, a nie stał spokojnie przed kominkiem. W końcu powiedział:

- A potem poznałem ciebie. Sydney potrząsnęła głową.
- Nie wmawiaj mi, że ja cię zmieniłam, Alec. Nie wciskaj mi kitu.

- Racja. - Zaczął chodzić po pokoju, przeczesując włosy palcami.
- Posłuchaj, Syd, nie wiem, co Reck ci powiedział, ale mogę sobie wyobrazić. Jego ręce są czyste, a ja jestem Wielkim Złym Wilkiem.

- Nie uwierzyłam mu. Przyszłam do ciebie, żeby się dowiedzieć prawdy!

Odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią dzikim wzrokiem.

- Prawda jest taka, że nawaliłem! Przygotowałem sobie przytulne gniazdko w piekle jeszcze na długo przedtem, zanim wsiadłem z Henrym do tego samolotu. Tamten dzień był tylko trochę gorszy od innych, rozumiesz?

Podbiegł do niej i padł przed nią na kolana.

- A to jeszcze nie był koniec. Widzisz, po katastrofie miałem haka na Kinnarda, więc chciałem mojej śmierci. Musiałem wyeliminować jego i Recka. I wiesz, jak to zrobiłem? - Uśmiechnął się. - Potrafisz sobie wyobrazić?

- Nie, Alec, przestań. Nie chcę więcej wiedzieć...

- Posłużyłem się tobą, Syd. W zasadzie ty posłałaś dla mnie Kinnarda za kraty. Pamiętasz? Miałaś dowody, by zdemaskować i jego, i Recka.

- Zamknij się. - Sydney zatkała uszy rękoma. - Zamknij się!

Ale on nie pozwolił jej tak łatwo ukryć się przed prawdą. Oderwał jej ręce od uszu, zmuszając, by słuchała dalej.

- Pamiętasz tamten dzień, kiedy się u ciebie zjawiłem? Udawałem, że sprawdzam system alarmowy w waszym domu. Wziąłem cię za nierozumianą, zaniedbaną żonkę; dojrzały owoc, nic, tylko zerwać z krzaka. Wystartowałem do ciebie. - Uśmiechnął się szeroko. - A ty mnie osadziłaś w miejscu.

Dotknął jej twarzy. Sydney nie zdawała sobie sprawy, że znowu płacze, że Alec ociera jej łzy.

- Ale ty nie byłaś taka, jak się spodziewałem. Od tamtego dnia, Syd, wszystko się zmieniło. Tak bardzo chciałaś, żebym był lepszym człowiekiem. I po raz pierwszy w życiu wyobraziłem sobie, że może stanę na wysokości zadania. To wtedy zacząłem pracować nad nowym programem, mając nadzieję, że kiedyś uratuję komuś życie, by

wynagrodzić tamtą sprawę z Henrym. Że zostanę bohaterem, którego pragnęłaś. Niezły dowcip, co?

Kiedy na nią patrzył, wydawał się niesamowicie szczery. I zagubiony.

- Powinnaś mnie nienawidzić, Syd. Bóg mi świadkiem, że powinnaś.

W tej chwili stały się dwie rzeczy jednocześnie; Sydney zerwała się z kanapy i rzuciła się Alecowi w objęcia, a za jego plecami rozprysnęła się szyba w oknie.

Sydney pobiegła oczyma za jego wzrokiem. Wpatrywał się w kanapę. Na poduszce, o którą opierała przed chwilą, pojawiła się mała, czarna dziurka.

- Cholera. - Alec złapał Sydney za ramiona.

Popchnął ją na podłogę, przykrywając swoim ciałem. Przeturlali się kilka metrów po dywanie. W ślad za nimi posypał się grad kul, trafiając w podłogę i kanapę.

Cisza powróciła tak samo nagle, jak została przerwana. Sydney poczuła, że ma serce w gardle. Spojrzała na Aleca, który osłaniał ją całym sobą, opierając się na rękach i kolanach. Jego zaniepokojona twarz przeraziła ją. To już koniec. Zaraz zginiemy.

Alec jednak tylko się uśmiechnął.

- Trzymaj się, mała - szepnął, łapiąc ją za rękę. - Jeszcze się nie poddawaj.

Wstał, przygięty nisko do ziemi. Sydney ruszyła za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Z pochylonymi głowami przebiegli do kuchni i schowali się za kontuar.

Alec ruchem głowy wskazał stłuczone okno.

- Strzelał z domku obok. Wygląda na to, że z okna na piętrze. Mamy chwilkę czasu. - Sięgnął po słuchawkę telefonu, wiszącego na ścianie. - Głuchy - oznajmił.

- Moja komórka jest w samochodzie. W torebce. Alec pokręcił głową.

- Nie będziemy ryzykować.

Sydney poczuła, że kręci jej się w głowie. Oddychała zbyt szybko.

- No to co zrobimy?

- Zależy od tego, jak bardzo on chce nas zabić.

Widziała, że jest maksymalnie skoncentrowany. Jak wyjść z tego cało...

- Rób, jak uważasz, Alec - powiedziała, dając mu do zrozumienia, że zdaje się na niego.

Skinął głową, obejmując dowodzenie.

Przebiegli przez salon. Skręcili na schody i wbiegli na piętro. Kiedy byli w połowie drogi, seria strzałów podziurawiła ścianę tuż za nimi.

Ile sił w nogach pognali korytarzem. Mijając drzwi jednej z sypialni, Alec zatrzasnął je, po czym uchylił drzwi pokoju obok. Szybko, jak najciszej, wspięli się schodami prowadzącymi na strych, zatrzymując się na podeście nad sypialniami. Alec pchnął Sydney na podłogę, sam przycisnął się obok. Położył palec na ustach.

Po niezbyt długiej chwili Sydney usłyszała, że otworzyły się drzwi wejściowe. Podłoga poskrzypywała pod czyimiś krokami. Idzie po schodach...

Potem nie słyszała już nic, z wyjątkiem pulsowania krwi w skroniach. Alec leżał nieruchomo, nasłuchując. W końcu odwrócił się do niej. Nie mogła uwierzyć, kiedy mocno pocałował ją w usta.

Zdawało jej się, że powiedział „łatwizna”, zanim wstał i przeskoczył nad poręczą podestu.

Zerwała się na równe nogi i wyjrzała nad balustradą. Z niedowierzaniem patrzyła, jak Alec, skoczywszy pół piętra w dół, wylądował na grzbiecie czarno ubranej postaci w masce. Mężczyźni sturlali się po schodach, szczeni w walce, i zniknęli Sydney z pola widzenia.

Pognała w dół po schodach, tuż za nimi. Ale kiedy dotarła na parter, zobaczyła, że napastnik stoi w salonie naprzeciw Aleca, celując z pistoletu prosto w jego pierś. Za późno!

- Alec!

Alec obrócił się błyskawicznie, wyrzucając nogę w powietrze. Jego prawa stopa trafiła w bok głowy mężczyzny. Kopniak był potężny. Pistolet wypalił, pocisk trafił w ścianę. Napastnik złapał równowagę, próbując wycelować powtórnie. Tłumik na lufie sprawiał, że pistolet wydawała się o wiele większy i bardziej groźny. Alec obrócił się jeszcze raz i wytrącił kopniakiem broń z dłoni mężczyzny. Sydney patrzyła, jak pistolet koziołkuje w powietrzu. Wystrzelił,

uderzając o podłogę. Alec kopnął faceta z lewej, poprawił sierpowym w szczękę.

Potykając się, Sydney zbiegła z ostatnich stopni i rzuciła się przez pokój. Złapała pistolet w chwili, kiedy obaj mężczyźni znów zwalili się na podłogę. Szamotała się przez chwilę, omal nie upuszczając broni, aż wreszcie chwyciła ją mocno i podniosła się na kolana. Wycelowała trzęsącymi się rękoma.

- Dość tego! Już! - krzyknęła.

Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Wstała z podłogi, wciąż trzymając kurczowo pistolet w obu dłoniach. Powiedziała sobie: nie zamykaj oczu, i pociągnęła za spust.

Lampa obok walczących rozprysnęła się, zasypując ich odłamkami porcelany i szkła. Mężczyźni znieruchomieli, obaj jednakowo zaskoczeni.

Alec pierwszy przeturlał się na bok i zerwał z podłogi. Zamaskowany mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Powoli podniósł ręce, jak nakazała mu Sydney, kiwając lufą pistoletu.

To było jak powtórka sceny, która rozegrała się w tamtej ciemnej alejce. Ale tym razem Sydney nie była bezbronną ofiarą Russella. Alec podszedł do niej i stanął obok. Wziął pistolet, nie zdejmując muszki z faceta.

- Niezły strzał - pochwalił.

Sydney wzięła głęboki oddech. Nie zemdlej teraz!

- Celowałam w jego nogi.

- Ach tak? - Alec zerknął na strzaskaną lampę. - Zdaje się, że to mój szczęśliwy dzień.

- Russell zabił Kinnarda - powiedziała. Gardło miała ściśnięte, ale musiała to powiedzieć. - Praktycznie przyznał mi się do tego. Chciał mnie przestraszyć. Niby wiedziałam, że Russell jest zdolny do morderstwa, a jednak nie byłam na to przygotowana. Po prostu nie mogłam uwierzyć...

Alec spojrział jej w oczy i powiedział:

- To się dzieje naprawdę, Syd. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Co teraz? - zapytała.

Alec podniósł zwój linki, który zostawił na kanapie. Rzucił go Sydney. Ruchem pistoletu kazał bandycie usiąść w fotelu.

- Teraz - powiedział, obserwując uważnie w mężczyznę, który szedł w stronę fotela - zwiążesz tego faceta, a potem pójdziesz do samochodu po telefon. Znasz numer. 911.

Rozdział 31

Alec podniósł wzrok i spojrzał na Sydney, która przemywała wodą utlenioną kącik jego ust.

- Jak za dawnych czasów - powiedział.

Siedział cierpliwie przy kuchennym stole, pozwalając Sydney zabawiać się we Florence Nightingale. Słyszając jego słowa, przerwała swoje zabiegi. Alec pomyślał, że pewnie wspominała, jak to było, kiedy szwendali się razem po Ameryce Południowej. Nieraz dostał wtedy po głębie.

- Czy nie zapomniałam powiedzieć „dziękuję”? - zapytała. Potrafiła tak na niego spojrzeć... Cholera, Syd. Od takiego spojrzenia topił się jak wosk.

- Za co mi chcesz dziękować? Że omal nie pozwoliłem cię zabić? Odłożyła gazę na blat za jego plecami.

- Ja to widzę trochę inaczej, Alec.

Facet, którego zabrała policja, był z całą pewnością zawodowcem. Wynajętym zabójcą. Pierwsze, co zrobił, to poprosił o adwokata. Detektywowi, który zjawił się na miejscu, Alec opowiedział wszystko ze szczegółami. Wyjaśnił, że Russell Reck będzie dobrym punktem wyjścia dla dochodzenia.

Alec siedział na stołku, Sydney musiała więc unieść jego twarz, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Alec, kiedy pociągnęłam za spust... niewiele jest na świecie osób, dla których mogłabym zastrzelić człowieka.

- Słyszę cię bardzo dobrze, mała.

Odwzajemnił jej uśmiech, ale jego myśli nie były wcale wesołe. Oczywiście, że teraz, pobudzona przez adrenalinę, żywiła dla niego ciepłe uczucia. Oboje omal nie zginęli - było, minęło. Ale wiedział, że zaraz sobie wszystko przypomni. Ach, prawda. Przecież on zabił Henry'ego...

Za plecami Sydney, przez okno salonu było widać detektywa stojącego przy wozie patrolowym. Kogut na dachu samochodu rzucał czerwone błyski, które odbijały się w szybach. Wyglądało na to, że detektyw Marcus wciąż próbuje się czegoś dowiedzieć od faceta skutego kajdankami i przyciśniętego do karoserii. Alec miał szczerą nadzieję, że ten cały Marcus zdobędzie to, czego było im potrzeba: zeznanie, w którym znajdzie się nazwisko Recka.

- Alec, o co chodzi?

Zmarszczył czoło, zdając sobie sprawę, że wysyła negatywne vibracje. Żałował, że nie potrafi przywołać na twarz uśmiechu i zatrzymać swoich wątpliwości dla siebie.

- Zastanawiałem się tylko, jak długo to jeszcze...

- Nie, nieprawda - przerwała mu. - Alec, wiem, że przywiozłeś mnie tutaj, żeby się pożegnać. Może z początku też uważałam, że tak będzie najlepiej.

O Jezusie, pomyślał. Zaczyna się.

- Ale teraz nie mogę tego zrobić. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła. Rozumiesz?

Nadzieja, którą zobaczył w jej oczach, sprawiała mu tyle bólu, że miał ochotę się zastrzelić.

- Posłuchaj, Syd. Życie przemknęło ci dziś przed oczami i teraz próbujesz chwycić cokolwiek, co wpadnie ci w ręce. Wydaje ci się, że to szczęście. Ale...

- Właściwie to twoje życie przemknęło mi przed oczami. I wiele zobaczyłam spraw z innej perspektywy.

- Na jak długo, Syd? Ile mamy czasu, zanim przeszłość znów nas rozdzieli? Miesiąc? Kilka lat?

Odsunęła się gwałtownie.

- To nie fair.

- Ale to prawda.

- Kiedy zobaczyłam, jak ten człowiek celuje do ciebie z pistoletu, zapomniałam o przeszłości.

- Ale przypomnisz sobie. I o to chodzi. W chwili zagrożenia, kiedy stoisz na granicy między życiem i śmiercią, kiedy nagle wszystko widzisz wyraźnie... tak, to wspaniałe uczucie. Ale nikt do tej pory nie wymyślił sposobu, by zamknąć to uczucie w buteleczce, żeby można było łyknąć sobie dodatkową dawkę, kiedy do głowy zaczynają wkradać się wątpliwości. A one wrócą, kochanie. Przeszłość prędzej czy później nas dogoni.

- Więc zaczniemy od początku. Bardzo chcę, żeby nam się udało, Alec. - W jej oczach zobaczył miłość, przebaczenie; wszystko, czego tylko mógł pragnąć mężczyzna. - I mam zamiar podjąć to ryzyko.

- Tak. - Uśmiechnął się, wreszcie zdobywając się na odpowiedź, jakiej oczekiwała. - Zgoda.

Niech sobie wierzy w te mrzonki, pomyślał. Ale wiedział doskonale, co ich czeka.

W tej chwili odjechał wóz patrolowy. Alec wstał, patrząc, jak detektyw chowa swój notatnik do kieszeni. Kiedy Marcus wszedł z powrotem do środka, zwrócił się do Syd, z wyrazem twarzy, który nie zapowiadał nic dobrego. Nie miał pocieszających wieści.

- Nazwisko, stopień wojskowy i numer seryjny - powiedział Marcus. - To wszystko. Nic, co można by powiązać z pani byłym mężem.

Alec stanął na wprost policjanta.

- Z wyjątkiem naszych zeznań...

- Które nie pozwolą mi nawet uzyskać nakazu aresztowania - powiedział.

- To niedorzeczne - odparł Alec.

Marcus wzruszył ramionami, jakby uważał, że to trochę zbyt późna pora, by użerać się z jakimś rozgorączkowanym idiotą.

- Dajcie mi trochę czasu, dobrze? Porozmawiam z prokuratorem. I może wynegocjuję z tym facetem jakiś układ, żeby wydał Recka. Ale w tej chwili jestem uziemiony.

Alec poczuł, że krew zaczyna pulsować mu w skroniach. Wiedział, że do jutra Reck wynajmie kogoś innego, by zapolował na Sydney. Jeśli już tego nie zrobił. I może następnym razem ten ktoś nie chybi.

Sydney potrząsnęła głową, jakby czytała mu w myślach.

- Nie odważyłby się. Już i tak wystarczająco zaryzykował. To dla niego zbyt niebezpieczne.

- Daj spokój, Syd. Tacy jak Russell myślą, że są wszechmocni. Że żaden sąd im nie podskoczy.

Ale Sydney z uporem zaprzeczała faktom.

- Russell nie jest głupi. Myślę, że w tej chwili siedzi w samolocie, który wiezie go za granicę. I z całego serca życzę mu szerokiej drogi. Niech sobie ucieka. Nic więcej mnie nie obchodzi.

- Nie łudź się. - Alec wiedział, że to niemożliwe, by człowiek pokroju Wrakarza zadowolili się takim zakończeniem sprawy. Tak, jak powiedziała Syd: zawsze będzie chciał więcej.

- Alec, co ci chodzi po głowie?

Weszła między dwóch mężczyzn i stanęła tuż przed Alekiem. Położyła mu rękę na ramieniu. Sięgnął po jej dłoń i ścisnął ją kurczowo, jak tonący linę ratunkową. Wiedział, co musi teraz zrobić. Dość ucieczek.

- Muszę mieć pewność, Syd - powiedział.

Możliwe, że przez cały czas wiedział, jak to się skończy. Po prostu do tej pory nie był gotowy - ciągle jeszcze szukał innego wyjścia. Tak jak Reck, chciał czegoś więcej. Ale teraz poczuł nagle, że wreszcie jest w stanie postąpić jak należy. Jakby patrząc w twarz ukochanej kobiety, znalazł w sobie siłę, by stać się lepszym człowiekiem.

Ponieś konsekwencje - bądź bohaterem.

Wciąż ścisnął ją za rękę. Nie spieszył się, chcąc jak najdłużej patrzeć jej w twarz. Chcąc wyryć sobie w pamięci jej obraz. Te słodkie usta, te piękne oczy.

- Muszę wreszcie wyeliminować Recka z gry. Chyba sama to rozumiesz.

- Nie, Alec - powiedziała, jakby miała nadzieję, że zdoła go powstrzymać.

- A co mi tam - uśmiechnął się od niej. - Wiesz co, to były najpiękniejsze chwile mojego życia.

Puścił jej rękę i podszedł do policjanta.

- Mam pewne informacje na temat Recka - powiedział do Marcusa. - Coś, co pomoże wam przyszpilić faceta. Za morderstwo.

- Nie, Alec. Nie w ten sposób.

- Słucham pana - powiedział Marcus.

Wypowiadając te słowa, Alec zrozumiał nagle, że właśnie tego potrzebowała Sydney. Że to jest klucz do jej bezpieczeństwa. Poczuł też, że może i on sam właśnie tego potrzebował.

- Wynajął mnie. Dwa lata temu. Ale w przeciwieństwie do tego gościa, którego właśnie zabraliście, ja chętnie złożę zeznania.

Detektyw spojrzał na niego z uwagą.

- Przyznaje się pan do morderstwa?

- Tak. - Alec poczuł się jakoś dziwnie, jakby unosił się na wodzie. Ale nie bał się. Ani trochę. - Może mi pan wierzyć. Reck chciał mnie dzisiaj zabić, bo stanowią dla niego zagrożenie. Mogę go załatwić.

- Alec! - Sydney ciągnęła go za rękę. - Nie musisz tego robić.

- Tak jak mówiłem, to było przed dwoma laty. W przypadku morderstwa nie stosuje się przepisów o przedawnieniu, zgadza się?

- Alec, poczekaj na adwokata...

- Znam swoje prawa - powiedział do detektywa, nie zwracając uwagi na Syd. - I jestem gotów zeznawać. Mogę wam podać takie szczegóły, że Reck w życiu się od tego nie wykręci.

Sydney wcisnęła się między niego i Marcusa, odpychając Aleca od policjanta.

- No dobra, miałeś rację - mówiła szeptem, by Marcus nie mógł jej usłyszeć. Była rozgorączkowana. - Wierzyłam w bajki, myśląc, że możemy być razem i żyć szczęśliwie. Ty pójdziesz swoją drogą, ja pójdę swoją. Ale nie baw się w szlachetnego rycerza i nie składaj zeznań, dzięki którym osiągniesz tylko tyle, że dostaniesz dożywocie albo coś jeszcze gorszego. Nie rób tego dla mnie. - Boże, w jej głosie było tyle cierpienia. - Błagam cię, Alec.

Dotknął jej twarzy. Po raz pierwszy w życiu widział wszystko tak jasno.

- Ja się nie boję, Syd.

- W ten sposób nie zapewnisz mi bezpieczeństwa, Alec. W ten sposób tylko złamiesz mi serce.

Ale on nie miał zamiaru słuchać tych sentymentalnych bzdur. To była sprawa życia i śmierci. I Alec dobrze wiedział, jak ma postąpić.

- Chcę, żebyś pojechała prosto do Conora. Reck nie będzie cię tam szukał, a Conor będzie wiedział, co robić.

- Alec, nie!

- Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj o tym. My dwoje... to by się nigdy nie udało, Syd. A co by to było za życie bez ciebie? Po prostu muszę to zrobić, rozumiesz?

Odsunął ją na bok, wiedząc, że tym razem postępuje jak należy. Wiedział, że tym razem, niezależnie od konsekwencji, dobrze wykona swoje zadanie.

Alec spędził noc w areszcie. Nie spał ani przez chwilę.

Godziny mijały, a on wciąż od nowa układał w głowie listę wszystkiego, co ciążyło mu na sumieniu. Myślał o Conorze - jak bardzo go kocha i jakie miał szczęście, przez tyle lat mając go u swego boku. O Travisie - że może powinien był mu powiedzieć prawdę o matce; że może tak jak Alec, Travis musiał stawić czoło pewnym faktom. Zmagał się po kolei ze wszystkimi duchami, od których całe życie usiłował uciec. I był zdumiony, że tyle się tego nazbierało.

Kiedy wczesnym rankiem wreszcie przyszedł po niego strażnik, Alec uznał, że jest gotów na wszystko, co niesie przyszłość. Spieszyło mu się wręcz, by mieć to już z głowy. Chciał, by Reck siedział już razem z nim w więzieniu. Chciał mieć pewność, że Sydney nie będzie już nigdy musiała przejmować się tym facetem.

Ale tak, jak wszystko inne przez ten ostatni rok, sprawy nie potoczyły się zgodnie z jego planem.

O ósmej rano Alec Porter wyszedł z aresztu za kaucją. Niespodzianka! Wyglądało na to, że życie umieściło na jego drodze jeszcze kilka ostrych zakrętów.

Na zewnątrz, we wspaniałym kalifornijskim słońcu czekał na Aleca Conor.

- Musiałeś się niezłe zwijać całą noc, żeby mnie wyciągnąć, Conman.

Starał się, by jego głos był opanowany, ale wiedział doskonale, że jego uśmiech jest zbyt promienny. Powtarzał sobie, że nie powinien pokazywać po sobie emocji, które w nim wzbierały, że nie powinien utrudniać tego wszystkiego Conorowi... Ale prawda była taka, że nigdy w życiu nie ucieszył się tak na czyjś widok.

Conor założył lotnicze okulary i wskazał ruchem ręki terenową toyotę.

- Całą noc i jeszcze trochę - powiedział, mijając Aleca. - Sydney czeka na ciebie w domu.

Alec ruszył za Conorem do samochodu. Czuł się trochę niepewnie. Jakoś nie wydawało mu się w porządku, że Conor znów przyszedł mu z pomocą. Przecież tamten etap życia mieli już za sobą.

Conor robił co mógł, by nie zwracać na Aleca uwagi. Wyjechał z parkingu i z piskiem opon skręcił na drogę.

- Dlaczego to zrobiłeś, Conman? - Zapytał w końcu Alec. - Dlaczego mnie wykupiłeś po tym wszystkim, co mam na sumieniu?

Conor nie odpowiadał przez długą chwilę, zajęty jazdą. Ale w końcu odwrócił się, po raz pierwszy od wielu lat spoglądając łagodniej na człowieka, którego nazywał swoim bratem.

- Powiedzieli mi, że chcesz współpracować - odparł. - I że to bardzo ułatwiło sprawę oskarżycielowi. Zgodzili się nawet obniżyć kaucję. Pół miliona.

- Zastawiłeś szkołę? - To był jedyny sposób, w jaki Conor mógł zdobyć tak szybko tyle pieniędzy. Wziął pożyczkę pod zastaw swojej szkoły pilotażu.

- Tak, zastawiliśmy ją. Marc i Geena. Ja i Cher.

Alec nie mógł w to uwierzyć. Ta szkoła była dla Conora wszystkim. Potrząsnął głową, wciąż nie pojmując. Właściwie go to wkurzyło. Ten facet znów ryzykował dla niego wszystko.

- Dlaczego, do diabła, zrobiłeś coś tak idiotycznego? - zapytał.

- No cóż - Conor uśmiechnął się wreszcie, jakby cała ta historia była jednym wielkim żartem - sam się nad tym zastanawiam.

Alec odchylił się w fotelu i zapatrzył przed siebie. Ogarniała go wściekłość, czuł, że za chwilę wybuchnie. Najpierw Syd, teraz Conor? Czy oni nie rozumieją, że Alec jest największym dupkiem na świecie?

I nagle odezwał się szeptem głosik w jego głowie: Dlaczego nie chcesz przyznać, jaki z ciebie szczęściarz?

To go rozzłościło jeszcze bardziej. Na litość boską, ile razy miał wystawiać tych ludzi do wiatru, żeby wreszcie pojęli, z kim mają do czynienia?

Godzinę później Conor zatrzymał samochód na podjeździe pod swoim domem. Alec, zamyślony, nie ruszył się z miejsca. Może mógłby złapać taksówkę i wrócić do aresztu? Do diabła, nie miał najmniejszego prawa tu być. Na dodatek będzie miał do czynienia z Syd i z jej bzdurnymi pomysłami, żeby „nie robił tego dla niej”.

Conor odwrócił się w jego stronę.

- Zanim tam wejdziemy, mam do ciebie parę pytań.

- Tak, oczywiście. - Alec odpowiedział nieobecny głosem, wciąż myśląc o Syd. Jak miał bronić tych wszystkich idiotów, którzy w niego wierzyli, przed nimi samymi?

- Chodzi o twoje zeznanie - powiedział Conor. - Zabiłeś Henry'ego Shanksa, rozwalając samolot? Co to znowu za bzdury, Alec?

Alec rzucił Conorowi spojrzenie, które mówiło wyraźnie: nie wtrącaj się. Jediną rzeczą, jakiej nie przewidział, było pojawienie się Conora. A już na pewno nie to, że Conman stanie po jego stronie.

- Posłuchaj, Conman, przyznałem się i zbieram za to po głowie. Rozumiesz? Jestem przestępcą...

- Ale nie mordercą. Nie ma mowy. Nie mam pojęcia, co Kinnard ci powiedział; może to, że potrzebuje wyłączyć zdalne monitorowanie

albo że testuje jakiś program, ale nie mogłeś wiedzieć, że samolot spadnie. Byłem tam, Alec, siedziałem tuż obok ciebie. I widziałem, że cię to zaskoczyło. Zwyczajnie spanikowałeś. Nie ma mowy; nie wiedziałeś, co się stanie. Oni cię wykorzystali, stary.

- Mylisz się. Doskonale wiedziałem, co robię. Kinnard mnie wynajął... Ale Conor podniósł rękę do góry, przerywając mu.

- Nie słyszałeś nigdy o czymś, co się nazywa „premedytacja”? Alec, niezależnie od tego, jakie głupstwa w życiu popełniłeś - a uwierz mi, nawaliłeś na całej linii - nigdy nie oskarżyłbym cię o morderstwo.

Alec zmarszczył czoło. Nie podobało mu się, jaki obrót przybierała rozmowa.

- A jakie znaczenie mają moje intencje? Liczą się wyniki. Podmieniłem oprogramowanie i spowodowałem katastrofę. Zginęli ludzie.

- I jeśli przyznasz się, że wynajęty przez Recka brałeś udział w zaplanowanym morderstwie, Wrakarz pójdzie na dobre do więzienia?

- Posłuchaj, Conor, głównie wiesz - powiedział Alec napastliwie. Nie wolno mu było tego spieprzyć. - Wiedziałem, że ten program jest wadliwy. Zamierzałem się katapultować, zanim...

- Bzdury. Dopiero kiedy samolot odmówił posłuszeństwa, zorientowałeś się, co jest tak naprawdę grane. Więc nie mów mi teraz, że zaplanowałeś to wszystko. Nie kłam, Alec. Nigdy więcej mnie nie okłamuj.

Alec spojrział w oczy brata i przekonał się, że Conor mówi szczerze. Rzeczywiście, był z nim podczas tej przejażdżki do piekła. U boku Aleca szarpał się ze sterami. Conor był prawdopodobnie jedynym żywym człowiekiem na ziemi, który rozpamiętywał tamten lot więcej razy niż sam Alec. I wiedział... znał prawdę.

- Mało cię nie zabiłem tamtego dnia - powiedział cicho Alec. - Według ciebie nie zasłużyłem, by iść do więzienia?

- Tak, oczywiście, choćby za to, że byłeś taki głupi i związałeś się z Kinnardem i Reckiem. Za to przede wszystkim. Ale nie za morderstwo.

- Cóż, tak się składa, że ja to widzę inaczej. Uważam, że żadna pieprzona „premedytacja” nie ma tu znaczenia. Conor, to się wszystko nie uda, jeśli powiem: buuu, ten niedobry, stary Russell Reck posłużył się mną, by kogoś zabić. Musiał być jakiś plan i ja musiałem być jego

częścią. Tak działają mordercze spiski. Mąż Sydney stracił życie, twoja kariera spłynęła do kanału i to wszystko była moja wina! Nie zapominaj o tym!

Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy. Pomyślał, że musi złapać oddech, uspokoić się. Co się stało, to się nie odstanie. Nie było sposobu, by zmienić przeszłość.

- To tak, jak mówiła Cherish - powiedział do Conora. - Jeśli chcę cokolwiek naprawić, muszę ponieść konsekwencje. - Kiedy mógł już swobodnie oddychać, dodał cicho: - Pozwól mi zrobić to jedno, zgoda? Już nigdy więcej o nic cię nie poproszę. Przysięgam.

Wpatrywał się w Conora, nie mając zamiaru się poddać. Za jego plecami widział mały domek, w którym jego brat mieszkał ze swoją rodziną, otoczony wszystkimi dobrodziejstwami domowego ogniska. W świetle poranka wyglądało to niemal jak pocztówka. Śpiewające ptaszki, kwitnące kwiatki... Jak spełniony sen. W środku czekała jedyna kobieta, z którą Alec byłby skłonny dzielić takie wymarzone życie.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Daj mi spokój, Conor. Jestem bardzo zmęczony.

Odwrócił się i wbił wzrok w trawnik. Czuł na plecach spojrzenie Conora. Doskonale wiedział, co musiało się teraz dzieć w jego głowie.

Chodziło o to, że Conor miał zasady. A to, co robił Alec - naginanie faktów - zupełnie się z nimi nie godziło. Z drugiej strony, Conor zawsze chronił tych, których kochał. Na pewno rozumiał Aleca, który próbował w tej chwili robić to samo.

Po długiej chwili usłyszał, jak jego brat otwiera drzwiczki samochodu. Słyszał chrzęst jego kroków na zwirowanym podejździe. Conor otworzył drzwi od strony pasażera i czekał, aż Alec wysiądzie z samochodu.

Kiedy bracia stanęli obok siebie, Conor powiedział:

- Więc wpadłeś na idiotyczny pomysł, że załatwisz Recka, ciągnąc go za sobą w przepaść?

Alec uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił.

- Jeśli zeznam, że brałem udział w spisku na życie Henry'ego. To jedyny sposób. Rozumiesz to, prawda? Ja idę do więzienia, Reck idzie tam ze mną. Sydney jest bezpieczna. Na zawsze. Doskonały plan.

Conor spojrzał na niego uważnie. Trudno było się domyślić, co mu chodzi po głowie, gdyż oczy miał zasłonięte lustrzanymi

okularami. Jednak Alec poczuł, że po raz pierwszy w życiu zasłużył sobie na odrobinę szacunku.

Conor odpowiedział tylko jednym zdaniem:

- Mam nadzieję, że ona jest tego warta.

Są w życiu chwile, kiedy serce przepelnia tak wielka radość, że nawet niebo wydaje się zbyt niebieskie; człowiek nie wie, dlaczego czuje się tak dobrze, aż dochodzi do wniosku, że nareszcie, nareszcie obrał właściwą drogę. Idąc ścieżką u boku Conora, Alec zrozumiał, że to jedna z takich chwil. Po raz pierwszy w życiu wiedział na pewno, że postępuje właściwie.

Conor otworzył drzwi na ganek. Kiedy zobaczył wyraz twarzy Aleca, pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Wiesz, Cherish zawsze mi powtarzała, że miłość zmienia ludzi. Po tej historii będzie piąć z zachwytu. Dzięki, stary. Teraz do końca życia nie da mi spokoju. W kółko będzie powtarzać: „A nie mówiłam?”.

Alę kiedy obaj bracia weszli do domu, nie czekały na nich dobre wieści.

- Co się stało? - zapytał Alec na widok przestraszonej twarzy Cherish. - Gdzie Sydney?

Cherish spojrzała na Conora.

- Pasierbica zostawiła jej wiadomość na sekretarce. Jakaś pilna sprawa.

- Cholera. - Alec już biegł do telefonu.

- Prosiłam ją, żeby poczekała - powiedziała Cherish, idąc tuż za nim - ale nie chciała słuchać. Wyjechała jakąś godzinę temu.

Alec czuł, że po plecach chodzą mu zimne dreszcze. Wystukując numer, zapytał Conora:

- Co z Reckiem? Chyba już go aresztowali?

- Obawiam się, że nie możemy na to liczyć - odparł Conor. Włączyła się sekretarka w domu Sydney. Z sercem w gardle Alec czekał na sygnał.

- Odbierz! Do licha, Syd. Podnieś słuchawkę! Nikt nie odpowiadał.

Alec spojrzał w pełne niepokoju oczy brata.

- Jedziemy - powiedział Conor.

Po chwili znowu byli w drodze. Tym razem za kierownicą siedział Alec. Popęłnił głupi błąd, wmawiając sobie, że Syd będzie

bezpieczna u Conora. Ale nie docenił Russella Recka, człowieka, który zawsze chciał mieć więcej. Alec wyobrażał sobie, czego w tej chwili Reck pragnął najbardziej: zemścić się na jedynej osobie, która zdołała mu zaszkodzić.

Alec sam nie wymyśliłby lepszego sposobu, by Sydney pojechała tam, gdzie chciał ją zwabić Wrakarz.

Zadzwoiła do niej pasierbica.

Pułapka

Rozdział 32

Kiedy Sydney przyjechała do domu Rocky, zastała otwarte drzwi.
- Jest tu kto?

Z bijącym sercem Sydney weszła do środka. Kiedy odsłuchiwała dziś rano wiadomość na sekretarce, głos Rocky wydał jej się dziwnie stłumiony, jakby płakała.

„Sydney, musisz przyjechać. Chodzi o Tatusia. Dowiedziałam się, co zrobił. Przyjedź do mnie. To naprawdę ważne”.

Po drodze Sydney kilkakrotnie próbowała dodzwonić się do Rocky, używając telefonu komórkowego. Tylko raz ktoś podniósł słuchawkę, ale połączenie zostało przerwane, co powiększyło jeszcze niepokój Sydney.

Wolałaby oczywiście zaczekać na Aleca - chciała wspólnie z jego rodziną wybić mu z głowy to jego poświęcenie. Ale głos Rocky przeraził ją. „Przyjedź do mnie...”

Sydney zrobiła kolejny, niepewny krok. Mieszkanie wyglądało na opuszczone.

- Rocky? Jesteś tutaj?

- Sydney...

Głos Rocky dobiegał gdzieś z głębi mieszkania.

Sydney poszła w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Rozglądała się nieznacznie na boki. Tam, w cieniu, przy wejściu do korytarza... Ledwie mogła rozróżnić ciemną sylwetkę.

- Zamknij drzwi. - To nie był głos Rocky.

Potykając się, Rocky wypadła z cienia w smugę słonecznego światła, padającego z wykuszowego okna. Tuż za córką szedł Russell, z pistoletem w dłoni.

- Russell - powiedziała Sydney, zgodnie z poleceniem zatrzasnąwszy drzwi. - Cóż za niemiła niespodzianka.

- Witaj, kochanie. Ja też się cieszę, że cię widzę.

- Przepraszam - powiedziała Rocky z oczami pełnymi łez. - Zmusił mnie podstępem, żebym do ciebie zadzwoniła.

Z siniaka na policzku i bolesnego grymasu na twarzy pasierbicy Sydney wywnioskowała, że Russell użył czegoś więcej niż podstępu, by zmusić córkę do podniesienia słuchawki.

- Daj spokój, Russ. To sprawa między mną i tobą. - Sydney starała się, by jej głos zabrzmiał przymilnie. Podeszła bliżej. - Jestem tu. Tak jak tego chciałeś. Pozwól Rocky odejść.

- To się na nic nie zda - powiedziała Rocky. - On dobrze wie, że natychmiast zadzwoniłabym na policję i kazała im z powrotem zamknąć tego cholernego oszusta...

Russell uderzył Rocky w twarz. Cios był równie brutalny, co niespodziewany. Rocky opadła na najbliższy fotel.

- No już, spokojnie - powiedział, podchodząc bliżej i stając nad córką. - Nie ma potrzeby używać takich wyrażen.

Rocky odzyskała oddech. Odgarnęła włosy z czoła i rzuciła ojcu pełne pogardy spojrzenie. Teraz dopiero Sydney zobaczyła wyraźnie jej twarz. Krew w kąciku ust, jeszcze jeden siniak na skroni.

- Spójrz tylko na siebie Russell. Popatrz, czym się stałeś.

- Co go to obchodzi. Jest zasranym...

- To twoja córka - wtrąciła się Sydney, widząc, że Russell zamierza się do kolejnego ciosu. Przyszło jej do głowy, że Rocky specjalnie go do tego prowokuje, by dać jej szansę ucieczki.

Russell widocznie doszedł do tego samego wniosku. Odsunął się o krok, jakby zdał sobie nagle sprawę, że dał sobą manipulować.

- Widocznie taki już mój los, że osoby, które są mi najbliższe i najdroższe w końcu mnie zdradzają. - Poglaskał jasne włosy Rocky. - Czy ty wiesz, Sydney, że ona nawet mi groziła? Myślała, że teraz, kiedy Reck Enterprises jest zarejestrowane na jej nazwisko, potrafi uratować cię przed moją zemstą. Musiało być dla niej bardzo bolesne, kiedy zorientowała się, że przez cały czas tylko ułatwiała mi sprawę. To wszystko było możliwe tylko dzięki niej.

- Przysięgam, że nic nie wiedziałam. - W głosie Rocky słychać było niesamowite zmęczenie. - Wszystkie te głupoty, które popełniłam... naprawdę nie wiedziałam, że mój ojciec jest bandytą.

Russell odsunął się, wzdychając teatralnie.

- To naprawdę przykre, skarbie. Wiedzieć, że nie ma się nikogo. Wszystkie moje damy mnie zdradziły.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, co wyglądało na buteleczkę z lekarstwami. Uśmiechnął się do córki, widząc, że jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.

- Tak, Rocky. Bywałaś przydatna.

Rzucił fiolkę Sydney, która, zaskoczona, złapała ją w locie. Russell chwycił Rocky za włosy i szarpnął jej głowę do tyłu, podstawiając lufę pistoletu pod jej brodę.

- Twoja niefortunna śmierć miała nastąpić w trochę inny sposób, Sydney. Miałaś odejść ze świata razem ze swoim kochankiem, oszalała z rozpaczy po serii nieszczęśliwych wypadków. Nagłówki w gazetach brzmiałyby „Mordercze samobójstwo”. Wiedziałem, że mój telefon do Portera jeszcze podgrzeje atmosferę. Czasami, kiedy się odpowiednio pokieruje sytuacją, ma się szczęście. To wasze rendez-vous w górach było doskonałą okazją.

- Musiałeś się poczuć bardzo rozczarowany, Russ - powiedziała, usiłując zachować spokój. W oczach Rocky dostrzegła przerażenie.

Russell uśmiechnął się.

- No cóż. Pora na plan B.

- Tatusiu, nie rób tego! - krzyknęła Rocky. - Oddam ci z powrotem firmę, oszukam dla ciebie rząd... Zrobię wszystko. Proszę cię, Tatusiu!

- Rocky powiedziała mi, że miałaś kłopoty z zaśnięciem - mówił dalej Russell, nie zwracając uwagi na błagania córki. - Udało mi się odnowić twoją receptę, Sydney. Może przyniesiesz sobie kieliszek wina?

- Nie rób tego! Nie dla mnie. Błagam, Sydney.

- Bądź grzeczną dziewczynką i siedź cicho. Twoja macocha zażyje teraz swoje pigułki. Co do jednej. - Patrząc jej w oczy, dodał: - Albo zastrzelę Rocky.

- Nie chcesz ubrudzić sobie rączek i spodziewasz się, że ułatwię ci zadanie, Russ?

- Nie uważasz, że jesteś mi to winna? Powinnaś była ze mną zostać, Sydney. Miałem dla nas takie wspaniałe plany na przyszłość. A teraz muszę się zadowolić moim planem awaryjnym, który nie jest nawet w połowie tak przyjemny. Kiedy stąd wyjdę, wyjeżdżam na Kajmany. Uwiłem sobie tam małe, miłe gniazdeczko. Może trochę za wcześnie przechodzę na emeryturę, to prawda, ale jestem na to przygotowany. Możesz mi wierzyć. Ubrudzę rączki czy nie - to i tak się stanie.

- A jeśli wezmę te pigułki? Skąd mam wiedzieć, że nie zastrzelisz Rocky? Żeby pozbyć się niewygodnego świadka?

- Wiem, co sobie o mnie myślisz, Sydney, ale ja wcale nie chcę zabijać własnej córki. Ty weźmiesz pigułki, a Rocky odejdzie wolno. Młode dziewczęta bez przerwy znikają za granicą i nigdy się nie

odnajdują. O ile się orientuję, mają jakieś problemy z rosyjską mafią czy coś w tym rodzaju...

- Białe niewolnictwo? Dla własnej córki? - Sydney pokiwała głową, jakby wreszcie wszystko stało się dla niej jasne. - No cóż, chyba pójdę po to wino.

- Nie! - Rocky machnęła ręką, uderzając w pistolet.

Russell wystrzelił; dziewczyna osunęła się na ziemię jak szmaciana lalka.

- Do diabła, Rocky! - krzyknął.

Sydney podbiegła do niej, odpychając Russella. Rocky oddychała płytko i szybko, kula trafiła ją w ramię. Dziewczyna krwawiła obficie.

- Nie łykaj tych pigulek - wyszeptała. - Proszę cię.

- Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi, Rocky. Tylko leż spokojnie. Zaufaj mi. - Sydney zwróciła się do Russella. - Zrobię to. Zostaw ją w spokoju, a ja zrobię wszystko, co każesz.

Wstała, by mu pokazać, że mówi poważnie. Poszła do kuchni, wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu. Zmusiła się, by nie myśleć o niczym, usunęła ze swojej głowy strach i obraz Rocky, krwawiącej na podłodze. Wiesz, co musisz zrobić.

W kuchni naląła sobie kieliszek wina. Odczekała chwilę, trzymając w dłoni butelkę z lekarstwem. W końcu zdjęła wieczko i wysypała białe kuleczki na kontuar. Usłyszała, że Russell wchodzi do kuchni.

- Wezmę te tabletki - powiedziała. Przesunęła powoli dłoń po blacie, jakby miała zamiar chwycić garść pigulek. Wciąż czekała.

- Zrób to, Sydney - odparł Russell, dzięki czemu zorientowała się dokładnie, w którym miejscu stoi. Z daleka od Rocky, przy wejściu do kuchni. - Bądź grzeczna i skończ tę zabawę.

Sydney odwróciła się. W rękę trzymała pistolet, który zatknęła wcześniej za pasek spódnicy i przykryła bluzką.

Wystrzeliła.

Czerwona plama pojawiła się na piersi Russella. Padł na kolana; w jego oczach malowało się zdumienie. Pistolet w jego dłoni wystrzelił niecelnie; pocisk trafił w ścianę za plecami Sydney. Russell upadł na twarz. Martwy.

- Proszę bardzo, Russell - powiedziała, rzucając pistolet na podłogę. - Już skończyłam.

Porter zjawił się w samą porę, by zobaczyć, jak koroner wchodzi po schodkach do domu. Alec wbiegł za nim. Wiedział, że ją stracił. Za późno.

Zmarnował cenny czas, sprawdzając wiadomości nagrane na sekretarce Sydney i słuchając głosu Rocky. Dziewczyna prosiła Sydney o pośpiech. Wypadł z domu i wcisnął gaz do dechy, by jak najszybciej dotrzeć do mieszkania Rocky. Dobry Boże, za późno!

Ale zamiast natknąć się na ciało Sydney, jak się tego obawiał, zastał ją, siedzącą przy kuchennym stole. Jak najbardziej żywą. Detektyw stojący obok, najwyraźniej spisywał jej zeznania.

- Sydney.

Odwróciła się, słysząc jego głos. Odsunęła krzesło i wstała.

- Nic mi nie jest - zapewniła go.

Zatrzymał się w drzwiach do kuchni, nie mogąc się ruszyć, choć widział przecież, że stała przed nim, cała i zdrowa.

Przed domem widział zaparkowaną furgonetkę koronera. Myślał, że Sydney nie żyje.

Nawet kiedy u jego boku stanął Conor, Alec wciąż nie mógł zdobyć się na to, by zrobić tych kilka kroków, dzielących go od Syd. Słuchał, jak Conor wypytuje ją, co się stało.

- Alec, wszystko w porządku. Naprawdę.

Podbiegła do niego, wpadając w jego ramiona. Przytulił ją mocno. Niemal ją straciłem. Obejmował ją z całej siły.

- Alec?

- Nigdy więcej mnie tak nie strasz. Rozumiesz, co mówię? - Odchylił do tyłu jej głowę i chwycił twarz w obie dłonie, potrząsając lekko. - Umrę, jeśli cokolwiek ci się stanie. Nie przeżyję tego. - Chyba nigdy w życiu nie mówił poważniej.

- Alec, myliłeś się we wszystkim. Nie chcę się z tobą rozstawać. Nic nie poradzę, że tak właśnie czuję. Cherish powiedziała mi, jak to było. Nie jesteś mordercą. Russell cię wykorzystał tak jak wykorzystywał wszystkich innych...

Alec znów zmiażdżył ją w uścisku.

- Nigdzie się nie wybieram, maleńka.

To była właśnie jedna z tych chwil - druga szansa. Rozumiał to doskonale, choć nie do końca jeszcze uwierzył, że naprawdę nic jej nie jest; jego ciało wciąż było sprężone ze strachu i wciąż jeszcze miał serce w gardle. Gdyby cokolwiek jej się stało...

- Cherish była w sypialni - powiedziała niemal szeptem. - Karmiła dziecko, kiedy zadzwoniłam, by odsłuchać wiadomości na sekretarce. Usłyszałam głos Rocky i wiedziałam. Po prostu wiedziałam.

- Już dobrze. - Doskonale rozumiał, co chciała mu powiedzieć. Że koroner przyjechał po kogoś innego. - Zrobiłaś to, co trzeba było zrobić.

- Przeszukałam cały dom, zanim znalazłam pistolet. Domyślałam się, że Conor musi mieć jakiś, jeszcze z czasów, kiedy był w wojsku. Nie wiem, jakim cudem wpadłam na to, jak go naładować. Zanim tu przyjechałam, ukryłam go pod spódnicą.

- Boże, Sydney. Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

- On cały czas chciał mnie i tylko mnie. Byłoby zbyt ryzykowne, gdybym próbowała to załatwić inaczej. Alec, on postrzelił Rocky. O mało nie zabił własnej córki. Miał zamiar sprzedać ją jakiemuś bandycie z rosyjskiej mafii. Więc go zastrzeliłam. Trafiłam prosto w serce.

Widząc, że jej oczy lśnią od łez, Alec pocałował ją, jakby pocałunkiem chciał ją rozgrzać, rozproszyć odrętwienie i chłód, który odczuwała po tym, co się stało. Chciał uwolnić ją od tego koszmaru. W głowie zaczął sobie nawet układać plan, co zrobi w ciągu następnych miesięcy, by pomóc jej przez to przejść.

Westchnął i delikatnie pocałował ją jeszcze raz. Oparł czoło o jej czoło.

- On zasłużył na śmierć, Syd. Ten facet był potworem. Sydney pokręciła głową, z oczami pełnymi łez.

- Zabiłam go.

- Hej, już po wszystkim. Cicho.

Czekał, aż się wypłacze, próbując ją uspokoić. Obiecywał, że już nigdy nie będzie musiała się bać, że on już zawsze będzie przy niej, że będzie ją kochał. Że da jej wszystko, o czym marzyła. Małżeństwo, dzieci...

- Słońce i księżyc - dokończył, jakby składał przysięgę. - Wszystko, czego zapragniesz, maleńka. Wystarczy, że mnie poprosisz.

W końcu uniósł do góry jej twarz i spojrzał w oczy, próbując wyobrazić sobie tę scenę. Reck trzyma pistolet, Sydney strzela jeden, jedyny raz.

- To się mogło skończyć zupełnie inaczej. - Przeraził się na sam dźwięk tych słów. - To mogłaś być ty.

- On strzelił do Rocky. - W jej głosie nie było już tyle strachu. Alec uśmiechnął się.

- Moja mała Nikita. Zdziwiona, uniosła twarz do góry.

Pocałował ją w czubek nosa. Zastrzeliłam go - pomyślała. Trafiłam prosto w serce. Nie potrafił sobie tego wyobrazić, ale był wdzięczny Opatrzności za rezultat.

- Niezły strzał - powiedział jej. - W każdej chwili możesz zostać moim ochroniarzem.

Łzy znów wezbrały w jej oczach i popłynęły po twarzy. Zdławionym głosem powiedziała:

- Celowałam w jego nogę.

- Ach tak? - Alec objął ją mocno i szepnął cichutko: - No to dziękuj Bogu, że nie trafiłaś.

Epilog

Alec gapił się na niebo. Nad jego głową Conor robił spiralę; skrzydła samolotu wirowały w obłądnym tańcu.

- Idealnie - powiedział.

Minęły raptem dwa miesiące, a ich wspólne przedsięwzięcie działało pełną parą. Pracowali nad usunięciem usterki w oprogramowaniu, która spowodowała, że Alec rozbił się ostatnio. Teraz, kiedy Conor pracował u jego boku, Alec był w stanie doszlifować program szybciej, niż kiedykolwiek marzył.

Odwrócił się i spojrzał na niewielką grupkę, która czekała przy hangarze. Geena i dzieciaki machali i wiwatowali. Cherish stała uśmiechnięta, trzymając w ramionach syna Conora. Sydney miała na twarzy uśmiech tak promienny, że oczu nie można było od niej oderwać: dzieliła z nim tę wspaniałą chwilę.

Moja rodzina.

To było zbyt piękne. Jego serce przepelniała radość. Cholera, nie zasłużyłem na to. Druga szansa.

Ale zamierzał przyjąć tę szansę. O, tak. Miał zamiar chwycić ją obiema rękami i rozkoszować się każdą chwilą.

Syd podbiegła do niego, zniecierpliwiona czekaniem. Porwał ją w ramiona i obrócił wokół siebie, po czym uniósł do góry i złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek, którym chciał jej powiedzieć wszystko, czego nie potrafił wyrazić słowami. Dla nas, Syd. Zrobiłem to dla nas.

- No więc, jakie to uczucie? - zapytała bez tchu.

- Do sukcesu jeszcze długa droga.

- Ale dzisiaj zrobiliście na niej duży krok.

Uśmiechnął się na widok Conora, który znów przepuła niebo nad ich głowami, tym razem pozdrawiając ich kiwaniem skrzydłami.

- O, taaak!

Alec objął Sydney i zawrócił w stronę hangaru, gdzie dzieciaki krzykami zachęcały Conora, by zrobił przewrotek.

- Jak poszło z Rocky? - zapytał.

- Musi teraz podejmować poważne decyzje. Nie uważam, by to było w porządku, że uparła się podzielić Reck Enterprises. Zamierza wykorzystać pieniądze do spłaty grzywien, ratując w ten sposób galerię. Mówi, że właśnie tego chce. Nazywa to sprawiedliwością. - Sydney zmarszczyła czoło. - Ale ja nie wiem, czy postępuje

rozsądnie. Jej własny ojciec ją postrzelił. I była przy tym, kiedy go... zabiłam...

Alec zatrzymał się i odwrócił Sydney, tak że stała teraz twarzą do niego.

- Wrakarz praktycznie sam pociągnął wtedy za spust. Daj spokój, Syd. Wiedziałaś, co było stawką. Ty albo on. I uwierz mi, ja bym wybrał ciebie.

Pochyliła głowę i oparła czoło o jego ramię.

- Wciąż go widzę. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę Russella, jak celuje do mnie z tego pistoletu.

- Daj sobie trochę czasu, mała. - Pocałował ją w czubek głowy. - Daj sobie trochę czasu.

Sydney pokręciła głową, zdobywając się na blady uśmiech.

- Zabawne, to samo powiedziałam Rocky. Żeby dała sobie więcej czasu. Jeszcze za wcześnie na decyzję, że chce wszystko oddać. Ona myśli, że wyrówna w ten sposób krzywdy, ale przecież nie musi płacić za zbrodnie swojego ojca. Poza tym ta historia z Jackiem wytrąciła ją z równowagi. Co będzie, jeśli później pożałuje swoich postanowień?

- Będiesz wtedy przy niej i pomożesz przez to przejść. Tak jak zawsze byłaś. Nic jej nie będzie, Syd. Ma ciebie.

- Mam nadzieję. Żałuję tylko, że nie potrafię wyleczyć jej złamanego serca.

- A nie mówiłem? Przecież zawsze uważałem, że ten facet to palant. - Alecowi udało się nawet zachować powagę, kiedy to mówił.

Sydney roześmiała się.

- Chodzi o to, że... Jack wydaje się równie nieszczęśliwy jak ona. Jakoś nie sądzę, żeby to był już koniec między nimi.

- Mówiłaś mi chyba, że pojechał na jedną z tych wypraw dla bogatych snobów. Chce się wspiąć na jakąś górkę, żeby lizać swoje rany.

- Owszem, pojechał na wyprawę w Himalaje, ale przecież wróci - wyjaśniła Sydney. - I to dla Rocky, jak się domyślam. Nie wiem, jak mogłam nie zdawać sobie sprawy, co się między nimi dzieje. Wkładali tyle energii we wzajemną nienawiść. Powinnam była zgadnąć, do czego prowadzą tego rodzaju emocje.

Alec uniósł jej twarz do góry.

- Czasami najtrudniej nam dostrzec to, co mamy tuż przed oczami. Sydney zdjęła okulary przeciwsłoneczne, by mógł spojrzeć jej w oczy.

- Wszystko, czego pragnęłam, stoi w tej chwili przede mną. Przycisnął usta do jej ust, wkładając w ten pocałunek wszystkie swoje uczucia.

Zdumiona, otworzyła szerzej oczy. Kiedy odsunął się od niej, odzyskała oddech i oblizwała wargi.

- Rany - powiedziała, wciąż odrobinę zdyszana - ciągle potrafi pan to robić, panie Porter.

- Grzeczna dziewczynka.

Objął ją i poszli w stronę hangaru, by popatrzeć, jak Conor ląduje marchettim.

Ostatni miesiąc był dla Aleca wariacką huśtawką lepszych i gorszych chwil, ale życie z Sydney wynagradzało mu wszystkie przykrości. Trudno było w to uwierzyć, ale sąd puścił go wolno. Alec poszedł na ugodę z prokuratorem, który najwyraźniej uważał, że za śmierć Henry'ego zapłacili już prawdziwi winowajcy. Nie zaszkodził też oczywiście fakt, że Sydney i Conor poręczyli za niego. Koniec końców, dostał tylko wyrok w zawieszeniu. Od tej pory zobaczył świat na nowo. Jakby nagle wszystko stało się możliwe.

Alec poszedł nawet odwiedzić Trávisa - i powiedział mu prawdę, że ich matka nie była żadną wrózką z bajki. Musiał mu oddać sprawiedliwość - Travis przyjął tę wiadomość bardzo dobrze. Jakby jakimś cudem zrozumiał, przez jakie piekło musiał przejść Alec, i chciał mu to wynagrodzić. Widocznie pojął, że zostając z babką, wyciągnął wygrany los. Powiedział nawet swoim dzieciom, że Alec jest ich wujkiem, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że ma nadzieję utrzymać z nim kontakt.

To było wręcz niesamowite, jak wszystko się teraz zmieniło. Druga szansa...

- O, tak - powiedział szeptem do siebie. Uśmiechnął się szeroko, spoglądając na oślepiająco błękitne niebo. Chciał się zmienić. Zostać jednym z pozytywnych bohaterów... nosić biały kapelusz. W końcu okazało się, że wystarczy pogodzić się z przeszłością. Tak, jak mówiła Syd...

- Popatrz, popatrz... - powiedział, dopiero teraz zauważając kamień zawieszony na złotym łańcuszku na szyi Sydney. Zatrzymał się i wziął wisiołek w dłoń.

Był to kawałek nefrytu, który podarował jej w szpitalu. Kazała go oprawić w złoto i zawiesić na łańcuszku. Alec uniósł pytająco brwi. Syd raczej nie miała w zwyczaju nosić na sobie muzealnych eksponatów.

- Postanowiłam go zatrzymać. - Wsunęła kamień pod koszulę, tak że spoczął tuż obok jej serca. Wzruszyła ramionami. - W końcu powiedziałaś, że podarujesz mi Słońce i Księżyc.

Zrozumiał, o co jej chodziło, i roześmiał się. Na małym kawałku nefrytu wyrzeźbiona była scena z Popul Vuh. Przedstawiała wstąpienie bliźniaczych herosów do Xibalby, gdzie przemienili się w Słońce i Księżyc, a Czterystu Młodzieńców, zastęp pokonanych bogów, zamieniło się w gwiazdy, świecące pomiędzy nimi na niebie.

- A więc, panie Porter - powiedziała Sydney, idąc obok niego - odpuszczono panu wszystkie grzechy. Właśnie ukończył pan pracę nad programem, wartym miliony dolarów. Jaki będzie pana następny krok?

Alec uśmiechnął się, słysząc tę imitację reklamy Disneylandu.

Ale kiedy się głębiej nad tym zastanowił, zrozumiał, że Sydney nie żartuje. Wiedział, o co go chciała zapytać: Co z naszą przyszłością? Dobre pytanie.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, zastanawiając się, co odpowiedzieć. W końcu odbił piłeczkę.

- A masz jakiś interesujący pomysł? Sydney potrząsnęła głową.

- Doprawdy, Alec. Jeśli to mają być oświadczyzny, to bardziej żałosnych nie słyszałam w życiu.

Pragnął tego z całego serca. Chciał, by Syd była przy nim już zawsze. Chciał nawet dzieci. O, tak, naprawdę chciał się z nią ożenić. Ale to wszystko śmiertelnie go przerażało.

- Czasami martwię się, że to poszło zbyt łatwo, wiesz? - Musnął kciukiem jej wargi. - Może powinienem potrenować jeszcze jakiś czas, jak być przyzwoitym człowiekiem. Żeby się przyzwyczaić. - Potrząsnął niepewnie głową. - A jeśli znowu nawalę, Syd? Po prostu nie wiem.

- Nie martw się aż tak. - Chwyliła jego twarz w dłonie. - Zaufaj mi, Alec. Zasłużyliśmy na to.

Uśmiechnął się, z sercem przepelnionym miłością.

- Niby na co?

Stanęła na palcach i zanim go pocałowała, szepnęła:

- Na nasz happy end.